

Pełna pasji, zaprawiona szyderczym humorem
opowieść o ciemnej stronie amerykańskiego snu

DOUGLAS KENNEDY



POKUSA

Świat Książki

**Szukajca opowieść o drodze do hollywoodzkiego sukcesu i cenie,
jaką trzeba za niego zapłacić.**

Jak wszyscy w Hollywood, David Armitage chce być sławny i bogaty, jednak ostatnie jedenaście lat jego życia to jedna wielka porażka. Niespodziewanie dopisuje mu szczęście — telewizja kupuje jego scenariusz. W jednej chwili David, teraz już współtwórca popularnego serialu, staje się nowym bożyszczem Hollywood. Jego życie zmienia się w zawrotnym tempie. David porzuca żonę i córkę dla młodej producentki telewizyjnej, której jedyną religią jest ambicja. Wspinalka po szczeblach kariery przybiera nowy kierunek, kiedy miliarder i zapalany kinoman Philip Fleck proponuje mu przedziwną spółkę. David polyka przynętę i wtedy okazuje się, że nieświadomie podpisał pakt z diabłem...

Douglas Kennedy (ur. w 1955 r. w Nowym Jorku) — zanim zajął się pisaniem, kierował teatrem w Dublinie. Jest autorem słuchowisk radiowych dla BBC, scenariusza sztuki teatralnej, trzech książek podróżniczych i ośmiu powieści. Jego książki były tłumaczone na osiemnaście języków, a jedna z nich została zekranizowana. W Polsce ukazały się: *Fotografik*, *Posada* i *Grzęzawisko*. W 2006 r. Kennedy otrzymał prestiżowy tytuł Chevalier de l'Ordre des Arts et des Lettres przyznawany przez Republikę Francuską. Mieszka z żoną i dziećmi w Londynie.



DOUGLAS KENNEDY

POKUSA

Z angielskiego przełożyła *Joanna Grabarek*


Świat Książki

Tytuł oryginału

TEMPTATION

Redaktor prowadzący

Katarzyna Krawczyk

Redakcja

Joanna Wójcik

Redakcja techniczna

Julita Czachorowska

Korekta

Zofia Kozik

Krystyna Śliwa

Alicja Chylińska

Copyright © Douglas Kennedy 2006

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Joanna Grabarek 2008

Świat Książki

Warszawa 2008

Bertelsmann Media sp. z o.o.

ul. Rosola 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie *Piotr Trzebiecki*

Druk i oprawa GGP Media GmbH, Pössneck

ISBN 978-83-247-0734-8 Nr 6024

Fredowi Hainesowi

*Nie wystarczy odnieść sukces.
Inni muszą ponieść porażkę.*

Gore Vidal

Część pierwsza

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zawsze chciałem być bogaty.

Wiem, że brzmi to prostacko, ale za to szczerze. Szczerze do bólu.

Mniej więcej rok temu moje życzenie się spełniło. Po dziesięciu latach pecha, toksycznej akumulacji listów odmownych, niezliczonych: „będziemy musieli jednak zrezygnować”, zwyczajowych: „o mały włos” („rozumie pan, naprawdę szukaliśmy czegoś w tym stylu, ale niestety, było to w zeszłym miesiącu), oraz - naturalnie - wiadomości telefonicznych, na które nikt nie fatygował się odpowiedzieć, bogowie zbiegu okoliczności ostatecznie zdecydowali, że jestem wart uśmiechu losu.

Otrzymałem telefon. Zauważcie: otrzymałem telefon, o którym marzy każdy, kto kiedykolwiek zajmował się pisaniem zawodowo. Dzwoniła Alison Ellroy, moja niezwykle cierpliwa agentka.

- Davidzie, sprzedałam to.

Serce zabiło mi gwałtownie. Nie słyszałem słów „sprzedałam to” od... cóż, jeśli mam być szczerzy, nigdy przedtem nie słyszałem podobnego sformułowania.

- Sprzedałaś co? - spytałem, ponieważ w obecnej chwili pięć potencjalnych scenariuszy mojego autorstwa krążyło niczym Latający Holender po wybranych studiach telewizyjnych i firmach producenckich.

- Pilota - odparła.

- Pilota do serialu telewizyjnego?

- Tak. Sprzedałam *Sprzedając cię*.
- Komu?
- FRT.
- Co takiego?
- FRT, czyli Front Row Television. Czyli najmądrzejszemu, najbardziej popularnemu producentowi oryginalnych programów w historii telewizji kablowej...

W tej chwili moje serce na poważnie potrzebowało defibrylacji.

- Tak, wiem, co to jest FRT, Alison. Naprawdę kupili pilota?
- Tak, Davidzie. FRT właśnie kupiła *Sprzedając cię*.

Długie milczenie.

- Zamierzają zapłacić? - spytałem.
- Oczywiście, że tak. To poważni biznesmeni, wierz lub nie.
- Przepraszam, przepraszam... po prostu... ile dokładnie?
- Czterdzieści patyków.
- Aha.
- Nie wydajesz się zbyt podekscytowany.
- Ależ jestem, jestem. Po prostu...
- Wiem, że to nie kontrakt na milion dolarów, ale takie rzeczy zdarzają się początkującym najwyżej raz czy dwa do roku. Czterdzieści tysięcy to standardowa zapłata za pilotujący odcinek serialu telewizyjnego... zwłaszcza dla nieznanego w branży scenarzysty. Ile ci teraz płacą w Book Soup?

- Piętnaście tysięcy rocznie.
- Zatem popatrz na to w ten sposób: właśnie zarobiłaś równowartość trzyletniej pensji. A to dopiero początek. Nie poprzestaną na zakupieniu pilota... zamierzają go wyprodukować.
- Powiedzieli ci to?
- Owszem.
- Uwierzyłaś im?
- Skarbie, żyjemy w galaktycznej stolicy Obludy. Mimo wszystko może ci się poszczęści.

Kręciło mi się w głowie. Dobre wieści. Dobre wieści.

- Nie wiem, co powiedzieć - rzuciłem.
- Może na przykład „dziękuję”?
- Dziękuję.

Nie podziękowałem Alison Ellroy tak zwyczajnie. Następnego dnia po owym sławetnym telefonie pojechałem do centrum handlowego Beverly i kupiłem jej wieczne pióro Mont Blanc za jedyne 375 dolarów. Kiedy po południu wręczyłem je Alison, wydawała się szczerze wzruszona.

- Czy wiesz, że to pierwszy podarunek, jaki dostałam od klienta od... jak długo już pracuję w moim zawodzie?
- Skąd mam wiedzieć?
- Trzydzieści lat. Cóż, zapewne na wszystko przychodzi kiedyś pora. Dziękuję. Tylko nie myśl, że będę ci je pożyczała do podpisywania kontraktów.

Tymczasem moja żona Lucy była zdegustowana, że wydałem tyle forsy na prezent dla agentki.

- Co to ma znaczyć? - krzyknęła. - Wreszcie udaje ci się dostać jakiś kontrakt, w dodatku za minimalną stawkę WGA * Writers Guild of America - Amerykańska Gildia Pisarzy (ang.) [wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza], i nagle zmieniasz się w Roberta Towne'a **? Amerykański scenarzysta, nagrodzony Oscarem za najlepszy scenariusz do filmu *Chinatown*.

- To tylko gest wdzięczności, nic więcej.
- Gest wdzięczności wart trzysta siedemdziesiąt pięć dolarów?
- Stać nas na to.
- Och, doprawdy? Policz sobie, Davidzie. Alison dostanie piętnaście procent od twoich czterdziestu kawałków, urząd podatkowy oskubie cię z dalszych trzydziestu trzech i pozostanie jedynie dwadzieścia trzy tysiące z drobnym dodatkiem.
- Skąd ty to wszystko wiesz?
- Bo sobie policzyłam. Podobnie jak nasze łączne długi z Visy i MasterCard. Dwanaście tysięcy, z odsetkami rosnącymi z miesiąca na miesiąc. Poza tym jest jeszcze pożyczka, którą zaciągnęliśmy,

żeby zapłacić za czesne w szkole Caitlin. Sześć tysięcy, również z odsetkami. Przypominam też, że mamy tylko jeden samochód, a mieszkamy w mieście i powinniśmy mieć przynajmniej dwa. Poza tym ten rupieć jest dwunastoletnim volvo, w którym trzeba naprawić rozrząd, ale oczywiście nie stać nas na to, ponieważ...

- Dobrze już, dobrze. Byłem niepotrzebnie rozrzutny. *Mea maxima culpa*. Tak przy okazji wielkie dzięki za wsparcie moralne i za szczerą radość z mojego sukcesu.

- Daruj sobie tę ironię. Wiesz dobrze, jak bardzo byłam uradowana wczoraj, kiedy mi o wszystkim powiedziałeś. Przecież to coś, o czym marzyłeś, o czym marzyliśmy oboje przez ostatnie jedenaście lat. Chciałam po prostu powiedzieć, Davidzie, że pieniądze, które zarobiłeś, są już niejako wydane.

- Dobrze, dobrze, zrozumiałem. - Chciałem zakończyć tę dyskusję.

- Poza tym, chociaż oczywiście nie zazdroszczę Alison wiecznego pióra, byłoby miło, gdybyś najpierw pomyślał o osobie, która przez owe jedenaście lat ratowała nas przed bankructwem.

- Masz rację. Przepraszam. Przed nami lepsze czasy. W końcu będziemy mieli pieniądze.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - odparła cicho. - Zaslужujemy na odpoczynek.

Wyciągnąłem dłoń, żeby pogłodzić jej policzek. Obdarowała mnie słabym, zmęczonym uśmiechem.

Miała powody do zmęczenia. Ostatnie dziesięć lat było dla nas wyczerpującą wędrówką bez specjalnych widoków na przyszłość. Poznaliśmy się na Manhattanie, na początku lat dziewięćdziesiątych. Przyjechałem tam kilka lat wcześniej z rodzimego Chicago, żeby zrobić karierę jako dramaturg. Zamiast tego wylądowałem jako kierownik planu w jakimś drugorzędnym teatrzyku z dala od Broadwayu. Płaciłem za wynajem mieszkania pieniędzmi zarobionymi w Gotham Book Mart, gdzie zajmowałem się spisaniem inwentarza. Oczywiście miałem agenta, któremu udało się nawet coś zrobić z moimi sztukami. Wprawdzie żadna z nich nie została

wystawiona, ale jeden ze scenariuszy, *Zwyczajny wieczór w dębowym parku* (mroczna satyra na miejskie życie), doczekał się realizacji przez Stowarzyszenie Teatralne Avenue B (przynajmniej nie było to Avenue C).

W sztuce grała Lucy Everett. Po tygodniu od pierwszej próby uznaliśmy, że się w sobie zakochaliśmy. Zanim sztuka doczekała się trzeciego przedstawienia, wprowadziłem się do jej kawalerki na Wschodniej Dziewiętnastej. Dwa miesiące później dostała propozycję zagrania w pilotowym sitcomie nagrywanym dla ABC na Zachodnim Wybrzeżu. Zakochany po uszy nie wahałem się ani minuty, kiedy powiedziała: „Jedź ze mną”.

Przeprowadziliśmy się więc do LA do ciasnego dwupokojowego mieszkania na King's Road w zachodnim Hollywood. Lucy zaczęła nagrywać serial, ja zmieniłem drugą maleńką sypialnię w swój gabinet. Sieć ABC ostatecznie zrezygnowała z serialu. Ja napisałem pierwszy scenariusz filmowy, *Trzej malkontenci*, który scharakteryzowałem jako „utrzymaną w mrocznych klimatach komedię gangsterską”. Była to historia o napadzie na bank zorganizowanym przez grupę starzejących się weteranów wojny wietnamskiej. Oczywiście scenariusz ów nie zrobił kariery, ale dzięki niemu zdobyłem Alison Ellroy. Była jednym z niewielu już osobników zagrożonego gatunku - niezależną hollywoodzką agentką, pracującą nie w jednym z tych hiperarchitektonicznych monolitów, lecz w małym biurze na Beverly Hills. Po przeczytaniu mojego „mrocznie komediowego” scenariusza oraz wcześniejszych, nigdy niewykorzystanych sztuk wpisała mnie na listę swoich klientów. Dała mi przy tym dobrą radę:

„Jeżeli zamierzasz utrzymywać się z pisania w Hollywood, pamiętaj, że musisz pisać pod publikę... od czasu do czasu wsadzając swoje «mrocznie satyryczne» ozdobniki. Ale tylko jako ozdobniki. Bruce Willis może robić z siebie inteligenta, ale i tak koniec końców rozwała niemieckiego terrorystę o masywnej szczęce i ratuje swoją żonę z płonącego wieżowca. Rozumiesz?”.

Zdecydowanie rozumiałem. Przez kolejny rok napisałem trzy scenariusze: film akcji (islamscy terroryści opanowują jacht pływający po Morzu Śródziemnym, na którego pokładzie przebywa trójka dzieci prezydenta Stanów Zjednoczonych), dramat obyczajowy (umierająca na raka matka usiłuje odzyskać kontakt ze swoimi dorosłymi dziećmi, które musiała porzucić, gdy były małe, szantażowana przez złą teściową) oraz komedię romantyczną (niemal żywcem zdarte z *Prywatnego życia* - podczas miesiąca miodowego oboje nowożeńców zakochuje się w rodzeństwie swojej drugiej połowy). Wszystkie trzy scenariusze zostały napisane zgodnie z zasadami swojego gatunku i miały elementy „mrocznego komizmu”. Żadnego z nich nie udało się sprzedać.

W międzyczasie, po tym jak pilot serialu dla ABC poszedł do kośza, Lucy przekonała się, że drzwi do castingu niekoniecznie stoją dla niej otworem. Od czasu do czasu udało jej się załapać do jakiejś reklamy. W pewnym momencie nieomal dostała rolę sympatycznej pani onkolog w filmie o maratończyku zmagającym się z rakiem kości. Była też bliska zagrania w jakimś straszliwym horrorze o nożowniku jako ofiara. Podobnie jak ja, miotała się od uwielbienia do wzgardy. Nasze zasoby pieniężne zaczęły sięgać dna. Musieliśmy znaleźć normalną, odpowiednio płatną pracę.

Ja dostałem posadę w księgarni Book Soup (moim zdaniem najlepsza niezależna tego typu placówka w LA) - trzydzieści godzin pracy jako w zasadzie nikt. Lucy dała się namówić niezatrudnionemu członkowi SAG* Screen Actors Guild - Gildia Aktorów Ekranowych (ang.) na telemarketing. Na początku nie cierpiała swojej pracy, ale jako aktorka podjęła wyzwanie odegrania owej trudnej roli. Ku własnemu przerażeniu okazała się doskonała. Zarabiała ładne pieniądze - około trzydziestu tysięcy rocznie. Nadal przez cały czas chodziła na przesłuchania, ale nikt jej nie chciał, sprzedawała więc rzeczy przez telefon. Potem w naszym życiu pojawiła się Caitlin.

Wziąłem urlop, żeby opiekować się naszą córką. Nadal pisałem:

specjalistyczne scenariusze, nową sztukę teatralną, pilota serialu telewizyjnego. Oczywiście nic się nie sprzedało. Kiedy Caitlin miała mniej więcej rok, Lucy zrezygnowała z członkostwa w SAG-u i awansowała na stanowisko szkoleniowca do spraw telemarketingu. Ja wróciłem do pracy w Book Soup. Nasze łączne zarobki sięgały czterdziestu tysięcy rocznie - tyle co nic w mieście, w którym wielu ludzi wydaje czterdzieści tysięcy rocznie na siłownię. Nie było nas stać na nowe mieszkanie. Mieliliśmy tylko jeden samochód, starzejące się volvo, które pamiętało jeszcze prezydenturę Reagana. Czuliśmy się przytłoczeni nie tylko przez fizyczną ciasnotę domu, ale też przez coraz bardziej przemożne uczucie, że zostaliśmy uwięzieni w naszych małych życiach, bez horyzontu, z niebem walącym się na głowy.

Oczywiście córka była naszą radością, ale z biegiem lat, kiedy oboje z Lucy zbliżyliśmy się do trzydziestki, zaczęliśmy się wzajemnie traktować jak strażników więziennych. Usiłowaliśmy poradzić sobie z różnorodnymi porażkami zawodowymi i świadomością, iż w czasach, gdy wszyscy nasi znajomi wzbogacali się podczas prezydentury Clintona, my nie dochrapaliśmy się niczego.

Lucy zrezygnowała z nadziei na karierę aktorską, ja jednak nadal produkowałem swoje wypociny - ku jej wielkiej irytacji, ponieważ uważała (słusznie zresztą), że cała odpowiedzialność za utrzymanie rodziny spoczęła na jej barkach. Zażądała, żebym zrezygnował z posady w Book Soup i znalazł sobie porządną robotę. Odmówiłem, tłumacząc, że praca w księgarni współgra z moim pisarskim życiem.

- Twoim pisarskim życiem? - powiedziała z niemal miażdżącym sarkazmem. - Nie gadaj głupot.

Oczywiście wywołało to jedną z owych małżeńskich kłótni o sile rażenia bomby atomowej, w której lata nagromadzonych urazów, wrogości i domowej frustracji powodują, że ziemia wypala się pod stopami obu uczestników. Lucy stwierdziła, że jestem egocentrykiem i kariera pisarza jest dla mnie ważniejsza niż dobro Caitlin. Ja skontrolowałem, że jestem wzorowym rodzicem (bo nim byłem) i nie

widzę problemu w tym, że przy okazji moja profesjonalna integralność pozostała nienaruszona.

- Nigdy nie sprzedałeś żadnego scenariusza i ośmielasz się tytułować siebie profesjonalistą? W rozmowie ze mną? - rzuciła.

Wybiegłem z domu, wsiałem do samochodu i ruszyłem przed siebie. Jechałem całą noc, aż dotarłem na północ San Francisco. Spacerowałem po plaży w Del Mar i z całego serca pragnąłem, by rzeczywiście mieć w sobie tak dalece idącą beztroskę, aby kontynuować podróż do granicy i dalej, do Tijuany, zerwać z moim dotychczasowym fatalnym życiem. Lucy miała rację: zawiodłem jako pisarz... ale nie zamierzałem porzucić mojej córki z powodu jednej głupiej kłótni. Wróciłem więc do samochodu, skierowałem się na północ i dotarłem do domu tuż przed świtem. Lucy nie spała. Siedziała z podkulonymi nogami na kanapie w naszym zagraconym salonie. Wyglądała jak siedem nieszczęść. Padłem na fotel naprzeciwko niej. Żadne z nas nie odezwało się przez długi, długi czas. Wreszcie Lucy przerwała ciszę:

- To było okropne.
 - Tak - przyznałem. - Było.
 - Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.
 - Ja też nie.
 - Jestem po prostu strasznie zmęczona, Davidzie.
- Wyciągnąłem ku niej dłoń.
- Witaj w klubie - powiedziałem.

Pocałowaliśmy się i pogodziliśmy, potem przygotowaliśmy śniadanie dla Caitlin, wsadziliśmy ją do autobusu szkolnego, sami zaś rozeszliśmy się do swoich zajęć, które nie sprawiały nam w najmniejszym stopniu przyjemności ani nawet nie przynosiły godziwych zarobków. Kiedy Lucy wróciła wieczorem do domu, domowa atmosfera ogólnego odprężenia została przywrócona i żadne z nas nie wspomniało ani słowem o wczorajszym wybuchu wzajemnej nienawiści. Mimo to rzeczy raz powiedziane nie znikają tak łatwo. Chociaż staraliśmy się zachowywać tak, jakby nigdy nic się nie zdarzyło, czuliśmy czający się w półmroku chłód.

Żadne z nas nie chciało się zmierzyć z tym problemem, oboje więc wynajdowaliśmy sobie różnorakie zajęcia. Ja wyprodukowałem scenariusz do trzydziestominutowego pilotowego odcinka serialu *Sprzedając siebie*. Akcja toczyła się w chicagowskiej agencji PR. Pracowała w niej grupa mądrych, pomysłowych, wiecznie podenerwowanych neurotyków. Owszem, był to „mrocznie komediowy” kawałek. Alison nawet się spodobał. Pierwszy od wielu lat scenariusz, który pochwaliła, chociaż nadal, jak na jej gust, zbyt dużo zawarłem w nim czarnego humoru. Mimo wszystko wysłała go do szefa działu developerskiego FRT. On z kolei wręczył moje wypociny niezależnemu producentowi, Bradowi Bruce'owi, który zaczął właśnie zyskiwać renomę jako twórca śmiałych, prowokatorskich realistycznych sitcomów dla telewizji kablowej. Bradowi spodobało się to, co przeczytał... i tym oto sposobem otrzymałem telefon od Alison.

A potem wszystko zaczęło się zmieniać.

Brad Bruce okazał się przedstawicielem rzadkiego gatunku - człowiekiem, który wierzył, że ironia jest jedynym sposobem na przetrwanie w Mieście Aniołów. Miał pod czterdziestkę i pochodził z Milwaukee (niech mu Bóg wybaczy). Natychmiast się dogadaliśmy. Co więcej, szybko wypracowaliśmy sobie styl współpracy. Odpowiadałem pozytywnie na jego uwagi i obaj korzystaliśmy na tej znajomości. Potrafiliśmy się wzajemnie rozśmieszyć. Brad wiedział, że to mój pierwszy sprzedany scenariusz, ale mimo to traktował mnie niczym weterana telewizyjnych wojen. Ja z kolei wypruwałem sobie dla niego flaki, wiedziałem bowiem, że mam w nim sprzymierzeńca... chociaż zdawałem sobie jednocześnie sprawę, że jeśli pilot okaże się fiaskiem, uwaga Brada skieruje się na kogoś innego.

Był to bardzo wpływowy biznesmen i udało mu się wyprodukować pierwszy odcinek serialu. Co więcej, pilot okazał się idealny: ostro zagrany i wyreżyserowany, stylowy i zabawny. Szefom FRT spodobało się to, co zobaczyli. Tydzień później zadzwoniła do mnie Alison.

- Usiądź - rzuciła na wstępie.
- Dobre nowiny?
- Najlepsze. Właśnie skończyłam rozmawiać z Bradem Bruce'em. Zadzwoni do ciebie za sekundę, ale to ja chciałam przekazać ci dobre wieści. FRT zamierza wyprodukować ośmiodcinkową serię *Sprzedając ciebie*. Brad chce, żebyś napisał scenariusz do pierwszych czterech epizodów i nadzorował powstawanie kolejnych, do całej serii.

Zaniemówiłem z wrażenia.

- Jesteś tam jeszcze?
- Właśnie usiłuję pozbiierać zęby z podłogi.
- Jeszcze się nie trudź. Mam więcej nowin. Posłuchaj tylko oferty: siedemdziesiąt pięć kawałków za odcinek, razem trzysta tysięcy za scenariusze. Myślę, że uda mi się wyciągnąć kolejne sto pięćdziesiąt za konsultację i redakcję, nie wspominając już o wpisaniu cię jako scenarzystę na listę płac i o pięciu do dziesięciu procent z tantiem z całej serii. Moje gratulacje. Za chwilę staniesz się bogatym człowiekiem.

Tego popołudnia zrezygnowałem z posady w Book Soup. Pod koniec tygodnia wpłaciliśmy zaliczkę na kupno ślicznego małego hiszpańskiego domku w środkowym Wiltshire. Rozklekotane przedpotopowe volvo zostało wymienione na nowego land-rovera discovery. Wziąłem również w leasing minicoopera, obiecując sobie kupno porsche carrery, jeżeli *Sprzedając ciebie* doczeka się kolejnej serii.

Lucy była oszołomiona nagłą zmianą naszych warunków materialnych. Po raz pierwszy w życiu nie brakowało nam wszelkiego luksusu. Mogliśmy sobie kupić odpowiednie meble, urządzenia kuchenne z „wodotryskami”, markowe rzeczy. Ponieważ na napisanie kolejnych odcinków miałem tylko pięć miesięcy, byłem pod ogromną presją czasu. W związku z tym Lucy przejęła na siebie całkowicie obowiązek wyremontowania i urządzenia nowego domu. Właśnie rozpoczęła szkolenie całego plutonu nowych telemarketin-gowców, co oznaczało, że musiała spędzać w pracy dwanaście godzin dziennie. Wolny czas, którego mieliśmy tak niewiele, poświęcaliśmy naszej córce. Dopóki nasze dni były pełne zajęć, dopóty

mogliśmy udawać, iż nie zauważamy głębokich pęknięć w naszym strukturalnie uszkodzonym małżeństwie. Oboje ciężko pracowaliśmy. Rozmawialiśmy często o owym niezwykłym uśmiechu losu i udawaliśmy, że wszystko między nami było tak jak dawniej... nawet jeżeli oboje wiedzieliśmy, iż tak nie było. Nastąpiło wtedy w moim życiu kilka melancholijnych chwil, kiedy przyłapywałem się na myśli, że pieniądze zamiast zbliżyć, jeszcze bardziej nas od siebie oddaliły.

Niemal rok później FRT wyświetliła pierwszy odcinek *Sprzedając ciębie*, który natychmiast stał się ogromnym przebojem. Pewnego dnia Lucy spojrziała na mnie i powiedziała:

- Teraz pewnie mnie zostawisz.
- Dlaczego miałbym to zrobić? - spytałem.
- Ponieważ możesz.
- Nic podobnego się nie stanie.
- Owszem, tak. Tego wymaga scenariusz sukcesu.

Oczywiście, Lucy miała rację. Nie nastąpiło to jednak przez kolejne pół roku. Do tego czasu zdążyłem zamienić mojego minicoopera na wymarzone porsche. Nie dość, że produkcja serialu została przedłużona, ale nagle znalazłem się w centrum publicznego zainteresowania, *Sprzedając ciębie* zaś stało się najmodniejszym, wręcz obowiązkowym, sitcomem sezonu. Serial otrzymywał fantastyczne recenzje. „Esquire” napisał o mnie artykuł na pięćset słów w sekcji „Faceci, których lubimy”. Nazwali mnie „Tomem Wolfem telewizji kablowej”. Nie sprzeciwiałem się temu. Nie odmówiłem również, kiedy „Los Angeles Times” poprosił mnie o wywiad do artykułu, który miał opowiadać o latach mojej profesjonalnej męczarni, pracy w Book Soup i o nagłym awansie do „malej, ale bardzo elitarniej ligi modnych, nietuzinkowych pisarzy LA, którzy nie piszą pod publiczność”.

Kazałem mojemu asystentowi wysłać wycinek z owym artykułem do Alison. Przykleiłem na nim karteczkę, na której napisałem: „Myślę o tobie nietuzinkowo. Ucałowania, David”. Godzinę później w moim biurze pojawił się posłaniec z grubą kopertą od Alison. W środku znajdował się mały opakowany prezent i ozdobna

kartka z napisem: „Pieprz się... ucałowania, Alison”. W pudełku znalazłem coś, czego pragnąłem od lat: pióro wieczne Watermana Edsona - ferrari wszystkich artykułów piśmienniczych, kosztujące oczywiście odpowiednio do statusu, sześćset siedemdziesiąt pięć dolarów. Alison jednak było na to stać. Umowa, którą zawarła w moim imieniu na „udział twórczy” w drugiej serii *Sprzedając ciębie*, opiewała na milion dolarów... minus jej piętnaście procent, oczywiście.

„LA Times” wspomniał w artykule również i o niej. Jak zwykle była bardzo zabawna. Powiedziała, że zostałem jej klientem, ponieważ wiedziałem, „kiedy nie dzwonić - a trzeba powiedzieć, iż w tym mieście pisarzy z ową umiejętnością można policzyć na palcach jednej ręki”. Zaskoczyła mnie jednak bardzo wzruszającym stwierdzeniem, iż jestem „żywym przykładem tego, że talent i niezwykła wytrwałość czasem mogą zatriumfować w Hollywood”. Stwierdziła: „David nie rezygnował z marzeń na długo po tym, jak większość innych początkujących pisarzy dawno by się poddała. Dlatego zasługuje na wszystko; pieniądze, własne biuro, asystentkę, uznanie i prestiż. Przede wszystkim jednak ludzie zaczęli uznawać za stosowne, aby odpowiadać na jego telefony. Poza tym nieustannie słyszę prośby o umówienie kogoś z moim klientem. Teraz wszyscy co mądrzejsi ludzie chcą współpracować z Davidem Armitage'em”.

Ponieważ byłem pochłonięty pracą nad planowaniem drugiej serii *Sprzedając ciębie*, odrzucałem większość propozycji spotkania. Po naleganiach Alison jednak zgodziłem się pójść na lunch z młodą producentką w telewizji kablowej Fox, Sally Birmingham.

- Spotkałam ją tylko raz - stwierdziła Alison. - Wszyscy w tym fachu twierdzą, że kiedyś będzie bardzo wpływowa. Ma do swojej dyspozycji ogromne fundusze i po prostu uwielbia *Sprzedając ciębie*. Do tego stopnia, że przyznała mi się, iż jest gotowa zapłacić ci ćwierć miliona dolarów za odcinek pilotowy nowego serialu na dowolnie wybrany przez ciebie temat.

Jej słowa skłoniły mnie do zastanowienia.

- Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów za jeden odcinek? - nie dowierzałem.

- Uhm. Poza tym upewniłam się, że zapłacą ci nawet wtedy, gdy wycofają się z umowy.

- Czy ta Sally zdaje sobie sprawę, że nie mogę nawet spojrzeć na inny projekt, dopóki nie skończę pracy nad *Sprzedając ciebie*?

- Owszem, przyjęła to do wiadomości. Powiedziała, że jest gotowa poczekać. Po prostu chce z tobą podpisać umowę na pilota teraz, ponieważ, spójrzmy prawdzie w oczy, po zwerbowaniu samego Davida Armitage'a jej akcje w Foxie skoczą w górę. Pomyśl o tym. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, będziesz miał sześć tygodni przerwy między drugą a trzecią serią. Ile czasu zajmie ci napisanie scenariusza do pilota?

- Najwyżej trzy tygodnie.

- Pozostałe trzy możesz spędzić, wygrzewając tyłek na jakiejś egzotycznej plaży. Oczywiście, jeżeli będziesz w stanie usiedzieć na miejscu, mając świadomość, że właśnie zarobiłeś ćwierć miliona dolarów.

- W porządku, pójdę z nią na lunch.

- Mądry chłopiec. Polubisz ją. Jest bardzo inteligentna i ładna.

Alison miała rację. Sally Birmingham była bardzo inteligentna. I bardzo ładna.

Jej asystent skontaktował się z moim w sprawie daty i pory lunchu w The Ivy. Z powodu korków na Dziesiątej spóźniłem się kilka minut. Sally siedziała już przy stoliku w bardzo dobrym miejscu. Wstała na moje przywitanie i od razu mnie zauroczyła (choć bardzo się starałem, żeby tego nie okazać). Była wysoka, miała wystające kości policzkowe, nieskazitelną cerę, ładnie przycięte jasnobrązowe włosy i figlarny uśmiech. Na początku uznałem, że jest niezwykle patrycjuszowskim rezultatem krzyżówki dobrego urodzenia i elitarnych studiów na Wschodnim Wybrzeżu - osobką, która zapewne w wieku lat dziesięciu posiadała własnego konia. Po

piętnastu minutach rozmowy zorientowałem się, że zdołała zmyć z siebie piętno członkini amerykańskiej białej elity z Westchester za pomocą idealnie dobranej mieszanki erudycji i cwaniactwa. Tak, wychowała się w Bedford. Tak, uczyła się w Rosemary Hall, a potem w Princeton. Mimo to była niesamowicie odczytana, uwielbiała kino, a poza tym doskonale rozumiała Hollywood z jego kinematograficznym zadęciem i, jak stwierdziła, jej najukochańszą rozrywką była zabawa w „aktora”. Teraz rozumiałem, dlaczego wielkie szczyh z Foxa tak ją cenili. Miała wielką klasę, ale umiała posługiwać się ich językiem. Poza tym miała niesamowity śmiech.

- Chcesz usłyszeć moją ulubioną historyjkę o LA? - spytała.

- Jasne.

- W porządku. W zeszłym miesiącu jadłam lunch z Mią Morrison, szefem działu prawnego w Foxie. Mia przywołuje kelnera i mówi: „Jakie macie wody?”. Kelner, prawdziwy profesjonalista, zupełnie niewzruszony zaczyna wyliczać: „Mamy perriera z Francji, ballygowana z Irlandii, san pellegrino z Włoch...”. W tym momencie Mia przerywa mu okrzykiem: „O nie, tylko nie san pellegrino. Jest zbyt kaloryczna”.

- Chyba ukradnę to do mojego scenariusza.

- *Niedojrzali poeci imitują, dojrzały kradną.*

- Eliot?

- Naprawdę chodziłeś do Dartmouth? - spytała.

- Podziwiam twoją wiedzę o moim życiu.

- Podziwiam twoją znajomość Eliota.

- Jestem przekonany, że zauważyłaś w moim serialu odniesienia do *Czterech kwartetów!*

- Myślałam, że wolisz *Ziemię jałową.*

- Nie... jest zbyt kaloryczna.

Od razu się dogadaliśmy. Rozmawiało się nam dobrze właściwie o wszystkim, włączając w to małżeństwo.

- Powiedz mi, jesteś żonaty, czy jesteś żonaty? - spytała niefrasobliwie i spojrzała figlarnie na obrączkę na moim palcu.

Roześmiałem się.

- Jestem żonaty - odparłem. - Bez akcentu.
- Jak długo?
- Jedenaście lat.
- Imponujące. Jesteś szczęśliwy?

Wzruszyłem ramionami.

- Często się zdarza - skomentowała. - Zwłaszcza po jedenastu latach.

- A ty? Spotykasz się z kimś? - usiłowałem nadać mojemu głosowi nonszalanckie brzmienie.

- Był ktoś... ale to tylko przelotna znajomość, nic poważnego. Rozstaliśmy się w zgodzie cztery miesiące temu. Od tamtego czasu... jestem do wzięcia.

- Nigdy nie wysłaś za mąż?

- Nie... chociaż mogłam popełnić straszliwy błąd i wyjść za mojego chłopaka z Princeton. Nalegał, ale powiedziałam mu, że małżeństwa studenckie zazwyczaj trwają tylko dwa lata. Tak naprawdę większość związków wypala się, kiedy pasja zaczyna być czymś zwykłym, prozaicznym... dlatego nigdy nie wytrzymałam z nikim dłużej niż trzy lata.

- Chcesz powiedzieć, że nie wierzysz w bzdury w stylu: „gdzieś na świecie jest ktoś stworzony dla ciebie”?

Znowu się roześmiała.

- Właściwie to wierzę - odparła, zaskakując mnie nieco. - Po prostu nie spotkałam jeszcze tego faceta.

I znowu jej ton był lekki, niefrasobliwy. Wymieniliśmy spojrzenia.

Była to tylko chwila i szybko rzuciliśmy się w wir rozmowy. Zaskoczyło mnie to, że nie potrafiliśmy przestać, to, jak dobrze się rozumieliśmy, jak przerzucaliśmy się słowami, jak bardzo podobny światopogląd reprezentowaliśmy. Uczucie połączenia, bliskości było zdumiewające i nieco przerażające. Wzajemne zauroczenie doszło do zenitu - chyba że źle odczytywałem sygnały.

Wreszcie przeszliśmy do spraw zawodowych. Poprosiła mnie, żebym opowiedział jej o planowanym pilocie. Streściłem wszystko w jednym zdaniu.

- Udręki życia osobistego i zawodowego pani psycholog w średnim wieku, która zajmuje się rozwiązywaniem problemów małżeńskich.

Uśmiechnęła się.

- Nieźle. Pierwsze pytanie. Czy jest rozwiedziona?

- Oczywiście.

- Sprawiające kłopoty dzieci?

- Nastoletnia córka, która uważa swoją matkę za idiotkę.

- Dobrze. Czy nasza pani psycholog ma byłego męża?

- Tak. Uciekł od niej z dwudziestopięcioletnią instruktorką jogi.

- Wszystko zapewne dzieje się w LA?

- Myślałem bardziej o San Diego.

- Wyśmienicie. Południowokalifornijski styl życia z bagażem doświadczeń w stylu LA. Czy pani psycholog umawia się z kimś?

- Nieustannie, oczywiście z fatalnymi skutkami.

- W międzyczasie jej klienci...?

- Wywołają dużo śmiechu, uwierz mi.

- Tytuł?

- *Porozmawiamy.*

- Sprzedane - podsumowała.

Z trudem powstrzymałem się od uśmiechu.

- Zdajesz sobie sprawę, że nie mogę zacząć przed dopięciem drugiej serii *Sprzedając ciebie* na ostatni guzik...

- Alison już mi o tym powiedziała... nie ma sprawy. Najważniejsze jest to, że cię zdobyłam - dotknęła lekko mojej dłoni.

Nie odsunąłem jej.

- Jest mi bardzo miło - odparłem.

Spojrzała mi w oczy.

- Kolacja jutro wieczorem? - spytała.

Spotkaliśmy się w jej mieszkaniu w zachodnim Hollywood. Gdy tylko przekroczyłem próg, rzuciliśmy się na siebie, zdzierając ubrania. Dużo później, kiedy leżeliśmy wyczerpani na łóżku, popijając postkoitalną lampkę pinot noir, spytała mnie:

- Jesteś dobrym kłamcą?

- Pytasz, czy potrafię przekonująco skłamać o tym, co się zdarzyło?

- Tak.

- Cóż, to dopiero mój drugi raz w ciągu jedenastu lat małżeństwa z Lucy.

- Kiedy był ten pierwszy?

- Jednorazowy występ, w dziewięćdziesiątym dziewiątym, z aktorką, którą poznałem pewnego wieczoru w księgarni. Lucy i Caitlin były wtedy na Wschodnim Wybrzeżu z wizytą u dziadków.

- To wszystko? Twój jedyny pozamałżeński grzech?

Pokiwałem głową.

- Proszę, proszę, facet z sumieniem.

- To słabość, wiem o tym. Zwłaszcza tutaj.

- Zamierzasz mieć teraz wyrzuty sumienia?

- Nie - odparłem bez namysłu.

- Dlaczego?

- Bo teraz układ między mną i Lucy jest zupełnie inny. Poza tym...

- Tak?

- ...poza tym... cóż... ponieważ chodzi o ciebie.

Pocałowała mnie lekko w usta.

- Czy to wyznanie?

- Chyba tak.

- W takim razie ja też coś powiem. Po dziesięciu minutach naszego wczorajszego spotkania pomyślałam: to ten. Czulałam to przez cały czas wczoraj i dzisiaj. Liczyłam godziny do siódmej wieczorem, do chwili, kiedy przekroczysz próg mojego domu. A teraz... - przesunęła delikatnie palcem po mojej twarzy. - Teraz nie pozwolę ci odejść.

Pocałowałem ją.

- Obiecujesz? - spytałem.

- Słowo honoru. Zdajesz sobie jednak sprawę, co to oznacza... przynajmniej na razie?

- Tak. Muszę się nauczyć przekonująco kłamać.

Właściwie już zacząłem swoją edukację, ukrywając rzeczywisty powód dzisiejszego wyjścia z domu. Oznajmiłem Lucy, że muszę

polecieć do Las Vegas, rozejrzeć się trochę w poszukiwaniu natchnienia do kolejnego epizodu. Sally zupełnie nie przeszkadzało, kiedy o jedenastej skorzystałem z jej telefonu. Powiedziałem żonie, że dotarłem do The Bellagio i strasznie za nią tęsknię. Następnego wieczoru, kiedy pojawiłem się w domu, przyjrzałem się Lucy uważnie, szukając jakichkolwiek oznak podejrzliwości lub zwątpienia. Zastanawiałem się również, czy nie zadzwoniła przypadkiem do The Bellagio, aby przekonać się, czy faktycznie się tam zatrzymałem. Przywitała mnie jednak miło i nie dała po sobie poznać, że wie, gdzie tak naprawdę spędziłem ostatnią noc. W zasadzie to jak na siebie była bardzo czuła i tego wieczoru zaciągnęła mnie wcześniej do łóżka. Tak, owszem, poczucie winy nie dawało mi spokoju, ale wyrzuty sumienia zostały przyćmione znacznie silniejszym uczuciem - byłem po uszy zakochany w Sally Birmingham.

Z wzajemnością. To niemal przytłaczające uczucie: byłem mężczyzną, na którego czekała całe życie, z którym chciała spędzić resztę swoich dni. Mieliśmy doskonale się razem bawić. Czekwały nas wspaniałe kariery zawodowe, cudowne dzieci. Mieliśmy nigdy nie popaść w pozbawione pasji znużenie charakteryzujące większość małżeństw - jak bowiem z naszych serc mogłaby zniknąć ta namiętność? Mieliśmy dożyć złotych godów, ponieważ zostaliśmy dla siebie stworzeni.

Istniał tylko jeden problem - byłem nadal żonaty i potwornie się bałem reakcji Caitlin na moje ulotnienie się z domu. Sally wykazała całkowite zrozumienie.

- Nie proszę cię, żebyś natychmiast się rozwodził. Powinieneś wykonać ruch, kiedy będziesz gotowy i kiedy uznasz, że Caitlin jest gotowa. Poczekam. Jesteś tego wart.

Kiedy będziesz gotowy. Nie „jeśli”. Wyraźne „kiedy”. Autorytatywność Sally jednak mi nie przeszkadzała. Nie uważałem również, że po zaledwie dwóch tygodniach znajomości sprawy przybrały zbyt szybki bieg. Dzieliłem bowiem z Sally przekonanie co do naszej świetlanej wspólnej przyszłości, choć w głębi duszy przerażał mnie

ból i krzywda, jaką miałem wyrządzić żonie i córce.

Żeby oddać Sally sprawiedliwość, nigdy nie naciskała, bym wyprowadził się z domu - a przynajmniej nie robiła tego przez kolejne osiem miesięcy. Do tego czasu skończyłem pracę nad drugą serią sitcomu i stałem się prawdziwym mistrzem zacierania śladów swojego romansu. Kiedy terminy złożenia scenariuszy do kolejnych trzech odcinków niebezpiecznie się zbliżyły, wyniosłem się na dwa tygodnie do hotelu Cztery Pory Roku w Santa Barbara, tłumacząc, że muszę się odizolować od wszystkich innych spraw. Zrobiłem, co do mnie należało, ale jeden z owych tygodni, nie mówiąc o weekendach, spędziła ze mną Sally. Kiedy produkcja przeniosła się do Chicago na filmowanie scen w plenerze, postanowiłem zostać w mieście na parę dni po skończeniu pracy, by spotkać się ze starymi przyjaciółmi. W rzeczywistości prawie nie wychodziliśmy z Sally z apartamentu hotelowego. Dzięki roztropnemu planowaniu zajęć - nie wspominając o dokonywaniu rezerwacji pokoju w Westwood Marquise - udawało nam się spędzać ze sobą dwa lunchy tygodniowo i przynajmniej jeden wieczór w mieszkaniu Sally.

Często zadziwiało mnie to, jak świetnie sobie radzę z wymyślaniem różnych historyjek i kłamstw. To prawda, byłem profesjonalnym beletrystą i jako taki po prostu szlifowałem swoje umiejętności. W przeszłości jednak uważałem się za nader marnego kłamcę do tego stopnia, że po niesławnym skoku w bok w 1996 roku Lucy spytała:

- Przespałeś się z kimś, prawda?

Oczywiście zbladłem jak trup. Oczywiście zaprzeczyłem wszystkiemu żarliwie. Oczywiście Lucy nie uwierzyła w ani jedno moje słowo.

- Proszę, powiedz, że ja śnię. Przejrzałam cię, Davidzie. Niczego przede mną nie ukryjesz.

- Nie kłamię.

- Proszę cię, Davidzie...

- Lucy...

Ale ona wyszła już z pokoju i nigdy więcej nie wróciła do tematu. W ciągu tygodnia moje intensywne poczucie winy (i równie intensywne strach przed wydaniem się kłamstwa) przygasło, osłabione solennym przyrzeczeniem, że nigdy więcej nie zdradzę żony.

Dotrzymałem tej obietnicy przez kolejnych sześć lat, dopóki nie spotkałem Sally Birmingham. Po pierwszej nocy spędzonej w jej mieszkaniu czułem się tylko trochę winny i zmartwiony. Być może dlatego, że moim małżeństwem rządziło prawo malejących zysków, a może dlatego, że od początku romansu z Sally zdawałem sobie sprawę, iż nigdy przedtem nie darzyłem nikogo tak silnym uczuciem.

To z pewnością uczyniło ze mnie mistrza w wymyślaniu wszelakich podstępów, do tego stopnia, że Lucy nigdy nie zapytała, gdzie spędzam noce, podczas których „pracuję do późna”. Wręcz przeciwnie, przez cały ten czas była troskliwa, serdeczna i czuła. Zapewne polepszające się warunki materialne spowodowały u niej przyływ uczuć (a przynajmniej tak to interpretowałem). Kiedy jednak złożyłem projekt kolejnych odcinków serialu i zająłem się edycją czterech scenariuszy do nowej serii, Sally zaczęła coraz częściej wspominać o „uregulowaniu” naszej sytuacji i zamieszkaniu razem.

- Te potajemne schadzki muszą się skończyć - stwierdziła. - Chcę ciebie mieć tylko dla siebie... jeżeli nadal mnie pragniesz.

- Oczywiście, że tak. Przecież wiesz.

Jednocześnie jednak pragnąłem jak najdalej odsunąć dzień Sądu Ostatecznego - chwilę, kiedy złamię serce Lucy. Dlatego grałem na zwłokę. Sally zaczęła tracić cierpliwość, ja zaś powtarzałem:

- Daj mi jeszcze miesiąc.

Potem, pewnego wieczoru wróciłem do domu koło północy, po długiej kolacji w sprawach zawodowych z Bradem Bruce'em. Kiedy wszedłem do domu, zastałem Lucy siedzącą w salonie. Przy fotelu stała moja walizka.

- Pozwól, że cię o coś zapytam - rzuciła. - Jest to pytanie, na które chciałam otrzymać odpowiedź od ośmiu miesięcy. Czy ta kobieta

jest z serii namiętnych, które krzyczą przy orgazmie, czy też jest zimną rybą, która pomimo powalającej urody nie lubi, kiedy ją dotykać.

- Naprawdę nie wiem, o czym mówisz - usiłowałem nadać głosowi ton absolutnego zaskoczenia.

- Chcesz powiedzieć, że nie znasz imienia kobiety, którą posuwasz od siedmiu, a może już ośmiu miesięcy?

- Lucy, nie ma żadnej kobiety.

- Ach, więc Sally Birmingham nie jest kobietą?

Usiadłem.

- Widzę, że cię zaskoczyłam - stwierdziła beznamiętnie.

- Skąd znasz jej imię i nazwisko? - spytałem wreszcie.

- Ktoś je dla mnie wyszukał.

- Co takiego?

- Wynajęłam prywatnego detektywa.

- Szpiegowałeś mnie?

- Nie odgrywaj mi tu świętego oburzenia, dupku! Podejrzewałam, że spotykasz się z kimś innym...

Skąd ona to wiedziała? Byłem taki ostrożny, taki powściągliwy.

- ...a kiedy z powodu twojej ciągłej nieobecności w domu stało się dla mnie jasne, że to coś więcej niż przelotna miłostka, zatrudniłam detektywa...

- To chyba musiało sporo kosztować.

- Trzy tysiące osiemset dolarów... które odzyskam w ten czy w inny sposób podczas rozwodu.

Usłyszałem siebie, jak mówię:

- Lucy, ja nie chcę rozwodu.

- Nie obchodzi mnie, czego chcesz, Davidzie - jej głos pozostał beznamiętny, zatrwającą spokojny. - Ja chcę rozwodu. Nasze małżeństwo jest skończone.

Nagle oniemiałem z przerażenia, chociaż Lucy odwaliła za mnie całą brudną robotę. Dostałem dokładnie to, czego chciałem... i cholernie się przeraziłem.

- Gdybyś przyszła do mnie na samym początku... - zacząłem.

- To co wtedy? - jej twarz ściągnęła się w gniewie. - Miałam ci przypomnieć, że mamy za sobą jedenaście lat wspólnego życia i córkę? Że pomimo szarpania się przez ostatnie dziesięciolecie wreszcie udało się nam wybić i zaczęliśmy żyć godnie? - załamała się. Była bliska łez.

Wyciągnąłem ku niej ramiona, ale natychmiast się ode mnie odsunęła.

- Nigdy więcej mnie nie dotykaj - rzuciła.

Zapadła cisza.

- Kiedy poznałam imię twojej dziwki, wiesz, o czym pomyślałam najpierw? - spytała. - Pomyślałam: „Rzeczywiście robi karierę! Kierowniczką działu komedii w telewizji Fox, *magna cum laude* * Z wielką pochwałą (łac) z Princetonu i przy okazji niezła laska”. Prywatny detektyw był bardzo sumiennym facetem. Dostarczył mi nawet zdjęcia panny Birmingham. Jest bardzo fotogeniczna, prawda?

- Powinniśmy o tym porozmawiać...

- Nie ma o czym rozmawiać. Nie zamierzam odgrywać roli biednej małej żonki z jakiegoś głupawego westernu, błagającej niewiernego męża o powrót do domu.

- Dlaczego więc milczałaś przez cały ten czas?

- Bo miałam nadzieję, że oprzytomniejesz... - znowu się załamała. Widać było, że z całych sił stara się utrzymać emocje na wodzy.

Tym razem nie próbowałem jej przytulić.

- Wyzaczyłam ci nawet termin nawrócenia. Sześć miesięcy, które niczym idiotka przeciągnęłam do siedmiu, a potem ośmiu. Wreszcie tydzień temu stwierdziłam, że zamierzasz się wyprowadzić...

- Jeszcze się na to nie zdecydowałem - skłamałem.

- Gówno prawda. Miałeś to wypisane na czole drukowanymi literami. Postanowiłam podjąć decyzję za ciebie. Wynos się. Natychmiast.

Wstała. Ja również.

- Lucy, proszę cię. Spróbujmy...

- Co? Udawać, że ostatnich ośmiu miesięcy w ogóle nie było?
- Co z Caitlin?
- Proszę, proszę. Wreszcie zacząłeś myśleć o swojej córce...
- Chcę z nią porozmawiać.
- W porządku. Możesz tu przyjść jutro...

Chciałem ją przekonać, żeby pozwoliła mi zostać w domu na noc, przespać się na kanapie i porozmawiać o wszystkim rano, w świetle dnia. Wiedziałem jednak, że mnie nie posłucha. Poza tym przecież tego właśnie chciałem, prawda?

Chwyciłem walizkę.

- Przykro mi - rzuciłem.
- Nie przyjmuję przeprosin od gnojzków - odparła Lucy i pobiegła na górę.

Siedziałem w samochodzie przez dziesięć minut, nieruchomo, zastanawiając się, co mam teraz zrobić. Nagle ocknąłem się, biegnąc co sił ku drzwiom wejściowym. Dopadłem ich, zacząłem w nie walić pięścią i wykrzykiwać imię żony. Po chwili usłyszałem jej głos po drugiej stronie.

- Idź sobie, Davidzie.
- Daj mi szansę, żebym...
- Żebyś co? Mógł wymyślić więcej kłamstw?
- Popelnilem potworny błąd...
- Tym gorzej dla ciebie. Powinieneś o tym pomyśleć dawno temu.

- Po prostu proszę cię o możliwość...
- Nie chcę słyszeć ani słowa więcej.
- Lucy...
- Skończyliśmy ten temat.

Wyciągnąłem klucze, ale kiedy usiłowałem włożyć pierwszy z nich do zamka, usłyszałem, jak Lucy blokuje go od środka.

- Nawet nie myśl o powrocie do domu, Davidzie. Między nami wszystko skończone. Po prostu odejdz. Natychmiast.

Przez kolejne pięć minut waliłem w drzwi, błagając ją, żeby mi uwierzyła i przyjęła z powrotem. Wiedziałem jednak, że Lucy nie była

już dłużej zainteresowana tym, co miałem do powiedzenia. Część mnie była całkowicie przerażona tą myślą. Przez próżność zniszczyłem własną rodzinę. Druga część mnie jednak rozumiała, dlaczego wstąpiłem na tę autodestrukcyjną ścieżkę. Wiedziałem również, że gdyby nagle drzwi otworzyły się i Lucy zaprosiła mnie do środka, oznaczałoby to powrót do życia bez smaku.

Przypomniałem sobie, co pewien zaprzyjaźniony ze mną pisarz powiedział mi po tym, jak zostawił żonę dla innej kobiety: „Oczywiście nasze małżeństwo borykało się z kilkoma problemami, żaden z nich jednak nie był nie do rozwiązania. Czuliśmy też wzajemne znużenie sobą, ale to akurat naturalne po tylu spędzonych razem latach. Podsumowując, nie było z nami aż tak źle, dlaczego więc odszedłem? Ponieważ cichy głosik w mojej głowie nieustannie zadawał mi jedno pytanie: *Czy to wszystko? Czy tak ma właśnie wyglądać spełnione życie?*”.

Wspomnienie owo zostało zagłuszone przez głos wrzeszczący w mojej głowie: *Nie mogę tego zrobić!* Pomyślałem, że to typowy przypadek poddania się męskim komunałom. Przewracałem swoje życie do góry nogami, tracąc to, co było w nim najważniejsze, i za chwilę zamierzałem skoczyć na główkę do głębokiej wody. Wyjąłem z kieszeni komórkę i zadzwoniłem do domu. Kiedy Lucy odebrała, rzuciłem:

- Kochanie, zrobię wszystko...
- Wszystko?
- Wszystko, czego zapragniesz.
- W takim razie odpieprz się i zdechnij - rozłączyła się.

Spojrzałem na dom. Wszystkie światła na dole były zgaszone. Zaczerpnąłem powietrza, powoli podszedłem do samochodu i wsia-dłem do środka. Znów wyjąłem z kieszeni komórkę i wpatrzyłem się w nią, wiedząc, że jeżeli wykonam ten konkretny telefon, spalę za sobą ostatni most.

Zadzwoniłem. Sally odebrała, a ja powiedziałem jej, że w końcu zrobiłem to, o co mnie prosiła: oznajmiłem żonie, że wszystko między nami skończone. Chociaż próbowała się we współczujący sposób dowiedzieć, jak Lucy przyjęła tę wiadomość („Niezbyt dobrze”

- odparłem) i jak ja się czuję („Cieszę się, że to już za mną”), była wyraźnie podekscytowana. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie odbierała całej tej sytuacji jako swego rodzaju zwycięstwa - finalizacji fuzji i całkowitego przejścia zdobywcy. Po chwili jednak zapomniałem o tym, gdy powiedziała mi, jak bardzo mnie kocha, jak trudna musi być dla mnie ta cała sytuacja i że zawsze będzie przy mnie. Choć jej deklaracja przyniosła ulgę, nadal czułem rozpaczliwą pustkę, zrozumiałą w takich okolicznościach, lecz nie mniej przez to niepokojącą.

- Przyjedź do mnie, kochanie - poprosiła.
- Nie mam gdzie indziej pójść.

Następnego dnia ustaliliśmy z Lucy podczas napiętej rozmowy telefonicznej, że odbiorę Caitlin po szkole.

- Powiedziałaś jej? - spytałem.
- Oczywiście, że jej powiedziałam.
- I...?
- Zniszczyłeś jej poczucie bezpieczeństwa, ojczulku.
- Zaraz, chwileczkę - zaproponowałem. - To nie ja chcę rozwodu, tylko ty. Jak powiedziałem wczoraj, gdybyś tylko dała mi szansę udowodnić...

- Żadnych promocji - przerwała mi i rozłączyła się.

Kiedy Caitlin zobaczyła mnie czekającego przed szkołą, nie pozwoliła się pocałować na przywitanie. Nie pozwoliła mi się wziąć za rękę, a już w samochodzie nie odezwała się do mnie ani słowem. Zaproponowałem spacer wzdłuż brzegu w Santa Monica, wcześniejszy obiad u Johnny'ego Rocketsa w Beverly Hills (jej ulubiona restauracja) i wycieczkę do FAO Schwartz * Sklep z zabawkami. w Beverly Center. Kiedy tak przelatywałem przez listę potencjalnych aktywności, przemknęło mi przez myśl, że już zaczynam się zachowywać jak rozwiedziony tata.

- Chcę wrócić do domu, do mamy.
- Caitlin, naprawdę bardzo mi przykro z powodu...
- Chcę wrócić do domu, do mamy.

- Wiem, że to okropne. Pewnie myślisz sobie, że jestem...
- Chcę wrócić do domu, do mamy.

Przez następne pięć minut usiłowałam ją przekonać do wysłuchania mnie, ale na próżno. Powtarzała w kółko to samo: „Chcę wrócić do domu, do mamy”.

W końcu nie miałem innego wyboru, jak tylko zawieźć ją tam, gdzie chciała.

Kiedy zatrzymałem się przed drzwiami wejściowymi, Caitlin wyskoczyła z samochodu i pobiegła prosto w ramiona Lucy.

- Dziękuję za zrobienie jej prania mózgu - rzuciłem.
- Jeżeli chcesz ze mną rozmawiać, to tylko za pośrednictwem prawnika - odparła i weszła do środka.

W efekcie skończyłem, rozmawiając z nią za pośrednictwem dwóch prawników z firmy Sheldon i Strunkel, których polecił mi Brad Bruce (wykorzystał ich do swoich dwóch rozwodów i obecnie trzymał na podorzędziu, gdyby małżeństwo numer trzy nie wypaliło). Oni z kolei kontaktowali się bezpośrednio z prawniczką Lucy, Melissą Levin, którą opisali jako propagatorkę prawniczej szkoły w stylu „wyprujmy flaki skurwielowi”. Od początku wiadomo było, że nie chodziło jej o zwykłe przejęcie wszystkich moich aktywów. Chciała się upewnić, że wyjdę z rozwodu, utykając i z perspektywą trwałego kalectwa.

Wreszcie po długotrwałej i niezwykle kosztownej szarpaninie moim chłopcom udało się wziąć nieco w karby jej rozbuchaną zawziętość, ale i tak szkody były ogromne. Lucy dostała dom (i moje w nim udziały). Oprócz tego przyznano jej ogromne alimenty w wysokości jedenastu tysięcy dolarów miesięcznie. Stać mnie było i zdecydowanie chciałem, żeby Caitlin miała wszystko, czego zapragnie. Mimo to zniesmaczyła mnie myśl, że od tej chwili pierwsze dwieście tysięcy z mojej rocznej pensji będzie, praktycznie rzecz biorąc, zamrożone. Podobnie nie byłem zbyt zadowolony z klauzuli, którą Levin Palowniczką włączyła do ugody: pozwoliła Lucy na przeprowadzenie się z Caitlin do innego miasta, gdyby wymagała tego jej praca.

Cztery miesiące po naszym błyskawicznym rozwodzie Lucy wykorzystowała ową opcję, kiedy zaproponowano jej posadę w dziale personalnym filii jakiejś software'owej firmy w hrabstwie Marin. Nagle moja córka przestała mieszkać po sąsiedzku. Nie mogłem już urywać się z biura popołudniami i jechać z nią po szkole do Malibu albo na wielkie lodowisko w Westwood. Nagle moja córka znalazła się kilka godzin lotu ode mnie i kiedy ruszyła produkcja kolejnego serialu, nie byłem w stanie widywać jej częściej niż raz na miesiąc. Martwiło mnie to na tyle, że moje coraz częstsze bezsenne noce spędzałem, przemierzając w tę i we w tę przestrzenne mieszkanie, które wynajęliśmy wraz z Sally. Zastanawiałem się wtedy nad tym, dlaczego zniszczyłem swoją rodzinę. Znałem wszystkie przyczyny: małżeństwo, które umarło śmiercią naturalną... olśniewający styl i błyskotliwość panny Birmingham... uwodzicielski pęd, który towarzyszy sukcesowi (nie wspominając o pragnieniu, aby zatrasnąć bezpowrotnie drzwi za wszystkimi tymi latami pełnymi zawodów i upadków). Jednak w owych wczesnoporannych chwilach prywatnej rozpaczki nie mogłem przestać obwiniać się za to, że tak łatwo się poddałem. Z pewnością Lucy dałoby się jakoś przekonać, żeby wybaczyła mi jeszcze ten jeden ostatni raz. Na pewno mogliśmy spróbować ponownie.

Potem jednak, po wschodzie słońca, miałem scenariusz do dokończenia, spotkanie, umowę do podpisania, premierę, na której miałem się pojawić z Sally u boku - krótko mówiąc, niepowstrzymany pęd sukcesu. Pęd, który pozwalał mi na jakiś czas stłumić chroniczne poczucie winy - tę milczącą, zawsze obecną wątpliwość zatruwającą moje nowe życie.

Oczywiście wiadomości o zmianach mojego statusu rodzinnego rozeszły się na ustach plotkarzy po całym Hollywood w kilka chwil po opuszczeniu przeze mnie domu. Wszyscy mówili politycznie poprawne rzeczy (przynajmniej kiedy rozmawiali ze mną) o trudnościach związanych z rozwodem. Fakt, że „uciekłem” z jedną z najbardziej znanych producentek telewizyjnych, zupełnie nie zaszkodził mojej pozycji. Wręcz przeciwnie, moje notowania podskoczyły. Jak to powiedział Brad Bruce: „Wszyscy znali cię jako mądrego

faceta, Davidzie. Teraz będą myśleć, że naprawdę jesteś geniuszem”.

Reakcja mojej agentki była jednak spodziewanie dość zjadliwa. Alison znała i lubiła Lucy. Poza tym na samym początku mojej kariery, kiedy sprzedawała pierwszą serię *Sprzedając siebie*, ostrzegła mnie, żebym oparł się wszelkim pokusom, które mogą doprowadzić do rozpadu mojego małżeństwa. Dlatego kiedy powiedziałem jej, że zamierzam zacząć nowe życie z Sally, długo milczała.

- Przypuszczam, że powinnam pogratulować ci, że powstrzymałeś się aż cały rok - stwierdziła w końcu. - Ale takie rzeczy zawsze przytrafiają się ludziom, w których życiu nastąpił ogromny przełom.

- Jestem zakochany, Alison.

- Gratuluję. Miłość to cudowne uczucie.

- Wiedziałem, że zareagujesz w ten sposób.

- Kochany, to ty jeszcze nie wiesz, że na świecie znanych jest zaledwie dziesięć rodzajów historii miłosnych... w tej chwili odgrywasz jedną z nich. Powiem jednak, że przynajmniej twoja wersja ma nieco inny przebieg.

- To znaczy?

- W twoim przypadku pisarz posuwa producentkę. Zazwyczaj to producent posuwa pisarkę, więc brawo, zaprzeczasz prawo hollywoodzkiego ciężenia.

- Alison, przecież to ty nas ze sobą poznałaś.

- Wiem. Ale nie martw się, nie zamierzam zażądać piętnastu procent od waszych przyszłych wspólnych zarobków.

Alison zauważyła słusznie, że skoro jesteśmy z Sally parą, najlepiej będzie, jeżeli zrezygnuję z planowanego pilota nowego serialu dla telewizji Fox (którego nadal nie napisałem).

- Spójrz prawdzie w oczy. Będzie to wyglądało jak jej prezent ślubny dla ciebie. Już widzę, jak jakiś palant aspirujący do roli nowego Petera Barta* Producent filmowy i dziennikarz, pracował dla „New York Times” i „Wall Street Journal”, byt także prezesem wytwórni Lorimal Films oraz wiceprezesem Metro Goldwyn Mayer/United Artists. robi z tego wielkie zamieszanie w „Daily Variety”.

- Rozmawialiśmy już o tym z Sally i zgodziliśmy się, że najlepiej będzie zapomnieć o pilocie dla Foxa.
- Cóż za cudowne rozmowy łóżkowe musicie prowadzić.
- To było przy śniadaniu.
- Przed gimnastyką czy po?
- Dlaczego ja cię toleruję?
- Ponieważ jestem twoim prawdziwym przyjacielem. Poza tym pilnuję twoich spraw... do tego stopnia, że rada, której ci właśnie udzieliłam, będzie mnie kosztowała czterdzieści tysięcy prowizji.
- Jesteś niesamowitą altruistką, Alison.
- Już raczej idiotką. A teraz posłuchaj ostatniej rady swojej piętnastoprocentowej starszej siostry: nie wychylaj się przez najbliższe miesiące. Ostatnio za dobrze ci szło.

Próbowałam wziąć pod uwagę jej ostrzeżenie, ale odgrywaliśmy z Sally „wpływową parę”. Byliśmy „idealnym przykładem ludzi Nowego Hollywood”, czymś w rodzaju aktualnej śmietanki towarzyskiej - literatami, którzy odnieśli sukces w wybuchowym świecie telewizji. Nasze mieszkanie było urządzone minimalistycznie, mój porsche zaś oraz range rover Sally stały się symbolami geniuszu - „luksusowe, lecz eleganckie” samochody prowadzone przez „luksusowych, lecz eleganckich” ludzi, którzy osiągnęli widoczny sukces zawodowy. Byliśmy zapraszani na właściwe przyjęcia i odpowiednie premiery. Podczas każdego wywiadu jednak zawsze twierdziłem, że nie urzeka nas fałszywy urok sławy ani nie powoduje nami potrzeba podtrzymania wysokiego statusu społecznego.

Tak czy siak, byliśmy zbyt zajęci, aby pragnąć życia na pełnych obrotach. Los Angeles jest dużym miastem, które wcześniej chodzi spać. Ponieważ Sally planowała nowy blok komediowy na jesień, druga zaś seria *Sprzedając cię* była akurat w produkcji, nie mieliśmy czasu na życie towarzyskie, nie mówiąc już o czasie dla siebie. Sally, jak się przekonałem, traktowała życie jak wieczny terminarz do tego stopnia, że (choć nigdy tego nie przyznała) zaplanowała potajemnie trzy „okienka na uprawianie miłości” tygodniowo.

Nawet te pozornie przypadkowe chwile, kiedy rzucała się na mnie z pasją, zaczęły mi się wydawać wpisane w plan dnia - zupełnie jakby wyliczyła sobie, że podczas któregoś z tych nieczęstych poranków, kiedy nie spotykała się z kimś przy śniadaniu, mogła poświęcić mi około dziesięciu minut, tak abyśmy razem osiągnęli orgazm, zanim zacznę gimnastykę. Nie narzekałem jednak, ponieważ poza nieustannymi ukłuciami bólu z powodu Lucy i Caitlin wszystko szło po mojej myśli.

- Wszyscy powinniśmy mieć twoje problemy – stwierdził mój nowy przyjaciel, Bobby Barra, na jednej z tych nielicznych imprez nocnych, w których uczestniczyłem (był akurat piątek), kiedy wypilem jedno martini za dużo i wyznałem mu, że nadal dręczą mnie wyrzuty sumienia z powodu rozpadu małżeństwa.

Bobby Barra uwielbiał być moim Wielkim Spowiednikiem, ponieważ oznaczało to, że jesteśmy sobie bliscy, a Bobby'emu podobała się idea bycia blisko mnie, sławnego człowieka. Byłem jednym z niewielu prawdziwych zwycięzców w mieście desperackich aspiracji i wszechobecnych niepowodzeń.

- Popatrz na to w ten sposób. Małżeństwo należy do tej części twojego życia, w której nic się nie układało. Musiałeś się więc pozbyć tego nieprzyjemnego bagażu, gdy wreszcie udało ci się przejść na zieleńszą trawę po drugiej stronie płotu.

- Pewnie masz rację - odparłem nieprzekonany.

- Oczywiście, że mam rację. Nowe życie oznacza nowe wszystko.

Włączając w to przyjaciół, jak Bobby Barra.

ROZDZIAŁ DRUGI

Bobby Barra był bogaty. Naprawdę bogaty, ale nie „pieprzę cię” bogaty.

- Co to znaczy „pieprzę cię” bogaty? - spytałem go pewnego razu.

- Mówisz o podejściu czy o liczbach?

- Podejście chyba rozumiem. Pomówmy o liczbach.

- Sto tysięcy milionów.

- Aż tyle?

- To nie tak wiele.

- Jak dla mnie to wystarczająco dużo.

- Ile milionów ma miliard?

- Właściwie to nie wiem.

- Tysiąc.

- Tysiąc milionów to miliard?

- Tak jest.

- Więc miliarder jest „pieprzę cię” bogaty?

- Nie tylko „pieprzę cię” bogaty. Raczej już „pieprzę ciebie i dziesięć pokoleń twojej rodziny” bogaty.

- Rzeczywiście, nieźle bogaty. Ale jeśli ty masz tylko sto milionów...

- Nadal mogę powiedzieć „pieprzę cię”, tyle że muszę nieco uważać, do kogo się zwracam.

- Chyba do tej pory stałeś się już „pieprzę cię” bogaczem, Bobby.

- Jestem na granicy.

- Brzmi super.

- Ale nadal to jeszcze nie „pieprzę cię” bogactwo. Daję słowo. Zaczynasz się zadawać z naprawdę dużymi chłopcami, jak Bill Gates, Paul Allen czy Phil Fleck, i nagle sto milionów to kieszonkowe. Jedna dziesiąta miliarda. Co to dla gościa, który jest wart trzydzieści, czterdzieści czy pięćdziesiąt miliardów?

- Kieszonkowe?

- Dokładnie. Drobne. Cholerne miedziaki.

Pozwoliłem sobie na uśmiech.

- Jako zwykły śmiertelnik, który w zeszłym roku dorobił się za ledwie miliona...

- Tak, ale ty się dopiero pniesz na górę i dojdiesz na szczyt... jeżeli pozwolisz, żebym ci w tym pomógł.

- Zamieniam się w słuch.

Bobby Barra miał mnóstwo dobrych rad, jeśli chodziło o rynek, ponieważ tym właśnie zajmował się zawodowo. Grał na giełdzie, i to tak dobrze, że w wieku trzydziestu pięciu lat był na granicy „pieprzę cię” bogactwa.

Jego fortuna była tym bardziej imponująca, że Bobby dorobił się jej sam, własnymi rękoma. Nazywał siebie „Dago z Detroit” - syn elektryka pracującego w fabryce Ford Dearborn, który opuścił Miasto Silników, kiedy tylko zdał na prawo jazdy. Przedtem, w wieku, gdy większość dzieciaków myślała o upokorzeniu spowodowanym trądzikiem, Bobby rozmyślał o wielkiej finansjerze.

- Niech zgadnę, co czytałeś w wieku trzynastu lat - rzucił kiedyś, niedługo po tym, jak zostaliśmy przyjaciółmi. - Johna Updike'a.

- Daj spokój - odparłem. - Nigdy w życiu nie założyłem swetra z wełny szetlandzkiej. Z drugiej strony Tom Wolfe...

- No jasne.

- A ty? Co czytałeś w wieku trzynastu lat?

- Lee Iaccocę... nie śmieję się, do diabła.

- Kto się śmieje?

- Nie tylko Iaccocę, ale też Toma Petersa, Adama Smitha, Johna Maynarda Keynesa i Donalda Trumpa...

- Niezły przekrój kulturalny, Bobby. Sądziś, że Trump kiedykolwiek czytał Keynesa?

- Nieee... ale za to facet wie, jak zbudować kasyno. Poza tym jest „pieprzę cię” bogaty przez duże P. Od kiedy przeczytałem jego książkę, postanowiłem zostać drugim nim.

- Dlaczego nie zająłeś się nieruchomościami?

- Bo trzeba się wtedy bawić w krewnych i znajomych królika. Wiesz: kuzyn Sal ma wujka Joeya, a jego siostrzeniec Tony może przycisnąć Żyda, którego opuszczony budynek chcesz kupić... rozumiesz?

- Pachnie mi to mafią.

- No wiesz, inwestorzy grają w tę samą pieprzoną grę, tyle że załatwiają interesy przy pomocy prawników Brooks Brothers, magistrów zarządzania od Whartona i wykupując udziały. W każdym razie ja nie chciałem tych całych *goombah* * Sprawdzonego kumpel; najlepszy przyjaciel (ang.), a poza tym wiedziałem, że na Wall Street nie spodoba im się mój akcent i plebejskie pochodzenie. Wymyśliłem więc, że LA będzie dla mnie najlepszym polem do popisu. Spójrzmy prawdzie w oczy, to światowa stolica wiary w to, że pieniądze otwierają wszystkie drzwi, nawet dla największego idiotyzmu. Poza tym nikogo tutaj nie obchodzi, czy wysławiasz się jak zmutowany syn Johna Gottiego ** Przywódca nowojorskiej rodziny mafijnej Gambino. Im większe konto, tym większy fiut. - Jak to stwierdził John Maynard Keynes.

Trzeba było oddać Bobby'emu sprawiedliwość. Opłacił studia na Uniwersytecie Południowej Kalifornii, pracując trzy noce tygodniowo jako chłopiec na posyłki Michaela Milkena *** „Król Wall Street”, makler i finansista, twórca sukcesu obligacji śmieciowych, aresztowany i skazany za matactwa finansowe pod koniec jego bonanzy obligacji śmieciowych. Potem, po skończeniu nauki, zatrudnił się u szemranego gościa nazwiskiem Eddie Edelstein, który prowadził własną firmę maklerską w Century City i ostatecznie został wyekspediowany do klubowego pudła za jakąś wyspę z Komisją Papierów Wartościowych i Giełd.

- Eddie był moim guru. Najlepszy pieprzony makler na zachód od Gór Skalistych. Miał nosa do nowych firm wchodzących na giełdę.

Był niczym posokowiec, a kiedy chodziło o wzywianie do uzupełnienia depozytu, był prawdziwym geniuszem, powiadam ci. Oczywiście głupi kutafon musiał spieprzyć wszystko, chowając do kieszeni sto kawałków po sprzedaniu temu południowoafrykańskiemu maklerowi, pierdolonemu nazistowskiemu Afrykanerowi, tajnej informacji o IPO * Initial Public Offering - debiut giełdowy, pierwsza oferta publiczna jakiejś nowej firmy rafinująco-przetopowej. Okazało się, że pieprzony fajans był człowiekiem Komisji Papierów Wartościowych. Cholerny tajny agent! Powiedziałem Eddiemu, że to mi śmierdzi podpuchę, ale na próżno. Dostał trzy do pięciu i nawet mimo że siedział w jednym z tych otwartych więzień, gdzie można było trzymać w celi rakiety tenisowe, i tak go to zabiło. Rak prostaty w wieku pięćdziesięciu trzech lat. Używasz nitki do zębów, Dave?

- Słucham? - nagle zmiana tematu nieco mnie zdeprymowała.

- Na łożu śmierci Eddie dał mi dwie rady: nigdy nie ufaj facetowi, który twierdzi, że jest Afrykanerem, a mówi przy tym z akcentem z New Jersey, i jeśli chcesz uniknąć raka prostaty, zawsze używaj nitki do zębów.

- Nie nadążam.

- Jeżeli tego nie będziesz robił, wszystkie te bakterie i inne gówna powędrują przez twoje gardło w dół, aż do prostaty. To właśnie przytrafiło się biednemu Eddiemu. Genialny makler, fantastyczny gość... ale nie używał nitki do zębów.

Po tej konwersacji z Bobbym zacząłem poważnie się przykładać do czyszczenia zębów. Często zastanawiałem się, dlaczego właściwie tak bardzo lubiłem towarzystwo Barry'ego. Znałem oczywiście odpowiedź na to pytanie: po pierwsze, był maklerem i zarobił dla mnie sporo grosza i po drugie, był niezwykle zajmującym człowiekiem.

Bobby pojawił się w moim życiu podczas realizacji pierwszej serii *Sprzedając siebie*. Kiedy wyświetlono trzeci odcinek, napisał do mnie na adres FRT, używając oficjalnej firmowej papeterii. Stwierdził, że

mój serial jest jednym z najmądrzejszych filmów, jakie widział od lat, i że chce mi zaoferować swoje usługi maklerskie. „Nie jestem jednym z tych nawijaczy, którzy obiecują Ci wszystkie bogactwa ziemi. Nie jestem kombinatorem, który będzie zapewniał, że uczyni Cię bogatym, zanim zdążysz doliczyć do trzech. Jestem jednak niewątpliwie najinteligentniejszym i najsprytniejszym maklerem w całym mieście i z czasem zarobię dla Ciebie bardzo dużo pieniędzy. Poza tym jestem całkowicie szczerzy. Jeżeli mi nie wierzysz, zadzwoń...”. Dalej widniał słuszny wykaz osób z listy A i B, którzy jakoby byli klientami Roberta Barry'ego.

Przejrzałem jego list, zanim wrzuciłem go do segregatora z reklamówkami. Wywołał jednak u mnie uśmiech. Spośród dwóch tuzinów listów promocyjnych, które otrzymałem od czasu emisji *Sprzedając ciebie* (od sprzedawców ekskluzywnych samochodów, agentów handlu nieruchomościami, konsultantów podatkowych, trenerów osobistych oraz stada matolów z ruchu New Age, gratulujących mi sukcesu i oferujących swoje usługi), list Bobby'ego był najbardziej bezwstydnym i jawnie nieskromnym. Ostatnie zdanie brzmiało nieprawdopodobnie: „Nie jestem po prostu dobry - jestem świetny w tym, co robię. Jeżeli chcesz zobaczyć, jak Twoje pieniądze zarabiają na sobie, musisz do mnie zadzwonić. Jeżeli tego nie zrobisz, będziesz żałował do końca życia”.

Następnego dnia po otrzymaniu pierwszego listu przyszła jego kopia z przyklejoną karteczką: „Pewnie wyrzuciłeś mój pierwszy list, który wysłałem wczoraj, więc proszę, oto kopia. Zaróbmy trochę kasy, Dave”.

Musiałem przyznać, że facet miał tupet... chociaż jego codzienne telefony do mojego biura, które rozpoczęły się po wysłaniu listu, trochę mnie męczyły (moja asystentka, Jennifer, pilnowała, żebym zawsze wtedy był na jakimś zebraniu). Nie przekonała mnie również przysłana przez niego skrzynka wina Au Bon Climat. Oczywiście zachowałem się uprzejmie i wysłałem mu krótką notkę z podziękowaniami. Tydzień później w biurze pojawiła się butelka szampana Dom Perignon z kartką: „Kiedy zajmę się poważnie

obracaniem twoimi pieniędzmi, będziesz to pijał jak 7-Up”.

Tak się złożyło, że był wtedy u mnie Brad Bruce.

- Kim jest ta wielbicielka... i czy ma jakiś numer telefonu? - spytał.

- Właściwie to on.

- Zapomnij.

- Nie, to nie tak. Facet chce pójść do łóżka z moimi finansami. Jest maklerem. Bardzo upartym maklerem.

- Nazwisko?

- Bobby Barra.

- Ach, on.

To mnie zainteresowało.

- Znasz go?

- Jasne. Ted Lipton korzysta z jego usług - odparł Brad. Ted był wiceprezesem FRT. - Podobnie jak... - tu popłynęła cała lista nazwisk, z których wiele było wymienionych w pierwszym liście Barry'ego.

- Czyli gość jest pewny, tak? - spytałem.

- Z tego co słyszałem, zdecydowanie. Najwyraźniej wie, jak zyskiwać klientów. Też bym chciał, żeby mój makler przysłał mi szampana.

Tego popołudnia zadzwoniłem do Teda Liptona. Po wymienieniu zdawkowych uprzejmości poprosiłem go o opinię na temat niejakiego Roberta Barry'ego.

- W zeszłym roku zarobił dla mnie dwadzieścia siedem procent na czysto. Tak, ufam temu małemu draniowi.

Nie miałem wtedy własnego maklera, ponieważ w szalonym pędzie wydarzeń, od kiedy sprzedałem pierwszą część serialu, nie znalazłem chwili, by zastanowić się nad takimi niuansami jak zainwestowanie nowo zarobionych pieniędzy. Poprosiłem więc Jennifer, żeby dowiedziała się wszystkiego, co możliwe, o Robercie Barrze. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin wróciła do mnie z informacjami: usatysfakcjonowani klienci, nienotowany, nie robi brudnych interesów. Pieczęć Komisji Papierów Wartościowych za legalne prowadzenie interesów.

- W porządku - stwierdziłem. - Umów nas na lunch.

Bobby Barra był konusem. Metr pięćdziesiąt siedem, zaczesane do tyłu czarne kręcone włosy, ubrany nienagannie w czarny woski (niespodzianka!) garnitur. Zabrał mnie do Orso. Mówił szybko i w śmieszny sposób. Zaskoczył mnie znajomością literatury i kina. Pochlebiał mi, a potem żartował z tego.

- Nie będę ci wstawiał głodnych kawałków w stylu „mówię ci to jako przyjaciel” - oznajmił. Pięć zdań później specjalnie użył tego sformułowania:

- Nie jesteś tylko scenarzystą telewizyjnym... jesteś poważnym scenarzystą, a w twoim przypadku to nie oksymoron. Mówię ci to jako przyjaciel.

Był świetnym kompanem: kupcem o niesłychanej erudycji, w dodatku połączonej z błyskotliwością twardziela:

- Jeżeli będziesz kiedyś chciał dać komuś nauczkę, znam dwa meksykańskie dzieciaki, które załatwią dla ciebie sprawę za trzysta dolarów plus wydatki na samochód - dodał *sotto voce* * Stłumiony głos; półgłós (wł.). Kiedy tak mówił, mimowolnie kojarzył mi się z jednym z tych chicagowskich szulerów, o których tak pięknie pisał Bellow. Był wygadany, sprytny i odrobinę niebezpieczny. Nieustannie rzucał nazwiskami znanych osób, ale sam posyłał się do kąta za to, że jest takim „niewybaczalnym klakierem gwiazd”. Rozumiałem, dlaczego wszyscy ci ludzie z listy A i B chcieli robić z nim interesy: Bobby był absolutnym mistrzem w swojej dziedzinie i przy okazji - co wydało mi się szczytowym osiągnięciem autoreklamy - przodował jako najlepszy orędownik samego siebie.

- Musisz wiedzieć tylko jedną rzecz: mam obsesję na punkcie zarabiania dla moich klientów. Pieniądze oznaczają wybór. Pieniądze to kwestia uznania obracającego nimi. Konfrontacja przypadkowej natury przeznaczenia z wiedzą o tym, że ma się odpowiednie środki, aby przeciwstawić się nieskończonym komplikacjom życia. Ponieważ pieniądze, prawdziwe pieniądze, pozwalają ci podejmować decyzję bez strachu i powiedzieć całemu światu: „pieprzę cię”.

- Czy nie był to przypadkiem argument Adama Smitha w książce *Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów*?

- Lubisz Adama Smitha?

- Przeczytałem tylko tekst z okładki.

- Pieprzyć Machiavellego, pieprzyć *Success is choice** Książka autorstwa R. Pitino *Badania Smitha* to największy z kapitalistycznych manifestów - Bobby zaczerpnął powietrza i zaczął mówić tonem, który najlepiej opisać jako stentorowy akcent Detroit. - *Skoro zatem odrzucimy całkowicie wszelkie systemy preferencji i ograniczeń, to zrozumiały i prosty system naturalnej wolności ustali się wtedy samoistnie. Dopóki człowiek nie pogwałci obowiązujących praw, będzie mógł, korzystając z zupełnej swobody, prowadzić swe interesy według swego uznania, jak również własną pracą i kapitałem swobodnie konkurować z pracą i kapitałem innego człowieka lub grupy ludzi... obrona kraju jest sprawą ważniejszą niż zapewnienie mu dobrobytu* - przerwał i upił nieco san pellegrino ze swojego kieliszka. - Wiem, że nie jestem Ralphem Fiennehem, ale...

- No, no - wszedłem mu w słowo. - Jestem pod wrażeniem. W dodatku powiedziałaś to bez telepromptera.

- Posłuchaj, żyjemy w erze największej „naturalnej wolności” znanej człowiekowi. To, co powiedział Smith, jest jednak cholernie prawdziwe: zanim zaczniesz się rozbijać po świecie, upewnij się najpierw, że zabezpieczyłeś sobie tyły wystarczająco dużą ilością kasy. I tutaj właśnie pojawia się ja. Finansowo mówiąc, nie tylko zamierzam zabezpieczyć ci tyły zadowalającą ilością kasy. Ja zbuduję ci twierdzę z kapitału. Nieważne, jakie karty rozda ci w przyszłości los, nadal pozostaniesz w pozycji siły. Spójrzmy prawdzie w oczy: tak długo, jak będziesz miał władzę, nikt nie potraktuje cię jak popychadła.

- Co konkretnie proponujesz?

- Nic. Zamierzam ci po prostu pokazać, jak osiągam wyniki. Oto jak chciałbym to rozegrać: jeżeli powierzysz mi nominalną sumę pieniędzy, powiedzmy pięćdziesiąt kawałków, obiecuję podwoić ten fundusz w ciągu sześciu miesięcy. Wypisz czek na moją firmę, ja wyślę ci niezbędne papiery do podpisania, a pół roku później dostaniesz czek zwrotny na przynajmniej sto kawałków...

- A jeśli ci się nie uda...

- Mnie się zawsze udaje.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Chciałbym cię o coś zapytać - podjąłem. - Dlaczego tak się starałeś, żeby zdobyć mnie jako klienta?

- Ponieważ masz cholerne powołanie. Lubię zadawać się ludźmi z drużyny A. Znowu zacznę rzucać nazwiskami, ale słyszałeś może o Philipie Flecku?

- Tym multimiliarderze samotniku? Niedoświadczonym reżyserze filmowym? Kto nie słyszał o Philipie Flecku? Jest tak sławny, że wręcz niesławny.

- Tak naprawdę to człowiek jak my wszyscy. Facet z dwudziestoma miliardami dolarów...

- To już zdecydowanie poziom „pieprzę cię” wedle twoich standardów, Bobby.

- Phil należy do panteonu „pieprzę cię” bogaczy i przy okazji jest moim bliskim przyjacielem.

- To miłe.

- Jest również twoim wielkim fanem.

- Chyba sobie żartujesz?

- „Najbłyszotliwszy pisarz w telewizji”, tak powiedział o tobie w zeszłym tygodniu.

Nie wiedziałem, czy powinienem kupić tę śpiewkę.

- Przekaż mu moje podziękowania - stwierdziłem dyplomatycznie.

- Pewnie myślisz, że to znowu jakaś moja nawijka, nie?

- Skoro twierdzisz, że przyjaźnisz się z Philem Fleckiem, to ja ci wierzę.

- Wystarczająco, żeby wypisać mi czek na pięćdziesiąt tysięcy dolarów?

- Jasne - odparłem z zakłopotaniem.
- Więc zrób to.
- Teraz?
- Tak. Wyciągnij z kieszeni kurtki książeczkę cze...
- Skąd wiesz, że mam ze sobą książeczkę czekową?
- Z doświadczenia. Kiedy facet nagle zarabia dużą kwotę pieniędzy, zwłaszcza po latach żebrania, zaczyna nosić ze sobą książeczkę czekową, ponieważ nagle stać go na kupienie wielu drogich rzeczy. Poza tym wypisywanie czeków jest dużo bardziej stylowe niż płacenie kawałkiem plastiku w kolorze platyny...

Nieświadomie dotknąłem kieszeni na piersi mojej kurtki.

- Przyznaję się do winy - stwierdziłem.
- Dobra. Wypisz czek.

Wyciągnąłem książeczkę i długopis. Położyłem je na stole i wpatrzyłem się w nie. Bobby niecierpliwie postukał palcem w książeczkę czekową.

- Dalej, Dave - zachęcił. - Czas na przypieczętowanie umowy. To jeden z tych krytycznych momentów, które definiują przyszłość. Wiem, co sobie myślisz: „Czy mogę zaufać temu facetowi?”. Cóż, nie zamierzam już więcej zachwalać swoich umiejętności. Spytałem cię tylko o jedno: czy masz odwagę, aby stać się bogatym?

Chwyciłem długopis, otworzyłem książeczkę i wypisałem czek.

- Mądry chłopiec - pochwalił mnie Bobby.

Kilka dni później do biura przyszły oficjalne dokumenty mojej inwestycji od Roberta Barry'ego i spółki. Potem nie odzywał się przez dwa miesiące, aż wreszcie zameldował się przez telefon, oświadczył, że rynek jest bardzo prężny i że „wygrywamy”. Obiecał odezwać się za kolejne dwa miesiące - co też zrobił z dokładnością niemal do jednego dnia. Prowadziliśmy kolejną krótką, miłą konwersację. Bobby wydawał się bardzo zajęty, ale zadowolony. Kolejne dwa miesiące później w moim biurze pojawiła się koperta Fedexu, w której znalazłem czek wypisany na moje nazwisko. Opiewał na sumę 122344 dolarów i 82 centów. Do czeku dołączona była notka:

„Udało nam się zarobić nieco więcej niż 100 procent. Oblejmy to”.

Podziwiałem styl Bobby'ego. Najpierw zrobił wszystko, żeby mnie zdobyć, a potem wycofał się zupełnie, dopóki nie uzyskał rezultatów. W obliczu tak doskonałego zysku natychmiast zainwestowałem całą sumę za pośrednictwem Bobby'ego i kiedy na antenę weszła druga seria, dorzuciłem jeszcze dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Zaczęliśmy się spotykać od czasu do czasu na gruncie towarzyskim. Bobby nadal był kawalerem („nie potrafię być potulnym więźniem”, powiedział), ale zawsze przyprowadzał ze sobą jakąś panienkę: zazwyczaj modelkę albo aspirującą aktorkę, nieodmiennie blondynkę, słodką, choć nieco głupiutką. Zawsze zmywałem mu głowę za to, że usiłuje stać się jednym z tych „bogatycholeś”.

- Kiedyś byłem tylko niewyrośniętym makaroniarzem z Miasta Silników. Teraz jestem bogatym niewyrośniętym makaroniarzem z Miasta Silników. Oczywiście, że zamierzam wykorzystać ów fakt do przelatywania wszystkich tych cheerleaderek, które kiedyś uważały mnie za zwykłego mechanika.

Po dwóch nocach spędzonych z Bobbym i jego panienką przekonałem się, że nie jestem typem imprezowicza. Ograniczyłem więc nasze comiesięczne spotkania do niewystawnego obiadu we dwóch, podczas których pozwalałem Bobby'emu gadać niemal o wszystkim. Sally nie mogła zrozumieć, dlaczego go lubię. Chociaż aprobowała sposób, w jaki inwestował moje pieniądze, jej jedyne spotkanie z Bobbym było czymś w rodzaju towarzyskiej katastrofy. Ponieważ Bobby bardzo mnie wspierał podczas rozvodu z Lucy, kiedy tylko opadł kurz, zapragnął naturalnie poznać moją nową kobietę... zwłaszcza że był nader świadomy jej pozycji w telewizji Fox. Po około trzech miesiącach od czasu, gdy oficjalnie staliśmy się z Sally parą, zasugerowałem wspólny obiad w La Petite Porte w zachodnim Hollywood. Od chwili gdy usiedliśmy razem, wiedziałem, że Sally zakwalifikowała Bobby'ego jako „kmiota”. Chłopak usiłował ją oczarować swoją zwykłą gadką:

- Wszyscy, którzy cokolwiek tu znaczą, znają Sally Birmingham
- przymilał się. Próbował pochwalić się swoimi wiadomościami literackimi, prosząc, aby wymieniła ulubioną powieść Dona DeLillo.

- Nie czytuję DeLillo - wypaliła. - Życie jest zbyt krótkie, żeby marnować je na tego typu literaturę.

Bobby usiłował zdobyć ją swoją znajomością ludzi z listy A, wspominając niby mimochodem, że Johnny Deep nie dalej jak wczoraj zadzwonił do niego z komórki z Paryża, żeby omówić niektóre opcje rynkowe. I znowu Sally potraktowała go z góry, odpowiadając tylko:

- Cóż za interesujące życie pan prowadzi.

Był to denerwujący spektakl, w którym Sally systematycznie torpedowała rozpaczliwe wysiłki biednego Bobby'ego, aby się z nią zaprzyjaźnić. Najbardziej intrygujący w tym wszystkim był wielkopiętny uśmiech, jaki nie schodził z ust Sally przez cały ten czas. Nie powiedziała ani razu: „gadasz bzdury”, nie podniosła głosu, ale pod koniec wieczoru przycięła Bobby'ego do rozmiarów Toulouse'a Lautreca i dała wyraźnie do zrozumienia we właściwy jej sposób, że uważa go za małego człowieczka, *petit bourgeois** Drobnomieszcza-
nin (fr.), niewartego poświęcania mu czasu.

W drodze powrotnej do domu wyciągnęła nagle rękę, pogładziła swoją dłoń i stwierdziła:

- Kochanie, wiesz, że cię uwielbiam, ale, proszę, nigdy więcej nie każ mi znosić czegoś takiego.

- Naprawdę było tak źle? - spytałem po długim milczeniu.

- Wiesz, o co mi chodzi. Może i jest genialnym maklerem... ale pod względem towarzyskim to idiota.

- Ja uważam, że jest zabawny.

- Ja zaś rozumiem dlaczego. Zwłaszcza jeśli planujesz napisać coś dla Scorsese. Niemniej to kolekcjoner ludzi, Davidzie, a ty jesteś *objet d'art*. ** Dzieło (fr.) miesiąca. Na twoim miejscu pozwoliłabym mu zająć się moimi inwestycjami i nic więcej. Jest tani i obłudny,

jak kanciarz, który nad ranem perfumuje się Armanim, ale i tak śmierdzi Brutem.

Wiedziałem, że Sally była okrutna i nie lubiłem, kiedy objawiała się ta niesympatyczna strona jej osobowości. Nie skomentowałem więc ani słowem jej opinii, kiedy kilka dni później Bobby zadzwonił do mojego biura z wiadomością, że w tym roku przewiduje dwudziestodziewięcioprocentowy zysk z moich inwestycji.

- Dwadzieścia dziewięć procent? - spytałem zaskoczony. - To aż nielegalne.

- O nie, wszystko jest legalne, wierz mi.

- Żartowałem przecież - uspokoilem go. - Jestem bardzo szczęśliwy i wdzięczny. Następnym razem to ja stawiam obiad.

- A będzie następny raz? Sally chyba uznała, że jestem krety-nem, prawda?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Kłamiesz, ale doceniam to. Wierz mi, ja wiem, kiedy z kimś mi się nie układa.

- Po prostu nie zaskoczyło między wami, to wszystko.

- Starasz się być uprzejmy. Wiesz co? Tak długo, jak nie podzielasz jej opinii...

- Dlaczego miałbym? Zwłaszcza kiedy zarabiasz dla mnie dwadzieścia dziewięć procent?

Roześmiał się.

- To zawsze jest najważniejsze, prawda?

- I ty się mnie o to pytasz?

Bobby był na tyle mądry, żeby nigdy więcej nie wracać do naszego katastroficznego obiadu we troje, chociaż zawsze pytał o Sally. Ja zaś raz w miesiącu zabierałem go na obiad. Dwadzieścia dziewięć procent to w końcu dwadzieścia dziewięć procent. Poza tym naprawdę szczerze lubiłem Bobby'ego i dostrzegałem, że za maską tandetnego komiwojażera i brawury był po prostu jeszcze jednym zwykłym człowiekiem podróżującym przez życie z nadzieją i usiłującym wyrobić sobie własną markę w tym jakże głęboko obojętnym świecie. Jak reszta z nas, wypełniał czas swoimi turbodoładowanymi

ambicjami i zmartwieniami, usiłując uwierzyć, że w jakiś sposób nasze czyny popelniane w spazmie życia rzeczywiście mają znaczenie.

W każdym razie byłem tak zajęty drugą serią odcinków, że poza naszymi comiesięcznymi obiadami w ogóle nie miałem kontaktu z Bobbym. Kiedy *Sprzedając cię* numer dwa weszło do produkcji, doszedłem do wniosku, że moje życie jest jednym wielkim planem filmowym: czternaście godzin pracy, siedem dni w tygodniu. Pozostałe kilka godzin poświęcałem całkowicie Sally, która niezbyt zresztą narzekała na niedostatek czasu spędzanego razem. Dla niej dzień pracy krótszy od siedemnastogodzinnego był przejawem lenistwa.

Jedyną atrakcją w całym tym szaleńczym planie życia były dwa weekendy miesięcznie, które spędzałem w Sausalito z Caitlin. Rozłąm między nami wkrótce zaniknął. Podczas pierwszej wizyty zachowywała się wobec mnie chłodno, ale po fantastycznym dniu w San Francisco jej początkowa rezerwa wobec mnie nieco zmalała. Wieczorem poszliśmy do restauracji na Fisherman's Warf.

- Tato, muszę cię o coś spytać - powiedziała.

- Strzelaj.

- Tęsknisz za mną i za mamą?

Poczułem, jak omywa mnie fala przeraźliwego smutku.

- Bardzo - odparłem, chwytając ją za rękę.

Nie zabrała jej, tylko uściśnęła mnie swoimi małymi paluszkami.

- Nie mógłbyś znowu z nami zamieszkać? - spytała.

- Chciałbym, żeby to było możliwe, ale...

- Czy to dlatego, że już nie kochasz mamy?

- Zawsze będę kochał twoją mamę... ale czasem ludzie, którzy się kochają, nie potrafią ze sobą żyć albo oddalają się od siebie, albo...

- Moglibyście się znowu do siebie zbliżyć - stwierdziła.

Uśmiechnąłem się na taką ripostę.

- To nie jest takie proste, Caitlin. Ludzie czasem robią rzeczy, które innym trudno jest wybaczyć. Albo zdają sobie sprawę, że muszą zacząć inne życie.

Cofnęła rękę i wpatrzyła się w stół.

- Nie lubię, kiedy cię nie ma w domu - stwierdziła.
- Ja też nie lubię, kiedy cię nie ma w domu - odparłem. - Gdybym tylko miał magiczną różdżkę, sprawiłbym, że wszystko byłoby lepiej. Ale nie mam i nie mogę. Mimo to mamy dla siebie dwa weekendy miesięcznie, a w czasie wakacji możesz do mnie przyjeżdżać na tak długo, jak zechcesz...

- Będziesz pracował podczas moich wakacji.
- Zorganizuję wszystko tak, żebyś miał wolne.
- Obiecujesz?
- Obiecuje.
- I będziesz mnie odwiedzał co dwa tygodnie?
- Niezawodnie.

I rzeczywiście, nigdy nie opuściłem wizyty. Wręcz przeciwnie, zadbałem o to, żeby nic, ale to nic, nie stanęło mi na przeszkodzie w codwutygodniowych wizytach u mojej córki.

Minęło kolejne pół roku. Filmowanie drugiej serii dobiegło końca. Pierwsza reakcja szefostwa FRT była niesamowita. Alison od razu zaczęła negocjacje w sprawie trzeciej serii, choć przecież druga miała wejść na antenę dopiero za dwa miesiące. Życie było chaotyczne, ale dobre. Moja kariera kwitła, a uczucia wobec Sally nie gasły... ona również nadal była mną oczarowana. Moje inwestycje przynosiły zyski, a chociaż Lucy w dalszym ciągu traktowała mnie oziębło, kiedy pojawiałem się w Sausalito, przynajmniej Caitlin cieszyła się z wizyt tatusia. Zaczęła nawet przyjeżdżać raz w miesiącu na weekend do LA.

- Co się z tobą dzieje? - spytała Alison pewnego dnia podczas lunchu. - Wydajesz się szczęśliwy.

- Bo jestem.
- Mam zawiadomić media?
- Czy w byciu szczęśliwym jest coś złego?
- Skądże. Po prostu... to nigdy nie było w twoim stylu, Dave.

Miała rację. Z drugiej jednak strony aż do niedawna nie dostałem tego, czego chciałem.

- Może od tej chwili zmienię styl.
- To dopiero coś. A skoro już mówimy o zmianach, chyba powinienś zrobić sobie wakacje. Twój sukces zmienił cię we wrak człowieka.

I znowu miała rację. Nie pomyślałem o czymś takim jak wakacje od ponad czternastu miesięcy. Byłem zmęczony i rozpaczliwie potrzebowałem odpoczynku. Tak bardzo, że kiedy Bobby zadzwonił do mnie w połowie marca i spytał czy chcę wyskoczyć w ten weekend na Karaiby (możesz wziąć ze sobą Sally), od razu się zgodziłem.

- To świetnie - stwierdził Bobby. - Phil Fleck chciałby cię poznać.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kilka informacji o Philipie Flecku: urodził się w Milwaukee czterdzieści cztery lata temu. Jego ojciec był właścicielem małej fabryki opakowań papierowych. Kiedy zmarł na atak serca w 1961 roku, Philipa wezwano do domu z nowojorskiej szkoły filmowej, aby przejął rodzinny biznes. Choć z niechęcią podjął się owego obowiązku, ponieważ bardzo chciał zostać reżyserem filmowym, podporządkował się woli matki i został szefem fabryki. W ciągu dziesięciu lat zmienił regionalną firmę w jednego z największych potentatów produkujących opakowania w Stanach Zjednoczonych. Wprowadził wtedy kompanię na giełdę i zarobił swój pierwszy miliard. Potem zaczął się angażować w ryzykowne przedsięwzięcia kapitałowe, w latach dziewięćdziesiątych decydując, że postawi na mało znanego konia o nazwie „Internet”. Wybrał dobrze i do 1999 roku był wart ponad dwadzieścia miliardów dolarów.

W roku 2000 skończył czterdzieści lat. Wtedy to nagle zdecydował, że wycofa się z życia publicznego. Zrezygnował z prezostwa w rodzinnej firmie i przestał się pokazywać publicznie. Wynajął firmę ochroniarską, aby upewnić się, że nikt nie naruszy jego prywatności. Ukrył się za ogromnym aparatem biurowym prowadzącym jego przedsiębiorcze imperium. Zniknął z widoku tak doskonale, iż wielu ludzi sądziło, że zmarł, oszalał albo został J.D. Salingerem * Autor *Buszującego w zbożu*. Chroniąc się przed sławą, jaką przyniosła mu owa powieść, uciekł do małego miasta Cornish i prowadził tam życie samotnika.

Trzy lata temu Philip Fleck pojawił się ponownie w świecie. Poprawka: nie pojawił się ponownie, lecz jego nazwisko stało się jeszcze raz dobrą walutą, gdy na ekranach pokazał się jego pierwszy film *Ostatnia szansa*. Sam napisał, wyreżyserował i sfinansował całe przedsięwzięcie. W wywiadzie, którego udzielił „Esquire” przed premierą, nazwał swoje dzieło „kulminacją dziesięciu lat planowania i myślenia”. Film był apokaliptyczną opowieścią o dwóch parach zamieszkujących wyspę u wybrzeża Maine, które stają w obliczu kryzysu o metafizycznych proporcjach, kiedy wybuch nuklearny zrównuje z ziemią większość Nowej Anglii. Uwięzieni na wyspie, mogą mieć tylko nadzieję, że śmiertelny pył radioaktywny nie zostanie zdmuchnięty w ich stronę. Walczą ze sobą, kłócą się i pieprzą, w przerwach roztrzaskując problem „prawdziwego sensu egzystencji” ... oraz naturalnie ich nieuchronnie zbliżającej się śmierci.

Film otrzymał zabójczo złe recenzje. Fleckowi zarzucano pompatyczność, złowróźbność i śmieszność. Uznano go za pozbawionego talentu bogacza, który władował kupę szmalu w jeden z najbardziej absurdalnych i marnych filmów w historii kina.

Po tym chłodnym przyjęciu Philip Fleck ponownie zniknął z życia publicznego i spotykał się jedynie z nielicznymi członkami tak zwanego wąskiego grona przyjaciół, chociaż jego nazwisko pojawiło się przejściowo w wiadomościach, kiedy rozeszła się plotka, iż się ożenił... z redaktorką scenariusza *Ostatniej szansy* (mała dygresja - kiedy Brad Bruce przeczytał artykuł o małżeństwie Flecka w „Timesie”, byliśmy akurat w moim biurze. Rzucił wtedy: „Może facet ożenił się z nią dlatego, że była jedyną osobą, która nie roześmiała mu się w twarz, widząc ten tragiczny scenopis”).

Chociaż ów kryzys mógł zranić nieco dumę Philipa Flecka, nie wyrządził jednak większej szkody jego kontu bankowemu. W zeszłorocznym sondażu „Forbes Magazine” był ósmy na liście stu najbogatszych Amerykanów, z aktualną wartością netto w wysokości dwudziestu miliardów. Miał rezydencje na Manhattanie, w Malibu, Paryżu, San Francisco i Sydney, nie wspominając o prywatnej

wyspie w pobliżu Antigui. Posiadał prywatny odrzutowiec 767, był zapamiętałym kolekcjonerem sztuki z zamiłowaniem do dzieł dwudziestowiecznych amerykańskich malarzy, zwłaszcza abstrakcjonistów z lat sześćdziesiątych, jak Motherwell, Philip Guston czy Rothko. Chociaż przeznaczał duże sumy pieniędzy na cele dobroczynne, świat znał go najlepiej z powodu obsesji na punkcie filmów - wlewał pieniądze w tak znane organizacje, jak Amerykański Instytut Filmowy, Cinematheque Francaise czy wydział filmowy na Uniwersytecie Nowego Jorku. Był prawdziwym kinomanem, który w wywiadzie dla „Esquire” przyznał, że dotychczas obejrzał już dzieście tysięcy filmów. Od czasu do czasu widywano go w słynnych paryskich kinach na lewym brzegu Sekwany, jak Accatone czy Action Christine, choć, jak twierdzili wszyscy, trudno go było wyłowić z tłumu, ponieważ absolutnie niczym się nie wyróżniał.

„Zapomnijcie o garderobie od projektantów mody (jak to napisał felietonista „Esquire” w wyzywającym opisie sylwetki Flecka). Z bliska i całkiem prywatnie Fleck jest zwykłym przysadzistym przeciętniakiem z bypassem osobowości. To prawdziwy Pan Małomówny. Nie wiadomo, czy cierpi na śmiertelną nieśmiałość czy też odmianę mizantropijnej arogancji, która pojawia się wraz ze stratosferycznym bogactwem. Z megamilionową fortuną Philip Fleck nie musi się angażować w sprawy tego świata. Kiedy go poznacie, przyrzycie się z bliska jego imperium, jego olbrzymim finansowym mięśniom w całej wspaniałości, a potem spojrzycie na niego uważnie, pomyślicie, że czasem bogowie uśmiechają się nawet do prostaczków”.

Gdy Bobby zaproponował mi weekend na prywatnej karaibskiej wyspie Flecka, poprosiłem asystentkę, aby odnalazła dla mnie numer „Esquire” z jego wywiadem. Kiedy skończyłem czytać, zadzwoniłem do biura Bobby'ego i spytałem:

- Czy ten dziennikarz jeszcze żyje?
- Ledwo, ledwo... chociaż sądzę, że praca biurowa w „Bangor Daily News” ma się nijak do podniecającego świata magazynów Hearsta.

- Gdybym to ja otrzymał takie recenzje, zgłosiłbym się do jednostki pilotów kamikaze.

- Tak, ale gdybyś miał przy okazji dwadzieścia miliardów w banku...

- No tak... Oczywiście po tym, jak obrzucili go gównem z powodu *Ostatniej szansy*, nie ma ochoty na bawienie się w reżysera.

- Jeżeli wiem cokolwiek o Philu, to jedno: może jest Panem Ponurakiem, ale z pewnością się nie poddaje. Nigdy. Jest niezłomny. Jeżeli czegoś chce, dostaje to. A teraz chce ciebie.

Tak, to była ukryta przyczyna, podtekst mojego zaproszenia na wyspę Flecka. Powiedziałem to Bobby'emu podczas naszej pierwszej rozmowy telefonicznej na ten temat, kiedy zapraszał mnie do kryjówki bogacza.

- Posłuchaj - rzekł Bobby. - Philip zamierza zatrzymać się na tydzień na swojej wyspie koło Antigui. Nazywa się Wyspa Szafranowa i powiadam ci, to raj *de luxe*.

- Niech zgadnę - odparłem. - Zbudował sobie prywatne Taco Bell...

- Skąd ten sarkazm?

- Po prostu lubię ironizować na temat twojego upodobania do megabogatych ludzi.

- Posłuchaj, Phil jest naprawdę niezwykle, jedyny w swoim rodzaju. Poza tym, mimo że obecnie strzeże swojej prywatności niczym poligonu nuklearnego, pośród przyjaciół jest normalnym facetem.

A tak się dobrze składało, że (według Bobby'ego) Fleck lubił Bobby'ego.

- Bo mnie się nie da nie lubić.

- Bez obrazy - stwierdziłem - ale nadal nie rozumiem, jak udało ci się przeniknąć do jego wewnętrznego kręgu. Przecież przy nim nawet Kubrick wydaje się lwem salonowym.

Bobby wyjaśnił mi, że „spiknięto” go z Fleckiem trzy lata temu podczas wstępnych etapów realizacji jego filmu. Ponieważ Fleck finansował całkowicie ową imprezę, chciał sobie odpisać ową inwestycję od podatku. Jeden z asystentów producenta był klientem

Bobby'ego i, rozpoznając jego finansowy geniusz (dosłowna wypowiedź Bobby'ego), zasugerował, żeby Fleck z nim porozmawiał. Bobby został wezwany do San Francisco do „skromnej rezydencji na Wzgórzu Rosyjskim”. Przyjrzeni się sobie uważnie, pogadali o tym i owym, Bobby wyłożył Fleckowi swój plan, wedle którego jeżeli Fleck wyprodukowałby swój film w Irlandii, mógłby odpisać sobie od podatku całe dwadzieścia milionów budżetu. Urząd podatkowy nie będzie mógł nawet pisać na ten temat.

Tak więc *Ostatnia szansa* została zrealizowana na jakiejś okropnej małej wysepce u wybrzeży hrabstwa Clare, sceny studyjne zaś w Dublinie. Chociaż dla wszystkich zaangażowanych przedsięwzięcie okazało się katastrofą, Bobby Barra zdobył główną nagrodę: przyjaźń z Philipem Fleckiem.

- Wierz lub nie, ale gadamy tym samym językiem. Oprócz tego ceni moją wiedzę finansową.

Wystarczająco, żeby pozwolić ci bawić się jego forszą?

Zamierzałem o to spytać, ale ugryzłem się w język. Było dość oczywiste, że człowiek formatu Philipa Flecka miał tuzin Bobbych Barrów na swojej liście płac. Nie mogłem tylko zrozumieć, co taki samotnik widział w kanciarzu pokroju Barry'ego. Chyba że, tak jak ja, uważał go za zabawnego człowieka, materiał na przyjaciela.

- Jaka jest jego żona? - spytałem Bobby'ego.

- Martha? Bardzo nowoangielska. Bibliofilka. Nie wygląda najgorzej, jeżeli gustujesz w Emily Dickinson.

- Znasz Emily Dickinson?

- Nigdy się nie umawialiśmy, ale...

Musiałem przyznać Bobby'emu, że był szybki.

- Tak między nami mówiąc, nikt nie był zaskoczony, że Phil wybrał właśnie ją. Przedtem gustował w ślicznotkach, chociaż zawsze wyglądał trochę dziwnie z modelkami, które miały problem z przeliterowaniem swojego nazwiska. Pieniądze pieniędzmi, ale Phil nigdy nie przyciągał do siebie pięknych kobiet.

- Miło, że w końcu kogoś poznał - stwierdziłem, myśląc, że Martha, mimo opinii o niej jako Ślicznotki z Amherst * *Belle of Amherst*, film C. Dubina z 1976 roku o Emily Dickinson, była łowczynią fortuny.

- W każdym razie zaprosił cię z jednego prostego powodu - stwierdził Bobby. - Jak ci już wspominałem, uwielbia *Sprzedając cię* i chce cię poznać. Dlatego ma nadzieję, że spodoba ci się kilka dni urlopu z twoją panią pod palmami Wyspy Szafranowej.

- Sally też jest zaproszona?

- Przed chwilą to właśnie powiedziałem.

- I ma to być zwykłe spotkanie towarzyskie, nic więcej?

- Tak jest - Bobby zawahał się nieco. - Oczywiście nie wykluczam, że będzie chciał z tobą porozmawiać co nieco o sprawach zawodowych.

- W porządku.

- Jeszcze jedno. Czy przed wyjazdem mógłbyś przeczytać jego nowy scenariusz?

- Wiedziałem, że jest w tym jakiś haczyk.

- Żaden haczyk. Po prostu prosi cię o małą uprzejmość.

- Słuchaj, nie potrafisz naprawiać czyichś wypocin...

- Pieprzysz. Dokładnie to samo robisz ze wszystkimi scenariuszami do *Sprzedając cię*, których sam nie piszesz.

- Tak, ale różnica polega na tym, że to mój serial. Może wydam ci się egocentrykiem, ale naprawdę nie zamierzam resuscytować pracy innych ludzi.

- Owszem, jesteś egocentrykiem, ale najważniejsze, że nikt nie prosi cię, żebyś się bawił w doktora. Powiedziałem już, że to tylko uprzejmość, nic więcej. W dodatku autorem jest pan Philip Fleck, który zamierza zafundować ci przelot swoim prywatnym odrzutowcem na swoją prywatną wyspę, gdzie będziesz mógł zamieszkać w prywatnym apartamencie z własnym basenem, lokajem i sześciogwiazdkową obsługą, innymi słowy, z luksusem, którego nie znasz nigdzie indziej. W zamian za ów tydzień spędzony w iście sybaryckich warunkach zostałeś poproszony o zrobienie jednej

malutkiej rzeczy. O przeczytanie jego scenariusza, który, jak powinien nadmienić, ma tylko sto czterdzieści stron, o czym wiem z całą pewnością, jako że ten cholerny manuskrypt leży przede mną. Po przeczytaniu zaś masz usiąść z nim któregoś dnia w cieniu szafrowych palm i popijając piñacoladę, porozmawiać przez małą godzinkę z jednym z najbogatszych Amerykanów o jego dziele... - przerwał dla zaczerpnięcia oddechu. I dla wzmocnienia efektu. - Pytam się więc pana, panie Armitage, czy to takie cholernie trudne?

- W porządku - odparłem. - Prześlij mi ten scenariusz.

Pojawił się dwie godziny później... do tego czasu Jennifer znalazła w Internecie opublikowany w „Esquire” zarys sylwetki Flecka, który bardzo mnie zaintrygował.

W Philipie Flecku było coś takiego, że trudno się było mu oprzeć. Ogromne bogactwo, brak zdolności kreatywnych i jeżeli wierzyć eseście „Esquire”, niezwykle rozpaczliwa potrzeba udowodnienia światu, że naprawdę jest człowiekiem uzdolnionym. „Pieniądze bez podkładki nie znaczą nic”, powiedział dziennikarzowi. Co jednak, gdy pomimo miliardów na koncie człowiek okazuje się całkowicie pozbawiony talentu? Co wtedy? Przypuszczam, że siedzący we mnie sukinsyn stwierdził, iż kilka dni spędzonych na obserwacji tej wyjątkowej ironii losu będzie dość zabawne.

Nawet Sally była zaintrygowana ideą tygodniowych wakacji w otoczeniu owego niezwykle bogactwa.

- Jesteś absolutnie pewny, że to nie jakiś podstęp małego Bobby'ego Barry? - spytała.

- Pomimo tych wszystkich jego przechwałek nie sądzę, żeby Bobby posiadał prywatny odrzutowiec, nie mówiąc o wyspie na Karaibach. W każdym razie zrobiłem kopię scenariusza Flecka i poprosiłem Jennifer, żeby sprawdziła to w WGA. Fleck jest zarejestrowany, więc cała sprawa jest zdecydowanie czysta.

- Jaki jest ten jego scenariusz?

- Nie wiem. Dostałem go tuż przed wyjściem z biura.

- Cóż, jeśli mamy lecieć w piątek, lepiej, żebyś znalazł trochę

czasu na sporządzenie notatek. Będziesz musiał śpiewać przez całą kolację.

- Pojedziesz ze mną?

- Cały tydzień za darmo na idyllicznej wyspie Phila Flecka? Pewnie, że pojadę! Mogłabym tam zostać na całe miesiące.

- A jeśli to miejsce okaże się totalnie tandetne?

- Nadal będzie o czym opowiadać.

Tej nocy, kiedy bezsenność wygoniła mnie z łóżka o drugiej nad ranem, usiadłem w salonie i otworzyłem scenariusz Flecka na pierwszej stronie. Nosił tytuł *Gry i zabawy*. Pierwsza scena zaczynała się następująco:

PORNO SHOP, ŚRODEK NOCY

BUDDY MILES, PIĘCDZIESIĄT PIĘĆ LAT, SYMPATYCZNA TWARZ, PAPIEROS NA STAŁE PRZYKLEJONY DO KĄCIKA UST, SIEDZI ZA KONTUAREM WYJĄTKOWO OBSKURNEGO PORNO SHOPU. WNEŹTRZE SKLEPU JEST CAŁKOWICIE POKRYTE PLAKATAMI NAGICH PANIENEK I ZAŚMIECONE MAGAZYNAMI PORNOGRAFICZNYMI, JEDNAK SZYBKO DOSTRZEGAMY, ŻE BUDDY CZYTA *ULISSESA* JOYCE'A. Z DUŻEGO RADIOMAGNETOFONU TRANZYSTOROWEGO STOJĄCEGO OBOK LADY DOBYWAJĄ SIĘ DŹWIĘKI *ALLEGRA I SYMFONII* MAHLERA. BUDDY UNOSI KUBEK KAWY, SMAKUJE, KRZYWI SIĘ, A POTEM SIĘGA POD LADĘ I WYCIĄGA BUTELKĘ BURBONA HIRAM WALKER. OTWIERA JĄ, NALEWA TROCHĘ DO KAWY, CHOWA BUTELKĘ I ZNÓW PRÓBUJE NAPOJU, TYM RAZEM Z ZADOWALAJĄCYM REZULTATEM. KIEDY BUDDY SPOGLĄDA W GÓRĘ SPONAD KUBKA, ZAUWAŻA STOJĄCEGO PRZED KONTUAREM MĘŻCZYZNĘ. NIEZNAJOMY MA NA SOBIE ZIMOWĄ PARKE, A NA GŁOWIE KOMINIARKE, CAŁKOWICIE PRZESŁANIAJĄCĄ MU TWARZ. NATYCHMIAST BUDDY DOSTRZEGA, ŻE ZAMASKOWANA FIGURA TRZYMA GO NA MUSZCE. PO CHWILI ZAMASKOWANY OSOBNIK PRZEMAWIA:

LEON To MAHLER?

BUDDY (ZUPEŁNIE NIEPRZEJĘTY WIDOKIEM PISTOLETU). JESTEM POD WRAŻENIEM. DZIESIĘĆ DOLCÓW, ŻE NIE ZGADNIESZ, KTÓRA TO SYMFONIA.

LEON PRZYJMUJE. SYMFONIA NUMER JEDEN.
BUDDY DWADZIEŚCIA DOLCÓW, ŻE NIE WIESZ, KTO JEST DYRYGENTEM.
LEON TRZYDZIEŚCI ALBO NIC Z TEGO.
BUDDY TO TROCHĘ ZBYT WYGÓROWANA CENA.
LEON MOŻE, ALE PAMIĘTAJ, ŻE JESTEM UZBROJONY.
BUDDY PRZEKONAŁEŚ MNIE. TRZYDZIEŚCI DOLCÓW. JAK SIĘ NAZYWA
FACET WYWIJAJĄCY BATUTĄ?

LEON MILKNIE NA CHWILĘ, PRZYŚLUCHUJĄC SIĘ UWAŻNIE NAGRANIU.

LEON BERNSTEIN.
BUDDY NIE ZGADLEŚ. GEORG SOLTI I CHICAGOWSKA ORKIESTRA
SYMFONICZNA.
LEON ROBISZ SOBIE ZE MNIE ŻARTY?
BUDDY SAM SPRAWDŹ.

LEON, NADAL TRZYMAJĄC PISTOLET WYCELOWANY W BUDDY'EGO,
OTWIERA ODTWARZACZ, WYCIĄGA DYSK I PRZYGLĄDA SIĘ MU Z NIESMA-
KIEM. W KOŃCU RZUCA GO NA ŁADĘ.

LEON CHOLERA. NIGDY NIE ŁAPIĘ TEGO CHICAGOWSKIEGO GRANIA.
BUDDY WIEM. MIJA TROCHĘ CZASU, ZANIM USZY SIĘ PRYZYWCZAJĄ.
ZWŁASZCZA DO SEKCJI DĘTEJ. SŁUCHAJ, ZROBIMY W KOŃCU TO, PO CO
TU PRZYSZEDŁEŚ CZY NIE?
LEON CZYTASZ W MOICH MYŚLACH (PRZYSUWA SIĘ BLIŻEJ). DALEJ,
OTWIERAJ KASĘ, UCZYŃ MNIE SZCZĘŚLIWYM CZŁOWIEKIEM.
BUDDY NIE MA SPRAWY.

BUDDY OTWIERA KASĘ. LEON POCHYLA SIĘ NAD ŁADĄ I CHWYTA
PIENIĄDZE WOLNĄ RĘKĄ. BUDDY ZATRZASKUJE NA NIEJ SZUFLADĘ I
JEDNOCZEŚNIE WYCIĄGA SPOD KONTUARU STRZELBĘ Z PRZYCIĘTĄ LUFA.

ZANIM LEON SIĘ ORIENTUJE, BUDDY PRZYTYKA LUFĘ DO JEGO GŁOWY. LEON JĘCZY Z BÓLU.

BUDDY CHYBA POWINIENEŚ RZUCIĆ BROŃ, NIE SĄDZISZ?

LEON POSŁUSZNIE DOSTOSOWUJE SIĘ DO SUGESTII. BUDDY UWALNIA JEGO DŁOŃ Z SZUFLADY KASY, ALE NADAL TRZYMA STRZELBĘ WYMIERZONĄ W GŁOWĘ INTRUZA. WOLNĄ RĘKĄ ŚCIAĞA Z JEGO GŁOWY KOMINIARKE. LEON OKAZUJE SIĘ PIĘCDZIESIĘCIOKILKULETNIM AFROAMERYKANINEM. BUDDY WPATRUJE SIĘ W LEONA SZEROKO ROZWARTYMI OCZAMI.

BUDDY LEON? LEON WACHTELL?

TERAZ LEON SPOGLĄDA NA NIEGO ZDZIWIWY. NAGLE ON TAKŻE SOBIE PRZYPOMINA.

LEON BUDDY MILES?

BUDDY OPUSZCZA BROŃ.

BUDDY DLA CIEBIE SIERŻANT BUDDY MILES, DUPKU.

LEON NIE MOGĘ UWIERZYĆ.

BUDDY A JA NIE MOGĘ UWIERZYĆ, ŻE MNIE NIE POZNAŁEŚ.

LEON HEJ, OD WIETNAMU UPŁYŃĘŁO JUŻ CHOLERNIE DUŻO CZASU.

CIĘCIE DO:

Przestałem czytać. Odłożyłem scenariusz i zerwałem się na równe nogi. Ruszyłem w stronę dużej szafy stojącej przy wejściu do mieszkania. Po przeszukaniu kilku pudeł znalazłem to, czego potrzebowałem: małe pudełko z moimi starymi scenariuszami napisanymi podczas lat beznadziei. Otworzyłem pudełko i zacząłem wyciągać odrzucone scenariusze oraz nigdy niewyprodukowane piloty seriali telewizyjnych. Wreszcie dotarłem do tytułu *Trzej mal-kontenci*. Był to jeden z pierwszych skryptów napisanych przeze

mnie po tym, jak nawiązałem współpracę z Alison. Wróciłem na kanapę, otworzyłem mój scenariusz i przeczytałem pierwszą stronę.

PORNO SHOP, ŚRODEK NOCY

BUDDY MILES, PIĘCDZIESIĄT PIĘĆ LAT, SYMPATYCZNA TWARZ, PAPIEROS NA STAŁE PRZYKLEJONY DO KĄCIKA UST, SIEDZI ZA KONTUAREM WYJĄTKOWO OBSKURNEGO PORNO SHOPU. WNEŹRZE SKLEPU JEST CAŁKOWICIE POKRYTE PLAKATAMI NAGICH PANIENEK I ZAŚMIECONE MAGAZYNAMI PORNOGRAFICZNYMI, JEDNAK SZYBKO DOSTRZEGAMY, ŻE BUDDY CZYTA *ULISSESA* JOYCE'A. Z DUŻEGO RADIOMAGNETOFONU TRANZYSTOROWEGO STOJĄCEGO OBOK LADY DOBYWAJĄ SIĘ DŹWIĘKI *ALLEGRA I SYMFONII* MAHLERA. BUDDY UNOSI KUBEK KAWY, SMAKUJE, KRZYWI SIĘ, A POTEM SIĘGA POD LADĘ I WYCIĄGA BUTELKĘ BURBONA HIRAM WALKER. OTWIERA JĄ, NALEWA TROCHĘ DO KAWY, CHOWA BUTELKĘ I ZNÓW PRÓBUJE NAPOJU, TYM RAZEM Z ZADOWALAJĄCYM REZULTATEM. KIEDY BUDDY SPOGLĄDA W GÓRĘ SPONAD KUBKA, ZAUWAŻA STOJĄCEGO PRZED KONTUAREM MEŻCZYZNĘ. NIEZNAJOMY MA NA SOBIE ZIMOWĄ PARKE, A NA GŁOWIE KOMINIARKE, CAŁKOWICIE PRZESŁANIAJĄCĄ MU TWARZ. NATYCHMIAST BUDDY DOSTRZEGA, ŻE ZAMASKOWANA FIGURA TRZYMA GO NA MUSZCE. PO CHWILI ZAMASKOWANY OSOBNIK PRZEMAWIA:

LEON To MAHLER?

BUDDY (ZUPEŁNIE NIEPRZEJĘTY WIDOKIEM PISTOLETU). JESTEM POD WRAŻENIEM. DZIESIĘĆ DOLCÓW, ŻE NIE ZGADNIESZ, KTÓRA TO SYMFONIA.

Dalej scena rozwijała się dokładnie tak jak w scenariuszu Philipa Flecka. Ułożyłem go sobie na jednym kolanie, swój manuskrypt zaś na drugim. Następnie porównałem je strona po stronie. Fleck skopiował cały mój oryginalny scenariusz, który napisałem osiem lat temu. Zarejestrował się w Stowarzyszeniu Autorów Filmowych i Telewizyjnych zaledwie miesiąc temu. Miałem przed sobą nie tylko zwykły plagiat: to był plagiat absolutny, słowo po słowie, przecinek

po przecinku. Co więcej, oba skrypty zostały napisane tą samą czcionką, więc byłem przekonany, że Fleck kazał jakiemuś sługusowi wyprodukować stronę tytułową ze swoim nazwiskiem i innym tytułem, zanim zarejestrował scenariusz.

Nie mogłem w to uwierzyć. Postępek Flecka był nie tylko odrażający, ale najnormalniej w świecie skandaliczny - do tego stopnia, że przy poparciu Stowarzyszenia mogłem z łatwością oskarżyć go publicznie o literackie piractwo. Oczywiście ktoś tak bardzo wrażliwy na punkcie swojej prywatności jak Fleck zdawał sobie sprawę, że prasa rzuci się na tę informację niczym stado wygłodniałych rekinów i nigdy nie da mu spokoju. Wiedział również z pewnością, że wysłanie mi owego skryptu wywoła u mnie wściekłość. Co ten dupek sobie wyobrażał? W co on grał?

Spojrzałem na zegarek. Druga czterdzieści jeden. Przypomniałem sobie, co powiedział Bobby: „Jeżeli będziesz mnie potrzebował, jestem dostępny 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu”. Chwyciłem słuchawkę i wystukałem jego numer. Odebrał po trzecim dzwonku. W tle słyszałem stłumione dźwięki muzyki techno i wycie nabierającego obrotów silnika. Bobby był nabuzowany: albo od kokainy, albo od jakiegoś kuzyna ritalinu * Środek używany w leczeniu zaburzeń uwagi i koncentracji (syndrom ADHD).

- Dave! Jeszcze nie śpisz? - przywitał mnie.
- Nie przeszkadzam?
- Gdybym powiedział ci, że jadę Dziesiątą, sto czterdzieści kilometrów na godzinę, z hawajską ślicznotką o nazwisku Heather Fong, która właśnie obciąża mi druta, uwierzyłbyś mi?
- Nie.
- I miałbyś rację. Wracam do domu po długiej nocnej pogadance o Nasdaqu z parą bystrych Wenezuelczyków...
- Ja zaś zacząłem czytać scenariusz. Co do ciężkiej cholery wyobrażał sobie Fleck, kopiując mój scenariusz?
- A, więc już zajarzyłeś, co?

- O tak, zajarzyłem, i to jeszcze jak. Pan Fleck jest w poważnych kłopotach. Po pierwsze, Alison może złożyć w moim imieniu pozew...

- Hej, wiem, że jest prawie trzecia nad ranem, ale wyluzuj się trochę. Fleck okazał ci w ten sposób swoje uznanie, dupku. Ogromne uznanie. Zamierza zrealizować film oparty na twoim scenariuszu. To jego kolejny projekt. Zapłaci ci za to kupę szmalu.

- A przy okazji podpisze scenariusz swoim nazwiskiem, co?

- Dave, ten koleś ma dwadzieścia miliardów. Nie jest jakimś głupim złodziejaszkiem. Wie, że twój scenariusz to twój scenariusz. Chciał ci po prostu powiedzieć, na swój dziwaczny sposób, że naprawdę mu się spodobał...

- A nie mógł po prostu zadzwonić? Albo poprosić, żeby jego ludzie przekazali to moim ludziom?

- Co mam ci na to odpowiedzieć? Phil lubi zagadki. Na twoim miejscu byłbym cholernie zadowolony. Alison będzie mogła wycisnąć z niego kupę szmalu za to dziełko.

- Muszę się nad tym zastanowić.

- Pieprzysz w bambus. Posłuchaj, idź zażyj pigułkę humoru i prześpij się trochę. Nad ranem wszystko wyda ci się dużo zabawniejsze.

Rozłączyłem się i nagle poczułem napływające zmęczenie. Byłem tak wyczerpany, że nie chciałem już więcej zastanawiać się nad grą Philipa Flecka. Zanim wróciłem do łóżka, zostawiłem na blacie kuchennym oba scenariusze otwarte na pierwszej stronie. Obok nich położyłem liścik dla Sally:

Kochanie,

Powiedz, co myślisz o tym dziwnym przypadku duplikacji.

Kocham cię...

D.

Zakradłem się na palcach do sypialni, położyłem do łóżka i niemal od razu zasnąłem.

Kiedy obudziłem się po pięciu godzinach, zastałem Sally siedzącą w nogach łóżka. Podala mi cappuccino. Wymamrotałem podziękowanie, na które odpowiedziała uśmiechem. Zauważyłem, że była już całkowicie ubrana, pod pachą zaś trzymała oba scenariusze.

- Naprawdę chcesz wiedzieć, co o tym myślę? - spytała.

Upiłem nieco kawy i pokiwałem głową.

- Szczerze mówiąc, scenariusz jest nieco pospolity, nie sądzisz? Skrzyżowanie Quentina Tarrantino z jednym z tych głupawych filmików o gliniarzach i złodziejach z lat siedemdziesiątych.

- Wielkie dzięki.

- Przecież sam prosiłeś o opinię, więc mówię szczerze. Tak czy siak, to jeden z twoich wczesnych pomysłów, tak? Poza tym spójrzmy prawdzie w oczy: scena otwierająca jest przerysowana. Może ta cała dyskusja o Mahlerze wydaje ci się zabawna, ale nie trafi do grona multipleksowej publiczności.

Upiłem kolejny łyk kawy.

- Auć- jęknąłem.

- Nie mówię, że nie ma w tym talentu. Wręcz przeciwnie, są tam wszystkie charakterystyczne cechy twojego pisania, które sprawiły, że *Sprzedając siebie* stało się sukcesem. Problem w tym, że od tamtego czasu bardzo się rozwinąłeś.

- Taaak... - odparłem z urazą.

- Och, na litość boską! Chyba nie spodziewasz się, że będę zachwalała coś, co naprawdę nie jest dobre?

- Oczywiście, że się spodziewam.

- Ale to nie byłoby uczciwe.

- Co ma z tym wspólnego uczciwość? Pytałem cię o opinię na temat próby plagiatstwa.

- Plagiatstwa? Posłuchaj tylko siebie. Zachowujesz się jak każdy pisarz, którego spotkałam. Kompletnie pozbawiony poczucia humoru, jeśli chodzi o własną twórczość. Fleck zrobił ci kawał, żeby przekonać się, jak zareagujesz na jego próbę „kradzieży” twojego skryptu. Nie rozumiesz? Nie widzisz, co próbuje ci w ten sposób powiedzieć?

- Oczywiście, że tak. Zamierza zostać współautorem mojego scenariusza.

Wzruszyła ramionami.

- Tak, masz rację. To cena, jaką będziesz musiał zapłacić za realizację tego projektu. I powinieś.

- Dlaczego?

- Wiesz dobrze dlaczego. Bo takie są reguły gry. Poza tym, szczerze mówiąc, nie jest to najlepszy scenariusz na świecie... dlaczego więc nie dać mu tego, czego chce?

Nic nie odpowiedziałem. Sally podeszła bliżej i pocałowała mnie w czubek głowy.

- Przestań się dąsać - stwierdziła. - Nie zamierzam cię okłamywać. To zastały i zatęchły, stary produkt. Jeżeli jeden z ośmiu najbogatszych Amerykanów chce go od ciebie kupić, przyjmij ofertę, zgarnij jego wielką kasę... nawet jeśli na liście płac jego nazwisko pojawi się tuż obok twojego jako współautora. Uwierz mi, Alison się w tym ze mną zgodzi.

- Cóż, trzeba przyznać, że to perwersyjnie oryginalny sposób przyciągnięcia twojej uwagi - stwierdziła Alison, kiedy zadzwoniłem do niej z wiadomościami o numerze, jaki wykreślił mi Fleck.

- I oznajmienia, że oczekuje zostania współautorem.

- Wielkie mi co. To jest Hollywood. Tu nawet parkingowy uważa, że zasługuje na uznanie za pomoc w napisaniu skryptu. Poza tym to nie jest twoje najlepsze dzieło.

Nic nie odpowiedziałem.

- Ojej, milczenie urażonej dumy - stwierdziła Alison. - Czyżby *auteur* był tego poranka nieco przewrażliwiony?

- Tak, trochę.

- FRT za bardzo cię rozpieściło, Davidzie. Myślisz teraz, że jesteś Wielkim Twórcą. Pamiętaj tylko o jednym: jeżeli ten scenariusz zostanie zrealizowany, mówimy automatycznie o wielkim ekranie. Wielki ekran zaś wymaga wielkich kompromisów. Chyba że Fleck postanowi zamienić twój film w jakieś artystyczne gówno...

- To film o gliniarzach, Alison.

- W rękach Flecka nadal jest kandydatem na horror egzystencjalny. Widziałeś kiedyś *Ostatnią szansę!*
- Jeszcze nie miałem okazji.
- To obejrzyj go, tak dla śmiechu. To chyba najbardziej nieciekawo zabawny film na świecie.

Postąpiłem zgodnie z jej sugestią. Wypożyczyłem film z lokalnego Blockbustera i obejrzałem go po południu, zanim Sally wróciła do domu. Włączyłem DVD, otworzyłem puszkę piwa, rozsiadłem się wygodnie w oczekiwaniu na rozrywkę.

Nie musiałem czekać długo.

Otwierająca scena *Ostatniej szansy* zaczyna się od zbliżenia na twarz Prudencji - gibkiej, smukłej ślicznotki odzianej w długą, gładką pelerynę. Po chwili kamera oddala się i dostrzegamy, że dziewczyna stoi na skalistym cyplu niegościnniej wyspy, wpatrując się w grzyb atomowej eksplozji na odległym kontynencie. Jej oczy rozszerzają się na widok owego nuklearnego holokaustu i jednocześnie słyszymy jej głos: „Nadchodził koniec świata... a ja się temu przyglądałam”.

Co za początek.

Kilka minut później poznajemy towarzyszkę Prudencji, Helene, kolejną smukłą ślicznotkę (tym razem w okularach z rogowymi oprawkami), żonę szalonego artysty o imieniu Herman, malującego olbrzymie abstrakcyjne obrazy przedstawiające apokaliptyczne sceny miejskich jatek.

- Przyjechałem tu, aby uwolnić się od materialnych więzów społeczeństwa - mówi swojej żonie. - Teraz, kiedy społeczeństwo zniknęło z powierzchni ziemi, nasze sny wreszcie się spełniły.

- Tak, kochanie - odpowiada Helene. - To prawda. Nasze marzenia się spełniły. Jest tylko jeden problem. Wkrótce umrzemy.

Czwartym członkiem tej radosnej grupy jest szwedzki samotnik Helgor, który odstawia Thoreau nad Walden Pond * Nawiązanie do książki *Walden, czyli życie w lesie* H.D. Thoreau, opisującej 2 lata, 2 miesiące i 2 dni, jakie autor spędził w lesie porastającym brzegi Walden Pond, gdy prowadzi! tzw. eksperyment prostego życia w małym domku na brzegu wyspy. Helene ma ochotę na Helgora, który wyrzekł się seksu, nie

wspominając o elektryczności, elektronicznie wzmacnianej muzyce, toalecie i w ogóle czymkolwiek, co nie wyrosło z organicznej gleby. Słyszając jednak, że świat się kończy, postanawia zakończyć okres abstynencji seksualnej i pozwala się uwieść Helene. Kiedy opadają na kamienną podłogę jego rudery, mówi do Helene:

- Chcę pić siłę życiową z kielicha twego ciała.

Oczywiście okazuje się, że Szalony Herman posuwa Prudencję, która zachodzi w związku z tym w ciążę. W cudownie filozoficznym momencie zauważa:

- Czuję, jak rozwija się we mnie życie, kiedy śmierć pochłania wszystko.

Helene dowiaduje się o zdradzie Hermana z Prudencją, a Helgor wygaduje się, że przeleciał Helene. Między panami następuje walka na pięści, potem zaś pół godziny złowieszczej ciszy. Wreszcie wszyscy się godzą i rozpoczynają długotrwałą debatę na temat istoty życia. Scena rozgrywa się na ogromnym kamiennym patio przed ich domem. Postaci przesuwać się między białymi i czarnymi kwadratami niczym (no tak!) na szachownicy. Kiedy poatomowy pożar pochłania wszystko na lądzie, a chmura radioaktywnego pyłu z wolna przesuwa się w kierunku wyspy, cała czwórka postanawia przyjąć śmierć z godnością.

- Nie powinniśmy umrzeć z uduszenia - stwierdził Szalony Herman. - Lepiej zginąć w płomieniach.

Z tymi słowy wszyscy ładują się do łódki i ruszają w kierunku kontynentalnego piekła. W ostatniej podróży ku ich osobistemu *Götterdämmerung* * *Zmierzch bogów*, czwarta część tetralogii operowej *Pierścień Nibelunga* R. Wagnera. towarzyszą im dźwięki *Podróży Zygryda po Renie* ** Marsz żałobny z opery *Zmierzch bogów*.

Zapada ciemność. Pojawiają się napisy.

Po skończeniu filmu siedziałem osłupiały w fotelu przez dobre kilka minut. Potem zadzwoniłem do mojej agentki i zacząłem wyrzekać na zły poziom filmu.

- Taaak, jest naprawdę fantastyczny, nie sądzisz?
- Nie mogę pracować z tym facetem. Odwołuję wycieczkę.
- Zaraz, chwileczkę. Nie ma żadnego powodu, żeby nie spotkać się z Fleckiem. W końcu chodzi o trochę rozrywki pod tropikalnym niebem. Poza tym dlaczego nie sprzedać mu *Malkontentów*,.. albo *Gier i zabaw czy* jakkolwiek chce sobie to nazwać? Jeżeli ci się nie spodoba to, co zrobił ze scenariuszem, możemy zawsze usunąć twoje nazwisko z listy płac. Dave, znam się na rzeczy i jestem w stanie wyciągnąć z niego kupę pieniędzy. Zamierzam zażądać okrągłego miliona, pay-or-play * Zasada gwarantująca zapłatę niezależnie od toku realizacji filmu, i przysięgam, że Fleck zapłaci, bo nawet jeśli zarejestrowanie twojego scenariusza pod jego nazwiskiem było częścią słodkiej umowy, na pewno nie chciałby tego upublicznić. Zapłaci dużo bez pytania, żeby utrzymać to w tajemnicy.

- Masz bardzo niskie mniemanie o ludzkiej naturze.

- Bo jestem agentem.

Skończyłem rozmowę z Alison i zadzwoniłem do Sally. Jej asystentka kazała mi czekać przez dobre kilka minut, a potem oświadczyła dość spiętym głosem, że „coś nagle wypadło” i Sally oddzwoniła do mnie za dziesięć minut.

Minęła niemal godzina, zanim się odezwała. Po kilku pierwszych słowach zrozumiałem, że coś jest nie tak.

- Bill Levy miał atak serca - stwierdziła drżącym głosem.

- Chryste! - Levy był jej szefem i człowiekiem, który wprowadził Sally do Foxa, jej wzorem do naśladowania i jedną z niewielu osób, którym Sally mogła zaufać w sprawach zawodowych. - Jak bardzo jest źle? - spytałem.

- Bardzo. Trafiło go podczas zebrania. Na szczęście mamy tu pielęgniarkę, która robiła mu masaż serca do czasu pojawienia się karetki.

- Gdzie jest teraz?

- W szpitalu uniwersyteckim. Wszystko pogrążyło się w chaosie. Będę w domu bardzo późno.

- Nie ma sprawy - odparłem. - Jeśli mogę w czymś pomóc...
Ale ona tylko odburknęła „muszę lecieć” i rozłączyła się.

Do domu przyjechała po północy, wycieńczona i osłabiona. Przytuliłem ją, ale delikatnie wyswobodziła się z moich objęć i padła na kanapę.

- Przeżył, ale ledwie, ledwie - stwierdziła. - Nadal jest w śpiączce i lekarze obawiają się uszkodzeń mózgu.

- Tak mi przykro. - zaproponowałem jej coś mocniejszego do picia, ale chciała tylko perriera.

- Co gorsza, miejsce Billa zajął tymczasowo Stu Barker.

To była zła wiadomość. Stu Barker to superambitny dupek, który szykował się od lat na stanowisko Levy'ego. Pogardzał Sally jako zwolenniczką Levy'ego.

- Co zamierzasz zrobić?

- To, co powinnam w takiej sytuacji: zgromadzę moją frakcję i będę próbowała powstrzymać Barkera od zniszczenia wszystkiego, co zbudowałam w Foxie. Obawiam się, że w związku z tym tydzień na wyspie Flecka odpada.

- Tak właśnie myślałem. Zadzwoń do Bobby'ego i powiem mu, że nie możemy przyjechać.

- Powinieneś pojechać.

- Kiedy ty będziesz się szarpała z takim problemem? Nic z tego.

- Posłuchaj, przez następny tydzień będę pracowała non stop. Z Barkerem zarządzającym całym działem mogę nad wszystkim zapanować, wyłącznie spędzając piętnaście godzin w biurze.

- W porządku, rozumiem. Ale przynajmniej będę czekał na ciebie wieczorami, ze współczuciem i kieliszkiem martini.

Wyciągnęła rękę i uściśnęła moją dłoń.

- To bardzo miłe z twojej strony, ale chcę, żebyś tam pojechał.

- Sally...

- Posłuchaj. Naprawdę będzie lepiej, jeżeli zostaną teraz sama. Nie będę się musiała rozpraszać i całą energię włożę w utrzymanie

posady. Co więcej, nie możesz odrzucić takiej oferty, ponieważ w najgorszym wypadku będzie to bardzo zabawna przygoda... i przy okazji luksusowa. W najlepszym zaś dostaniesz czek na sporą sumkę. Jeżeli Stu Barker myśli o tym, żeby się mnie pozbyć z Foxa, te pieniądze mogą się nam przydać, nie sądzisz?

Wiedziałem, że Sally gada głupoty. Każda inna wytwórnia telewizyjna zatrudniłaby ją natychmiast z pocałowaniem w rękę. I choć poczyniłem dalsze próby przekonania jej, że powinienem zostać, Sally była nieugięta.

- Proszę, nie odbieraj tego w niewłaściwy sposób - poprosiła.

- Nie odbieram - usiłowałem zachować optymizm, mimo że chciała się mnie pozbyć z domu. - Jeżeli chcesz, żebym poleciał na planetę Fleck, niech i tak będzie.

- Dziękuję - pocałowała mnie delikatnie. - A teraz przepraszam cię strasznie, ale umówiłam się na konferencję telefoniczną z Lo-
isem i Peterem. - Byli to dwaj jej najbliżsi współpracownicy w Foxie.

- Nie ma sprawy - wstałem z kanapy. - Zaczekam na ciebie w sypialni.

- Nie powinno mi to zająć zbyt wiele czasu - wzięła do ręki słuchawkę.

Dwie godziny później, kiedy wreszcie zasnąłem, nadal jeszcze rozmawiała przez telefon.

Obudziłem się następnego dnia o siódmej rano. Sally zdążyła już wyjść. Na poduszce obok mnie leżała kartka:

„Musiałam zwołać zebranie strategiczne mojej grupy bardzo wcześniej rano. Zadzwoń później”.

Na końcu podpisała się po prostu „S”. Żadnego wyrazu uczucia, po prostu inicjał, to wszystko.

Mniej więcej godzinę później zadzwonił Bobby Barra z pytaniem, kiedy jutro ma po mnie przyjechać szofer Flecka i zabrać nas na lotnisko Burbank.

- Phil poleciał w niedzielę na wyspę swoim odrzutowcem, więc obawiam się, że będziecie mieli do dyspozycji zwykłego gulfstreama - stwierdził.

- Jakoś to przeżyję, tyle że jadę sam. - Wyjaśniłem mu, co się stało w Foxie.

- Jak dla mnie nie ma sprawy - stwierdził Bobby. - Bez obrazy, ale jeśli Sally woli zostać w domu, nie będę ronił łez nad swoją margaritą.

Powiedział, że mam się spodziewać limuzyny jutro o ósmej rano.

- Szykuj się na wielką zabawę, stary - rzucił na pożegnanie.

Spakowałem małą torbę podróżną. Potem pojechałem do biura i obejrzałem wstępną wersję montażową pierwszego i drugiego odcinka *Sprzedając ciębie*. Sally nie zadzwoniła do mnie ani razu. Kiedy wróciłem do domu wieczorem, na automatycznej sekretarce nie było żadnych wiadomości. Spędziłem cały wieczór, ponownie czytając *Trzech malkontentów*. Zrobiłem kilka notatek o tym, jak poprawiłbym kompozycję scenariusza, tempo narracji i jak bym zmodernizował całe dzieło. Flamastrem zacząłem skreślać co bardziej toporne dialogi. W filmie im mniej się mówi, tym lepiej. Wszystko powinno być oszczędne, proste. Trzeba pozwolić przemówić obrazom - bo film jest zestawem obrazów, scen. Kiedy zaś tworzy się obrazy, kto potrzebuje do tego wielu słów?

Do jedenastej w nocy przebrnąłem przez połowę scenariusza. Sally nadal się nie odezwała. Przez chwilę rozważałem, czy nie zadzwonić do niej na komórkę, ale porzuciłem ten pomysł. Mogła to odebrać jako zbyt dużą przylepność, wygórowane potrzeby lub ojcowską nadopiekuńczość („dlaczego jeszcze nie jesteś w domu?” i tym podobne). Dlatego koniec końców położyłem się spać.

Następnego dnia, kiedy obudził mnie dzwonek budzika, znalazłem na sąsiedniej poduszce kolejną kartkę.

„Mam strasznie dużo pracy. Wróciłam do domu o pierwszej w nocy, a teraz muszę wyjść na śniadanie o wpół do siódmej z prawnikami z Foxa. Zadzwoni do mnie o ósmej na komórkę. Baw się dobrze i opal się trochę za mnie”.

Tym razem napisała na końcu „kocham cię, S.”, co nieco mnie rozchmurzyło. Potem jednak, gdy zadzwoniłem do niej (tak jak prosiła), zbyła mnie dość chłodno.

- To nie jest odpowiedni moment - stwierdziła. - Zabierasz ze sobą komórkę?

- Oczywiście.

- W takim razie oddzwonię - z tymi słowy rozłączyła się.

Z wysiłkiem odpędziłem od siebie niepokój spowodowany jej chłodem. Sally była zawodowym graczem, a gracze tak właśnie się zachowywali, kiedy przyszło do zawodów.

Kilka minut później ktoś zadzwonił do drzwi. Okazało się, że to szofer w liberii, stojący przed lśniącem nowiutkim lincolnem.

- Jak się pan dzisiaj miewa, sir? - zagadnął uprzejmie.

- Jestem gotowy na zabawę w promieniach słońca - odparłem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Bobby i ja byliśmy jedynymi pasażerami gulfstreama i mieliśmy do dyspozycji czteroosobową załogę: dwóch pilotów i dwie stewardesy, obie dwudziestokilkuletnie blondynki, wyglądające niczym byłye mażoretki. Cheryl i Nancy pracowały wyłącznie dla „Air Fleck”, jak Bobby określał flotę powietrzną miliardera. Zanim wystartowaliśmy, zdążył już zacząć flirtować z Cheryl.

- Czy ktoś będzie mi mógł zrobić masaż w czasie lotu?
- Oczywiście - odparła Cheryl. - Studiuję zaocznie osteopatię.
- Miałem na myśli bardzo zlokalizowany masaż - Bobby wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Twarz Cheryl ściągnęła się w sztuczny uśmiechu.

- Sir, czy zechciałby się pan czegoś napić przed startem? - zwróciła się do mnie.

- Tak, dziękuję. Macie wodę gazowaną?

- Daj spokój, Dave - zawołał Bobby. - Powinieneś uczcić początek takiej przygody francuskimi bąbelkami. Air Fleck serwuje wyłącznie cristal... prawda, kochanie?

- Tak, proszę pana - odparła Cheryl. - Mamy na pokładzie szampana marki Cristal.

- W takim razie poprosimy o dwa kieliszki - stwierdził Bobby. - *King size*.

- Tak jest, sir. Czy mam poprosić Nancy, aby zebrała od panów zamówienia na śniadanie, zanim wystartujemy?

- Tak, dziękuję.

- Niezła dupa, jeżeli gustujesz w ślicznych cheerleaderkach - stwierdził Bobby, gdy Cheryl zniknęła w części kuchennej.

- Jesteś kompletnym bucem, Bobby.

- Ja tylko flirtowałem.

- Nazywasz prośbę o zrobienie ci laski flirtem?

- Nie poprosiłem jej bezpośrednio. Byłem subtelny.

- Tak subtelny jak wypadek samochodowy. Poza tym, kto prosi o *king size* szampana? To nie Burger King. Pierwsza zasada bycia dobrym gościem, Bobby: nie próbuj przespać się z obsługą.

- No, no, Panie Drażliwy, to ty jesteś tu gościem.

- A ty kim jesteś, Bobby?

- Ja? *Habitue* *.Bywalec (fr.).

Cheryl pojawiła się z powrotem, niosąc dwa kieliszki szampana oraz małe trójkąciki chleba tostowego ozdobione czarnym kawio-rem.

- Bieługa?

- Irańska bieługa, sir - odparła Cheryl.

Głośnik ożył nagle. Pilot poprosił nas o zapięcie pasów na czas startu. Siedzieliśmy w obszernych, miękkich skórzanych fotelach przyśrubowanych do podłogi, które jednak mogły obracać się na wszystkie strony. Wedle Bobby'ego była to mniejsza wersja gulfstreama, zaledwie osiem siedzeń w przedniej kabinie i małe podwójne łóżko, kanapa oraz biurko w tylnej. Samolot sprowadzono tu dziś rano wyłącznie ze względu na nas.

Nie narzekałem. Sącyłem po prostu szampana. Samolot skończył kołowanie i zatrzymał się na początku pasa startowego. Zahaczyły silniki, maszyna pomknęła naprzód i w ciągu kilku sekund byliśmy już w powietrzu, obserwując znikającą pod naszymi stopami dolinę San Fernando.

- To jak? - spytał Bobby. - Jakiś filmik, może dwa? Partyjka wysoko obstawianego pokera? Chateaubriand na lunch? Może nawet mają homary...

- Chciałbym trochę popracować - odparłem.
- Rozrywkowy z ciebie facet.
- Chcę poprawić skrypt, zanim zobaczy go nasz gospodarz. Sądziś, że ma na wyspie sekretarkę?
- Phil ma tam całe biuro. Chcesz, żeby ktoś przepisał scenariusz na maszynie? Nie ma sprawy.

W kabinie pojawiła się Nancy, żeby zebrać zamówienia na śniadanie.

- Możecie mi zrobić puszysty omlet z białek, z szalotkami i odrobiną gruyere? - zapytał Bobby.

- Oczywiście - przytaknęła wyraźnie niewzruszona Nancy. - A dla pana, sir?

- Poproszę tylko grapefruita, tost i czarną kawę.
- Od kiedy to stałeś się mormonem? - spytał Bobby.
- Mormoni nie piją kawy - odparłem, a potem przeprosiłem go i poszedłem do tylnej kabiny.

Wyciągnąłem z torby scenariusz *Trzech malkontentów*, czerwony długopis i usadowiłem się przy biurku. Przeczytałem pierwszą część, w miarę zadowolony z poprawek, jakie wprowadziłem do tej pory. Najbardziej uderzyło mnie w oryginale z 1993 roku to, jak wielką czułem potrzebę wyjaśniania wszystkiego. Przybijałem każdą ważną kwestię do fabuły, używając kafara. Były tam znośne fragmenty dialogów, ale, mój Boże, dlaczego tak bardzo chciałem zaprezentować moją inteligencję i brawurę? Koniec końców był to przecież tylko film gangsterski, ale ja usiłowałem ukryć ten fakt, dekorując akcję przeintelektualizowanymi błyskotliwymi wymianami zdań, które przyciągały uwagę i ociekały egocentryzmem. Zabrałem się znów do roboty i natychmiast pozbyłem się tego gówna, skreślając ogromne, zbyt oczywiste fragmenty dialogu i niepotrzebne zwroty akcji. Zmieniałem oryginalny scenariusz w coś bardziej związłego, naturalistycznego, bardziej sardonicznego... i zdecydowanie ostrzejszego.

Pracowałem non stop przez pięć godzin, z przerwami na śniadanie i wysłuchiwanie idiotycznych zamówień Bobby'ego, wykrzykiwanych tubalnym głosem („Wiem, że może proszę o zbyt wiele, kochanie... ale czy mogłabyś mi przyrządzić bananowe daiquiri*?”),

oraz jego rozmów telefonicznych, podczas których wyszcze kiwał rozkazy do swoich sługusów w centrali własnej firmy w LA. Cheryl pojawiała się od czasu do czasu w mojej kabinie, dolewała kawy i pytała, czy czegoś nie potrzebuję.

- Czy mogłaby pani zakneblować mojego przyjaciela?

Uśmiechnęła się.

- Z przyjemnością.

W sąsiedniej kabinie Bobby wrzeszczał do słuchawki:

- Słuchaj, ty głupi szczurze, jeżeli nie rozwiążesz tego małego problemiku pronto ** Koktajl alkoholowy: rum, cukier i sok z limonki lub cytryny. ** Szybko (hiszp.). przeleć nie tylko twoją siostrę, ale i matkę.

Uśmiech Cheryl znowu zeszywniał.

- Tak naprawdę to nie jest mój przyjaciel, tylko makler - wyjaśniłem.

- Jestem pewna, że zarabia dla pana dużo pieniędzy, sir. Czy potrzebuje pan jeszcze czegoś?

- Chciałbym skorzystać z telefonu, kiedy Bobby skończy.

- Nie ma potrzeby czekać. Mamy dwie linie.

Podniosła słuchawkę telefonu stojącego na biurku, wystukała kod i wręczyła mi ją.

- Proszę wybrać kierunkowy, a potem numer rozmówcy i od razu pana połączy.

Cheryl wyszła z kabiny, ja zaś zadzwoniłem na komórkę Sally. Po dwóch dzwonekach przełączyło mnie na jej pocztę głosową. Sta rałem się ukryć rozczarowanie, zostawiając wesołą wiadomość:

„Cześć, to ja z wysokości jedenastu tysięcy kilometrów. Powinni śmy sobie sprawić na gwiazdkę gulfstreama. To jedyny sposób, w jaki należy podróżować, chociaż zdecydowanie bez Bobby'ego Barry, który usiłuje zdobyć Oscara za najlepszą męską rolę Obłeśnego Typa. Tak naprawdę dzwonię, bo chciałem się dowiedzieć, jak się mają sprawy w twierdzy Fox, i powiedzieć ci, że bardzo chciałbym,

żebyś teraz siedziała obok mnie. Kocham cię, słońce... kiedy wygrzebiez się spod sterty firmowych spraw, zadzwoń do mnie na komórkę. Do usłyszenia później, kochanie...”

Rozłączyłem się, czując pustkę, która zawsze pojawia się we mnie, kiedy rozmawiam z automatyczną sekretarką. Wróciłem do pracy.

Pięć godzin później zaczęliśmy lądowanie na Antigui. Skończyłem już do tej pory remont kapitalny scenariusza. Przejrzałem zmiany, które wprowadziłem, ogólnie zadowolony z bardziej zwartej narracji i wyrazistszych dialogów... wiedziałem jednak, że gdy tylko przeczytam przepisana wersję, natychmiast będę chciał wprowadzić kolejne zmiany. Jeżeli Philip Fleck rzeczywiście zdecyduje się zrobić film na podstawie tego scenariusza, na pewno zażąda zupełnie nowego skryptu, co będzie wymagało kolejnego przepisanego, wygładzenia, trzeciego szkicu, kolejnych poprawek, pomocy korektora, jego poprawek, potem współpracy z niezależnym autorem, który będzie miał za zadanie wprowadzić nieco „mięsa” do całej akcji, i kolejnego pisarza, który udoskonali intrygę. Na końcu zaś Fleck postanowi przenieść akcję z Chicago do Nikaragui i zmienić całą rzecz w musical o rewolucji sandinistów * Lewicowa partia polityczna w Nikaragui, wywodząca się z ugrupowania partyzanckiego, z przywódcą Danielem Ortegą, , pełną rozspiewanych partyzantów...

- O, wróciła nasza Greta Garbo - skomentował Bobby, kiedy pojawiłem się w przedniej kabinie. - Przypomnij mi, żebym nigdy więcej z tobą nie podróżował.

- Praca to praca. Dzięki temu Fleck będzie miał jutro rano co czytać. Poza tym z tego, co słyszałem, ty też byłeś zajęty. Groziłeś jakimś współpracownikowi?

- A tak. Pewien gostek spieprzył małą sprawę, którą mu powierzyłem.

- Przypomnij mi, żebym nigdy nie spieprzył niczego dla ciebie.

- Z klientami się nie pieprzę - w przenośni i dosłownie - uśmiechnął się do mnie promiennie. - Oczywiście z wyjątkiem, kiedy

klient chce się pieprzyć ze mną, ale dlaczego niby miałyby się to stać, prawda?

- Rzeczywiście, dlaczego? - uśmiechnąłem się w odpowiedzi.

Z głośnika przemówił kapitan, prosząc o zapięcie pasów na czas lądowania. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem olbrzymią połać błękitu. W końcu morze ustąpiło miejsca lądowi i nędznemu miasteczku - tuzinom małych, ponurych sześciennych mieszkańek wyglądających jak bezładne skupisko zepsutych kości do gry. Po chwili one również zniknęły, kiedy zaczęliśmy szybko opadać sponad koron wysokich palm na poplamiony asfalt płyty lotniskowej. Słońce żarzyło się bezlitośnie na niebie.

Samolot toczył się po pasie, aż wreszcie zatrzymaliśmy się z dala od głównego terminalu. Kiedy Cheryl otworzyła drzwi i nacisnęła guzik uwalniający schody, uderzyła w nas fala tropikalnego żaru. Zauważyłem, że czekają na nas dwaj mężczyźni: bardzo opalony blondyn ubrany w mundur pilota oraz antiguński policjant trzymający w ręku stempel i podkładkę. Gdy zeszliliśmy na ziemię, pilot rzucił:

- Panie Barra, panie Armitage... witamy na Antigui. Nazywam się Spencer Bishop i przetransportuję was dziś po południu na Wyspę Szafranową. Najpierw jednak musicie przejść przez kontrolę paszportową. Proszę pokazać temu gentlemanowi swoje paszporty.

Wręczyliśmy przedstawicielowi urzędu imigracyjnego nasze dokumenty. Nie sprawdził nawet fotografii ani terminu ważności. Po prostu przystawił pieczętki z wizą na pierwszej dostępnej stronie i oddał nam paszporty. Pilot podziękował oficerowi i uścisnął mu dłoń. Zauważyłem, że przy okazji wręczył mu dyskretnie złożony banknot. Potem dotknął lekko mojego ramienia i wskazał w kierunku małego helikoptera zaparkowanego niecałe sto metrów od samolotu.

- Zapraszam na pokład - rzucił.

Po kilku minutach siedzieliśmy już w środku, przypięci bezpiecznie pasami do foteli, rozmawiając ze sobą przez słuchawki z

mikrofonem. Śmigła maszyny zawirowały z głośniejszym jazgotem, kiedy pilot otworzył przepustnicę. Lotnisko szybko zniknęło z oczu i pod naszymi stopami pojawiła się znów błękitna pustka. Wpatrywałem się w akwamarynowy horyzont, oczarowany bezkresną czystością koloru. Po jakimś czasie zaczęły się przed moimi oczami rysować jakieś kształty. Wyspa, średnicy może kilometra, pokryta cętkami palm, z ogromną rezydencją rozpościerającą się na samym środku. Dostrzegłem rozbudowany dok, przy którym cumowało kilka łodzi. Od doku ciągnął się wzdłuż brzegu długi pas piaszczystej plaży. Nagle tuż pod naszymi stopami pojawiła się asfaltowa płyta z dużym X na samym środku. Pilot szybko znalazł się dokładnie nad znakiem i wylądował z lekkim, lecz zauważalnym wstrząsem.

I znowu na zewnątrz czekały na nas dwie osoby: mężczyzna i kobieta, oboje dwudziestokilkuletni, z blond włosami, mocno opaleni, ubrani w ten sam tropikalny strój - krótkie spodenki khaki, białe adidasy Nike, białe skarpetki i niebieskie koszulki polo z dyskretnym monogramem *Wyspa Szafranowa*. Wyglądali jak opiekunowie z jakiegoś bardzo ekskluzywnego obozu letniego. Stali tuż obok nowiutkiego granatowego land-rovera discovery. Kiedy się uśmiechali, pokazywali garnitury idealnie pięknych zębów.

- Witamy na Wyspie Szafranowej, panie Armitage - odezwał się mężczyzna.

- Miło pana znów widzieć, panie Barra - dodała kobieta.

- Was również - odparł Bobby. - Megan, prawda?

- Ma pan doskonałą pamięć.

- Nigdy nie zapominam pięknych kobiet.

Wywróciłem oczami, ale nic nie powiedziałem.

- Jestem Gary - przedstawił się mężczyzna. - A to, jak już powiedział pan Barra, Megan...

- Ale może mnie pan nazywać Meg.

- Będziemy się panami opiekować podczas pobytu na wyspie. Jeżeli będziecie panowie mieli jakiegokolwiek życzenia, proszę nam powiedzieć.

- Kto się kim opiekuje? - spytał Bobby.

- Cóż, ponieważ Meg troszczyła się o pana wygodę ostatnim razem, panie Barra, uznaliśmy, że teraz powinna się zająć panem Armitage - stwierdził Gary.

Spojrzałem na nich. Ich doskonale uśmiechy nie zdradzały żadnych uczuć. Bobby zacisnął usta. Wyglądał na zawiedzionego.

- Wszystko mi jedno - odparł.

- W takim razie zajmijmy się pana bagażem - Gary przystąpił do dzieła.

- Ile ma pan ze sobą walizek, panie Armitage? - spytała Megan.

- Tylko jedną... i proszę mnie nazywać David.

Wsiedliśmy z Bobbym do land-rovera, którego silnik pracował na jałowych obrotach, aby klimatyzacja działała jak należy. Nasi opiekunowie tymczasem załadowali bagaże do samochodu.

- Niech zgadnę - stwierdziłem. - Podczas ostatniego twojego pobytu tutaj przystawiałaś się do Meg, tak?

Bobby wzruszył ramionami.

- W końcu jestem facetem, nie?

- Tak, ona chyba rzeczywiście lubi napakowanych przystojniaków. Założyła ci nelsona, kiedy usiłowałeś poklepać ją po pupie?

- Nie dotarłem aż tak daleko... możemy porzucić ten temat?

- Ależ Bobby, uwielbiam słuchać o twoich romantycznych podbojach. To takie wzruszające historie.

- Ujmijmy to w ten sposób: na twoim miejscu nie próbowałbym z nią niczego. Ma bicepsy jak GI Jane.

- A dlaczego miałbym z nią czeokolwiek próbować, kiedy w domu czeka na mnie Sally?

- Och, panie monogamisto, aleśmy są świątobliwi, co? Mąż i ojciec doskonały.

- Pieprz się - odparłem.

- To był żart.

- Jasne.

- Jesteśmy trochę wrażliwi?

- Chodziłeś na lekcje dupkowatości, czy już się z tym urodziłeś?
- Przepraszam, jeżeli dotknąłem czułego miejsca.
- Nie jestem przewrażliwiony na punkcie...
- ...porzucenia żony i dziecka? - dokończył z uśmiechem.
- Ty gnojku.
- Oskarżenie nie ma więcej pytań.

Meg otworzyła drzwi od strony pasażera.

- Wszystko w porządku? - spytała.
- Właśnie odbyliśmy naszą pierwszą sprzeczkę - wyjaśnił

Bobby.

Gary wgramolił się na siedzenie kierowcy i wrzucił jedynekę. Ruszyliśmy piaszczystą ścieżką przez gęstwinę drzew pochylających nad nami ciężkie korony. Po minucie lub dwóch odwróciłem się i spojrzałem za siebie. Małe lądowisko zniknęło. Przed nami widniała dżungla.

- A teraz, panowie, mam dla was wiadomości - oznajmił Gary. - Pan Fleck cieszy się ogromnie z panów wizyty i chce, żebyście obaj dobrze się tu bawili. Niestety, on sam musiał wyjechać na kilka dni...

- Co takiego? - spytałem.
- Pan Fleck musiał wyjechać wczoraj na kilka dni.
- Chyba sobie żartujesz - obruszył się Bobby.
- Nie, panie Barra. Mówię całkowicie poważnie.
- Ale przecież wiedział, że mamy przylecieć - zaprotestował

Bobby.

- Oczywiście. Dlatego szczerze żałował, że musiał tak nagle wyjechać...

- Chodzi o jakiś biznes? - spytał Bobby.

- Niezupełnie - Gary roześmiał się cicho. - Wie pan dobrze, jak bardzo pan Fleck lubi wędkarstwo. Kiedy dostał wiadomość, że w okolicach wybrzeża St. Vincent pojawił się marlin...

- St. Vincent? Ale to przecież dwa dni drogi stąd łodzią - stwierdził Bobby.

- Dokładniej trzydzieści sześć godzin.

- Po prostu świetnie! W takim razie jeżeli dotrze tam dziś w nocy i będzie polował na marlina cały dzień, nie wróci tutaj przez kolejne trzy dni?

- Obawiam się, że ma pan słuszność - odparł Gary. - Pan Fleck życzył sobie, abyście panowie rozluźnili się i dobrze się bawili. Wszystko, co Wyspa Szafranowa ma do zaoferowania, jest do panów dyspozycji.

- Ale przecież przyjechaliśmy na jego specjalne życzenie, żeby się z nim spotkać - zaprotestował Bobby.

- I spotkacie się - odparł Gary. - Za kilka dni.

Bobby trącił mnie łokciem.

- I co ty na ten temat sądzisz?

Miałem na końcu języka: „...i ty mówisz mi, że jesteś jego dobrym przyjacielem?”. Nie chciałem jednak kolejnej sprzeczki z Bobbym. Zamiast tego rzuciłem więc tylko:

- No cóż, jeśli ja miałbym do wyboru pisarza i marlina, zdecydowanie wybrałbym to drugie.

- Tak, ale ryby nie muszą się martwić o klientów i o obecny beznadziejny stan Nasdaq.

- Panie Barra, wie pan, że nasza centrala biznesowa może pana połączyć z każdą giełdą i rynkiem akcji, który chce pan obserwować. Możemy też przeznaczyć dla pana linię telefoniczną do porozumiewania się z klientami 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Nie ma zatem powodu do paniki.

- Chcę również dodać, że prognoza pogody na ten tydzień jest doskonała - wtrąciła Meg. - Ani kropli deszczu, lekki wiatr i temperatura dokładnie 29 stopni Celsjusza.

- Zatem może pan obserwować na bieżąco rynek akcji i do tego ładnie się opalić - podsumował Gary.

- Jesteś wkurzony? - spytał mnie Bobby.

Oczywiście, że byłem, ale znów postanowiłem zagrać spokojnie i bez nerwów. Wzruszyłem więc ramionami i odparłem:

- Pewnie przyda mi się trochę słońca.

Land-rover kontynuował podróż po wyboistej ścieżce w dżungli. Nagle wyjechaliśmy na otwartą przestrzeń. Zaparkowaliśmy obok wiaty, pod którą stały trzy inne land-rovery i duża biała furgonetka

transportowa. Zamierzałem zapytać, komu na takiej maciupeńskiej wyspie potrzebne są cztery land-rovery i furgonetka... ale ostatecznie nic nie powiedziałem. Poszedłem posłusznie za Meg, która poprowadziła nas wąską alejką wyłożoną białymi kamieniami w kierunku małego mostka wiszącego nad dużym ozdobnym stawem. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że aż roi się w nim od różnorakich tropikalnych ryb. Potem zerknąłem w górę i zachłysnąłem się. Przed moimi oczami rozpościerała się rezydencja Flecka. Z góry wyglądała niczym duża bursztynowa konstrukcja. Z bliska był to ekstrawagancki wytwór współczesnego projektanta - jednopiętrowa masywna budowla złożona z ogromnych okien i lakierowanego drewna. Na każdym końcu owej posiadłości widniały dwie isticie katedralne wieże o ścianach z ogromnych szklanych płyt. Pomiedzy tymi dwuskrzydłymi konstrukcjami zbudowano całą serię wieżyczek w kształcie litery V - każda miała ogromne okno. Drewniany chodnik poprowadził nas do sąsiedniej części domu. Kiedy skręciliśmy za róg, z wysiłkiem powstrzymałem kolejny okrzyk zachwyty. Przed moimi oczami pojawił się ogromny basen wycięty w skale tuż przed domem. Za nim rozciągał się bezkresny błękit, jako że okna domu wychodziły bezpośrednio na Morze Karaibskie.

- Dobry Boże - rzuciłem. - Co za widok.
- No - zgodził się Bobby. - Totalne „pieprzę cię”.

W tej chwili zadzwoniła jego komórka. Odebrał ją i po wymruczeniu powitania natychmiast przeszedł do biznesu.

- Jaki jest margines?... Tak, ale w zeszłym roku o tej samej porze sprzedawali po dwadzieścia dziewięć... Oczywiście, że monitoruję ludzi od Netscape... naprawdę sądzisz, że zamierzam ci przywalić bez ostrzeżenia?... pamiętasz nagły skok na rynku w dziewięćdziesiątym siódmym?... 14 lutego 1997, kiedy afera z Moniką Lewinsky sięgnęła szczytu głupoty, wprowadzili wtedy drobne poprawki na mniej więcej siedemdziesiąt dwie godziny, jednak długotrwałe implikacje...

Słuchałem, zaczarowany mistrzostwem Bobby'ego w zonglowaniu faktami i liczbami oraz gładkim sposobem, w jaki traktował

klientów (w odróżnieniu od brutalnego języka, jakiego używał w stosunku do swoich podwładnych). Zauważyłem, że Gary i Meg również przysłuchują się profesjonalnej gadce Bobby'ego. Zastanawiałem się, czy myślą to samo co ja: dlaczego inteligentny facet z taką znajomością rynku zmienia się w rasowego kłowna, kiedy staje w obliczu tak olbrzymiego bogactwa, jak to tutaj? I dlaczego jeśli chodzi o kobiety, z uporem maniaka odgrywa wobec nich neandertalczyka? Z drugiej strony jednak pieniądze i seks robią z nas głupców. Może Bobby zdecydował, że nie obchodzi go, czy świat się dowie, jak wielkim jest idiotą, jeśli chodzi o jego obsesje.

Zamknął komórkę i wyprostował się.

- Nigdy nie wdawajcie się w żadne biznesy z dermatologiem. Każda fluktuacja rynku jest dla nich jak melanoma. No dobrze - trącił Gary'ego łokciem. - Słyszałeś, że obiecałem temu dupkowi oddzwonić w ciągu dziesięciu minut.

Gary chwycił krótkofalówkę.

- Julie, pan Barra chce mieć pełny indeks Nasdaq na monitorze, zanim do ciebie dotrzemy... za trzy minuty. Dobrze?

- Nie ma sprawy - odpowiedział pośród trzasków żeński głos.

- Prowadź - rzucił Bobby i spojrział na mnie. - Spotkamy się później, oczywiście jeżeli łaskawie zechcesz rozmawiać z takim prymitywem jak ja - rzucił.

- Chce pan zobaczyć swój pokój? - spytała Meg, gdy tylko Gary i Bobby odeszli.

- OK.

Weszliśmy do środka. Hall przy głównym wejściu okazał się długim, przestrzennym korytarzem z białymi ścianami i wybieloną drewnianą podłogą. Kiedy wszedłem do środka, natychmiast stanąłem twarzą w twarz z jednym z najbardziej wpływowych dzieł dwudziestowiecznego amerykańskiego abstrakcjonizmu: szokujące płótno przedstawiające równania matematyczne na niesamowicie fakturowanym szarym tle.

- Czy to *Pole uniwersalne* Marka Tobeya? - spytałem Meg.
- Zna się pan na sztuce.
- Widziałem ten obraz wyłącznie w albumie. Niesamowity.
- Jeżeli lubi pan sztukę, powinien pan zajrzeć do Wielkiej Sali w naszej rezydencji.
- Mamy teraz wystarczająco dużo czasu?
- Jesteśmy na Wyspie Szafranowej. Mamy tyle czasu, ile pan zechce.

Skreśliśmy w lewo i ruszyliśmy korytarzem, mijając obszerną kolekcję oprawionych klasycznych fotografii Diane Arbus. Wielka Sala była dokładnym odzwierciedleniem swojej nazwy - mieściła się w jednym z katedralnych skrzydeł domu, była wysoka na dwanaście metrów i całkowicie oszklona. Na środku wyrastała masywna palma. Tak jak wszystko, co zobaczyłem do tej pory, Wielka Sala była świadectwem kosztownego dobrego gustu. Stał tu również fortepian Steinwaya, długie kanapy i miękkie fotele w delikatnym odcieniu złamanej bieli. W jedną z białych kamiennych ścian wbudowano gigantyczne akwarium. Pomieszczenie było dyskretnie oświetlone, na pozostałych zaś ścianach wisiało mnóstwo obrazów... takich, które człowiek spodziewa się zobaczyć w Muzeum Sztuki Współczesnej, Whitney, Gettym lub w Instytucie Sztuk Pięknych w Chicago.

Poruszałem się po sali niczym w muzeum. W głowie mi się mąciło na widok wszystkich tych dzieł sztuki. Hopper. Ben Shahn. Dwa obrazy Philipa Gustonsa ze środkowego okresu jego twórczości. Thomas Hart Baker. Claus Oldenberg. George L.K. Morris i kolekcja charakterystycznych fotografii Edwarda Steichena zrobionych w latach trzydziestych dla *Vanity Fair*.

Ekspozycja ciągnęła się bez końca. Musiało tu być przynajmniej czterdzieści obrazów. Nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić, jaka się za tym kryła fortuna.

- To niesamowity zbiór.
- Powinien pan obejrzeć kolekcje w innych domach - odezwał się nagle jakiś głos.

Odwrociłem się i spojrzałem na niskiego, przysadzistego, około czterdziestoletniego mężczyznę z włosami do ramion, zebranymi w tłustawy kucyk. Miał na sobie obcięte jeansy, sandały od Birkenstocka i podkoszulek ze zdjęciem Jean-Luca Godarda, naciągnięty na duży brzuch. Pod zdjęciem widniał napis: „Kino to prawda przekazywana z prędkością 24 klitek na sekundę”.

- Dave Armitage? - spytał.
 - Tak, to ja - odparłem.
 - Chuck Karlson - podszedł bliżej i wyciągnął rękę na przywitanie. Była wilgotna w dotyku. - Jestem pana wielkim wielbicielem.
 - To miłe.
 - Tak, *Sprzedając ciebie* jest moim zdaniem najlepszym serialem telewizyjnym na świecie. Phil też tak sądzi.
 - Jest pan jego przyjacielem?
 - Wspólnikiem. Jestem jego człowiekiem od filmów.
 - A co konkretnie robi człowiek od filmów?
 - Głównie zajmuje się archiwum.
 - Pan Fleck ma archiwum filmowe?
 - Jeszcze jakie. Ponad siedem tysięcy filmów na celuloidzie i kolejne piętnaście na taśmach wideo lub DVD. Poza archiwum Amerykańskiego Instytutu Filmowego to największy zbiór w kraju.
 - Nie wspominając o Karaibach.
- Chuck uśmiechnął się.
- Tutaj Phil trzyma tylko dwa tysiące filmów.
 - No tak, domyślałem się, że nie ma tu multikina...
 - Właśnie. Poza tym Blockbuster nie dostarczyłby nam tutaj filmów Pasoliniego.
 - Lubi pan Pasoliniego?
 - Dla mnie osobiście jest bogiem.
 - A dla pana Flecka?
 - Bogiem ojcem. W każdym razie mamy wszystkie dwanaście filmów jego autorstwa, więc jeżeli zechce pan je obejrzeć, sala kinowa jest do pana dyspozycji.
 - Dzięki.

Pomyślałem przy tym, że *Ewangelia według świętego Mateusza* (jedyne film Pasoliniego, jaki widziałem) jest ostatnią rzeczą, jaką chciałbym obejrzeć, wczasując się na Karaibach.

- Tak przy okazji, wiem, że Phil bardzo się cieszy na współpracę z panem.

- To miłe.
- Jeżeli wolno mi powiedzieć, to świetny scenariusz.
- Który? Jego czy mój? Znow uśmiešek.
- Oba są równie dobre.

Bardzo dyplomatyczna odpowiedź, zważywszy, że oba są identyczne.

- Skoro już mowa o scenariuszu - stwierdziłem. - Wprowadziłem do niego nieco zmian i zastanawiałem się, czy ktoś mógłby go przepisać.

- Nie ma sprawy. Poproszę Joan, żeby odebrała skrypt z pana pokoju. Do zobaczenia w kinie, Dave.

Meg zaprowadziła mnie do mojego pokoju. Po drodze spytałem o jej życie. Powiedziała, że pochodzi z Florydy i pracuje na Wyspie Szafranowej od dwóch lat. Przedtem była w obsłudze statku wycieczkowego z bazą w Nassau, ale praca tutaj jest znacznie przyjemniejsza i łatwiejsza, ponieważ zazwyczaj jedynymi ludźmi na wyspie jest właśnie obsługa.

- To znaczy, że pan Fleck nie bywa tutaj zbyt często? - spytałem.

- Zaledwie trzy, cztery razy w roku.

- A przez pozostałą część roku?

- Wyspa jest pusta... chociaż od czasu do czasu „wypożycza” ją swoim przyjaciółom. Daje to może dodatkowe cztery tygodnie rocznie, maksymalnie. Poza tym mamy to miejsce dla siebie.

- Ile osób tu macie?

- Czternaście, na pełnym etacie.

Dobry Boże - pomyślałem, ile musi wynosić coroczny rachunek za utrzymanie tego miejsca... zwłaszcza że wyspa była w użyciu przez mniej niż dwa miesiące w roku.

- Cóż, pan Fleck ma dużo pieniędzy - stwierdziła Meg.

Mój pokój znajdował się w jednej z mniejszych wieżyczek w kształcie litery V, które stanowiły centralną część domu. „Mniejszy” było tu dość nieadekwatnym słowem opisującym owo olbrzymie pomieszczenie. Ściany z białego kamienia, drewniana podłoga, okna od ziemi do sufitu, z widokiem bezpośrednio na morze, olbrzymie łoże, ogromna przestrzeń użytkowa z dwiema gigantycznymi kanapami. Barek wypełniony wszystkimi możliwymi alkoholorami, jakie mogły człowiekowi przyjść do głowy. Łazienka z wpuszczoną w podłogę wanną, sauna i otoczony szybami z czystego pleksiglasu prysznic, który wypuszczał strumienie wody z pięciu różnych stron. Nad sypialnią znajdowało się biuro, do którego można było wejść po spiralnych żeliwnych schodkach. Było zaopatrzone we wszelkie możliwe gadzety komunikacyjne.

Nie ulegało wątpliwości, że najlepszą zabawką pośród nich były trzy płaskie monitory komputerowe, rozstawione przezornie na biurku, na niskim stoliku w salonie oraz przy łóżku. Wszystkie były stuprocentowo interaktywne. Kiedy dotknęło się ich palcem, ożywały, informując, że używasz właśnie prywatnej centrali audio-wideo. Postukałem w ekran i znak zgłoszenia obwieścił: *Biblioteka wideo*. Następnie ekran wyświetlił alfabetyczną listę tytułów. Dotknąłem litery A i okno rozwinęło się w listę trzydziestu filmów: było tam wszystko od *Alphaville* Godarda do *All about Eve* Mankiewicza. Wybrałem *Alphaville*. Nagle ożył zawieszony na ścianie nowoczesny ciekłokrystaliczny telewizor Panasonic. Po sekundzie na ekranie wyświetliła się pierwsza scena wypaczonego klasyka futurystycznego Godarda. Dotknąłem przycisku na ekranie. Znowu pojawił się spis alfabetyczny. Wybrałem O i dalej *Obywatela Kane'a* Wellesa. *Alphaville* skończyło się, niczym ucięte nożem i wkrótce mogłem oglądać klasyczną scenę wprowadzającą - wysokie puste ściany i wrota, za którymi czai się pałac rozkoszy współczesnego Kubli Khana* Nawiązanie do wiersza S.T. Coleridge'a *Kubla Khan*.

Charles Foster Kane nie miał jednak takiej zabawki jak to interaktywne kino domowe.

Usłyszałem pukanie do drzwi. Kiedy zawołałem „proszę wejść”, w pokoju pojawiła się Meg.

- Czy mogę rozpakować teraz pana rzeczy? - spytała.

- Dziękuję, ale zrobię to sam.

- Rozpakowywanie jest wliczone w usługę - stwierdziła, chwytając moją torbę podróżną. - Jestem pana lokajem - uśmiechnęła się do mnie lekko, nieznacznie odsłaniając ironię spoza w pełni profesjonalnej fasady. - Widzę, że zapoznał się już pan z systemem kina domowego. Dość sprytnie urządzenie, nie sądzi pan?

- W miarę. Wspaniała kolekcja filmów.

- Pan Fleck ma wszystko - odparła, znikając w sąsiadującej z salonem garderobie. Poszedłem na górę do biura. Wyjąłem laptopa i podłączyłem się do Internetu. Zgodnie z obietnicą Meg, światłowodowy przewodził informacje szybciej niż myśl. Błyskawicznie zostałem połączony ze swoją skrzynką pocztową. Pośród e-maili od Brada Bruce'a i Alison znalazłem ten, na który czekałem.

Kochanie,

Dziękuję ci za te szalone rzeczy, ale nadal się trzymam.

Tęsknię

S.

Miałem kilka przemyśleń, co do tego listu. Pierwsze: przynajmniej się odezwała. Drugie: przynajmniej powiedziała, że za mną tęskni. Trzecie: dlaczego nie napisała, że mnie kocha?

Potem włączyła się racjonalna część mojego mózgu. Przypomniałem sobie, że Sally była w środku wielkiego *Sturm und Drang* w stylu LA, a w Hollywood tego rodzaju kryzys zawodowy natychmiast przeistacza się w oczach wszystkich zaangażowanych w coś na kształt bitwy pod Stalingradem.

Innymi słowy, Sally była bardzo zajęta.

Znowu usłyszałem pukanie do drzwi. Po chwili do pokoju weszła trzydziestokilkuletnia kobieta z krótko przyciętymi czarnymi włosami i mocną opalenizną, również ubrana w typowy mundurek obsługi Wyspy Szafranowej. Podobnie jak Meg była długonoga, schludna, zgrabna i ładna, jak jedna z tych kobiet, które prawdopodobnie należały do zgromadzenia żeńskiego na jednym z czołowych uniwersytetów i umawiały się z chłopakami o imieniu Bud.

- Witam, panie Armitage - rzuciła. - Mam na imię Joan. Rozgościł się pan już?

- W zasadzie tak.

- Podobno ma pan coś do przepisania?

- Tak - wyciągnąłem scenariusz z torby na komputer i zszedłem do salonu. - Obawiam się, że nie mam przy sobie wersji oryginalnej w formie elektronicznej...

- Nie szkodzi. Możemy przepisać cały manuskrypt.

- To dość dużo roboty.

- Ostatnio nie mieliśmy zbyt wiele pracy - wzruszyła ramionami. - Przyda się nam trochę ruchu w interesie.

- Nie wiem, czy odcyfruje pani moją bazgraninę - otworzyłem scenariusz na trzeciej stronie i wskazałem na liczne notatki, skróty i dopiski.

- Widziałam gorszą. Poza tym zamierza pan tu przecież zostać kilka dni, prawda?

- Tak mi powiedziano.

- W takim razie jeżeli nie będzie miał pan nic przeciwko temu, zadzwonię do pana, gdy nie będę mogła czegoś odczytać.

Po jej wyjściu z garderoby wynurzyła się Meg z dwiema parami moich spodni.

- Pogniotły się trochę w torbie, więc oddam je do prasowania. A teraz czy ma pan ochotę na porządny obiad czy też coś lekkiego?

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła dziewiąta wieczorem, ale mój mózg nadal był opóźniony o kilka godzin i pracował w czasie LA.

- Zjem coś lekkiego, jeśli można...

- Panie Armitage...
- Proszę mówić do mnie David.
- Pan Fleck życzy sobie, abyśmy zwracali się do gości per pan lub pani. Może zaproponuję tuzin świeżych ostryg i butelkę...
- Gewürztraminera. Poproszę tylko o jeden kieliszek.
- *Sommelier* * Kelner odpowiedzialny za wina (fr.). przyniesie panu butelkę. Jeżeli jej pan nie dokończy, nie stanie się nic wielkiego.
- Macie tu *sommeliere*?
- Każda wyspa powinna go mieć - znowu dyskretny uśmiech. - Wróć za chwilę z ostrygami - z tymi słowy wyszła.

Kilka minut później zadzwonił do mnie *sommelier* o imieniu Claude. Powiedział, że z radością pomoże mi wybrać rodzaj gewürztraminera, których ma w piwnicy około dwóch tuzinów. Spytałem, jaki rodzaj by polecił. Zaczął wtedy rozwódzić się nad jego *choix préférés*, informując mnie przy tym, iż gustuje zwłaszcza w gisselbrechcie z 1986 roku.

- *Un vin d'Alsace exceptionnel*, z idealnym melanzem wytrawności i owocowej słodyczy.
- Wie pan, że chciałem tylko jeden kieliszek? - spytałem.
- Mimo wszystko wyślę panu całą butelkę.

Zaraz po skończeniu rozmowy znalazłem w Internecie stronę opisującą szlachetne trunki. Wpisałem: „gisselbrecht gewürztraminer, 1986”. Na ekranie pojawiła się fotografia rzeczonoego wina oraz jego szczegółowy opis, z którego dowiedziałem się, iż wino to znajduje się na samym szczycie listy *premier cni* gewürztraminerów i że mogę nabyć butelkę owego szacownego trunku za jedyne 275 dolarów, „po specjalnej rabatowej cenie”.

Powoli zacząłem się przekonywać, że życie w karaibskiej kryjówce Flecka kierowało się zasadą „pieniądze nie grają roli”.

Zalogowałem się do mojej poczty elektronicznej i napisałem list do Sally:

*Kochanie,
pozdrowienia z nuworyszowskiej krainy Oz. To miejsce jest jednocześnie wspaniałe i absurdalne. Wygląda jak ulepszona wersja „Życia sławnych i bogatych”. Muszę przyznać, że facet ma świetny gust... jednak po półgodzinnym pobycie tutaj zacząłem dochodzić do wniosku, że w posiadaniu wszystkiego, czego się zapragnie, jest coś dziwnie niepokojącego. Oczywiście żeby pokazać nam, kto tu rządzi. Fleck wyjechał. Bawi się w Hemingwaya i ugania się po morzu za jakąś wielką rybą, kładąc nam na siebie czekać. Nie wiem, czy powinienem się czuć urażony, czy uznać całą tę sytuację za najkosztowniejszy darmowy upominek świata. Jak na razie postanowiłem przyjąć drugą wersję i skoncentrować się na pożytecznych hiperaktywnych rzeczach, jak opalanie się i odsypianie. Możesz do mnie zadzwonić bezpośrednio pod numer 0704 555 8660, jeżeli będziesz miała chwilkę czasu. Znając ciebie, jestem pewien, że opracowałaś już strategię, która wyciągnie cię z tego małego kryzysu. W końcu jesteś mądrzejsza niż najmądrzejsi ludzie.*

Kocham cię i bardzo chciałbym, żebyś tu ze mną teraz była.

David

Wysłałem e-mail, a potem zadzwoniłem do córki w Sausalito. Odebrała moja była żona. Była jak zwykle nadzwyczaj miła.

- O, to ty - rzuciła obojętnie.
- Tak, to ja. Jak się miewasz?
- Co cię to obchodzi?
- Posłuchaj, Lucy. Nie winię cię za to, że nadal jesteś na mnie zła, ale... nie sądzisz, że wszystko ma swoje granice?
- Nie. Poza tym nie lubię się spoufalać z dupkami.
- Dobrze, dobrze, niech ci będzie. Rozmowa skończona. Czy mogę rozmawiać z moją córką?
- Nie, nie możesz.

- A to dlaczego?
- Ponieważ jest środa wieczorem i gdybyś był odpowiedzialnym rodzicem, wiedziałbyś, że w środy wieczorem twoja córka ma lekcje baletu.
- Jestem odpowiedzialnym rodzicem.
- Nie zamierzam z tobą na ten temat dyskutować.
- Nie ma sprawy. Podam ci numer, pod którym można mnie złapać. Jestem na Karaibach...
- Proszę, proszę, jak ty rozpieszczasz tę princetonską dziwkę...
- Zacisnąłem dłoń na słuchawce.
- Nie zamierzam dać ci satysfakcji, reagując w jakikolwiek sposób na to stwierdzenie. Jeżeli jednak chcesz znać prawdę...
- Niezbyt.
- W takim razie zapisz numer mojego telefonu i poproś Caitlin, żeby do mnie zadzwoniła.
- Dlaczego ma do ciebie dzwonić, skoro masz się z nią zobaczyć pojutrze?
- Mój niepokój, i tak już dość rozbudzony ową miłą rozmową od serca, zwiększył się teraz dwukrotnie.
- O czym ty mówisz? - spytałem. - Przecież następną wizytę mam dopiero w piątek za dwa tygodnie.
- Och, nie mów mi, że zapomniałeś...
- O czym?
- O tym, że, zgodnie z naszą umową, miałeś zabrać do siebie Caitlin na ten weekend, ponieważ muszę jechać na konferencję...
- O cholera. Niech to wszyscy diabli. Lucy miała rację. To nie skończy się dobrze.
- Zaraz, chwileczkę... kiedy o tym rozmawialiśmy? Sześć, osiem tygodni temu?
- Przestań mi tu wciskać bajeczkę o amnezji pod tytułem „to było tak dawno temu”.
- Ale to prawda.
- Gówno prawda.
- Co mogę powiedzieć? *Mea maxima culpa*.

- Nie przyjmuję tego do wiadomości. Umowa to umowa. Masz trzydzieści sześć godzin na powrót.

- Przykro mi, ale to niemożliwe.

- Davidzie, będziesz tutaj, tak jak się umawialiśmy.

- Chciałbym, ale...

- Nie zaczynaj ze mną...

- Jestem ponad osiem tysięcy kilometrów od Sausalito. Mam tu sprawę do załatwienia. Nie mogę wyjechać.

- Jeżeli tego nie zrobisz...

- Jestem pewien, że możesz poprosić swoją siostrę, żeby przyleciała z Portland, albo wynająć nianię na weekend. Zapłacę za wszystko.

- Naprawdę jesteś najbardziej egoistyczną świnią w historii wszechświata.

- Masz prawo do swoich opinii, Lucy. A teraz podam ci mój numer telefonu.

- Nie chcemy twojego numeru telefonu. Nie sądzę, żeby po czymś takim Caitlin w ogóle życzyła sobie jeszcze kiedykolwiek z tobą rozmawiać.

- O tym zadecyduje ona.

- Zniszczyłeś jej poczucie bezpieczeństwa, kiedy nas porzuciłeś. Przymierzam ci, że kiedyś cię za to znienawidzi.

Nie odpowiedziałem nic, siedziałem tylko ze słuchawką w trzęsącej się dłoni. Wreszcie Lucy podjęła:

- Zapłacisz mi za to, zobaczysz - i rozłączyła się.

Odłożyłem słuchawkę i schowałem twarz w dłoniach. Po czułem mdłą falę wyrzutów sumienia.

Nadal jednak nie zamierzałem pędzić przez cały kontynent po to tylko, żeby Lucy mogła pojechać na jednoipółdniową konferencję. Tak, przyznaję, wyleciało mi to z głowy, ale, Chryste, przecież powiedziała mi o tym przeszło dwa miesiące temu. Poza tym nigdy nie zapomniałem o żadnej wizycie u Caitlin. Wręcz przeciwnie, mała chciała spędzać więcej czasu w LA z Sally i ze mną. Tyle na temat „nie sądzę, żeby po czymś takim w ogóle chciała z tobą rozmawiać” i tym podobnych bzdur. Lucy nie znała umiaru w wylewaniu swoich żalów i uraz. Jej zdaniem byłem złym człowiekiem. Ja zaś uważałem,

że choć decydując się na rozwód, zachowałem się jak egoista, moja żona nigdy nie była w stanie spojrzeć na swoje słabostki, które przyczyniły się do osłabienia fundamentów naszego małżeństwa i doprowadziły do jego tak fatalnego upadku (a przynajmniej tak powiedział mi psychoterapeuta, do którego chodziłem w trakcie rozwodu).

Znów rozległo się pukanie. Zawołałem: „proszę wejść”. W pokoju pojawiła się Meg, pchając przed sobą elegancki stolik z nierdzewnej stali. Zszedłem do salonu. Mojemu tuzinowi ostryg towarzyszył koszyk ciemnego pieczywa i mała zielona sałatka. W pleksi-glasowym schładzacz do wina stała butelka gewürztraminera.

- Proszę bardzo, pana posiłek - rzuciła Meg. - Może podam go panu na werandzie? Będzie pan mógł obserwować zachód słońca.

- Brzmi nieźle.

Otworzyła francuskie drzwi prowadzące z salonu na zewnątrz. Wpatrzyłem się w ogromne pomarańczowe słońce rozplywające się i znikające powoli w pociemniałych wodach Morza Karaibskiego.

Padłem na fotel i spróbowałem odsunąć od siebie emocje, które obudziły się we mnie za sprawą rozmowy z Lucy. Chyba emanowało ze mnie zdenerwowanie, ponieważ gdy tylko Meg skończyła zastawiać stolik, powiedziała:

- Chyba potrzebny panu łyk czegoś mocniejszego.

- Masz absolutną rację.

Meg otworzyła wino.

- Co porabia pan Barra? - spytałem.

- Cały czas rozmawia przez telefon. Strasznie przy tym krzyczy.

- Proszę mu powiedzieć, że zamierzam się wcześniej położyć - stwierdziłem bowiem, że nie zniosę już dzisiaj kolejnej dawki Bobby'ego.

- Nie ma sprawy.

Meg naląła nieco wina do wysokiego kieliszka.

- Proszę spróbować.

Uniosłem kieliszek i wykonałem wszystkie standardowe czynności, jakie czyni się podczas smakowania wina. Kiedy malutka kropla trunku opadła na mój język, poczułem coś w rodzaju ekskluzywnego kopnięcia prądem. Wino było wyśmienite.

- Jest świetne - skomentowałem.

I powinno być za dwieście siedemdziesiąt pięć dolarów, pomyślałem.

- Cieszę się, że panu smakuje - napełniła kieliszek. - Czy mogę panu służyć czymś jeszcze?

- Chyba już nie... i dziękuję za wszystko.

- „Wszystko” jest wliczone w usługę. Proszę zadzwonić, jeżeli będzie pan czegoś potrzebował.

- Rozpieszcza mnie pani.

- Taki mam zamiar.

Uniosłem kieliszek i spojrzałem na zachodzące słońce. Zaczepnąłem powietrza i uchwyciłem ów charakterystyczny zapach uroczynu i eukaliptusa, obwieszczający bliskość tropików. Upiłem nieco absurdalnie drogiego i absurdalnie smakowitego wina i powiedziałem:

- Wie pani co? Mógłbym się do tego przyzwyczaić.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Spałem jak zabity i obudziłem się z tą przedziwną euforią, jaką odczuwa się po dziewięciu godzinach nieprzerwanego wypoczynku. Oparłem się wyżej na poduszkach i nagle zdałem sobie sprawę, jak bardzo spięty byłem od chwili, gdy odszedłem od Lucy, z powodu kataklizmów, które po tym nastąpiły. Sukces teoretycznie powinien uczynić życie prostszym, tymczasem nieuchronnie je komplikował. Zaczynałem wierzyć, że w naturze ludzkiej leży pragnienie problemów, intryg i nowych zmaganiań o odniesienie jeszcze większego sukcesu. Kiedy osiągamy to, czego zawsze pragnęliśmy, nagle odkrywamy w sobie nowe potrzeby, świeże poczucie braku. Mozolimy się więc dalej w poszukiwaniu spełnienia, zmiany życia, w nadziei, że tym razem poczucie pełni i zaspokojenia pozostanie z nami na zawsze... nawet za cenę zniszczenia wszystkiego, na co do tej pory pracowaliśmy w pocie czoła.

Potem jednak, kiedy wkraczamy na nowe wyżyny osiągnięć, zaczynamy się zastanawiać, czy jesteśmy w stanie utrzymać to wszystko? Czy nie stracimy tego, co ostatnio zyskaliśmy, albo, co gorsza, czy nie znuży nas to, co mamy? Czy koniec końców nie odkryjemy, że to, co kiedyś posiadaliśmy, jest dokładnie tym, czego pragnęliśmy przez całe życie?

Wyrwałem się z melancholijnego nastroju, przypominając sobie słowa znanego i lubianego w Hollywood Marka Aureliusza. Wszystko się zmienia. Większość znanych mi ludzi (zwłaszcza pisarzy) sprzedałaby własną matkę, żeby osiągnąć pozycję, jaką mam obecnie. Zwłaszcza że mogłem jednym przyciśnięciem guzika podnieść

zasłony, za którymi skrzył się lazuruowy karaibski poranek, albo zamówić przez telefon, co tylko mi się zamarzyło.

Dowiedziałem się również ku swemu zadowoleniu, że Bobby Barra niespodziewanie acz pospiesznie opuścił wyspę. Znalazłem ową informację w postaci listu wsuniętego pod drzwi wejściowe, po tym jak wreszcie wygrzebałem się z łóżka, żeby skorzystać z toalety. Otworzyłem kopertę i odczytałem naskrobany przez Bobby'ego liścik:

Cześć dupku,

miałem do ciebie zadzwonić wczoraj w nocy, ale Meg powiedziała, że położyłeś się już do łóżeczka ze swoim pluszowym miśkiem. W każdym razie pięć minut po naszym przyjeździe dostałem wiadomość z Wall Street, że prezes pewnej nowej firmy produkującej broń, która miała wejść na rynek w przyszłym tygodniu, został właśnie oskarżony przez federalniaków o wszystko: począwszy od defraudacji i matactwa, po sodomizowanie jamnika. Oczywiście mieliśmy jakieś 30 milionów postawione na to wejście i teraz muszę lecieć do Nowego Jorku i zabawić się w zbawiciela, zanim wszystko się rozpieprzy w drobny mak.

Oznacza to oczywiście, że ominie cię przyjemność obcowania ze mną przez kilka kolejnych dni. Na pewno jesteś załamany, osamotniony i szykujesz się właśnie do otwarcia butelki szampna z tej okazji. Trochę sobie daliśmy popalić w tym tygodniu. Oczywiście to twoja wina. Mam mimo wszystko nadzieję, że nadal jesteśmy przyjaciółmi.

Baw się dobrze na wyspie. Jeżeli nie wykorzystasz tej okazji, jesteś kompletnym idiotą. Postaram się wrócić za kilka dni. Miejmy nadzieję, że do tego czasu pojawi się Jego Eminencja ze swoją wielką płotką.

Wyłuzuj się. Naprawdę wyglądałeś tragicznie. Mam nadzieję, że po kilku dniach na słońcu będziesz mniej odpychający.

Do zobaczenia

Bobby

Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu. Bobby naprawdę wiedział, jak zagadać do swoich przyjaciół właśnie wtedy, kiedy zamierzali zerwać z nim stosunki.

Meg tymczasem przyniosła śniadanie, wraz z butelką cristala z 1991 roku.

- Niech pan wypije tyle, ile chce - powiedziała, nakrywając do stołu na werandzie.

Zaserwowałem sobie więc dwa kieliszki, pochłaniając przy tym półmisek tropikalnych owoców, egzotycznych babeczek i mocnej kawy. Towarzyszyły mi przy tym dźwięki *Suity lirycznej* Griega, dochodzące z głośnika dyskretnie wbudowanego w ścianę werandy. Słońce grzało już z pełną mocą. Termometr wskazywał dwadzieścia dziewięć stopni Celsjusza i poza szybkim sprawdzeniem e-maili nie miałem dzisiaj nic w planach, tylko plażę.

Wkrótce pożałowałem swojej decyzji połączenia się z pocztą elektroniczną. Wiadomości, które czekały na mnie w cyberprzestrzeni, nie były zbyt radosne. Najpierw odczytałem ostry w tonie list od Sally:

Davidzie,

jestem zaskoczona i zraniona twoim określeniem mojej obecnej zagmatwanej sytuacji mianem „małego kryzysu”. Walczę teraz o swoją karierę zawodową i bardziej niż kiedykolwiek potrzebuję twojego wsparcia. Zamiast mi go udzielić, zachowałeś się protekcyjnie, czym ogromnie mnie rozczarowałeś, akurat wtedy, gdy tak bardzo potrzebowałam zapewnienia, że wierzysz we mnie i kochasz mnie bez względu na okoliczności.

Dziś rano muszę lecieć do Nowego Jorku. Nie próbuj do mnie dzwonić, ale koniecznie napisz. Chcę wierzyć, że był to po prostu niefortunny wyskok z twojej strony.

Sally

Przeczytałem list dwa razy, zdumiony jej kompletnym niezrozumieniem moich słów. Wszedłem do foldera z wysłanymi e-mailami

i przejrzałem jeszcze raz mój wczorajszy list, usiłując zrozumieć, jak, do cholery, mogła się poczuć nim urażona. Przecież napisałem:

Znając ciebie, jestem pewien, że opracowałaś już strategię, która wyciągnie cię z tego małego kryzysu. W końcu jesteś mądrzejsza niż najmądrzejsi ludzie.

Ach, rozumiem. Nie spodobało jej się, że określiłem jej walną rozprawę jako „mały kryzys”, chociaż przecież chciałem w ten sposób pokazać, że patrząc z perspektywy, diabeł okaże się wreszcie nie taki znowu straszny.

Chryste! I kto tu jest nadwrażliwy.

Wiedziałem jednak, że w tej sytuacji nie mogę wygrać. Do tej pory nasz związek był wolny od nieporozumień i nie chciałem, aby się teraz pojawiły. Wiedziałem, że gdybym napisał: „kompletnie nie rozumiałaś moich intencji”, Sally nie przyjęłaby tego dobrze. Zdecydowałem, że najlepiej będzie, jeżeli nie będę o to kruszył kopii. Wieloletnie małżeństwo nauczyło mnie jednej rzeczy: jeżeli chcesz osłodzić atmosferę po kłótni, najlepiej przyznaj się do winy... nawet jeżeli uważasz, że miałaś rację.

Kliknąłem na przycisk „reply” i napisałem:

Kochanie,

za nic w świecie nie chciałem cię zdenerwować. Ostatnią rzeczą, która przyszlaby mi do głowy jest to, że twoja praca jest nieważna. Chciałem w ten sposób powiedzieć, że jesteś tak genialna, iż cokolwiek teraz zrobisz, aby zażegnać ten kryzys, który obecnie wydaje się poważny, w przyszłości uznasz za „mały”, ponieważ z łatwością sobie z nim poradzisz. Przepraszam, że nie wyraziłem swoich uczuć wystarczająco jasno. Zdaję sobie sprawę, że cię zraniłem, i czuję się z tego powodu okropnie.

Naprawdę uważam, że jesteś wspaniała. Wiesz, że masz moje całkowite poparcie we wszystkim, co robisz.

Kocham cię i cholernie mi przykro, że mój niewłaściwy dobór słów wywołał to nieporozumienie. Proszę, wybacz mi.

Kocham cię David

No dobrze, może trochę się przed nią płaszczęłem, ale wiedziałem, że chociaż Sally to twarda profesjonalistka, prywatnie była bardzo niepewną siebie osobą i trzeba ją stale utwierdzać w tym, że jest wspaniała. Poza tym na tak wczesnym etapie należało przede wszystkim dbać o stabilność związku. Powtórzyłem mantrę z kilku ostatnich dni: Sally żyje teraz pod ogromną presją. Gdybym spytał ją o godzinę, najprawdopodobniej źle by mnie zrozumiała. Kiedy wszystko się ułoży, ona również się uspokoi.

A przynajmniej taką miałem nadzieję.

Wysłałem odpowiedź i zabrałem się do czytania kolejnego listu, od Lucy. Był typowym przykładem wypowiedzi w stylu: „Nienawidzę cię, a ten list nie będzie miły”.

Davidzie,

zapewne ucieszysz się, słysząc, iż Caitlin potwornie się popłakała na wiadomość, że nie pojawisz się w ten weekend. Gratuluję. Kolejny raz zламаłeś jej serce. Udało mi się uprosić Marge, żeby przyleciała tu z Portland i zajęła się Caitlin przez te dwa dni, kiedy mnie nie będzie. Niestety, zostały już tylko bilety na pierwszą klasę, a poza tym Marge musiała oddać Dido i Eneasza do miejscowej kociarni na weekend. Wszystko razem kosztowało 803,45 dolarów. Oczekuję czeku od ciebie, i to natychmiast.

Uważam, że twoje zachowanie w tej sytuacji doskonale odzwierciedla wszystko, co o tobie myślałam od czasu, kiedy zapoznałeś się z dziewczką zwaną sukcesem: jedyną rzeczą, która motywuje cię do działania, jest twój zysk. To, co powiedziałam wczoraj wieczorem przez telefon, nadal obowiązuje. Zapłacisz mi za to.

Lucy

Natychmiast chwyciłem za telefon i wystukałem numer. Spojrzałem na zegarek. Na wyspach była 10:14, na wybrzeżu 7:14. Przy odrobinie szczęścia Caitlin jeszcze nie wyszła do szkoły.

Udało się. W dodatku moja córka odebrała osobiście. Wydawała się niezwykle uradowana, słysząc mój głos.

- Tatusi! - wykrzyknęła.
- Hej, słoneczko. Wszystko w porządku?
- Będę grała aniołka w szkolnym przedstawieniu wielkanocnym.

- Dla mnie już jesteś aniołkiem.
- Nie jestem aniołkiem, tylko Caitlin Armitage.

Roześmiałem się.

- Przepraszam, że nie mogłem przyjechać w ten weekend.
- Ale przecież ciocia Marge przyjeżdża, żeby ze mną pomieszkać. Tylko musiała zostawić koty w kocim hotelu.

- Czyli nie jesteś na mnie zła?
- Przecież przyjedziesz w przyszłym tygodniu, tak?
- Na pewno, Caitlin. Przyrzekam.
- I będę mogła z tobą zamieszkać w hotelu?
- Oczywiście. Będziemy robić to, co sobie zamarysz.
- I przywieziesz mi prezent?
- Obiecuję. A teraz czy mogę porozmawiać z mamą?
- Dobra... ale nie będziecie się kłócić, prawda?

Wciągnąłem powietrze ze świstem.

- Postaramy się, kochanie.
- Tęsknię za tobą, tato.
- Ja też za tobą tęsknię.

Nastąpiła przerwa, a potem usłyszałem trzaski towarzyszące przekazywaniu słuchawki. Zapadła długa cisza, po czym wreszcie po drugiej stronie odezwała się Lucy:

- O czym chcesz rozmawiać?
- Caitlin rzeczywiście wygląda na totalnie załamana, Lucy.
- Nie mam ci nic do powiedzenia...
- Nie ma sprawy. Ja też nie mam ochoty z tobą rozmawiać, ale nie próbuj więcej kłamać na temat stanu emocjonalnego mojej

córki. Ostrzegam cię, jeżeli będziesz próbowała zwrócić ją przeciwko mnie...

Lucy odłożyła z hukiem słuchawkę. Tyle na temat dojrzałej, odpowiedzialnej konwersacji dwojga dorosłych ludzi. Przynajmniej jednak poczułem ulgę, że Caitlin aż tak bardzo się nie przejęła.

Ciocia Marge i jej ośmiusetdolarowa taryfa za opiekę była zupełnie inną sprawą. Marge to nawiedzony tłuscioch, mieszkający samotnie w jednopokojowej aśramie z ukochanymi kotami, kryształami i nagraniem beczenia nepalskich kóz. Przyznaję, miała dobre serce i uwielbiała swoją siostrzenicę, co mnie niezwykle cieszyło. Niemniej przetransportowanie jej rozmiaru czterdzieści dwa do San Francisco za osiemset dolców... nie wspominając o pięciogwiazdkowym hotelu dla bezcennych kocich przyjaciół (kto do diabła nazywa koty Dido i Eneasz?), to chyba za wiele. Wiedziałem jednak, że chcąc nie chcąc będę musiał wybulić kasę, tak jak byłem pewny, że swamin * Indyjski asceta należący do któregoś z zakonów religijnych. Marge schowa do kieszeni przynajmniej połowę sumy. Nie zamierzałem się jednak kłócić. I tak w zasadzie wygrałem tę sprzeczkę z Lucy. Słowa Caitlin, że za mną tęskni, wypłukały cały narosły we mnie dzisiejszego poranka gniew i wprowadziły w dobry nastrój.

Chwyciłem słuchawkę i poprosiłem o dzisiejszą gazetę, jeżeli takowa jest dostępna. Usłyszałem, że „New York Times” właśnie został dostarczony na wyspę helikopterem.

- Proszę mi przysłać egzemplarz do pokoju.

Włączyłem interaktywny ekran i przeszukałem zbiór nagrań. Wybrałem koncerty fortepianowe Mozarta. Przybyła gazeta. Meg rozłożyła na werandzie leżak, zniknęła w łazience i za chwilę pojawiła się znowu z sześcioma kremami z filtrem UV różnych firm. Dolała mi szampana i spytała, kiedy chcę zjeść lunch.

Przeczytałem gazetę, posłuchałem Mozarta i trochę się powylegiwałem na słońcu. Po godzinie zdecydowałem, że czas na kąpiel. Chwyciłem za słuchawkę. Odebrał Gary.

- Witam, panie Armitage. Dobrze się pan bawi w naszym rajku?
- Całkiem nieźle. Zastanawiałem się, czy macie tu jakieś wyznaczone miejsce do pływania. To znaczy poza basenem.
- Jest tu bardzo przyjemna mała plaża, ale jeśli miałby pan ochotę na nurkowanie z rurką...

Dwadzieścia minut później siedziałem już na pokładzie „Truffaut” (zgadza się, dokładnie jak ten francuski reżyser) - dwunastometrowego jachtu motorowego z pięcioosobową załogą. Po około trzydziestu minutach dotarliśmy do rafy koralowej w pobliżu archipelagu małuteńkich wysepek. Dwóch członków załogi pomogło mi włożyć piankę („dzisiaj woda jest nieco chłodnawa”, wyjaśnił jeden z nich) i zaopatrzyło mnie w płetwy, maskę oraz rurkę. Jeden z ratowników ubrał się w kompletny strój nurka.

- Dennis oprowadzi pana po rafie - wyjaśnił Gary.
- Dziękuję, ale to naprawdę niepotrzebne - odparłem.
- Pan Fleck nalega, żeby towarzyszyć gościom podczas kąpieli w morzu. Poza tym wszystko jest wliczone w usługę.

Było to wyrażenie, które słyszałem tu co pięć minut. Wliczone w usługę. Prywatna wycieczka po rafie z przewodnikiem była wliczona w usługę. Załoga łodzi motorowej na mój wyłączny użytek była wliczona w usługę - podobnie jak homar, którego zaserwowano mi (i tylko mi) na pokładzie wraz z chablis *premier cru*. Po południu, po powrocie na ląd, kiedy spytałem, czy mają pod ręką aktualne wydanie „New Yorkera”, wysłali helikopter na Antiguę, żeby kupić dla mnie egzemplarz, pomimo że bezskutecznie usiłowałem przekonać ich, aby nie zadawali sobie tyle trudu, a przede wszystkim nie wydawali takiej fortuny z powodu jednego przekłętego magazynu. Znowu jednak usłyszałem, że jest to wliczone w usługę.

Wróciłem do pokoju. Zadzwoił do mnie Lawrence, nasz miejscowy szef kuchni. Zapytał, co chciałbym zjeść na obiad. Kiedy poprosiłem o jakiegokolwiek sugestie, odparł:

- Cokolwiek sobie pan zażyczy.
- Cokolwiek?
- W zasadzie tak.
- Niech pan coś zaproponuje.
- Cóż, moją specjalnością jest kuchnia z regionu Pacyfiku. Ponieważ zaś mamy dostęp do świeżych ryb...
- Zostawiam wybór panu.

Kilka minut później zadzwoniła do mnie Joan. Miała około tuzina pytań dotyczących moich tragicznie nabazgranych notatek. Przeszliśmy przez wszystkie po kolei. Na końcu powiedziała, że scenariusz będzie przepisany do jutra w południe, ponieważ pan Fleck zamierza pojawić się na wyspie pod wieczór. Słyszał o wprowadzonych przeze mnie poprawkach i natychmiast zażyczył sobie przeczytać nową wersję.

- Ale przecież będzie pani musiała spędzić nad tym połowę nocy.

- Wszystko jest wliczone w usługę - odparła. Dodała, iż jeżeli się zgodzę, dostarczy mi nową wersję scenariusza jutro wraz ze śniadaniem. Gdybym mógł ją przeczytać, zdąży jeszcze wprowadzić przed południem ewentualne poprawki.

Wyciągnąłem się na łóżku i zasnąłem. Obudziłem się po godzinie i znalazłem pod drzwiami liścik.

*Drogi panie Armitage,
nie chcieliśmy przerywać panu drzemki, ale przed drzwiami znajdzie pan egzemplarz „New Yorkera” oraz katalog filmów dostępnych na wyspie. Pomyśleliśmy, że być może miałby pan ochotę na seans dziś wieczorem. Jeżeli tak, proszę do mnie zadzwonić pod wewnętrzny numer 16. Również jeśli nie sprawi to panu trudu, proszę się skontaktować z Claudem, naszym sommelierem. Chciałby z panem przedyskutować wybór win do dzisiejszego obiadu. Przy okazji będzie mu pan mógł powiedzieć, o której życzy pan sobie zjeść. Kuchnia może się pod tym względem całkowicie do pana dostosować, proszę ich tylko powiadomić o swojej decyzji.*

Jeszcze raz pragnę wyrazić nasze wielkie zadowolenie z tego, że gościmy pana na wyspie. Tak jak wspominałem wczoraj, mam nadzieję, że spotkamy się w sali kinowej...

*Serdecznie pozdrawiam
Chuck*

Otworzyłem drzwi i zgarnąłem z podłogi katalog oraz egzemplarz „New Yorkera”, który przetransportowano tu drogą powietrzną na moje życzenie. Rzuciłem się z powrotem na łóżko, zastanawiając się, skąd wiedzieli, że śpię i dlatego nie powinni mi przeszkadzać. Czyżby pokój był na podsłuchu i podglądzie? Zamontowano tu jakieś ukryte kamery, czy zaczynałem mieć paranoję? Przecież mogli domyślić się, że po wyczerpującym dniu na słońcu poczułem się znużony i potrzebowałem małej sjesty? Może przesadnie reagowałem z powodu nadmiaru uwagi, którą tu mieli dla mnie.

Nagle przypomniała mi się stara literacka anegdota: Hemingway i Fitzgerald siedzą w kawiarni paryskiej, przyglądając się grupce elegancików przechadzających się mimo.

- Wiesz co, Ernest? - rzuca Fitzgerald głośno. - Bogacze różnią się bardzo od nas obu.

- Tak, wiem. Mają więcej pieniędzy - odpowiada Hemingway.

Zdałem sobie teraz sprawę, że tym, co owi bogacze dostawali za swoje pieniądze, był swoisty *cordon sanitaire* * Kordon sanitarny - linia kwarantanny (fr.), pozwalający na pozbycie się wszystkich uciążliwych, prozaicznych, przyziemnych spraw, z którymi reszta świata musiała się zmagać dzień w dzień. Oczywiście pieniądze dawały również władzę, ale ostatecznie i tak przejawiała się ona w tym, do jakiego stopnia można było się odseparować od sposobu życia innych. Dwadzieścia miliardów. Nadal usiłowałem oswoić się z ogromem owej sumy... oraz z faktem, iż (jak nie omieszkał poinformować mnie Bobby) tygodniowe odsetki z fortuny Flecka wynosiły około dwóch milionów - już po opodatkowaniu. Nie obracając nawet jednym grosikiem, Fleck zarabiał netto sto milionów rocznie.

Czysty absurd. Dwa miliony tygodniówki. Czy pamiętał jeszcze, jak to jest martwić się o czynsz? Albo o to, czy wystarczy na rachunek telefoniczny? Jak to jest męczyć się z dziesięcioletnim rozpadającym się samochodem, w którym działają tylko trzy biegi, ponieważ nie stać cię na naprawę?

Czy Fleck miał jeszcze jakieś ambicje... skoro zdobył wszystko, o czym mógłby zamarzyć? W jaki sposób brak potrzeb materialnych zmienia spojrzenie na życie? Czy człowiek zaczyna się wtedy koncentrować na bardziej intelektualnych sprawach, pragnie zostać myślicielem i popełniać niezwykle czyny? Może zmienia się we współczesnego króla filozofów, księcia Medici? A może staje się papieżem Borgią?

Czułem się rozpieszczony zaledwie po jednym dniu spędzonym na wyspie Flecka. W dodatku muszę przyznać bez bicia, że bardzo mi się to spodobało. Zaczęła wychodzić na wierzch moja ukryta potrzeba aplauzu i szybko zaakceptowałem ideę, że cała obsługa owej wyspy zrobi absolutnie wszystko, czego zażądam. Na łodzi Gary powiedział mi, że jeśli chciałbym się wybrać na jeden dzień na Antiguę, z przyjemnością zaaranżuje dla mnie podróż helikoptrem. Jeżeli zaś chciałbym polecieć gdzieś dalej, gulfstream jest w stałej gotowości na lotnisku na Antigui i może zostać uruchomiony, kiedy tylko sobie zażyczę.

- To bardzo miłe z waszej strony, ale chyba po prostu zostanę na miejscu i wyluzuję się trochę.

Co też zrobiłem. Tego wieczoru szef kuchni przygotował dla mnie doskonałą *boullabaisse* w stylu kuchni rejonu Pacyfiku, któremu towarzyszyło równie fantastyczne chardonnay au bon climat. Po obiedzie usiadłem samotnie w sali kinowej i obejrzałem dwa klasyki Fritza Langa *Ponad wszelką wątpliwość* i *Wielki upał*. Zamiast popcornu i coli podjadałem belgijskie czekoladki i popijałem bas armagnac z 1985 roku, od czasu do czasu dyskretnie podsuwane mi na tacy przez Meg. Po wszystkim w sali pojawił się Chuck i zaczął nawijać o hollywoodzkich przygodach Fritza Langa. Wiedział

tyłe rzeczy związanych z filmem, że poprosiłem, aby przyłączył się do konsumpcji armagnacu i opowiedział więcej o sobie. Okazało się, że poznał Philipa Flecka, kiedy obaj studiowali na uniwersytecie nowojorskim w latach siedemdziesiątych.

- Było to na długo, zanim stał się bogaty. Fakt, jego tata miał fabrykę opakowań w Wisconsin, ale tak poza tym Phil był zwyczajnym facetem, który chciał zostać reżyserem. Mieszkał w odrapanym apartamencie na rogu Jedenastej i Pierwszej. Cały wolny czas spędzał w kinie na Bleecker Street, w Thalii, New Yorkerze lub jednym z już dawno nieistniejących kin na Manhattanie, w których wyświetlano stare filmy. W ten sposób zostaliśmy przyjaciółmi. Ciągle wpadaliśmy na siebie w tych spelunach i uważaliśmy, że obejrzenie czterech filmów dziennie to betka. W każdym razie Phil zawsze chciał zostać wpływowym reżyserem, podczas gdy ja marzyłem o własnym kinie i może od czasu do czasu o zamówieniu na artykuł do jakiegoś ekskluzywnego europejskiego magazynu filmowego, jak „Sight and Sound” albo „Cahiers du Cinema”. Potem, kiedy byliśmy na drugim roku, zmarł tata Phila i ten musiał wrócić do Milwaukee, żeby przejąć rodzinny interes. Straciliśmy ze sobą kontakt, ale wiedziałem, co się z nim dzieje, bo kiedy zarobił pierwszy milion na IPO swojej firmy, pisano o tym we wszystkich gazetach. Później, kiedy zrobił kilka nader udanych inwestycji i stał się... Philipem Fleckiem... nie mogłem się z tym pogodzić. Mój stary dobry kumpel nagle został multimiliarderem. Potem, pewnego dnia, ni stąd, ni zowąd, zadzwonił. Osobiście. Wytropił mnie w Austin, gdzie pracowałem jako asystent archiwisty filmowego w U Texas. Nie była to zła praca, chociaż zarabiałem tylko dwadzieścia siedem tysięcy rocznie. Nie mogłem uwierzyć, że słyszę Phila. „Jak mnie znalazłeś”, spytałem. „Zatrudniłem do tego ludzi”, odparł na to. Potem przeszedł do rzeczy. Planował stworzyć własne archiwum filmowe... największe prywatne archiwum w Ameryce... i chciał, żebym je prowadził. Zgodziłem się, nawet zanim powiedział, ile chce mi zapłacić.

To była życiowa szansa, stworzyć fantastyczny zbiór... w dodatku dla jednego z moich najlepszych przyjaciół.

- Czyli teraz podążasz za nim, gdziekolwiek się uda?
- Zgadłeś, przyjacielu. Główny zbiór jest w magazynie niedaleko jego rezydencji w San Francisco, ale mamy podkatalogi w każdym z domów Phila. Jestem szefem pięcioosobowej grupy ludzi, którzy prowadzą główne archiwum, ale wszędzie podróżują z Philem, żeby służyć mu w każdej chwili swoją ekspertyzą. On traktuje filmy bardzo poważnie.

Nie wątpię. Trzeba być totalnym maniakiem filmowym, żeby zatrudnić prywatnego archiwistę, który zawsze jest pod ręką na wypadek, kiedy nagle w środku nocy zapragnie się obejrzieć jakiś wczesny film Antonioniego albo porozmawiać o einsteinowskiej teorii montażu, czekając na zachód słońca na Wyspie Szafranowej.

- Wygląda, że to fantastyczna praca - stwierdziłem.
- Najlepsza na świecie - odparł Chuck.

Znów przespałem bez problemów kolejną noc. Był to znak, że już po jednym dniu spędzonym tutaj naprawdę zaczynałem się relaksować. Nie nastawiłem budzika ani nie zamówiłem budzenia. Wstałem wtedy, kiedy chciałem - znowu około jedenastej - i odkryłem kolejny liścik wsunięty pod drzwi.

*Drogi panie Armitage,
mam nadzieję, że spał pan dobrze. Chciałem tylko poinformować pana, iż rozmawiałem dziś rano z panem Fleckiem. Przesyła panu pozdrowienia i przeprasza, że nie będzie go przez kolejne trzy dni. Wróci na pewno w poniedziałek rano i ma nadzieję, że będzie się pan do tej pory dobrze bawił na wyspie. Powiedział, że jeśli będzie się pan chciał gdziekolwiek wybrać w celach rekreacyjnych lub innych, mamy to panu umożliwić.*

Innymi słowy, panie Armitage, proszę do mnie po prostu zadzwonić. Jesteśmy na pana usługi.

Mam nadzieję, że spędzi pan dziś kolejny cudowny dzień w rajku.

*Serdecznie pozdrawiam
Gary*

Widocznie marliny brały i Philip Fleck zdecydował, że są ważniejsze niż ja. Z jakiegoś dziwnego powodu przestało mnie to obchodzić. Jeżeli chciał, żebym na niego zaczekał, to zaczekam.

Zanim zabrałem się do podjęcia niezwykle trudnej decyzji, co mam zamówić na śniadanie, przygotowałem się psychicznie do lektury dzisiejszej porcji e-maili. Poranne listy nie wywołały u mnie zdenerwowania. Wręcz przeciwnie, otrzymałem bardzo ugodową wiadomość od Sally:

Kochanie,

strasznie cię przepraszam. W całym tym zamieszaniu i wojnie zapomniałam, kto jest moim prawdziwym sprzymierzeńcem - do tego stopnia, że wszystko mnie denerwuje. Dziękuję ci za cudowny e-mail i jeszcze bardziej za zrozumienie.

Jestem w Nowym Jorku, zakwaterowana w Pierre... nie najgorszy adres, chyba się zgodzisz. Przyjechałam tu na żądanie Stu Barkera, który musiał się spotkać z jakimś grubymi rybami z centrali Foxa. Chciał, żebym mu towarzyszyła, aby przedyskutować planowaną rozkładówkę na jesień. W każdym razie polecieliśmy zwykłymi liniami lotniczymi (Stu bardzo mądrze nie chciał wyjść na zadufanego w sobie palanta, żądając dostępu do firmowego odrzutowca zaraz po tym, jak przejął pałeczkę po Levym). Przez całą drogę do Nowego Jorku był niezwykle czarujący. Kompletnie *volte face* * Nagła zmiana, zwrot w poglądach, obrót o 180 stopni (fr.).

Powiedział mi, że bardzo chce ze mną pracować, że potrzebuje mnie w swoim zespole i że powinniśmy zostawić za

sobą wszystkie lata wzajemnej wrogości. „Miałem zadrę z Levym, nie z tobą”, powiedział.

W każdym razie za kilka godzin jedziemy na ważne zebranie w centrali Foxa. Oczywiście mam tremę, ponieważ, co tu dużo kryć, muszę zabłysnąć przed moim nowym szefem i wszystkimi tymi grubymi rybami. Chciałabym, żebyś teraz był tu ze mną i mnie przytulił (nie wspominając o innych rzeczach... nie zamierzam jednak być nieprzyzwoita w cyberprzestrzeni). Postaram się zadzwonić później, ale chyba będziemy musieli lecieć z powrotem na Wybrzeże zaraz po zebraniu. Mam nadzieję, że opalasz się za nas dwoje. Wyspa Flecka wydaje się istnym rajem.

Kocham cię
Sally

Zdecydowana poprawa. Oczywiście nagłą poufalość Stu Barkera niewątpliwie pomogła wprowadzić ją w lepszy nastrój.

Nic tak nie poprawia humoru, jak przeprosiny ze strony ukochanej kobiety.

Czekały też na mnie kolejne dobre wieści. Kiedy czytałem list od Sally, na ekranie pojawiło się okienko obwieszczające nadejście nowej wiadomości. Przysłała ją Alison.

Cześć, superbohaterze,
mam nadzieję, że wylegujesz się teraz na słoneczku na jakimś egzotycznym karaibskim hamaku, całkowicie zrelaksowany. Mam dla ciebie dobre nowiny. Zostałeś nominowany do nagrody Emmy. Niech Bóg ma w opiece wszystkich, którzy będą od tej chwili musieli borykać się z twoim nadmiernie rozrośniętym ego (to żart).
Bardzo się cieszę z twojego sukcesu, Davidzie - również z przyczyn prywatnych, ponieważ wiem, że teraz mogę podnieść prowizję za zajmowanie się kolejną serią odcinków do dwudziestu pięciu procent, co, jeśli umiesz liczyć...

Cytując Króla Leara, dobra robota, bracie. Zabierzesz mnie jako osobę towarzyszącą na rozdanie nagród czy Sally będzie zbyt zazdrosna?

Uściski
Alison

Pod koniec dnia rozpywałem się od gratulacji, które otrzymałem z powodu nagrody Emmy. Brad Bruce zadzwonił do mnie na wyspę i powiedział, że cały zespół realizatorski *Sprzedając cię* był zachwycony wiadomością... mimo że wkurzyli się na ludzi od Emmy za to, że ominęli ich w nominacji. Szef działu komediowego FRT, Ned Sinclair, również zadzwonił, podobnie jak dwoje moich aktorów. Dostałem oprócz tego mnóstwo e-maili z gratulacjami od przyjaciół i współpracowników.

Najlepszym prezentem jednak był telefon od Sally, która wysłała na chwilę ze spotkania w Nowym Jorku specjalnie po to, żeby się ze mną skontaktować.

- W połowie zebrania asystentka jednego z miejscowych szefów przyniosła listę nominacji do nagród Emmy. Oczywiście wszystkie szyby zaraz się na nią rzuciły, żeby zobaczyć, ile przypadło naszej sieci. W którymś momencie jeden z nich spojrzął na mnie i spytał: „Czy David Armitage nie jest pani partnerem?”. A potem powiedział mi o tobie. O mały włos nie wrzasnęłam na głos z radości. Jestem z ciebie taka dumna. Muszę powiedzieć, że przy okazji od razu spojrzeli na mnie dużo przychylniejszym wzrokiem.

- Jak ci idzie?

- Nie mogę z tobą zbyt długo rozmawiać... ale krótko mówiąc, wygrywamy.

My? Miała na myśli siebie i uroczego Stu Barkera? Faceta, którego kiedyś nazwała Heinrichem Himmlerem komedii telewizyjnych?

- Wygląda na to, że bardzo się zaprzyjaźniliście - stwierdziłem.

- Nadal mu nie ufam - wyszeptęła. - Ale lepiej mieć go po swojej stronie niż przeciwko sobie, planującego atak nuklearny na moją

pozycję. W każdym razie nie chcę cię zanudzać wewnętrzną polityką firmy...

- Nigdy mnie nie zanudzasz, kochanie.
- A ty jesteś najcudowniejszym i najbardziej utalentowanym człowiekiem, który chodzi po tej ziemi.
- Teraz naprawdę przewróci mi się w głowie.
- I tak powinno być. Zaslugujesz na to.
- Posłuchaj, mój gospodarz nadal łowi ryby gdzieś na sąsiednich wyspach i nie wróci do poniedziałku. Dostałem carte blanche, więc mógłbym poprosić, żeby przetransportowali mnie gulfstreamem do Nowego Jorku, zabrać cię stamtąd i przywieźć tutaj.
- O Boże, chciałabym, kochanie... ale muszę wrócić do LA ze Stu. Powinnam teraz zacieśnić naszą więź. To dość krytyczny moment. Stu chce spotkać się ze mną w biurze w niedzielę. Planuje jakieś poważne zmiany.

- Rozumiem.
- Gdyby nie ten kryzys w pracy, wiesz, że byłabym z tobą teraz na wyspie.
- Naprawdę rozumiem.
- To dobrze. W każdym razie chciałam tylko powiedzieć, że to wspaniałe wieści... i że cię kocham... i że naprawdę muszę już wracać na zebranie. Zadzwoń mi jutro z domu.

Zanim miałem szansę się pożegnać, odłożyła słuchawkę. Pięciominutowe okienko z Sally dobiegło końca.

Moja niepewność wkrótce została przyćmiona kolejnym dniem, w którym byłem traktowany jak książkę i popijałem absurdalnie smakowitego morgona (rocznik 75), a także zafundowałem sobie podwójny seans filmowy (*As w potrzasku* Billy'ego Wildera i *Zabójstwo* Kubricka). Szef kuchni przygotował dla mnie również zaprojektowany przez siebie tort w kształcie nagrody Emmy.

- Skąd wiedzieliście o mojej nominacji? - spytałem Gary'ego, który przyniósł tort do sali kinowej w towarzystwie sześciorga ludzi z obsługi.

- Wiadomości szybko się rozchodzą.

Był to świat, w którym wszyscy wszystko o tobie wiedzieli, gdzie spełniano każde życzenie, żaden zaś drobiazg nie był poczytywany za nieistotny. Otrzymywałeś dokładnie to, czego zapragnąłeś i kiedy zapragnąłeś. Stawałeś się w końcu dwunożnym odpowiednikiem odklejonej siatkówki - ślepym na rzeczywistość świata zewnętrznego.

Nie to, że miałem coś przeciwko byciu turystą w owej niezwykłej krainie. Przysiągłem sobie nie pracować podczas pobytu na wyspie, kiedy jednak Joan przyniosła mi przepisany skrypt, nagle znalazłem się w hamaku na werandzie z czerwonym długopisem w dłoni. Nowa wersja była krótsza o osiem stron. Akcja toczyła się wartko i była dość porywająca, dialogi bardziej soczyste i mniej napuszone. Wątki zawiązywały się z łatwością, ale podczas drugiego czytania doszedłem do wniosku, że większość trzeciego aktu wydaje się sztuczna: przeprowadzenie kradzieży i sposób, w jaki wszyscy zamieszani w sprawę zwrócili się przeciwko sobie, był zbyt podręcznikowy. Podczas weekendu przepisałem więc ostatnie trzydzieści jeden stron, pracując jak wariat. Mimo cudownej pogody siedziałem zamknięty w pokoju przez cały czas, z wyjątkiem trzech godzin dziennie. Skończyłem o szóstej po południu w niedzielę. Joan pojawiła się wkrótce potem i odebrała ode mnie czterdzieści stron papieru kancelaryjnego, na którym napisałem nowy akt trzeci. Uczciłem ukończenie mojego dzieła łykiem szampana. Później wziąłem godzinną gorącą kąpiel zakończoną obiadem złożonym z kraba i pół butelki jakiegoś fantastycznego nowozelandzkiego wina Sauvignon Blanc. O dziesiątej pojawiła się Joan z maszynopisem nowej wersji.

- Dostanie je pani z powrotem do północy.
- Dziękuję, sir.

Dostarczyłem poprawki zgodnie z obietnicą, a potem padłem. Spałem do późna. Poprawiony maszynopis pojawił się wraz ze śniadaniem. Dołączona do niego była notka:

Właśnie rozmawialiśmy z panem Fleckiem. Otrzymał nową wersję scenariusza i zamierza ją przeczytać jak najszybciej. Niestety, nadal jest na morzu, ale wróci w

środe wieczorem. Nie może się doczekać spotkania z panem.

Na takie dictum zareagowałem najpierw myślą: pieprz się, stary. Nie zamierzam tu siedzieć i czekać, aż zaszczybisz mnie swoją obecnością. Zadzwoiłem na komórkę do Sally i powiedziałem jej, że Fleck denerwuje mnie, opóźniając swój powrót na wyspę.

- A czego się spodziewałeś? - spytała w odpowiedzi. - Facet może robić, co tylko chce, a ty musisz, niestety, tańczyć tak, jak ci zagra. W końcu jesteś tylko pisarzem...

- Wielkie dzięki.

- Daj spokój, wiesz dobrze, jak wygląda łańcuch pokarmowy. Facet może i jest amatorem, ale ma kupę pieniędzy, a to czyni go królem dżungli...

- Ja natomiast jestem tylko wyrobnikiem, tak?

- Słuchaj, jeżeli jesteś na niego tak wkurzony, okaż to. Zażądaj, żeby odwieziono cię gulfstreamem do LA... nie spodziewaj się jednak, że mnie tu zastaniesz przez kolejne trzy noce. Muszę złożyć wizytę u naszych wspólników w San Francisco, Portland i Seattle.

- Kiedy się o tym dowiedziałaś?

- Wczoraj wieczorem. Stu postanowił, że powinniśmy odbyć małą inspekcję naszych głównych rynków regionu Pacyfiku.

- Widzę, że naprawdę się do siebie zbliżyliście ze Stu.

- Chyba go do siebie przekonałam, jeśli to masz na myśli.

Nie, nie to miałem na myśli, ale nie chciałem drążyć tematu. Bałem się, że nawet przez telefon Sally dostrzeże, iż jestem zielony z zazdrości. Ona jednak wiedziała dokładnie, o czym mówię.

- Czyżbym wyczuwała zazdrość w twoim głosie? - spytała.

- Skądże znowu.

- Wiesz dobrze, dlaczego jestem taka miła dla tego człowieka, prawda?

- Oczywiście, oczywiście...

- Wiesz, że usiłuję utrzymać barbarzyńców z dala od bram miasta, prawda?
- Wiem...
- Powinieneś również wiedzieć, że jestem straszliwie zakochana w tobie i nigdy nawet bym nie śniła o...
- Dobrze już, dobrze. Przepraszam.
- Wybaczam - odparła sucho. - A teraz muszę iść na zebranie. Do usłyszenia - z tymi słowy rozłączyła się.

Idiota. Idiota. Cholerny idiota. Widzę, że naprawdę się do siebie zbliżyliście ze Stu. Doskonały komentarz. Teraz będę znowu się musiał czołgać i przymilać, żeby ją udobruchać.

Zadzwoiłem do Meg i poprosiłem o wysłanie bukietu kwiatów do LA. Powiedziała, że nie ma problemu. Nie, nie musiałem jej podawać numeru karty kredytowej.

- Z przyjemnością to za pana załatwimy.

Czy miałem jakieś preferencje? Nie, po prostu coś gustownego. Jakaś wiadomość na wizytówce? Musiałem wymyślić coś przymilnego, co by ją udobruchało, ale niezbyt poważnego. Zdecydowałem się na:

*Jesteś najlepszą rzeczą, jaka zdarzyła się w moim życiu.
Kocham cię.*

Meg zapewniła mnie, że kwiaty zostaną dostarczone do biura Sally w ciągu godziny. Rzeczywiście, półtorej godziny później dostałem e-mail od panny Birmingham:

*To właśnie nazywam przeprosinami w wielkim stylu.
Też cię kocham, ale spróbuj się trochę rozluźnić, dobrze?
Sally*

Postanowiłem pójść za jej radą. Zadzwoiłem do Gary'ego i zaplanowałem cały dzień pływania w okolicach pobliskiego archipelagu. Łódź Flecka wraz z załogą i kompletnym sprzętem do nurkowania (gdybym się na to zdecydował) była do mojej dyspozycji. Popłynął z nami drugi kucharz, żeby przygotować mi świeży lunch.

Pomiędzy masztami rozwieszono hamak, w którym uciąłem sobie godzinną drzemkę. Kiedy obudziłem się na propozycję cappuccino (na którą natychmiast przystałem), wręczono mi wydruk e-maila od Chucka, filmowego omnibusa:

Witam, panie Armitage!

Mam nadzieję, że nie zaplanował pan jeszcze niczego na dzisiejszy wieczór. Właśnie rozmawiałem z panem Fleckiem, który życzył sobie, żebym przygotował dla pana do obejrzenia pewien film. Proszę mi powiedzieć, która godzina by panu odpowiadała. Przygotuję świeży popcorn.

Kiedy powiedziałem stewardowi, że chciałbym rozmawiać z Chuckiem osobiście, zaprowadził mnie do telefonu.

- Co to za film? - spytałem Chucka.

- Przykro mi, panie Armitage, ale to niespodzianka. Polecenie pana Flecka.

W związku z tym pojawiłem się w sali kinowej o dziewiątej wieczorem. Rozsiadłem się w jednym z miękkich skórzanych foteli, z wypełnioną popcornem kryształową misą Waterforda na kolanach. Zgasły światła i ożył projektor. Z głośników popłynęły pluszowe dźwięki nagrania *These foolish things* z 1940 roku. Na ekranie pojawił się włoski tytuł obwieszczający, iż za chwilę obejrzą film Piera Paolo Pasoliniego pod tytułem *Salo, czyli 120 dni Sodomy*.

Oczywiście.

Słyszałem o niesławnym ostatnim filmie Pasoliniego, powojennej adaptacji obłąkańczej powieści markiza de Sade. Nigdy jednak go nie widziałem, ponieważ po kilku pierwszych seansach w latach siedemdziesiątych zakazano wyświetlania tego filmu w całym Stanach - nawet w Nowym Jorku. Kiedy film jest zakazany w Nowym Jorku, wiadomo, że jest czymś, co naprawdę trudno przełknąć.

W ciągu niespełna dwudziestu minut zrozumiałem, dlaczego nowojorskie władze nie miały żadnych skrupułów, umieszczając ów film na czarnej liście.

Akcja toczyła się w Nazistowskiej Republice Salo (stworzonej przez Mussoliniego podczas jego ostatniego okresu dyktatury pod koniec wojny). Film rozpoczynał się sceną, w której czterech włoskich arystokratów (nader podejrzanych typów) ustala, że ożenią się z własnymi córkami. Okazuje się to jednym z pomniejszych grzechów owej czwórki. Wkrótce zaczynają bowiem przeczesać wioski na północy Włoch, szukając młodych ponętnych chłopców i dziewczynek. Faszystowscy strażnicy gromadzą ich pod bronią w jedną grupę i więźniowie słyszą z ust swoich porywaczy, że znajdują się w państwie, w którym nie obowiązuje żadne prawo, w miejscu, w którym każdej nocy będą musieli uczestniczyć w orgii i w którym za przyłapanie na wykonywaniu jakichkolwiek obrządków religijnych czeka ich śmierć.

Arystokraci zaczynają zabawiać się ze swoimi ofiarami. Gwałcą chłopców i aranżują fałszywy ślub pomiędzy dziewczącą parą, zmuszając dzieci do konsumpcji „małżeństwa” na oczach zgromadzonych. W momencie jednak kiedy chłopiec ma spenetrować swoją oblubienicę, arystokraci rzucają się na nich i deflorują oboje.

Potem robi się jeszcze gorzej. Podczas „orgii” przywódca arystokratów wypróżnia się na podłogę i każe oblubienicy z poprzedniej sceny zjeść jego kał. Sądząc, iż wszyscy powinni się przyłączyć do uczy, arystokraci zmuszają dzieci do wypróżnienia się do nocników, a potem podają stolec do stołu na najlepszej porcelanie. Kiedy człowiek uznaje, że nie może być już gorzej, zaczynają torturować i zabijać swoje ofiary na dziedzińcu rezydencji. Wydlubują im oczy, obcinają języki, garotują młodą kobietę, innej podpalają piersi płomieniem świecy. Kiedy ponownie rozbrzmiewają dźwięki *These foolish things*, dwaj faszystowscy strażnicy zaczynają tańczyć ze sobą przytuleni.

Zaciemnienie. Napisy końcowe.

W pokoju zapłonęły światła. Siedziałem w kompletnym szoku. *Salo* nie był filmem niestereotypowym, lecz kompletnie nie z tej ziemi. Najbardziej wyprowadziła mnie z równowagi myśl, iż nie był to trzeciorzędowy wytwór jakiejś pary szumowin, zrealizowany za

pięć kawalków w magazynie gdzieś w San Fernando Valley. Pasolini był bardzo wyrafinowanym, poważnym reżyserem światowej klasy. *Salo* zaś bardzo wartościowym filmem traktującym o eksploatacji człowieka i totalitaryzmie, który przekroczył wszelkie granice zdrowego rozsądku. Stałem się świadkiem najgorszego z możliwych braku umiaru w ludzkim zachowaniu - w dodatku siedząc w ekskluzywnie urządzonej prywatnej sali kinowej na prywatnej wyspie na Karaibach. Nie mogłem się powstrzymać od myśli: co, do ciężkiej cholery, usiłuje mi powiedzieć Philip Fleck?

Zanim jednak zdołałem ochłonąć, usłyszałem głos za swoimi plecami.

- Zapewne po takim seansie nie odmówi pan drinka.

Odwrociłem się i stanąłem twarzą w twarz z trzydziestoparolletnią kobietą, atrakcyjną dzięki swej surowej nowo-angielskiej urodzie. Na nosie miała okulary w rogowych oprawkach, długie zaś brązowe włosy spięła w koczek.

- Bardzo dużego i mocnego drinka - odparłem. - To było...

- Obrzydliwe? Wstrętne? Odrażające? Wywołujące mdłości? Ohydne? A może po prostu staroświecko ordynarne?

- Wszystko powyższe.

- Przykro mi z tego powodu. Obawiam się jednak, że mój mąż ma dziwne wyobrażenie na temat żartów.

Natychmiast zerwałem się na nogi i wyciągnąłem w jej kierunku rękę.

- Bardzo przepraszam, nie poznałem pani. Jestem...

- Wiem, kim jesteś, Davidzie - przerwała z lekkim uśmiechem.

- Jestem Martha Fleck.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Jak to jest mieć talent?
 - Słucham? - byłem nieco zdziwiony.
 - To tylko pytanie - uśmiechnęła się Martha Fleck.
 - Bardzo bezpośrednie pytanie.
 - Doprawdy? Myślałam, że jest dość miłe.
 - Nie jestem szczególnie utalentowany.
 - Skoro pan tak twierdzi. - Kolejny uśmiech.
 - Ale to prawda.
 - Skromność jest rzeczą godną podziwu. Wiem jednak, że pisarze zazwyczaj są mieszkanką wątpliwości i arogancji. Ta ostatnia zazwyczaj wygrywa.
 - Sugeruje pani, że jestem arogancki?
 - Ależ skąd - znowu się do mnie uśmiechnęła. - Z drugiej strony ten, kto budzi się codziennie rano i spogląda na pusty ekran komputera, potrzebuje ogromnego poczucia własnej wartości. Drinka? Jestem pewna, że napiłby się pan czegoś mocniejszego po obejrzeniu *Sab...* chociaż mój mąż uważa ten film za skończone dzieło sztuki. A poza tym wyreżyserował *Ostatnią szansę*. Rozumiem, że widział pan ten film.
 - Uhm. Bardzo interesujący.
 - Jakże dyplomatyczne stwierdzenie z pana strony.
 - Odrobina dyplomacji nikomu nigdy nie zaszkodziła.
 - Ale odbiera ducha konwersacji.
- Nie odpowiedziałem.
- Daj spokój, Davidzie. Czas na *Zagrajmy w prawdę*. Co sądzisz o filmie Philipa?

- Nie... nie jest to... eee... najlepszy film, jaki widziałem w życiu.
- Potrafisz to zrobić lepiej.

Przyjrzałem się jej twarzy, szukając znaków. Zobaczyłem jedynie rozbawienie.

- W porządku - stwierdziłem. - Jeżeli chce pani prawdy, uważam, że był to pretensjonalny bohomas.
- Brawo. A teraz dostaniesz drinka.

Sięgnęła w dół i dotknęła małego guziczka umieszczonego z boku fotela. Zgodnie z jej sugestią ulokowaliśmy się w największym salonie rezydencji. Nad głową Marthy wisiał późny Rothko - dwa ogromne zlewające się ze sobą czarne kwadraty zrównoważone centralnie umieszczoną pomarańczową linią; delikatna obietnica jutrzeńki pośród ciemności świata.

- Jesteś fanem Rothki? - spytała.
- Tak.
- Philip również. Dlatego kupił osiem jego dzieł.
- To sporo Rothków.
- I sporo pieniędzy. Około siedemdziesięciu czterech milionów za cały zestaw.
- Imponująca suma.
- Drobiazg.

Kolejna krótka przerwa, podczas której przyglądaliśmy się sobie uważnie. Ton jej głosu był beztroski i cichy, jakby wstydlivy. Stwierdziłem ze zdumieniem, że Martha Fleck wydała mi się szalenie atrakcyjna.

Pojawił się Gary.

- Miło panią znowu widzieć, pani Fleck. Jak wizyta w Nowym Jorku?
- Doskonale. Zamierzamy podejść do picia poważnie, Davidzie?
- zwróciła się do mnie.
- Cóż...
- Rozumiem, że tak. Ile rodzajów wódki mamy w domu, Gary?
- Trzydzieści sześć, pani Fleck.
- Trzydzieści sześć rodzajów wódki. Czy to nie zabawne, Davidzie?

- To sporo.
- Gary, powiedz teraz, która z naszych świętych wódek jest najlepsza?
- Mamy potrójnie destylowaną złotą stoliczną z 1953 roku.
- Niech zgadnę, z prywatnych rezerw Stalina?
- Nie mogę tego zagwarantować, pani Fleck. Mimo to podobno jest naprawdę świetna.
- W takim razie poprosimy... i trochę kawioru na przekąskę.
Gary lekko skłonił głowę i wyszedł.
- Nie popłynęła pani z mężem na połowy, pani Fleck?
- Mam na imię Martha... i ponieważ nigdy nie czułam pokrewieństwa z Hemingwayem, nie widziałam potrzeby spędzania kilku dni na morzu, uganiając się za jakąś tam rybą, którą aktualnie upatrzył sobie Philip.
- W Nowym Jorku była pani w sprawach zawodowych?
- Naprawdę jestem pod wrażeniem twojej dyplomacji, Davidzie. Kiedy twój mąż jest wart dwadzieścia miliardów, większość ludzi zakłada, że w ogóle nie pracujesz, bo i po co. Rzeczywiście, byłam w Nowym Jorku na spotkaniu z zarządem pewnej małej fundacji, którą prowadzę, aby wspierać ubogich dramatopisarzy.
- Nie wiedziałem, że taki gatunek w ogóle istnieje.
- Przecież wszyscy pisarze mają pecha... chyba że nagle spotyka ich szczęście, tak jak ciebie.
- Tak... ale to nadal szczęście.
- Zaczyna mnie martwić twoja niezwykła skromność, Davidzie - delikatnie dotknęła mojej dłoni.
- Byłaś redaktorką scenariusza, tak? - cofnąłem dłoń.
- Och, jesteś niezwykle dobrze poinformowanym gentlemanem. Tak, byłam, jak to określają ludzie teatru, dramaturgiem, co jest pretensjonalnym niemieckojęzycznym określeniem tego, że poprawiałam scenariusze, pracowałam z ich autorami i od czasu do czasu znajdowałam interesującą sztukę wartą realizacji w całej tej stercie cikliwych tragedii.
- W taki sposób poznałaś... ?

- Pana Flecka? Tak, w ten sam sposób przypieczętowałam swój los mężatki. W miejscu pełnym migotliwych świateł i romantyzmu zwanym Milwaukee, w stanie Wisconsin. Znasz Milwaukee?

- Obawiam się, że nie.

- Urocze miasto. Wenecja Środkowego Zachodu. Roześmiałem się.

- Dlaczego w takim razie tam pojechałaś?

- Ponieważ mają tam w miarę przyzwoity teatr repertuarowy i potrzebowali redaktora scenopisów. Ja potrzebowałam pracy, oni mi ją zaoferowali. Pieniądze też były niezgorsze - dwadzieścia osiem tysięcy rocznie. Więcej nie zarobiłabym nigdzie. Z drugiej strony teatr Milwaukee był dość szczerze wspierany dzięki miejscowemu dobroczyńcy, panu Fleckowi, który postanowił za wszelką cenę zamienić rodzinne miasto w swoją prywatną Wenecję. Nowa galeria sztuki. Nowe centrum komunikacyjne na uniwersytecie, z własnym archiwum filmowym, *naturellement*. Właśnie to, czego potrzebowało Milwaukee. Oczywiście do tego piękny nowy budynek dla miejscowego teatru. Myślę, że Philip włożył w to dobre ćwierć miliona dolarów.

- To bardzo miłe z jego strony.

- I przy okazji sprytne, ponieważ zdołał to sobie odpisać od podatku.

W pokoju pojawił się Gary ze stolikiem na kółkach. Stała na nim mała miseczka kawioru artystycznie otoczonego kruszonym lodem, talerzyk z małymi okrągłymi kromkami pumpernika, butelka wódki i dwa stylowe kieliszki. Gary wyjął butelkę z lodu i zaprezentował ją Marcie. Zerknęła na sędziwie wyglądającą etykietkę. Wszystkie napisy były w cyrylicy.

- Umiesz czytać po rosyjsku? - spytała. Pokręciłem głową. - Ja też nie, ale jestem pewna, że 1953 to doskonały rocznik. Dalej, Gary, nalej nam po kolejce.

Gary wypełnił polecenie i wręczył każdemu wypełniony po brzegi kieliszek. Martha stuknęła lekko swoim o brzeg mojego. Wypiliśmy wódkę jednym haustem. Była bardzo zimna i bardzo gładko

rozlewała się w gardle. Mrugnąłem z przyjemności, kiedy schłodziła moje gardło, a potem powędrowała prosto do głowy. Martha chyba odczuła podobną przyjemność.

- To działa - stwierdziła.

Gary ponownie napełnił kieliszki, a potem zaoferował nam kanapki z kawiozem. Spróbowałem jednej.

- Dobra? - spytała Martha.

- Cóż... smakuje jak kawior.

Martha powiedziała Gary'emu, że sama poradzi sobie z nalewaniem. Mężczyzna wyszedł, a ona nalala mi kolejną porcję wódki.

- Wiesz, zanim poznałam Philipa, nigdy nie wiedziałam niczego o luksusowych markach ani różnicach pomiędzy... dajmy na to torbę z Samsonite lub od Louisa Vuittona. Nigdy nie wydawało mi się to ważne.

- A teraz?

- Teraz posiadam wiedzę o wszelkiego rodzaju tajemnicach handlowych. Wiem, ile kosztuje uncja irańskiego kawioru. Sto sześćdziesiąt dolarów. Wiem również, że kieliszek w twojej dłoni to Baccareat, hotel zaś, na którym spoczywasz, jest oryginalnym dziełem Eamesa, które Philip kupił za cztery tysiące dwieście dolarów.

- Zanim dowiedziałaś się o tym wszystkim...

- Zarabiałam tysiąc osiemset dolarów, mieszkałam w ciasnej kawalerce, prowadziłam dwunastoletniego volkswagena rabbita, a marką projektancką był dla mnie Gap.

- Przeszkadzało ci to, że nie miałaś pieniędzy?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Pracowałam w sektorze nienastawionym na zyski, ubierałam się więc jak uboga krewna i nigdy mnie to nie martwiło. Czy pomylę się, jeżeli powiem, że nie cierpiałeś swojego ubóstwa?

- Posiadanie pieniędzy czyni życie łatwiejszym.

- To prawda. Ale kiedy pracowałeś w Book Soup, czy nie zazdrościłeś wszystkim tym przychodzącym do sklepu pisarzom, którzy odnieśli sukces, z ich siedmiocyfrowymi kontraktami, porscheami na parkingu, zegarkami od Cartiera i...

- Skąd wiesz, że pracowałem w Book Soup? - przerwałem jej.
- Czytałem twoje dossier.
- Moje dossier? Macie moje dossier?
- Owszem. Kiedy zgodzisz się tu przyjechać, ludzie Philipa zebraли na twój temat informacje.
- Co dokładnie zawiera owo dossier?
- Wycinki prasowe, aktualną biografię, listę wszystkich twoich osiągnięć, trochę historii, informacje, które ludzie Philipa wygrzebali tu i ówdzie...
- Jak na przykład?
- Och, no wiesz, podstawowe rzeczy, które trzeba o kimś wiedzieć. Na przykład co lubisz pić, jakiego rodzaju filmy lubisz oglądać, ile masz pieniędzy na koncie, jakie jest twoje portfolio inwestycyjne, nazwisko twojego psychoterapeuty...
- Nie mam psychoterapeuty - rzuciłem gniewnie.
- Ale miałeś. Zaraz po odejściu od Lucy i przeprowadzeniu się do Sally przez pół roku odwiedzałeś doktora... Jak on miał na nazwisko? Tarbuck? Donald Tarbuck, który ma gabinet przy Victory Avenue w zachodnim LA. Przepraszam... czyżbym powiedziała coś nie w porę?
- Nagle poczułem się bardzo niepewnie.
- Kto ci o tym wszystkim powiedział? - spytałem.
- Nikt mi o niczym nie powiedział. Przeczytałam o tym...
- Ale przecież ktoś musiał o tym wszystkim powiedzieć waszym ludziom. Kto to był?
- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.
- Założę się, że to ten mały gnojek Barra.
- Zdaje się, że cię zdenerwowałam, co oczywiście nie było moim zamiarem. Zapewniam cię, że Bobby nie jest kapusiem i nie znalazłeś się na terenie byłej NRD. Mój mąż jest po prostu bardzo ostrożnym i dokładnym człowiekiem, który zawsze chce wiedzieć jak najwięcej o osobie, którą zamierza zatrudnić.
- Nie składałem podania o pracę.
- Słuszna uwaga. Philip jest żywo i zainteresowany współpracą z tobą i pomyślał, że dobrze by było dowiedzieć się o tobie

kilku podstawowych szczegółów... w dzisiejszych czasach wszyscy tak robią. To wszystko. W porządku?

- Nie jestem paranoikiem...

- Oczywiście, że nie - naląła nam kolejną porcję wódki. - Dalej, wypij.

Znów stuknęliśmy się kieliszkami i wychyliłiśmy ich zawartość. Tym razem alkohol przepłynął przez gardło z ogromną łatwością. Była to wskazówka, że mój mózg i gardło zaczynały być znieczulone.

- Lepiej? - spytała łagodnie Martha.

- Wyśmienita wódka.

- Uważasz się za szczęśliwego człowieka, Davidzie?

- Słucham?

- Ciekawi mnie, czy w głębi duszy wątpisz w swój sukces i zastanawiasz się, czy rzeczywiście na niego zasługujesz.

Roześmiałem się.

- Zawsze odgrywasz rolę *agent provocateur*?

- Tylko wobec ludzi, których lubię. Mam rację, prawda? Czuję, że nie wierzysz w swoje osiągnięcia i w głębi duszy żałujesz porzucenia żony i dziecka.

Nastąpiła długa cisza, podczas której sięgnąłem po butelkę i naląłem nam kolejne porcje wódki.

- Chyba zadaję zbyt dużo pytań - stwierdziła wreszcie Martha.

Uniosłem kieliszek i wychyliłem jego zawartość.

- Czy pozwolisz mi jednak zadać jeszcze jedno?

- Mianowicie?

- Powiedz mi, co tak naprawdę sądzisz o filmie Philipa.

- Już ci powiedziałem...

- Nie. Stwierdziłeś, że to pretensjonalny bohomaz. Nie wyjaśniłeś jednak, dlaczego tak uważasz.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - spytałem.

Martha wypiła wódkę i kiwnęła głową.

Powiedziałem jej więc ze szczegółami, dlaczego moim zdaniem był to najgorszy film, jaki kiedykolwiek widziałem. Przeanalizowałem scenę po scenie, wyjaśniając, dlaczego charaktery były fundamentalnie absurdalne, dialogi nadały nowe znaczenie słowu

„sztuczny”, całe zaś przedsięwzięcie było zwyczajnie do kitu. Wódka musiała rozwiązać mi język, bo gadałem nieprzerwanie przez dziesięć minut, zatrzymując się jedynie po to, aby wypić kolejne porcje wódki podane przez Marthę. Kiedy skończyłem, zapadła brzemien-
na cisza.

- Cóż... chciałaś znać prawdę - język zaczynał mi się już plątać.

- I poznałam.

- Przepraszam.

- Za co? Wszystko, co powiedziałaś, to czysta prawda. Właściwie dokładnie to samo mówiłam Philipowi, zanim film poszedł do produkcji.

- Myślałam, że współpracowałaś z nim przy tworzeniu scenariusza.

- Tak, i uwierz mi, w porównaniu z oryginałem, ostateczna wersja była o wiele lepsza... co oczywiście niewiele dało, bo film i tak okazał się kompletną klapą.

- Miałaś jakiś wpływ na męża?

- A jaki wpływ może mieć biedny redaktor scenariusza na wszechmocnego reżysera? Skoro dziewięćdziesiąt dziewięć i pół procent wszystkich pisarzy w Hollywood traktowana jest jako najemna pomoc, redaktor scenariusza jest podczłowiekiem.

- Nawet dla człowieka, który się w tobie zakochał?

- Och, to zdarzyło się długo po wyprodukowaniu filmu.

Opowiedziała mi, jak Fleck pojawił się pewnego dnia w teatrze, który wybudował w Milwaukee, na małym spotkaniu z pracownikami... jego pracownikami, żeby być dokładnym. W każdym razie podczas jego dostojnej wizyty dyrektor artystyczny zaprosił go do ciasnej klitki, którą Martha nazywała swoim biurem, na szybkie „zapoznanie”. Po przedstawieniu ich sobie, kiedy Fleck dowiedział się, iż Martha zajmuje się redakcją scenariuszy, wspomniał, że właśnie skończył scenopis do filmu i przydałaby mu się profesjonalna porada na temat potencjalnych słabości i mocnych punktów.

- Oczywiście natychmiast odparłam, że będzie dla mnie zaszczytem przeczytać jego scenariusz. Co innego miałam niby zrobić?

Przecież był naszym szefem, Człowiekiem z Wysokiego Zamku. W głębi duszy jednak myślałam: „O nie, tylko nie scenariusz napisany przez superbogacza z czystej próżności”. Z drugiej strony nie sądziłam, że naprawdę przyśle swoje wypociny... w końcu miał tyle pieniędzy, że mógł zapłacić za pomoc Robertowi Towne'owi lub Williamowi Goldmanowi. Następnego poranka jednak: bum!, scenariusz wylądował z hukiem na moim biurku. Na dołączonej do niego kartce przeczytałam: „Będę ogromnie zobowiązany, jeżeli przekaże mi pani swoją szczerą opinię na temat tego scenariusza do jutra rana. P.F.”

Martha nie miała więc innego wyjścia, jak tylko spędzić resztę dnia na czytaniu tego gniota. A kiedy zdała sobie sprawę, że chociaż scenariusz Flecka nadawał się wyłącznie do śmieci, to jeżeli napisze to, co naprawdę o nim myśli, straci pracę. Nie mogła zasnąć przez całą noc.

- Do piątej rano pracowałam nad różnymi wersjami raportu, który mówiłby, że scenariusz jest beznadziejny, ale w możliwie najbardziej neutralny sposób. Szczerze powiedziawszy, jednak nie mogłam wymyślić ani jednej pozytywnej uwagi na jego temat. Wreszcie o wschodzie słońca podarłam czwartą wersję listu i pomyślałam: „Potraktuję tego człowieka jak każdego kiepskiego aspirującego pisarza i powiem mu dokładnie, co zrobił źle”.

Sporządziła więc zabójczy raport, wysłała go kurierem do teatru i położyła się spać z myślą, że kiedy się obudzi, będzie musiała szukać nowej pracy. Zamiast tego o piątej po południu zadzwonił telefon. Jeden z „ludzi Flecka” powiedział, że pan Fleck chce się z nią spotkać i jego gulfstream zabierze ją tego samego wieczora do San Francisco. Oczywiście teatr został poinformowany, że Marthy nie będzie w pracy przez kilka kolejnych dni.

- Do tamtej pory latałam tylko zwyczajnymi rejsowymi samolotami, więc limuzyna, która zabrała mnie na lotnisko, a potem lot gulfstreamem były, delikatnie mówiąc, niezwykłym przeżyciem. Podobne wrażenie zrobił na mnie dom Philipa w Pacific Heights, z pięcioosobową służbą i prywatną salą kinową w piwnicy. Oczywiście

przez całą drogę do San Francisco zastanawiałam się, dlaczego chciał mnie zobaczyć. Myślałam, że zafundował mi coś w rodzaju demonstracji siły. Coś w stylu: „Sprowadziłem cię tutaj, żebyś miał luksus osobiście wyrzucić cię z pracy”. Kiedy jednak dotarłam na miejsce, Philip był czarujący, co, biorąc pod uwagę jego wrodzoną małomówność, było ogromnym wysiłkiem z jego strony. Trzymając w ręku mój raport, stwierdził: „Zdecydowanie nie lubisz się podlizywać, co?”. Potem poprosił, żebyś spędziła z nim kolejny tydzień, pracując nad poprawkami do scenariusza. Zapytał mnie o cenę. Odparłam, że dostaję już pensję w teatrze w Milwaukee, więc nie oczekuję od niego niczego... poza ciężką pracą. „Dla mnie jest pan kolejnym pisarzem, którego dzieło wymaga remontu kapitalnego. Jeżeli więc zgodzi się pan słuchać moich uwag, ja zgodzę się panu pomóc”. Kolejny tydzień spędziliśmy, rozkładając jego scenariusz na części i składając wszystko od nowa. Philip odłożył wszystkie inne sprawy na bok, żeby móc ze mną pracować. Naprawdę mnie słuchał i reagował na wszystkie uwagi, więc przed upływem tygodnia udało się nam skreślić większość banialuk, poprawić kompozycję i sprawić, że postaci były jako tako wiarygodne. Mimo wszystko powiedziałam mu, że uważam ten tekst za napuszony i pretensjonalny. Nie ulegało wątpliwości, że coś się wtedy między nami zaczęło. Philip może i jest nadmiernie powściągliwy... kiedy jednak zaprzyjaźnia się nieco z człowiekiem, potrafi być dość zabawny. Poza tym szczerze podziwiałam jego wiedzę i inteligencję. Jak na człowieka, który zbudował wielomiliardowe imperium, wiedział niezwykle dużo na temat książek i filmów, no i naprawdę chciał zainwestować dużo pieniędzy w sztukę. W każdym razie ostatniej nocy urządziliśmy sobie maraton picia...

- Wódka? - spytałem.

- Oczywiście - odparła, poruszając zadziornie brwiami. - Moja ulubiona trucizna.

Spojrzałem jej prosto w oczy.

- Domyślam się, co się stało potem.

- Tak. Tyle że kiedy obudziłam się nad ranem, Philipa nie było... chociaż zostawił na poduszce romantyczny liścik: „Odezwe się”. Cóż, przynajmniej nie podpisał się P.F. Wróciłam więc do Milwaukee. Oczywiście wcale się do mnie nie odezwał. Pół roku później przeczytałam gdzieś, że *Ostatnia szansa* jest właśnie realizowana w Irlandii. Osiem miesięcy później wyświetlono ją w jedynym kinie w Milwaukee. Poszłam zobaczyć to dzieło i nie mogłam uwierzyć, co pan Fleck z tego zrobił. Nie tylko wyrzucił osiemdziesiąt procent zmian, które razem wprowadziliśmy, ale także przywrócił połowę beznadziejnych dialogów, które wycięliśmy. Naturalnie nie byłam jedyną osobą, która uważała, iż była to bardzo zła decyzja. Gazety rozpisywały się o tym, jak tragiczny jest film Philipa. Przy okazji wspominały też, że właśnie zerwał z supermodelką, z którą spotykał się od roku... co oczywiście od razu wyjaśniło mi, dlaczego nie skontaktował się ze mną po jednej pijackiej nocy skończonej w łóżku. W każdym razie byłam potwornie zdegustowana zarówno tym, jak zniweczył całą naszą pracę, jak i faktem, że nigdy do mnie nie zadzwonił. Napisałam do niego bardzo ostry list potępiający tak złe potraktowanie mojej osoby. Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się odpowiedzi, ale mniej więcej tydzień później, pewnego wieczoru pojawił się przed moimi drzwiami. Pierwsze słowa, które od niego usłyszałam to: „Mylilem się co do wszystkiego, zwłaszcza co do ciebie”.

- A potem?

- Pobraliśmy się po sześciu miesiącach.

- Bardzo romantyczne.

Obdarzyła mnie kolejnym dyskretnym uśmiechem, nalewając ostatnie dwie porcje wódki.

- Morał tej historii jest zatem... jaki? - spytałem. - Nie należy obarczać cię winą za beznadziejny film twojego męża?

- *Touche* * W szermierce dokładne dotknięcie przeciwnika bronią, dające punkt; trafienie (fr.).

Wypiłem wódkę. Teraz już nawet nie poczułem, jak wlewa się do żołądka przez gardło. Nie czułem nic.

- Zdradzę ci pewien sekret - powiedziała Martha. - Mój mąż każe ci czekać, ponieważ nie może znieść obecności osoby obdarzonej talentem.

- Sądzę, że ktoś, kto dorobił się takiej fortuny jak on, ma talent.

- Być może, ale talent, o którym marzy i śni, posiadasz ty, nie on. Ja również podziwiam twoje zdolności. Dlaczego niby przyleciałam tutaj dziś wieczorem? Żeby cię poznać. Naprawdę uważam, że *Sprzedając cię* jest fantastycznym serialem.

- Pochlebiasz mi.

- Z przyjemnością - spojrzała mi prosto w oczy i znowu się uśmiechnęła.

Zerknąłem na zegarek.

- Już dawno po dobranocce. Powinieneś iść spać. Nie będę cię dłużej zatrzymywać. Poproszę Gary'ego, żeby przyniósł ci ciepłe mleko i ciasteczka do poduszki. Jestem również przekonana, że mamy tu gdzieś zapasowego pluszowego misia, gdybyś potrzebował towarzysza - uniosła lekko brwi, bardziej rozbawiona niż uwodzicielska.

A może bardziej uwodzicielska niż rozbawiona? A może uniosła brwi bez żadnego konkretnego powodu? Nie byłem w stanie tego ocenić, tak byłem pijany.

- Myślę, że po prostu muszę się położyć - powiedziałem. - Dziękuję za wódkę.

- Wszystko wliczone w usługę - odparła. - Miłych snów.

Pożegnałem się i zataczając, ruszyłem do swojego pokoju.

Nie pamiętam, jak tam dotarłem. Nie pamiętam również, kiedy zasnąłem w ubraniu. Zdecydowanie jednak pamiętam przebudzenie, gwałtowne, o czwartej nad ranem, kiedy to ledwie zdążyłem do łazienki, w której wymiotowałem non stop przez dobre pięć minut. Rozebrałem się, wziąłem gorący prysznic, a potem, nadal ociekając wodą, powlokłem się do łóżka i wczółgałem pod prześcieradła, myśląc o mojej rozmowie z Martha Fleck. Ostatecznie znowu usnąłem

i obudziłem się dopiero koło południa z uczuciem, iż za chwilę mózg mi eksploduje.

Usiłowałem znaleźć sens w wydarzeniach ostatniego wieczoru: od mojego obowiązkowego seansu *Salo* z jego celebracją spożywania stolca, aż po ów podgrzany wódką flirt słowny z Martha. Kiedy zmagalem się z ową trudną łamigłówką, jednocześnie podjąłem decyzję. Dzisiaj opuszczę wyspę. Czekałem już zbyt długo bez żadnego szczególnego powodu i nie chciałem dłużej zaspokajać głupich kapryśków bogacza. Chwyciłem za telefon i zadzwoniłem do Gary'ego. Spytałem, czy może zaaranżować mój przelot na Antiguę dziś po południu, a potem do Los Angeles. Powiedział, że sprawdzi i poinformuje mnie wkrótce. Pięć minut potem zadzwonił telefon.

- Miałeś już kiedyś przyjemność poznać coś, co nazywa się berocca? - spytała Martha.

- Witaj, Martha.

- Dzień dobry, Davidzie. Wydajesz się nieco zmęczony.

- Ciekawe dlaczego? Ty natomiast jesteś zadziwiająco rześka.

- Dzięki wspaniałym regenerującym właściwościom beroccy. To rozpuszczalna witamina z olbrzymią dawką witaminy B i C. Jedyny znany lek na kaca, który rzeczywiście działa. Produkują go w Australii. Tam znajdują się na kacu.

- Bardzo proszę o natychmiastowe przysłanie dwóch porcji.

- Są już w drodze. Tylko nie pokrusz ich i nie posiekaj kartą kredytową, a potem nie wciągnij nosem za pomocą zwiniętego w tubkę banknotu pięćdziesięciodolarowego.

- Nie robię tego typu rzeczy - odparłem nieco urażony.

- To był żart, Davidzie. Wyluzuj się, błagam.

- Przepraszam... a tak przy okazji, dziękuję za cudowny wieczór.

- Skoro ci się tak podobał, dlaczego chcesz nas dzisiaj opuścić?

- Widzę, że wieści rozchodzą się szybko.

- Mam nadzieję, że nic, co powiedziałam, nie wpłynęło na tę decyzję.

- Nie. Myślę, że ma to więcej wspólnego z faktem, iż twój mąż kazał mi tu czekać na siebie ponad tydzień. Mam swoje życie... i córkę, którą muszę odwiedzić w San Francisco w ten piątek.

- Możemy się tym zająć. Zarezerwuję dla ciebie gulfstreama na piątek rano. Różnice w czasie będą ci sprzyjały, dotrzesz więc na miejsce wczesnym popołudniem. Nie ma sprawy.

- To jednak oznacza, że będę musiał tu strawić na niczym kolejne dwa dni.

- Posłuchaj, rozumiem, dlaczego jesteś zagniewany na Philipa. Jak już mówiłam wczoraj wieczorem, bawi się z tobą... tak jak ze wszystkimi innymi. Przykro mi z tego powodu, ponieważ to był mój pomysł, że powinien spróbować współpracy z tobą. Jestem twoją zagorzałą fanką. Poza *Sprzedając cię* przeczytałam wszystkie twoje wcześniejsze dzieła...

- Naprawdę? - chciałem ukryć fakt, że jej słowa mi pochlebily, ale się nie udało.

- Tak. Poprosiłam jednego z moich asystentów z fundacji, żeby odszukali twoje scenopisy...

Sporo pracy, pomyślałem... zważywszy, że żaden z nich nigdy nie został wyprodukowany. Zdążyłem się już jednak nauczyć jednej rzeczy o Fleckach: jeżeli czegoś chcieli, dostawali to.

- ...poza tym chciałam z tobą porozmawiać o poprawionym scenariuszu do filmu Philipa.

Który najwyraźniej przekazała jej Joan.

- Już zdążyłaś to przeczytać?

- Dziś rano.

- Co z twoim mężem?

- Nie wiem - odparła. - Nie rozmawialiśmy od kilku dni.

Chciałem zapytać dlaczego, ale ugryzłem się w język.

- Naprawdę przyleciałaś tu z Nowego Jorku specjalnie po to, żeby się ze mną spotkać? - spytałem zamiast tego.

- Nieczęsto zdarza się, że gościmy na wyspie pisarza, którego podziwiam.

- Naprawdę podoba ci się nowa wersja scenariusza?

Roześmiała się z lekką nutką ponurości.

- Szukasz potwierdzenia?
- Oczywiście.
- Uważam, że zrobiłeś świetną robotę.
- Dziękuję.
- Uwierz mi. Tak czy siak, powiedziałabym ci prawdę.
- Nie mam co do tego wątpliwości.
- Jeżeli zostaniesz, obiecuję, że nie będę w ciebie więcej wmu-
szała wódki... chyba że sam będziesz chciał.
- Nic z tego.
- W takim razie przez cały dzień będziemy niepijącymi mor-
monami. Mogę cię nawet nazywać prezbiterem Davidem, jeśli
chcesz.

Teraz to ja się roześmiałem.

- No dobrze już, dobrze. Zostanę jeszcze jeden dzień, ale jeśli
pan Fleck nie pojawi się tu jutro, wyjeżdżam.
- Umowa stoi.

Berocca pojawiła się kilka minut później i, ku mojemu wielkie-
mu zdumieniu, naprawdę ulżyła mej agonii. Podobnie jak popołud-
nie spędzone z Martha. Biorąc pod uwagę ilość wódki, jaką w sie-
bie wlała zeszłej nocy, wyglądała doskonale, niemal promiennie.
Zaaranżowała dla nas lunch na głównej werandzie domu. Słońce
stało wysoko na niebie, ale lekki wiatr łagodził upał. Jedliśmy zim-
nego homara, popijaliśmy Krwawą Mary i rozmawialiśmy do upa-
dłego. Martha porzuciła kokieteryjny ton, którego używała ostatniej
nocy. Okazała się zabawną erudytką, która potrafi z równym zapa-
łem i werwą rozmawiać na tuzin różnych tematów. Co więcej, na-
prawdę znała się na scenopisach i miała wiele bardzo inteligent-
nych uwag dotyczących nowej wersji *Trzech malkontentów*. Ku
mojemu ogromnemu zdumieniu rzeczywiście znała cały dorobek
artystyczny Davida Armitage... łącznie z dwiema zapomnianymi
sztukami z początku lat dziewięćdziesiątych, które wysłałem do
jakichś mało znanych kompanii artystycznych i które zapewne od
tamtego czasu zbierały kurz w ich archiwach.

- Do diabła, nawet ja nie zaglądałem do nich od lat - oznajmi-
łem.

- Kiedy Philip powiedział, że chce z tobą współpracować, pomyślałam, że dobrze by było sprawdzić twój dorobek sprzed okresu, kiedy stałeś się sławny.

- W ten sposób wygrzebałaś *Trzech malkontentów*

- Tak. To moja wina. Ja podsunęłam ten scenariusz Philipowi.

- Czy umieszczenie jego nazwiska jako autora było również twoim pomysłem?

Spojrzała na mnie jak na idiotę.

- O czym ty do diabła mówisz?

Wyjaśniłem mały numerek ze scenariuszem, jaki wykreślił mi jej mąż... jak rękopis pojawił się u mnie (za pośrednictwem Bobby'ego) z nazwiskiem Flecka na stronie tytułowej.

Martha powoli wypuściła powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Tak mi przykro, Davidzie - powiedziała.

- Niepotrzebnie. To niezupełnie twoja wina. Poza tym faktem jest, że zaakceptowałem jego ofertę i przyjąłem zaprosiny tutaj... co pokazuje wyraźnie, jakim jestem głupcem.

- Wszystkich kusi bogactwo Philipa. Pozwala mu to bawić się w te jego gierki, które tak uwielbia. Dlatego bardzo mi przykro z tego powodu. Kiedy zadzwonił, pytając o ciebie, powinienam wiedzieć, że z tobą również zaczniesz się bawić w kotka i myszkę.

- Zadzwonił do ciebie, żeby porozmawiać o mnie? Czy wy przypadkiem nie jesteście małżeństwem?

- Właściwie to przypadkiem jesteście w separacji.

- Ach tak...

- To nic oficjalnego i zdecydowanie nie jest to sprawa, jaką którekolwiek z nas chciałoby uczynić publiczną. Faktem jednak jest, iż od zeszłego roku na ogół mieszkamy osobno.

- Przykro mi to słyszeć.

- Niepotrzebnie. To była moja decyzja. Philip jednak bynajmniej nie błagał mnie o przemyślenie sprawy ani nie jeździł za mną po całym świecie. To nie w jego stylu. On w ogóle nie ma żadnego stylu.

- Sądzisz, że to ostateczne?
- Nie wiem. Rozmawiamy od czasu do czasu, może raz w tygodniu. Jeżeli musi się gdzieś pokazać publicznie, na jakimś wielkim przyjęciu charytatywnym, obiedzie biznesowym z grubymi rybami lub na coroczne zaproszenie w Białym Domu, wkładam odpowiednią suknię, przyklejam do twarzy odpowiedni uśmiech i pozwalam mu trzymać się za ramię. Odgrywamy wtedy szczęśliwą parę. Oczywiście mieszkam w jego domach i używam wszystkich jego samolotów, ale tylko wtedy, gdy on z nich nie korzysta. Philip ma tyle tego wszystkiego, że naprawdę łatwo nam się unikać.

- Aż tak źle jest między wami?

Przerwała na chwilę i wpatrzyła się w lśniąca w słońcu powierzchnię Morza Karaibskiego.

- Od początku wiedziałam, że Philip jest nieco dziwny. Zakochałam się jednak w tym jego dziwactwie, jego intelekcie i wrażliwości, którą skrywa za murem małomówności. Przez pierwszych kilka lat naprawdę dobrze się nam układało. A potem pewnego dnia Philip zaczął się odsuwać. Nie rozumiałam tego, a on nie uznał za stosowne niczego mi wytłumaczyć. Nasze małżeństwo było niczym nowy, lśniący samochód, który pewnego dnia po prostu nie zapalił, i chociaż próbujesz wszystkiego, żeby go uruchomić, zaczynasz się martwić, czy przypadkiem nie nadaje się już tylko na złom? Co gorsza, zdajesz sobie sprawę, że pomimo wszystko nadal kochasz idiotę, za którego wyszłaś za mąż - przerwała i znów wpatrzyła się w wodę. - Oczywiście pomyślisz zapewne, że wszyscy powinni mieć jakieś problemy.

- Nieudane małżeństwo jest nieudanym małżeństwem.

- Czy twoje małżeństwo było nieudane? - spytała.

Teraz to ja unikałam jej spojrzenia.

- Chcesz powierzchowną czy szczerą odpowiedź? - spytałem.

- Twój wybór.

Zawahałam się przez chwilę.

- Nie. Z perspektywy czasu nie było wcale źle. Zgubiliśmy się trochę gdzieś po drodze i sądzę, że zgromadziliśmy w sobie mnóstwo

wzajemnych pretensji, ponieważ Lucy przez tak długi czas praktycznie sama nas utrzymywała. Mój sukces nie poprawił sytuacji. A ja dodatkowo pogłębiłem dzielącą nas przepaść...

- A potem poznałeś cudowną pannę Birmingham.
- Twoje wiadomości są bardzo szczegółowe.
- Kochasz ją?
- Oczywiście.
- Czy to oficjalna, czy szczerza odpowiedź?
- Ujmę to w ten sposób... nasz związek bardzo się różni od mojego małżeństwa. Jesteśmy „wpływową parą”, ze wszystkimi tego konsekwencjami.
- Jak dla mnie to wystarczająco szczerza odpowiedź.

Spojrzałem na zegarek. Była niemal czwarta. Popołudnie minęło, jak z bicza trząsał. Spojrzałem na Marthę. Promienie słoneczne opadały pod takim kątem, że jej twarz skąpana była w miękkim blasku. Przyjrzałem się uważnie i nagle pomyślałem, że jest bardzo piękną, mądrą i dowcipną kobietą. A przy okazji (w przeciwieństwie do Sally) bardzo skromną. Od razu się polubiliśmy, rozumieliśmy się bez słów...

W moim umyśle pojawiło się ostrzeżenie: nawet nie próbuj!

- Ciekawa jestem - przerwała moje rozważania.
- Słucham?
- Ciekawa jestem, co sobie teraz myślisz, Davidzie. Chyba gdzieś odpłynąłeś.
- Nie, zdecydowanie byłem tutaj.
- Uśmiechnęła się.
- Miło to wiedzieć.

W tym momencie zdałem sobie sprawę... co takiego? Że obserwowała, jak się jej przyglądam? Że między nami było nieme porozumienie? Że to początek naprawdę zawikłane-go *coup defoudre* *! Uderzenie pioruna, zdumiewające zdarzenie, także miłość od pierwszego wejrzenia (fr.).

Dorośnij, idioto (to głos mojego rozsądku). I co z tego, że się macie ku sobie? Wiesz, co by się stało, gdybyście rzeczywiście zaczęli ten romans? Wybuch atomowy, a potem najdłuższa zima nuklearna, jaką człowiek byłby sobie w stanie wyobrazić.

Teraz to ona spojrzała na zegarek.

- Mój Boże, to już tak późno? - spytała.
- Mam nadzieję, że nie odrywam cię od innych spraw.
- O nie. Poza tym przy dobrej rozmowie czas szybko leci.
- Wypiję za to.
- Czy to sugestia, abyśmy przerwali nasz okres abstynencji i zamówili coś francuskiego z bąbelkami?
- Jeszcze nie.
- Może później?
- Mój terminarz nie jest chwilowo zbyt wypełniony.
- Ani mój. Może więc coś zasugeruję... małą wycieczkę... byłbyś zainteresowany?

„Nie rób tego” - syczał mi do ucha głos rozsądku. Oczywiście nie posłuchałem.

- Jasne - odparłem.

Godzinę później, gdy słońce chyliło się już ku zachodowi, znalazłem się wraz z Martha na pokładzie jachtu motorowego. Popijaliśmy szampana, zdążając ku horyzontowi. Zanim wypłynęliśmy, Martha powiedziała, żebym wziął ze sobą ubrania na zmianę i sweter.

- Gdzie dokładnie jedziemy? - spytałem.

- Zobaczysz.

Po mniej więcej trzydziestu minutach przed nami pojawiła się mała wysepka: stroma, porośnięta bujną zielenią i przystrojona girlandami palm. Już z daleka dostrzegłem pomost i plażę, za nią zaś trzy proste domki w stylu budowli z Wysp Wielkanocnych, kryte strzechą.

- Przyjemna kryjówka - stwierdziłem. - Do kogo należy?
- Do mnie - odparła Martha.
- Mówisz poważnie?
- Oczywiście. To mój prezent ślubny od Philipa. Chciał podarować mi jakiś absurdalnie wielki kamień w stylu Liz Taylor, ale

powiedziałam, że nie jestem fanką Gwiazdy Indii* Największy szafir gwiazdzisty, 536 karatów. Zapytał więc, co sądzę na temat wyspy, ja zaś pomyślałam, że to dość oryginalny prezent.

Przybiliśmy do brzegu i Martha poprowadziła mnie na brzeg. Plaża nie była duża, ale idealna, pokryta drobnym białym piaseczkiem. Powędrowaliśmy w stronę budynków. Główny dom był okrągły i mieścił się w nim wygodny salon (wszystko w białym drewnie i płótnie) z przylegającą ogromną werandą, na której stały dwa leżaki i stół. Na tyłach budynku urządzono kuchnię. Po jednej stronie centralnej budowli widniały dwie chatki w stylu polinezyjskim, każda wyposażona w ogromne łóżko, stylowe fotele z wyplatany oparciem, pokrowce z białonego płótna i urządzona w białym drewnie łazienka. Istny „Dom i ogród” w tropikach.

- Piękny prezent ślubny - stwierdziłem. - Zakładam, że miałaś swój udział w urządzeniu tego miejsca?

- Tak. Philip sprowadził tu architekta i budowniczego z Antigu-i. Zostawił mi wolną rękę, a ja powiedziałam im, że oczywiście chcę pięciogwiazdkową replikę Jonestown **...** Osada w Gujanie założona przez członka sekty Świątynia Ludu, Jima Jonesa. W 1978 roku popełniło tam samobójstwo 909 członków sekty.

- Zamierzasz założyć własną sektę?

- W moim kontrakcie małżeńskim jest chyba klauzula, która zabrania mi ufundowania nowej religii.

- Podpisywałaś umowę przedmażeńską?

- Kiedy wychodzi się za mąż za faceta wartego dwadzieścia miliardów, jego ludzie zdecydowanie nalegają na tego typu posunięcie... w naszym przypadku kontrakt był tak długi jak Biblia Gutenberga. Zatrudniłam jednak niezwykle twardego prawnika do negocjacji moich warunków... tak więc gdyby moje małżeństwo się rozpadło, jestem dobrze zabezpieczona. Gotowy na małą wycieczkę po wyspie?

- Chyba się już ściemnia.

- O to właśnie chodzi - chwyciła mnie za rękę.

Wychodząc z chatki, wzięła ze sobą latarkę zawieszoną przy drzewiach. Poprowadziła mnie wąską ścieżką, która zaczynała się tuż za głównym budynkiem i prowadziła prosto na wzgórze poprzez gęstwinę palm i labirynt lian. Słońce nadal jeszcze świeciło czerwonym blaskiem, ale nocne tropikalne owady i ptactwo już się rozszalało... syki, skrzeczenie i niesamowite odgłosy obudziły we mnie głęboko skrywany lęk chłopca z miasta przed dziką, groźną naturą.

- Jesteś pewna, że ten spacer to rozsądna rzecz? - spytałem.
- O tej porze pytony jeszcze nie wyszły na żer, więc...
- Bardzo śmieszne.
- Jesteś ze mną bezpieczny.

Wspinaliśmy się na wzgórze. Otaczające nas rośliny były tak gęste, że tworzyły nad nami ciemny tunel. Potem nagle wyłoniliśmy się na szczycie wzgórza. Gęsta pokrywa listowia ustąpiła miejsca odsłoniętemu wierzchołkowi. Martha zaplanowała tę wycieczkę idealnie... ponieważ przed naszymi oczami widniał rozżarzony dysk słońca na tle ciemniejszego nieba.

- Dobry Boże - westchnąłem.
- Podoba ci się?
- To niesamowite przedstawienie.

Staliśmy w milczeniu. Martha spojrzała na mnie, uśmiechnęła się, chwyciła moją dłoń w swoją i ścisnęła ją. Potem nagle zapadły ciemności.

- Oto nasz sygnał do odwrotu - stwierdziła Martha, włączając latarkę.

Ruszyliśmy powoli w dół wzgórza. Martha trzymała mnie za rękę aż do chwili, gdy dotarliśmy do zabudowań. Potem, zanim weszliśmy do środka, puściła mnie i poszła porozmawiać z szefem kuchni. Ja usadowiłem się na werandzie i wpatrzyłem w pociemniałą plażę. Po kilku minutach wróciła w towarzystwie Gary'ego, który niósł tacę ze srebrnym shakerem koktajlowym i dwoma zmrożonymi kieliszkami do martini.

- Myślałem, że dziś wieczór będziemy praktykować abstynencję - stwierdziłem.

- Nie odmówiłeś jednak dwóch kieliszków szampana na łodzi.
- To prawda, ale martini to zupełnie inna liga. To jakby porównać scuda z wiatrówką.
- Przecież nikt cię nie zmusza do picia. Pomyślałam po prostu, że nie miałbyś nic przeciwko martini z bombay ginem i dwiema oliwkami.

- Czy twoi ludzie to również o mnie wygrzebali?
- Nie. To moje prywatne przypuszczenie.
- Bardzo słuszne. Napiję się, ale tylko jeden kieliszek.

Oczywiście Martha nie musiała mnie zmuszać, żebym po pierwszej porcji martini wlał w siebie następną. Nie musiała mnie również przekupywać, abym pomógł jej opróżnić butelkę kolejnego absurdalnie smakowitego wina, towarzyszącego grillowanej rybie. Zanim rozpracowaliśmy do połowy butelkę australijskiego muszkatu, byliśmy już bardzo rozweseleni, opowiadając sobie wzajemnie anegdotki z naszych przygód kinowych i teatralnych. Potem przyszedł czas na historie z dzieciństwa spędzonego na przedmieściach Chicago i Filadelfii, opowieść Marthy o jej nieudanych próbach zostania dyrektorem teatru po skończeniu uniwersytetu Carnegie-Mellon, moją spowiedź o piętnastu latach niezliczonych porażek zawodowych oraz wybrane wspomnienia z naszych pomyłek miłosnych, nader częstych, kiedy mieliśmy po dwadzieścia lat. Kiedy doszliśmy do opowieści o nieudanych randkach, byliśmy już w połowie drugiej butelki muszkatu. Zrobiło się późno i Martha zwolniła Gary'ego i resztę obsługi. Wszyscy oddalili się do swoich kwater położonych za kuchnią.

- Chodźmy na spacer - poprosiła.
- W tym stanie będzie to raczej zataczanie się.
- Doskonale.

Chwyliła butelkę muszkatu, dwa kieliszki i poprowadziła mnie na plażę. Usiadła na piasku i powiedziała:

- Obiecałam ci, że będzie to krótki spacer.

Dołączyłem do niej, spoglądając na niebo. Była niezwykle pogodna noc i kosmos wydawał się bardziej rozległy niż kiedykolwiek. Martha napełniła kieliszki złotawym płynem.

- Założę się, że wiem, co sobie myślisz, spoglądając w górę. To wszystko jest takie trywialne i nieznaczące. Za pięćdziesiąt lat mnie tu nie będzie...

- Jeśli będę miał tyle szczęścia...

- W porządku, za czterdzieści. Dziesięć lat mniej daremnych starań, bo czy w 2014 roku to, co robimy teraz, będzie miało jakiegokolwiek znaczenie? Chyba że ktoś z nas wywoła wojnę albo napisze scenariusz do przełomowego sitcomu nowego milenium...

- Skąd wiedziałas, że to moje największe marzenie?

- Było to dość oczywiste od chwili, gdy pierwszy raz cię zobaczyłam... - przerwała, dotknęła mojej twarzy dłonią i uśmiechnęła się. Potem nagle jakby przemyślała to, co miała do powiedzenia.

- Tak? - zachęciłem ją.

- Od pierwszego wejrzenia wiedziałam, że chcesz zostać Tolstojem sitcomów - dokończyła nonszalanckim tonem.

- Zawsze wygadujesz takie bzdury?

- Oczywiście. To jedyny sposób na utrzymanie w ryzach komijnego poczucia nieistotności. Dlatego właśnie chcę, żebyś powiedział mi coś o swojej żonie.

- Co takiego?

- Czy zakochaliście się w sobie od pierwszego wejrzenia?

- Bez wątpienia.

- Czy Lucy była twoją pierwszą wielką miłością?

- Tak. Zdecydowanie.

- A teraz?

- Teraz największą miłością mojego życia jest Caitlin, moja córka. I Sally naturalnie.

- Tak, oczywiście.

- A Philip?

- Philip nigdy nie był wielką miłością mojego życia.

- W porządku, a przed nim?

- Przed nim był Michael Webster.

- To on był twoim wybrankiem?

- Wpadłam jak głupia. Spotkaliśmy się na studiach w Carnegie. Był aktorem. Kiedy pierwszy raz spojrzalam na niego, pomyślałam,

że to ten jedyny. Na szczęście moje uczucie zostało odwzajemnione. Tak bardzo, że od drugiego roku byliśmy, praktycznie rzecz biorąc, nierozłączni. Po college'u przez siedem lat usiłowaliśmy się wybić w Nowym Jorku, większość czasu oczywiście walcząc o byt. Potem on dostał pracę sezonową w Guthrie. Cudowna odskocznia, zwłaszcza że udało mi się jakoś załatwić sobie pracę w ich dziale scenariuszy. W każdym razie oboje cieszyliśmy się na wyjazd do Minneapolis. Dyrektor Guthrie naprawdę lubił Michaela i odnowił z nim kontrakt na kolejny sezon. Potem jakiś reżyser z LA zaprzagnął zatrudnić go do jakiegoś Filmu Tygodnia czy czegoś w tym stylu. Zaczęliśmy planować założenie rodziny... innymi słowy, wszystko wreszcie zaczęło się nam układać. A potem, pewnej bardzo śnieżnej nocy, Michael postanowił pojechać do miejscowego sklepu całodobowego po sześciopak piwa. Kiedy wracał do domu, jego samochód wpadł w poślizg i uderzył w drzewo z prędkością sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Ten idiota Michael zapomniał zapiąć pas... i wypadł głową do przodu przez przednią szybę, prosto na drzewo - sięgnęła po muszkata. - Dolewka?

Pokiwałem głową. Martha wypełniła kieliszki.

- To okropna historia.

- Tak, wiem. Gorzej, ponieważ kolejne cztery tygodnie Michael spędził podłączony do respiratora, mimo iż oficjalnie był już martwy. Jego rodzice dawno już nie żyli, brat stacjonował w jednostce w Niemczech, więc to mnie przyszło podjąć decyzję. Nie mogłam znieść myśli, że mam pozwolić Michaelowi umrzeć. Byłam tak oszalała z rozpacz, że liczyłam na jakiś niesamowity cud, na wskrzeszenie zmarłych. Miałam nadzieję, że największa miłość mojego życia zostanie mi zwrócona w nienaruszonym stanie. Wreszcie jakaś pielęgniarka, prawdziwa hetera, która już niejedno widziała na OIOM-ie zmusiła mnie, żebym poszła z nią na drinka do pobliskiego baru. Spędzałam wtedy całe dni przy łóżku Michaela i nie spałam od tygodnia. W każdym razie owa pielęgniarka zaciągnęła mnie

do tego baru niemal za frak, kazała wypić dwie porcje whisky i włożyła kawę na ławę: „Twój chłopak nigdy się nie obudzi, Martha. Nie będzie żadnego medycznego cudu. On nie żyje. Dla własnego zdrowia psychicznego powinnaś pogodzić się z tym faktem i odłączyć go od maszyny”. Potem kupiła mi trzecią porcję whisky i zawiozła mnie do domu. Tam kompletnie się załamałam, a potem odpadłam na dwanaście godzin. Kiedy się obudziłam następnego poranka, zadzwoniłam do szpitala i poprosiłam rezydenta, żeby przygotowano wszystkie dokumenty potrzebne do odłączenia Michaela od respiratora. Tydzień później, w chwili kompletnego zamroczenia bólem i smutkiem, złożyłam aplikację o pracę w teatrze Milwaukee. A potem nagle ją dostałam i zanim się zorientowałam, byłam już w drodze do Wisconsin - osuszyła kieliszek i nalala sobie kolejną porcję. - Przecież tradycyjnie człowiek, któremu ból i smutek pomieszał zmysły, powinien pojechać do Paryża lub Tangeru. A co ja zrobiłam? Pojechałam do Milwaukee - przerwała i wpatrzyła się w morze.

- I zaraz potem spotkałaś Philipa?

- Nie, rok później. Podczas tygodnia, który spędziliśmy razem na pracy nad skrypcem opowiedziałam mu wszystko o Michaelu. Philip był pierwszym mężczyzną, z którym spałam od czasu śmierci mojego ukochanego... co oczywiście sprawiło, że sposób, w jaki mnie potem potraktował, odebrałam sto razy gorzej. Uznałam, że jest bardziej niż arogancki... zwłaszcza po tym, co zrobił z naszym scenariuszem... dopóki nie pojawił się u mojego progu, z listem ode mnie w dłoni, błagając o wybaczenie.

- Zgodziłaś się od razu?

- Skądże. Zmusiłam go, żeby za mną chodził, co też czynił z niesłychaną gorliwością i, muszę przyznać, w wielkim stylu. Ku swojemu zdumieniu poczułam, że się w nim zakochuję. Może dlatego, że był takim samotnikiem, który, jak się stopniowo przekonywałam, lubił mnie taką, jaką byłam, szanował moje opinie i światopogląd. Poza tym potrzebował mnie. Była to największa niespodzianka, że ów człowiek z całą swoją fortuną i możliwościami zdobycia

wszystkiego, czego zapragnął, powiedział mi, że jestem najlepszą rzeczą, jaka mogła mu się przydarzyć i że dobrze o tym wie.

- Czyli zdobył cię?

- W końcu tak... w taki sam sposób, w jaki zdobywa wszystko inne... przez czysty złośliwy upór - dopiła kolejny kieliszek. - Problem w tym, że kiedy już to zdobędzie, traci zainteresowanie.

- Głupiec.

- Ba!

- Nie, naprawdę - usłyszałem siebie. - Jak można stracić zainteresowanie tobą?

Spojrzała na mnie długo, a potem wyciągnęła dłoń i pogłaskała moje włosy, mówiąc:

Dominium trwa, póki niezdobyte

Tak i wszelka własność

Gdy jednak cicho niktą w niebycie

Razem zostają na wieczność

- Jeżeli zgadniesz, czyj to wiersz, dostaniesz buziaka - stwierdziła.

- Emily Dickinson.

- Brawo - objęła mnie za szyję, przyciągnęła bliżej i pocałowała lekko w usta. - Moja kolej. Obowiązują te same zasady.

Wyrecytowałem:

Chcę przyznać rację wszystkim tym

Co słusznie twierdzą tu

Że elokwencja wie dzie prym

Gdy sercu braknie słów

- To trudna zagadka - odparła, uwieszając mi się na szyi. - Emily Dickinson.

- Jestem pod wrażeniem.

Znów się pocałowaliśmy, tym razem mocniej.

- Teraz ja - stwierdziła, nadal obejmując moją szyję. –G otowy?
- Oczywiście.
- Dobrze się przysłuchaj, to trudna zagadka.

*Jak mile to więzienie
I kraty słodko smutne
Nie tyran, lecz Król Puchu
Zbudował tę samotnię*

*Król bez dziedziny, gdzie
Fatum objęło tron
Ten loch schronieniem staje się
Więzienie niczym dom*

- Toś mi zabiła klina.
- Dalej, zaryzykuj.
- A co, jeśli nie zgadnę? Przyciągnęła mnie jeszcze bliżej.
- Liczę na to, że jednak zgadniesz.
- Czyżby to była... Emily Dickinson?
- Bingo! - pociągnęła mnie za sobą na piasek.

Zaczęliśmy się całować mocno i z pasją. Po kilku chwilach miłego zapamiętania zapaliły mi się w głowie czerwone światełka alarmowe. Kiedy jednak usiłowałem się wyswobodzić z uścisku Marthy, przydusiła mnie do ziemi swoim ciężarem i wyszeptła:

- Nie myśl. Po prostu...
- Nie mogę - odparłem szeptem.
- Możesz.
- Nie.
- To będzie tylko ta jedna noc.
- Nieprawda i dobrze o tym wiesz. Takie rzeczy zawsze mają reperkusje, zwłaszcza...
- Tak?
- Zwłaszcza kiedy... oboje wiemy, że to nie skończy się na tej jednej nocy.

- Ty też tak to czujesz?
- Tak czuję co?
- To...

Odsunąłem jej ramiona i usiadłem.

- Czuję, że jestem pijany.
- Nie rozumiesz, prawda? - powiedziała łagodnie. - Popatrz tyłko: ja, ty, ta wyspa, to morze, niebo i ta noc. Nie jakaś tam noc, David. Ta noc. Ta niezwykła, niepowtarzalna noc...

- Wiem, wiem, ale... - położyłem dłoń na jej ramieniu.

Ujęła ją i mocno ścisnęła.

- Niech cię diabli z twoją wrażliwością - rzuciła.
- Chciałbym...

Pochyliła się i pocałowała mnie lekko w usta.

- Och, zamknij się już - wstała z piasku. - Chyba pójdę na spacer.

- Mogę pójść z tobą?
- Jeżeli nie masz nic przeciwko, wolałabym nie.
- Jesteś pewna? Pokiwała głową.
- Nie będziesz się bała w tych ciemnościach?
- To moja wyspa. Poradzę sobie.
- Dziękuję za dzisiejszy wieczór - powiedziałem.

- Nie, to ja dziękuję - odparła ze smutnym uśmiechem. Odwróciła się i odeszła wzdłuż brzegu. Pomyślałem o tym, żeby pobiec za nią, wziąć w ramiona i pocałować, mówiąc wiele radosnych, bezładnych słów o miłości i o naturze zgrania w czasie, o tym, jak nie chciałem komplikować sobie życia i jak bardzo chciałem ją pocałować...

Zamiast tego jednak postąpiłem rozsądnie i zmusiłem się do podróży pod górę. Kiedy znalazłem się w swojej chatce, usiadłem na brzegu łóżka, ukryłem twarz w dłoniach i pomyślałem, że to był bardzo dziwny tydzień. To jednak wszystko, co zdołał wykrzesać z siebie mój mózg, albowiem moja zdolność postrzegania była upośledzona z powodu szoku alkoholowego. Gdybym umiał zrozumieć, co przed chwilą zaszło, nie mówiąc już o przyjęciu do wiadomości

niewielkiej niepokojącej konstatacji, że może, tylko może, byłem troszkę zakochany w Marcie, kompletnie wytrąciłoby mnie to z równowagi.

Nie miałem jednak okazji poczuć się winny, ponieważ po raz drugi z rzędu padłem w ubraniu na łóżko. Tym razem byłem tak wyczerpany, że spałem bez ruchu aż do szóstej trzydzieści, kiedy ktoś zapukał delikatnie do drzwi. Wymamrotałem coś, chyba po angielsku, chociaż nie mogłem być tego pewien. Drzwi otworzyły się i do środka wszedł Garry z tacą, na której stała filiżanka kawy i duża szklanka z wodą. Zauważyłem, że chociaż nadal miałem na sobie wczorajszą odzież, ktoś okrył mnie kocem. Zastanawiałem się, kto był owym dobrym samarytaninem.

- Dzień dobry, panie Armitage - powiedział Gary. - Jak się pan dziś czuje?

- Niezbyt dobrze.

- W takim razie potrzebuje pan podwójnej porcji tego - wrzucił do wody dwie tabletki beroccy.

Kiedy już się rozpuściły, wręczył mi szklankę. Wypiłem jej zawartość niemal jednym haustem. Kiedy płyn przelatował przez moje gardło, pustkę zwaną niegdyś moim umysłem zaczęły wypełniać wspomnienia wydarzeń wczorajszej nocy. Gdy przypomniałem sobie, jak obejmowaliśmy się z Marthą na plaży, nie pohamowałem drżenia. Gary udał, że tego nie dostrzegł.

- Może przyda się teraz panu filiżanka bardzo mocnej kawy - powiedział.

Pokiwałem głową. Gary podał mi kawę. Upiłem jej nieco, niemal dławiąc się pierwszym łykiem. Drugi jednak przeszedł już gładziej przez zaciśnięte gardło, a zanim wypilem trzeci, berocca zaczęła już pracować nad mgłą zasnuwającą mój umysł.

- Czy dobrze się pan bawił wczorajszej nocy, sir? - spytał Gary.

Przyjrzałem się uważnie jego twarzy, zastanawiając się, czy ten cholerny sługus usiłował mi coś w ten sposób zasugerować... czyżby stał na werandzie z lornetką, obserwując, jak wydurniamy się na

plaży? Jednak jego twarz nie zdradzała absolutnie niczego. Podobnie jak moja.

- Tak, świetnie, dziękuję - odparłem.

- Przykro mi, że obudziłem pana tak wcześnie, ale zgodnie z pana prośbą, dziś rano gulfstream ma pana zabrać do San Francisco. Czy miałby pan coś przeciw temu, żebym szybko omówił plan podróży?

- Nie ma sprawy... chociaż pewnie będziesz musiał powtórzyć wszystko parę razy.

W odpowiedzi uśmiechnął się nieszczerze.

- Pani Fleck powiedziała nam, że musi być pan w San Francisco przed czwartą po południu, żeby odebrać córkę ze szkoły.

- Tak, to prawda. Jak się czuje pani Fleck?

- W tej chwili jest w drodze do Nowego Jorku. Sądziłem, że się przesłyszałem.

- Co takiego?

- Jest w drodze do Nowego Jorku, sir.

- Ale jak...

- W taki sam sposób, jak zazwyczaj podróżuje do Nowego Jorku, sir. Jednym z naszych czterech samolotów. Opuściła wyspę wczoraj w nocy, tuż po tym, jak położył się pan spać.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę.

- Och.

- Zostawiła jednak list dla pana - dokończył Gary, wyciągając z kieszeni małą białą kopertę z wypisanym na niej moim nazwiskiem.

Powstrzymałem się przed natychmiastowym otwarciem jej i odłożyłem kopertę na poduszkę obok mnie.

- Prosiła mnie również, abym zorganizował pana przelot na wybrzeże Stanów, i tak też postąpiłem. Powrót na Wyspę Szafranową przewidziany jest na dziewiątą, potem helikopter zabierze pana na Antiguę o dziesiątej trzydzieści, start zaś gulfstreama przewidziany jest na kwadrans po jedenastej. Pilot poinformował mnie, że

lot zajmie siedem godzin i czterdzieści minut, co z różnicą czasu czterech godzin pozwoli panu znaleźć się w San Francisco dziesięć po trzeciej. Na lotnisku odbierze pana limuzyna, która będzie do pana dyspozycji przez cały weekend. Pozwoliliśmy sobie również zarezerwować dla pana i pańskiej córki apartament w hotelu Mandarin Oriental.

- To zbyt ekstrawaganckie miejsce jak dla mnie.
 - Może pan podziękować pani Fleck. To ona wszystko zaaranżowała.
 - Nie omieszkam tego zrobić.
 - Jeszcze jedno. Podczas pana dziewięćdziesięciminutowego pobytu na Wyspie Szafranowej spotka się z panem pan Fleck.
 - Co takiego? - poczułem, że moje dłonie nagle zrobiły się wilgotne i zimne.
 - Pan Fleck spotka się z panem o dziewiątej.
 - Wrócił na wyspę?
 - Tak, sir. Wczoraj wieczorem.
- Doskonale, pomyślałem. Po prostu cudownie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy łódź pędziła w kierunku Wyspy Szafranowej, odczuwałem coraz większy niepokój. Bez wątpienia miało to coś wspólnego z perspektywą spotkania z człowiekiem, który kazał mi na siebie czekać przez ostatnie siedem dni. Poza tym martwiłem się, co mój gospodarz pomyśli sobie, przybywając do domu i dowiadując się, że jego żona zabrała jego gościa na noc na swoją prywatną wyspę. Ale była jeszcze kwestia mojego obściskiwania się po pijaku na plaży z Martha. To, że wróciła wczoraj w nocy na Wyspę Szafranową, oczyszczało nas wprawdzie z podejrzeń o romans. Zastanawiałem się jednak, czy ktoś z obsługi widział, jak całowaliśmy się na plaży, i usłużnie poinformował Flecka, że jego żona i jego gość odegrali słynną scenę miłosną Burta Lancastera i Deborah Kerr ze *Stąd do wieczności* - scenę, którą kinoman taki jak Fleck znał nader dobrze.

Cięcie!

Chwyliłem się relingu i nakazałem sobie spokój. Przypomniałem sobie, że kac zawsze wywoływał u mnie paranoiczne myśli. W obszernym katalogu seksualnych głupot obejmowanie się po pijaku było zaledwie drobnym przestępstwem. Do diabła, w końcu oparłem się pokusie! Powinienem się poklepać po ramieniu i zaprzestać samoudręczenia. A skoro już mowa o samoudręczeniu, należało przestać opóźniać to, co nieuniknione, i otworzyć wreszcie list od Marthy.

Zrobiłem to. Znalazłem kartkę zapisaną ładnym charakterem pisma. Na jednej stronie przeczytałem:

*Brodzić w Nieszczęściu - umiem –
Przez każdy jego Strumień
Albo Bagno przechodzę –
Ale prztyczek Radości –
I już na równej drodze
Potykam się -pijana –
Na uciechę Kamykom –
Nie śmieję się –
tak działa
Na mnie ten Nowy Likwor!*

Na odwrocie kartki znalazłem krótką notkę:

*Chyba domyślasz się, kto jest autorem, Davidzie.
Miałeś rację. Zgranie w czasie jest, niestety, najważniejsze. Uważaj na siebie.*

Martha

Najpierw pomyślałem, że mogło być dużo gorzej. Potem stwierdziłem, że Martha jest cudowna. Wreszcie nakazałem sobie zapomnieć o całej sprawie...

Kiedy Łódź przybiła do pomostu na Wyspie Szafranowej, czekała już tam na mnie Meg. Powiedziała, że spakowała moje rzeczy i przygotowała wszystko do załadowania do helikoptera. Jeżeli jednak chciałem sprawdzić przed wyjazdem mój pokój...

- Jestem pewien, że niczego nie zapomniałaś - stwierdziłem.
- W takim razie pan Fleck czeka na pana w Dużej Sali.

Poszedłem za nią do domu i korytarzem udaliśmy się do ogromnego, katedralnego pomieszczenia. Zanim wszedłem do środka, zaczerpnąłem powietrza. Kiedy jednak minąłem próg pokoju, okazało się, iż jestem sam.

- Pan Fleck zapewne wyszedł na chwilę. Zechce się pan czegoś napić?
- Poproszę perriera.

Meg wyszła, ja zaś usadowiłem się na tym samym fotelu Eamesa, który, jak wcześniej poinformowała mnie Martha, kosztował cztery tysiące dwieście dolarów. Po kilku minutach wstałem i zacząłem spacerować po pokoju, spoglądając na zegarek i powtarzając sobie, że nie powinienem się denerwować, bo przecież to tylko zwykły facet. Może i ma dużą kasę, ale nic, co powie, zrobi lub pomyśli o mnie, nie mogło w żaden sposób wpłynąć na moją karierę. Poza tym to on po mnie posłał. To ja tutaj byłem talentem, a on jedynie kupcem. Jeżeli chciał tego, co miałem mu do zaoferowania, w porządku. Jeżeli nie, za chwilę już mnie tu nie będzie.

Minęły dwie minuty, potem trzy i pięć. Wróciła Meg z tacą, na której zamiast perriera stała wysoka szklanka z sokiem pomidorowym, z którego wystawała łodyga zielonego selera.

- Co to takiego? - spytałem.

- Krwawa Mary, sir.

- Przecież prosiłem o perriera.

- Tak, ale pan Fleck uznał, że najpierw powinien się pan napić Krwawej Mary.

- Co takiego?

Nagle usłyszałem głos dochodzący z góry, konkretnie z balkonu zbudowanego nad salą.

- Pomyślałem, że przyda się panu łyk Krwawej Mary - głos był niski, cichy i słychać w nim było lekkie wahanie.

Po chwili usłyszałem kroki na spiralnych schodach odchodzących od balkonu. Philip Fleck schodził w dół powoli, obdarzając mnie lekkim uśmiechem. Oczywiście znałem tę twarz z niezliczonych fotografii, ale zaskoczyła mnie jego zwalista budowa. Miał może metr sześćdziesiąt wzrostu, jasnobrązowe włosy przetykane siwizną i chłopięcą twarz, na której widniały wszelkie objawy diety nadmiernie bogatej w węglowodany. Nie był gruby, ale bardzo nabity. Nosił najmodniejsze w tym sezonie elegancko niedbałe ciuchy: koszulę w kolorze wyblakłego błękitu opadającą luźno na dobrze sprane drelichowe beżowe spodnie oraz białe tenisówki Converse.

Chociaż podobno spędził tydzień na łodzi, wędkując pod rozżarzonym karaibskim słońcem, był zdumiewająco blady. Zacząłem się zastanawiać, czy jest jednym z tych ludzi ogarniętych obsesją na punkcie raka skóry, którzy obawiali się, że nawet najdrobniejsze przyciemnienie skóry oznacza początek melanomy.

Wyciągnął ku mnie dłoń, którą uściśnąłem. Uścisk jego dłoni był lekki, byle jaki - jak u człowieka, którego nie obchodzi, czy się go lubi, czy też nie.

- David, jak wnoszę - stwierdził.

- Tak jest.

- W takim razie z tego, co słyszałem, Krwawa Mary jest zdecydowanie na miejscu.

- Doprawdy? Czy mogę zapytać dokładnie, co pan słyszał?

- Moja żona powiedziała mi, że nieźle sobie popiliście wczoraj w nocy - spojrział w moim kierunku, ale nie prosto na mnie, jakby był krótkowidzem i nie potrafił zogniskować wzroku na zbyt odległym obiekcie. - Czy to prawda?

- Rzeczywiście był to lekko zakrapiany wieczór - dobieierałem moje słowa ostrożnie.

- Lekko zakrapiany - odparł łagodnie, jakby nieśmiało. - Podoba mi się twoje słownictwo. Biorąc jednak pod uwagę „lekko zakrapiany” wieczór dwa dni temu... - skinął w kierunku Meg i drinka stojącego na tacy.

Część mnie chciała odmówić, ale druga część podpowiadała mi, żebym zrobił to, co mi każą... zwłaszcza że nagle poczułem ogromną potrzebę klina.

Przyjąłem więc Krwawą Mary, uniosłem w toaście skierowanym do Flecka i wypilem wszystko. Odstawiłem szklanke na tacę i uśmiechnąłem się do mojego rozmówcy.

- Zdaje się, że byłeś spragniony - stwierdził. - Jeszcze jeden?

- Nie, dziękuję, to wystarczy.

Fleck skinął na Meg, która natychmiast wyszła. Gestem zaprosił mnie na fotel Eamesa. Sam usadowił się na stojącej naprzeciwko kanapie w taki sposób, że nie musiał na mnie patrzeć. Mówiąc, zwracał się do ściany po przekątnej.

- Dobrze... mam pytanie - zaczął cicho.
- Słucham - odparłem.
- Sądzisz, że moja żona jest alkoholizką?

O rany...

- Nie mam pojęcia.
- Ale dwie kolejne noce spędziłeś, pijąc z nią.
- To prawda.
- W obu przypadkach nieźle pociągała, prawda?
- Ja również.
- W takim razie może ty również jesteś alkoholikiem?
- Panie Fleck...
- Możesz mi mówić Philip. Powinieneś wiedzieć, że Martha wyrażała się o tobie w samych superlatywach. Swoją drogą, była wtedy w dość euforycznym stanie, ale to część uroku mojej żony, nie sądzisz?

Nie miałem zielonego pojęcia, co miałbym powiedzieć na ten temat. Fleck wydawał się zadowolony, że zapadła niewygodna cisza. Minęła dobra minuta, zanim zdecydowałem się wreszcie przerwać milczenie.

- Jak się udały połowy?
- Połowy? Nie byłem na żadnych połowach.
- Nie był pan?
- Nie.
- Ale powiedziano mi...
- Źle cię poinformowano.
- Och. W takim razie skoro nie był pan na połowach...?
- Byłem gdzie indziej. W Sao Paulo, skoro już o tym mowa.
- Biznes?
- Nikt nigdy nie jeździ do Sao Paulo dla przyjemności.
- Oczywiście.

Znowu zapadła cisza, podczas której Fleck wpatrywał się w ścianę.

- No dobrze... rozumiem, że chciałeś się ze mną zobaczyć - rzucił wreszcie.
- Ja?
- Tak mi powiedziano.

- Ale... przecież to pan mnie tutaj zaprosił.
- Doprawdy?
- Zdecydowanie.
- Och. Rzeczywiście.
- Rozumiem, że to pan chciał się ze mną zobaczyć.
- W jakiej kwestii?
- Scenariusza.
- Jakiego scenariusza?
- Scenariusza, który napisałem.
- To ty piszesz scenariusze?
- Usiłuje pan być zabawny?
- Czy wyglądam na kogoś, kto usiłuje być zabawny?
- Nie. Wygląda pan na kogoś, kto próbuje się ze mną bawić w jakąś grę.

- A co to miałyby być za gra?
- Wie pan, dlaczego tu jestem.
- Przypomnij mi jeszcze raz.
- Mam tego dość - podniosłem się z fotela.
- Słucham?
- Powiedziałem, że mam tego dość...
- Dlaczego to powiedziałeś?
- Ponieważ pogrywa pan sobie ze mną.
- Jesteś zły?
- Nie. Po prostu wyjeżdżam.
- Czyżbym zrobił coś złego?
- Nie zamierzam dać się wciągnąć w tę gierkę.
- Ale jeżeli zrobiłem coś złego...
- Ta rozmowa jest zakończona. Żegnam.

Ruszyłem w kierunku drzwi, ale zatrzymał mnie głos Flecka.

- David...
- Słucham? - odwróciłem się.

Fleck patrzył mi prosto w oczy z szelmowskim uśmieszkiem. W prawej dłoni trzymał mój manuskrypt.

- Mam cię! - rzucił. - Mam nadzieję, że nie jesteś na mnie za bardzo wkurzony - dodał, kiedy nie zareagowałem entuzjastycznym: „To był naprawdę świetny żart!”.

- Panie Fleck, po tygodniu czekania na pana...
- Masz rację, całkowitą rację - przerwał mi. - I za to bardzo cię przepraszam. Ale przecież nie pozwolimy, aby mała Pinterowska sprzeczka skłóciła dwóch kolegów po fachu.
- Jesteśmy kolegami po fachu?
- Taką mam nadzieję, ponieważ bardzo chciałbym zrealizować ten scenariusz.
- Naprawdę? - usiłowałem nadać mojemu głosowi neutralny ton.

- Myślę, że poprawki w nowej wersji są niesamowite. To zupełnie jak dekonstrukcja filmu o glinach z naprawdę rygorystyczną podkładką polityczną. Obraz marazmu nieodłącznie związanego z liberalną konsumpcją; znudzenie, które stało się filarem naszej współczesnej amerykańskiej egzystencji.

To było coś nowego, ale jeśli nauczyłem się czegoś o biznesie pi-sarskim, to, że gdy jakiś reżyser zaczyna tłumaczyć z entuzjazmem, o czym jest twój film, najlepiej jest potakiwać mu bez słów... nawet jeżeli sądzi się, że wygaduje potworne głupoty.

- Oczywiście przede wszystkim jest to film genre...
- Owszem. - Fleck znów zaprosił mnie do zajęcia miejsca w fotelu Eamesa. - Ale też w pewnym sensie zrywa ze swoim gatunkiem w taki sam sposób, jak Jean-Pierre Melville przedefiniował egzystencjalną legendę zabójcy w *Samuraju*.

Egzystencjalną legendę zabójcy? Jasne.

- Przede wszystkim jednak opowiada o dwóch facetach z Chicago, którzy usiłują napaść na bank - stwierdziłem.
- A ja wiem dokładnie, jak sfilmować ten napad.

Przez następne pół godziny streścił mi swoje pomysły filmowania napadu na bank (używając steadicamu* System stabilizacji kamery. - żeby gruboziarnistością filmu „wydobyc prawdziwy sens amatorskiego filmowania”). Potem przeszedł do wykonawców.

- Chcę tylko tych nieznanymi. Do głównych ról planuję wziąć dwóch niesamowitych aktorów, których widziałem w zeszłym roku w Berliner Ensemble...

- Co z ich angielskim? - spytałem.

- Możemy nad tym popracować.

Powinienem wprawdzie wspomnieć o lekkim problemie z wiarygodnością, jeżeli dwóch Niemców z ciężkim akcentem będzie grało parę starych wyjadaczy z wojny wietnamskiej, ale powstrzymałem się od komentarza. W trakcie swojego epickiego monologu Fleck wspominał bowiem, że zamierza przeznaczyć na film około czterdziestu milionów -absurdalna suma jak na film amatorski, ale kimże byłem, aby kwestionować sposób, w jaki chciał wyrzucić swoje pieniądze w błoto? Poza tym przypomniałem sobie, co powiedziała mi Alison, zanim tu przyjechałem:

- Znam się na rzeczy i jestem w stanie wyciągnąć z niego masę pieniędzy. Zamierzam zażądać okrągłego miliona, pay-or-play, i przysięgam, że Fleck zapłaci, bo nawet jeśli zarejestrowanie twojego scenariusza pod jego nazwiskiem było częścią słodkiej gadki, na pewno nie chciałby tego upublicznić. Zapłaci dużo bez pytania, żeby utrzymać to w tajemnicy.

Poza tym chyba powoli ulegałem jego żarliwości: sprawiał, że poczułem, jakbym napisał nie zwykły scenariusz do filmu rozrywkowego, lecz dzieło definiujące historię kina. Martha miała rację - kiedy Fleck czegoś chciał, zdobywał to z całym zapamiętaniem i uporem. Przypomniałem sobie jednak przy okazji, co powiedziała o tym, jak tracił zainteresowanie, kiedy już zdobył to, co chciał. Nadal byłem nieco zdeprimowany sposobem, w jaki usiłował mnie zdemotywować na początku naszej rozmowy - chociaż musiałem mu oddać sprawiedliwość, ponieważ w środku swojej przemowy przerwał i przeprosił mnie za próby wyprowadzenia mnie z równowagi.

- Obawiam się, że to mój zły nawyk - powiedział. - Kiedy spotykam kogoś po raz pierwszy, usiłuję go zaskoczyć i zdezorientować... żeby sprawdzić jego reakcję.

- Zdałem egzamin?
- Na piątkę z plusem. Martha powiedziała mi, że masz klasę, a ona zna się na pisarzach. Jeszcze raz dziękuję za dotrzymanie jej towarzystwa przez ostatnie kilka dni. Jest twoją ogromną fanką i naprawdę cieszyła się, że mogła z tobą porozmawiać.

Nie wspominając o całowaniu przy wierszach Emily Dickinson. Twarz Flecka nie zdradzała jednak, żeby cokolwiek wiedział o owych wydarzeniach. Poza tym (jak sobie powtarzałem), byli oficjalnie w separacji. Fleck prawdopodobnie miał kochankę niemal w każdym porcie. I co z tego, jeżeli dowiedziałby się, że obściskiwałem jego żonę? Uwielbiał mój scenariusz. Jeżeli będzie chciał z nim zrobić coś głupiego, wycofam swoje nazwisko z listy płac... po zainkasowaniu forsy oczywiście.

Na wszelki wypadek jednak postanowiłem nie dopuścić do dalszych rozmów o jego żonie i zmieniłem temat.

- Chciałem podziękować za zapoznanie mnie z *Salò* Pasoliniego - powiedziałem. - To chyba najgorszy z możliwych filmów, jaki można by wybrać na pierwszą randkę, ale jest niesamowity i zapada na długo w pamięci.

- Dla mnie osobiście jest to najlepszy film zrealizowany od czasów wojny. Zgodzisz się?

- To dość mocne stwierdzenie...

- Powiem ci, dlaczego ów film zasługuje na najwyższe uznanie. Ponieważ rozprawia się z głównym zagadnieniem naszego stulecia... potrzebą kontroli absolutnej nad innymi.

- Nie sądzę, aby był to problem zajmujący wyłącznie ludzi dwudziestego wieku.

- Prawda, ale w ostatnim stuleciu uczyniliśmy wielki postęp w kontrolowaniu ludzkości... potrafimy wykorzystać technologię do stworzenia totalnej hegemonii nad innymi. Niemieckie obozy koncentracyjne były pierwszym i wyjątkowym przykładem hiperteknologicznej śmierci, albowiem stanowiły niezwykle wydajny aparat do eksterminacji gatunku ludzkiego. Bomba atomowa to kolejny triumf kontroli nad ludzkością, nie tylko ze względu na zdolność do

masowej zagłady, ale również jako narzędzie polityczne. Bądźmy szczerzy, dzięki zagrożeniu bombą atomową wszyscy zaakceptowaliśmy zimną wojnę i konieczność istnienia tajnych organizacji... co dało rządowi obu stron tej ideologicznej schizmy doskonale narzędzie do utrzymywania w ryzach plebsu i jednocześnie uzasadnienie konieczności zorganizowania obszernej sieci szpiegowskiej, która służyła do wyłapania i uciszenia opozycji. Teraz oczywiście mamy ogromne możliwości uzyskania wszelkich informacji koniecznych do sprawowania jeszcze większej i kompletniejszej kontroli nad poszczególnymi jednostkami. Dokładnie tak, jak społeczeństwa zachodnie wykorzystują konsumpcję i nieskończoną żądzę posiadania do zajęcia czymś całej populacji, a tym samym podporządkowania jej sobie.

- Co to wszystko ma wspólnego z *Salò*?

- To proste. Pasolini pokazał faszyzm w jego najczystszej pre-technologicznej formie. Opisał przekonanie, że pewni ludzie mają prawo, wręcz przywilej, do sprawowania całkowitej kontroli nad innymi istotami ludzkimi do tego stopnia, iż mogą im odebrać wszelką godność i podstawowe prawa, odrzeć ze wszelkiej indywidualności i traktować jak funkcjonalne obiekty, których można się pozbyć, kiedy utracą swą przydatność. W naszych czasach szaleni arystokraci z filmu zostali zastąpieni większymi siłami: rządami, korporacjami, bankami danych. Nadal jednak żyjemy w świecie, w którym impuls dominacji nad drugim człowiekiem jest jednym z najsilniejszych motywów napędzających cywilizację. Wszyscy chcemy przecież, aby inni ludzie przyjęli nasz światopogląd jako najlepszy, czyż nie tak?

- Przypuszczam, że tak... ale w jaki sposób owa... teza odnosi się do mojego... eee, naszego... filmu gangsterskiego?

Fleck spojrział na mnie i uśmiechnął się jak ktoś, kto za chwilę wygłosi niesamowitą, bardzo oryginalną sugestię i czeka tylko na odpowiedni moment, żeby mnie oświecić.

- Powiedzmy... oczywiście to tylko postulat, ale chciałbym, abys rozważył go z całą powagą. Powiedzmy, że naszym weteranom

wojny wietnamskiej udaje się napaść na bank, ale potem popełniają błąd. Wiedzeni nadmierną ambicją postanawiają obrabować bardzo tajemniczego miliardera.

Ciekawe kogo, pomyślałem. Fleck jednak nie uśmiechał się z ironią. Nic z tych rzeczy. Po prostu mówił dalej:

- Powiedzmy, że ów miliarder mieszka w fortecy na szczycie wzgórza w północnej Kalifornii... posiada jeden z największych prywatnych zbiorów dzieł sztuki w całych Stanach. Nasi bohaterowie postanawiają nieco go zubożyć. Kiedy jednak włamują się do cytadeli owego bogacza, natychmiast zostają ujęci przez oddział jego uzbrojonych strażników. Odkrywają wtedy, że ów miliarder stworzył wraz z grupką swoich przyjaciół własne libertyńskie społeczeństwo, z niewolnikami obu płci pełniącymi posługi seksualne. Zaraz po schwytaniu nasi bohaterowie również stają się niewolnikami... lecz natychmiast zaczynają obmyślać sposób na wydostanie siebie i wszystkich innych spod tego drakońskiego ucisku - przerwał i uśmiechnął się do mnie. - Co o tym sądzisz?

Ostrożnie. Nie chcesz, żeby zobaczył, jak się krzywisz z niesmakiem.

- Moim zdaniem brzmi to jak skrzyżowanie *Szklanej pułapki* z markizem de Sade - stwierdziłem. - Pozostaje problem: czy nasi bohaterowie wychodzą z tego cało i zdrowo?

- Jakie to ma znaczenie?

- Ogromne, jeżeli chcesz, żeby film był chociaż trochę komercyjny. A przecież skoro zamierzasz wydać czterdzieści milionów na realizację, to znaczy, że planujesz skierować owo przesianie do publiczności multipleksów. Oni zaś będą chcieli kogoś dopingować, a więc przynajmniej jeden z weteranów musi wyjść cało z opresji po wykończeniu wszystkich czarnych charakterów...

- A co z jego przyjacielem? - spytał nagle bardzo sucho.

- Umiera śmiercią bohatera... najlepiej z rąk szalonego miliardera. Co oczywiście sprawia, że Bruce Willis może się jeszcze bardziej zawziąć na swojego porywacza. Na końcu filmu, po wysadzeniu w

powietrze fortuny drania, Willis daruje miliarderowi życie. Oczywiście powinien odejść w stronę zachodzącego słońca z jakąś oswobodzoną panienką... najlepiej jedną z niewolnic, którą uświadomił, że jest wykorzystywana seksualnie. Gwarantowane dwadzieścia milionów zysku w pierwszym tygodniu wyświetlania.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Philip Fleck ściągnął usta.

- Nie podoba mi się to - powiedział wreszcie. - Zupełnie mi się to nie podoba.

- Mnie też się to nie podoba. Nie o to jednak tu chodzi.

- W takim razie o co?

- Jeżeli chcesz zmienić ten film gangsterski w opowieść o „dwóch facetach, których więzi bogaty szaleniec” i jednocześnie na nim zarobić, musisz grać według pewnych zasad hollywoodzkiego głównego nurtu.

- Ale to nie jest scenariusz, który napisałeś - stwierdził z nutką rozdrażnienia w głosie.

- Wiem o tym doskonale. Jak zapewne wiesz, film, który napisałem, a potem zrezagowałem, jest zabawną, lekko niebezpieczną czarną komedią w stylu Roberta Altmana. Coś, co byłoby idealne dla Elliotta Goulda i Donalda Sutherlanda w rolach głównych. To, co sugerujesz...

- To co sugeruję, jest również niebezpieczne i czarne - przerwał mi. - Nie chcę robić jakiegoś nurtowego gówna. Chcę reinterpretacji *Saló* w kontekście Ameryki dwudziestego pierwszego wieku.

- Przez reinterpretację rozumiesz... ?

- Po prostu... chcę sprawić, aby publiczność uwierzyła, że ogląda zwykły film gangsterski, a potem... bum!... wrzucić ich prosto w najczarniejsze serce ciemności.

Przyjrzałem się uważnie Fleckowi. Nie, nie był ironiczny, kpiarski ani nie bawił się w tworzenie ponurych bajek. Mówił absolutnie poważnie.

- Co masz na myśli, mówiąc „najczarniejsze serce ciemności”? - spytałem.

Wzruszył ramionami.

- Widziałeś *Salo* - odparł. - Zamierzam przedstawić ten sam rodzaj okrucieństwa... wyjść poza granice smaku i tolerancji zwykłej publiczności.

- Na przykład jak w przypadku bankietu z kałem...?

- Oczywiście nie będziemy małpować Papoliniego...

- Oczywiście, że nie...

- Ale uważam, że w filmie powinniśmy zobrazować jakąś okropną degradację ludzkości z udziałem stolca. Nie ma nic bardziej prymitywnego niż gówno, nie sądzisz?

- Muszę się zgodzić - przez cały czas oczekiwałem, że znowu krzyknie: „Mam cię!”, a potem zacznie się ze mnie naigrawać, jak to nabrał mnie po raz drugi. - Wiesz jednak, że jeśli na przykład pokażesz, jak facet załatwia się na podłogę, twój film nie zdobędzie uznania... Co więcej, istnieje duża szansa, że w ogóle nie zostanie wyświetlony.

- O nie, zostanie - odparł.

Rzeczywiście, mógł zapłacić dosłownie za wszystko. Podobnie jak był w stanie wyrzucić czterdzieści milionów dolarów na kolejny ekstremalny projekt dyktowany wyłącznie jego próżnością. Facet mógł robić to, co chciał, ponieważ jego fortuna chroniła go od zwyczajnych zmartwień o to, aby realizacja filmu się zwróciła (nie wspominając podstawowej kwestii wprowadzenia go na ekrany kin).

- Zdajesz sobie sprawę, że ten film w formie, jaką proponujesz, zostanie wyświetlony w Paryżu, może w jakimś kinie artystycznym w Helsinkach, gdzie i tak odnotowuje się wysoki procent samobójstw...

- To był żart, prawda? - Fleck nieco zesztywniał.

- Oczywiście, że żart. Chciałem tylko powiedzieć...

- Wiem, co chciałeś powiedzieć. Zdaję sobie sprawę, że to, co proponuję, jest dość radykalne. Jeżeli jednak ktoś taki jak ja, posiadający odpowiednie zasoby i środki, decyduje się grać bezpiecznie, w jaki sposób sztuka ma ewoluować? Spójrzmy prawdzie w oczy. Zawsze istniała bogata elita, która sponsorowała awangardę. Ja po prostu sponsoruję samego siebie. Jeżeli zaś cała reszta świata

zechce napiętnować to, co zrobiłem, trudno, niech tak będzie. Tak długo, jak nie będą mnie ignorować...

- Nawiązujesz do swojego pierwszego filmu? – wyrwało mi się.

Fleck znowu zeszytywniał i spojrzał na mnie, jakby był jednocześnie zraniony i niebezpiecznie wściekły. O kurczę. Właśnie popełniłem gafę, i to poważną...

- Oczywiście moim zdaniem nie zasłużył na takie potraktowanie - dodałem szybko. - Nie sądzę również, że zmiany w scenariuszu, które proponujesz, zostaną zignorowane. Być może Koalicja Chrześcijańska zacznie palić publicznie twoje podobizny, ale jestem pewien, że przyciągniesz uwagę społeczeństwa. Zdecydowanie.

Znowu się uśmiechał. Poczulem ulgę. Nacisnął guzik na stole i za chwilę pojawiła się Meg. Fleck poprosił o butelkę szampana.

- Myślę, że powinniśmy uczcić początek naszej współpracy, Davidzie - powiedział.

- A współpracujemy?

- Tak sądzę. Chyba jesteś zainteresowany pracą nad tym projektem, czyż nie?

- To zależy...

- Od czego?

- Od zwykłych rzeczy: naszych planów, moich innych zawodowych zobowiązań, warunków kontraktu. Poza tym jest jeszcze kwestia pieniędzy.

- Pieniądze nie stanowią problemu.

- W przemyśle filmowym pieniądze zawsze stanowią problem.

- Nie ze mną. Podaj swoją cenę.

- Słucham?

- Podaj swoją cenę. Powiedz, ile chciałbyś dostać za przepisanie scenariusza.

- Nie zajmuję się takimi sprawami. Będziesz musiał porozmawiać z moim agentem...

- Zamierzam powtórzyć to jeszcze raz, Davidzie. Podaj swoją cenę.

Odetchnąłem głęboko.

- Rozmawiamy w tym momencie o modyfikacji scenariusza wedle twoich wskazówek, tak?

- Dwie redakcje i ostateczna korekta - odparł.

- W takim razie prosisz mnie o poświęcenie sprawie dość dużej ilości czasu.

- Jestem przekonany, że masz na to odpowiednią stawkę.

- Rozmawiamy tu o twoim pomysłe „Salo w Napa Valley”, tak?

Nikły, nieprzyjemny uśmiech.

- Przypuszczam, że moglibyśmy tak to nazwać. Zatem... twoja cena?

- Dwa i pół miliona - powiedziałem bez zmrużenia oka.

Fleck przyjrzał się swoim paznokciom.

- Sprzedane - powiedział.

Teraz już nie potrafiłem ukryć swojego zdziwienia.

- Jesteś pewien?

- Przyklepane. Zaczynamy?

- Cóż... zazwyczaj nie zabieram się do pracy, dopóki nie podpiszę kontraktu, o tym zaś muszę porozmawiać z moim agentem.

- A o czym tu rozmawiać? Podales cenę, ja ją zaakceptowałem. Zabierajmy się do pracy.

- Teraz?

- Tak, natychmiast.

Ale przecież za godzinę miałem się znaleźć na pokładzie jednego z jego samolotów, w drodze na zachód, z wizytą u mojej córki. Nie mogłem (i nie zamierzałem) opuścić weekendu z nią.

- Wiem, że moja agentka chwilowo wyjechała... - zacząłem.

- Jestem pewien, że możemy ją odszukać. Jeżeli zaś nie, mogę zaaranżować transfer połowy sumy na twoje konto dziś po południu.

- To bardzo hojnie i honorowo z twojej strony. Nie na tym jednak polega mój problem. Mam ważne zobowiązania rodzinne na kontynencie.

- Sprawa życia czy śmierci? - spytał.
- Żadne z powyższych, ale jeśli nie pojawię się na wybrzeżu, bardzo zasmucę moją córkę, a moja żona użyje tej sytuacji jako podstawy do przejęcia całkowitej opieki nad nią.
- Pieprzyć ją - odparł Fleck.
- To nie takie proste.
- Owszem, to bardzo proste. Poza tym za dwa i pół miliona możesz sobie wynająć najlepszego prawnika.
- Chodzi o dziecko.
- Przeżyje to.

Być może, ale ja najprawdopodobniej nie będę w stanie poradzić sobie z wyrzutami sumienia.

- Proponuję następujący układ - powiedziałem. - Polecę teraz do San Francisco i wrócę w poniedziałek rano.

Znów zaczął przyglądać się swoim paznokciom.

- Nie będzie mnie tutaj - odparł.
- W takim razie przyjadę, gdziekolwiek będziesz.
- W przyszłym tygodniu nie mogę.
- W takim razie za dwa tygodnie?

Nagle pożałowałem, że złożyłem tę ofertę. Złamałem pierwszą zasadę pisania scenariuszy do filmów... wydałem się zbyt chętny, co oczywiście oznaczało, że potrzebowałem tej roboty albo też bardzo chciałem tych pieniędzy. Była to prawda, ale w Hollywood, zwłaszcza w obecności takiego człowieka jak Fleck, trzeba się było zachowywać, jakby wcale ci nie zależało na milionowym kontrakcie. Gra polegała na udawaniu, że jest się zupełnie samowystarczalnym, i nieprzyznawaniu się do wątpliwości lub, co gorsza, do tego, że potrzebuje się czyjejs pomocy. W tym przypadku nie potrzebowałem pracy i, szczerze powiedziawszy, nie byłem pewny jej kreatywnej zasadności. Jakże jednak mogłem się oprzeć tak absurdalnie wysokiej zapłacie? Zwłaszcza że Alison miała spisać kontrakt w taki sposób, że w razie czego mógłbym bez najmniejszego problemu wycofać moje nazwisko z listy płac i zaprzeczyć, że miałem cokolwiek wspólnego z pokręconą i obsraną wersją mojego dzieła.

Problem w tym, że Fleck zdał sobie sprawę, w jak rozkosznej sytuacji bez wyjścia utkwilem. Mogłem zostać na weekend i zacząć pracę nad scenariuszem wartym dwa i pół miliona dolarów lub wyjechać i...

- Obawiam się, że to jedyny mój wolny weekend - stwierdził obojętnie. - Będę brutalnie szczerzy. Jestem zawiedziony twoją postawą, Davidzie. W końcu przyjechałeś tutaj, żeby ze mną pracować, prawda?

- Philip... wyjaśnijmy sobie to raz na zawsze - odparłem spokojnym, rzeczowym tonem. - Przywiozłeś mnie tutaj swoim prywatnym samolotem, aby porozmawiać o scenariuszu. Kazales mi również czekać na siebie siedem dni... cały tydzień, podczas którego mogłem pracować nad manuskrytem. Zamiast tego jednak...

- Czekales tu całe siedem dni?

O Boże. Znowu wracamy do strefy cienia.

- Wspominałem o tym na samym początku naszej rozmowy - odparłem.

- Dlaczego więc nikt mi o tym nie powiedział?

- Nie mam pojęcia, Philipie. Zdecydowanie jednak dano mi do zrozumienia, że wiesz o tym, że na ciebie czekam.

- Przepraszam - nagle wydał się zamyślony. - Nie miałem pojęcia...

Co za koszmarny kłamca. Nie mogłem uwierzyć, że potrafił tak nagle się wyłączyć i zachowywać, jakby cierpiał na amnezję lub dziwne stany zamyślenia do tego stopnia, że ledwie zauważał moją obecność. Zupełnie jakby wymazywał cię ze swojej świadomości w momencie, w którym powiedziales (lub zrobiłes) coś, co nie pasowało do jego planu lub światopoglądu. Gdy tylko zdarzyło się coś takiego, naciskał mentalny przycisk „Wymaż” i nagle znajdowales się w przegródce pod tytułem „Nic”.

- No dobrze... - spojrzal na zegarek. - Skończyliśmy już?

- To zależy od ciebie.

Wstał.

- Zatem skończyliśmy. Chcesz powiedzieć coś jeszcze?

Tak. Że jesteś skończonym dupkiem.

- Myślę, że kolejny ruch należy do ciebie - odparłem. - Na końcu manuskryptu jest nazwisko i numer mojej agentki. Z przyjemnością podejmę się pracy na przedyskutowanych przez nas warunkach. Ponieważ pracę nad kolejną serią *Sprzedając ciebie* zaczynam dopiero za dwa miesiące, teraz jest najlepszy moment, żeby zająć się tym projektem. Oczywiście jednak wszystko zależy od ciebie.

- W porządku, dobrze już - spojrzał nad moim ramieniem na jednego z ludzi z obsługi, który trzymał telefon w rękę, pokazując mu w milczeniu, że powinien przyjąć rozmowę. - Posłuchaj... dzięki za wizytę. Mam nadzieję, że była dla ciebie użyteczna...

- Zdecydowanie - odparłem z dość silną nutką sarkazmu w głosie. - Była niezwykle użyteczna.

Spojrzał na mnie pytająco.

- Czyżbym wyczuwał sarkazm?

- Skądże znowu - odparłem jeszcze bardziej ironicznie.

- Wiesz na czym polega twój problem, Davidzie?

- Oświeć mnie.

- Nie masz poczucia humoru, jeśli chodzi o samego siebie, prawda? - zaprezentował mi uśmiech w stylu: mam cię!

- Czy mam przez to rozumieć, że chcesz ze mną współpracować?

- Oczywiście. Nawet jeżeli oznacza to czekanie przez cały miesiąc.

- Jak już powiedziałem, mogę zacząć kiedykolwiek...

- W takim razie poleć moim ludziom porozumieć się z twoimi. Kiedy załatwimy sprawę kontraktu, zaaranżujemy sobie gdzieś wolny weekend, podczas którego możemy we dwóch zająć się przeróbkami. Czy to ci odpowiada?

- Tak, oczywiście - nie miałem pojęcia, co powinienem o tym wszystkim sądzić.

- W takim razie, jeśli jesteś usatysfakcjonowany, to ja również - uścisnął moją dłoń. - Miło się z tobą robi interesy. Naprawdę uważam, że wyjdzie z tego coś niezwykłego i będzie to prawdziwy przełom. Coś,

czego ludzie nie zapomną przez długie lata.

- Jestem pewien, że masz rację.

Poklepał mnie po ramieniu.

- Miłego lotu na kontynent, przyjacielu - z tymi słowami wyszedł.

Podeszła do mnie Meg, która w czasie naszej rozmowy stała w kącie pokoju.

- Helikopter jest gotowy. Czy możemy coś jeszcze dla pana zrobić przed wyjazdem?

- Absolutnie nic - odparłem i podziękowałem jej za opiekę.

- Mam nadzieję, że pobyt tutaj był dla pana użyteczny, sir - odparła z cieniem uśmiechu na ustach.

Helikopter zabrał mnie na Antiguę, a stamtąd odleciałem gulfstreamem do San Francisco. Wylądowaliśmy o czasie - po trzeciej. Zgodnie z obietnicą limuzyna zawiozła mnie do domu Lucy w Sausalito. Caitlin zbiegła ścieżką i rzuciła mi się w ramiona. Jej matka wyszła z domu, spoglądając gniewnie to na mnie, to na limuzynę.

- Usiłujesz wyrzucić na kims wrażenie? - spytała, wręczając mi torbę weekendową Caitlin.

- Lucy, czy ja kiedykolwiek byłem w stanie wyrzucić na tobie wrażenie?

Caitlin spoglądała na nas płochliwie, wzrokiem błagającym, abyśmy nie zaczęli kłótni. Kazałem jej wsiąść do limuzyny, poinformowałem Lucy, że odwiozę córkę z powrotem w niedzielę o szóstej po południu, po czym poprosiłem szofera, żeby zabrał nas do hotelu Mandarin.

- Dlaczego masz taki wielki samochód? - spytała Caitlin, kiedy przejeżdżaliśmy przez most z powrotem do San Francisco.

- Ktoś, komu podobają się moje sztuki, pożyczył mi samochód na weekend.

- Będziesz go sobie mógł zatrzymać?

- Nie. Ale możemy go używać przez cały weekend.

Caitlin bardzo się spodobał apartament w penthousie w hotelu Mandarin Oriental. Mnie również. Okna wychodziły na zatokę, dwa mosty i piękną linię budynków miasta na tle nieba. Niezwykłe melodramatyczny widok.

- Możemy tu przyjeżdżać każdego weekendu, którego mnie odwiedzasz? - spytała Caitlin, kiedy staliśmy z nosami przyciśniętymi do olbrzymich okien i podziwialiśmy panoramę.

- Obawiam się, że to wyjątkowa sytuacja.

- Znowu ten bogaty człowiek?

- Ten sam.

- Ale jeżeli nadal cię będzie lubił... - zaczęła z nadzieją.

Roześmiałem się.

- W życiu tak nie bywa - odparłem, dodając w myślach: „zwłaszcza w biznesie filmowym”.

Caitlin nie chciała nigdzie iść tego wieczora. Była szczęśliwa w pokoju z takim widokiem. Zamówiliśmy więc kolację z restauracji hotelowej. Gdy czekaliśmy na dostarczenie posiłku, zadzwonił telefon. Po drugiej stronie usłyszałem głos, który nie dręczył mnie od ponad tygodnia.

- Jak leci? - spytał Bobby Barra.

- Cóż za miła niespodzianka - odparłem. - Nadal jesteś w Nowym Jorku?

- Tak. Ciągłe walczę o uratowanie tego przeklętego IPO, ale to jakby próbować założyć bandaż na rozerwaną tętnicę szyjną.

- Cóż za piękne porównanie, Bobby. Niech zgadnę, skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Dobra, ludzie Philipa mi o tym powiedzieli. Rozmawiałem jednak z samym szefem i muszę ci powiedzieć, bracie... on cię uwielbia.

- Naprawdę?

- Skąd to niedowierzenie w głosie?

- Kazał mi na siebie czekać cały tydzień, Bobby. Tydzień. Potem pojawił się na wyspie na godzinę przed moim odlotem i najpierw udawał, że w ogóle mnie nie zna, potem stwierdził, że chce ze mną współpracować, a następnie próbował wszelakich sztuczek

psychologicznych. Wkurzył mnie. Zdecydowanie nie przypadło mi to do gustu.

- Cóż ja ci mogę powiedzieć? Tak między nami, rzeczywiście jest trochę dziwny. Czasami myślę, że facet wyskoczył z *Planu 9 z Kosmosu** Horror E.D. Wooda jun. z 1959 roku, uznany za jeden z najgorszych filmów w historii kina. Mimo wszystko jest dziwakiem wartym dwadzieścia miliardów. Powiedział mi, że naprawdę chce zrobić z tobą ten film...

- Jego pomysły są gówniane, wiesz? - przerwałem. - Prawdę mówiąc, chyba ma obsesję na punkcie gówna.

- I co z tego? Gówno też ma swoją integralność, prawda? Zwłaszcza jeśli dołączony jest do niego siedmiocyfrowy wyciąg z konta bankowego. Zapomnij o złych manierach Flecka, baw się dobrze z córką w Mandarinie i powiedz swojej agentce, że w przyszłym tygodniu zgłoszą się do niej ludzie Flecka.

Kiedy jednak wróciłem do LA w niedzielę wieczorem i opowiedziałem całą historię Sally, stwierdziła, że jej zdaniem Fleck więcej się do mnie nie odezwie.

- Bawił się z tobą, jakbyś był chwilowo modnym świecidełkiem. Cóż, przynajmniej się opaliłeś. Poznałeś kogoś na wyspie?

Postanowiłem, że najlepiej będzie przemilczeć mój wieczór z panią Fleck, odparłem więc, że nie, a potem zmieniłem temat na ten, o którym Sally i tak chciała porozmawiać najbardziej - jej triumfalne zażegnanie kryzysu ze Stu Barkerem... i kompletna zmiana w ciągu tygodnia niegdysiejszego wroga w największego sojusznika i protektora. Podobno tak się dobrze dogadali, że dostała *carte blanche*, jeśli chodzi o jesienną ramówkę, i Stu dał do zrozumienia wszystkim grupom decyzyjnym w Foxie, że Sally jest ich głównym zawodnikiem.

Ach, oczywiście - gdzieś w trakcie opowieści o jej heroicznym wyczynie i najnowszym profesjonalnym podboju wspomniała, że strasznie za mną tęskniła i strasznie mnie kocha. Pocałowałem ją i powiedziałem jej dokładnie to samo.

- Każdy ma swoje pięć minut sławy i chwały - stwierdziła. - Ta chwila należy do nas.

W pewnym sensie miała rację, ponieważ ku memu ogromnemu zdumieniu tydzień później prawnicy Flecka skontaktowali się z Alison w sprawie warunków kontraktu. Wszystko odbyło się bardzo bezpośrednio i profesjonalnie. Nie kłócili się na temat sumy dwóch i pół miliona dolarów za moje usługi ani o klauzulę zezwalającą na usunięcie mojego nazwiska ze scenariusza.

- Spójrzmy prawdzie w oczy - stwierdziła Alison. - Dwuipółmilionowa umowa potrafiłaby u każdego wywołać ślino- tok... zwłaszcza u mnie. Jeżeli jednak Fleck zamierza przeforsować wprowadzenie wszystkich swoich analnych fantazji, zdecydowanie nie chcemy, żeby na liście płac znalazło się twoje nazwisko. Dlatego nalegałam na klauzulę „zabieraj-pieniądze-i-zwiewaj”.

- Uważasz, że angażowanie się w to to szaleństwo? - spytałem.

- Z tego, co mi powiedziałeś, facet wychował się w szkole mentalnej stabilności Davida Koresha * Przywódca apokaliptycznej sekty Bractwo Dawidowe, zginął wraz z 85 członkami sekty w ich siedzibie w Waco podczas próby aresztowania go przez FBI. Tak długo jednak, jak zdajesz sobie z tego sprawę i dopóki będziesz miał nasz przewidziany kontraktem spadochron, cena jest odpowiednia. Mimo wszystko postaraj się nie poświęcać temu więcej niż dwóch miesięcy, ponieważ bez wątpienia staniesz się jeszcze bardziej rozrywany niż dotychczas.

Alison miała oczywiście rację. Druga seria *Sprzedając siebie*, która pojawiła się na ekranach telewizyjnych miesiąc później, okazała się jeszcze większym przebojem.

„Jeżeli dwa pierwsze odcinki dowodzą czegokolwiek, to tego, że David Armitage nie jest gwiazdą jednego przeboju” - pisał „New York Times” - „Jego genialnie skonstruowane, zjadliwe i pełne ciętego dowcipu scenariusze pierwszych zwiastunów nowej serii dowodzą, że jest jednym z najlepszych pisarzy komediowych naszych

czasów. Ironicznemu spojrzeniu na świat Davida Armitage'a nie umyka cała złożoność współczesnego amerykańskiego społeczeństwa, skupiająca się w miejscu pracy”.

Bardzo, bardzo dziękuję. Recenzje oraz ustne rekomendacje (oraz znacząca liczba fanów pierwszej serii) gwarantowały mi doskonałe notowania. Tak doskonale, że po wyświetleniu trzeciego odcinka FRT zdecydowała się na realizację kolejnej serii, a Alison wynegocjowała dwuipółmilionowy pakiet twórczo-producencyjny. Mniej więcej w tym samym czasie Warner Brothers zaoferowało mi półtora miliona dolarów za napisanie dowolnego scenariusza do filmu. Oczywiście zgodziłem się.

Wspomniałem o owym kontrakcie z Warnerem Bobby'emu Barzemu podczas naszej rozmowy telefonicznej po inauguracji drugiego sezonu *Sprzedając cię*. Pogratiulował mi i spytał, czy chciałbym zostać dopuszczony do inwestycji w azjatycką wyszukiwarkę internetową, która niedługo wejdzie na rynek i na sto procent stanie się głównym narzędziem surferów internetowych w Chinach i Azji Południowo-Wschodniej.

- To coś jak skośnookie Yahoo - powiedział.
- Jesteś niezwykle poprawny politycznie, Bobby.
- Posłuchaj, mówimy tu o największym niewykorzystanym rynku na świecie. To ogromna szansa na wejście na samym początku. Muszę jednak działać szybko. Jesteś zainteresowany?
- Jeszcze nigdy nie odpowiedziałeś mi źle.
- Mądry chłopak.

Właściwie to rzeczywiście czułem się jak mądry chłopak, ponieważ wszystko układało się po mojej myśli.

Była jeszcze kwestia nagród Emmy, na których rozdanie przybyłem z Sally i Caitlin (wszyscy uznali, że moja córka jest czarująca). Kiedy przyszło do wręczania nagród za najlepszy scenariusz serialu komediowego i po otwarciu koperty wyczytano moje nazwisko, uściskałem moje dwie dziewczyny, po czym popędziłem na scenę i

przyjąłem nagrodę. Wygłosiłem następnie krótkie przemówienie, w którym podziękowałem „wszystkim dużo bardziej utalentowanym ludziom niż ja sam, a którzy ożywili moje bazgroły na ekranie”. Zazaczyłem również, że jedynym sposobem na wygranie nagrody takiej jak ta był czysty głupi fart.

- Z perspektywy czasu, kiedy zastanawiam się, czego nauczyła mnie realizacja *Sprzedając ciębie*, nigdy nie przestanę myśleć o tym jako o jednym z owych rzadkich, niezrównanych momentów w moim życiu zawodowym, w którym zadziałał układ planet, uśmiechnęło się do mnie szczęście, koło fortuny zatrzymało się we właściwej pozycji i dowiedziałem się, że Opatrzność * Providence. nie jest tylko nazwą miasta na Rhode Island... czyli krótko mówiąc, kiedy naprawdę mi się poszczęściło.

Był to punkt kulminacyjny ostatnich niesamowitych dwóch lat. Tej nocy, kiedy szedłem do łóżka z Sally, w głowie lekko szumiało mi od nadmiernej ilości wypitego szampana. Pomyślałem nagle: „Kiedyś marzyłeś o takim życiu. Teraz jest twoje”.

Gratulacje. Wreszcie osiągnąłeś cel.

Część druga

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Problemy zaczęły się od jednego telefonu, bardzo wcześnie rano, w środę po rozdaniu nagród Emmy. Sally wyszła już na śniadanie ze Stu Barkerem, ja zaś nadal byłem pogrążony w krainie marzeń, kiedy nagle wyrwał mnie z nich dźwięk dzwonka. Podskoczyłem, myśląc, że telefon o tak wczesnej porze nigdy nie oznacza niczego dobrego.

Dzwonił mój producent, Brad Bruce. Wydawał się bardzo spięty, co byłoby rzeczą normalną (producenci zawsze są spięci), ale kiedy zaczął mówić, domyśliłem się, że to coś więcej niż jego zwykły stres. Coś było bardzo nie tak.

- Przykro mi, że dzwonię o takiej porze, ale mamy problem.

Usiadłem na łóżku.

- Jaki problem, Brad?

- Czy znasz brukowiec o nazwie „Hollywood Legit”? - spytał.

Mówił o darmowej gazecie alternatywnej, która pojawiła się na rynku w zeszłym roku jako konkurencja dla „LA Readera”. Podobno jej dziennikarze szczycili się swymi zdolnościami reporterskimi oraz pogardą dla zwykłego hollywoodzkiego wysokiego mniemania o sobie.

- Czyżby nasza seria trafiła na łamy „Legitu”? - spytałem.

- Nie, to ty tam trafiłeś, Davidzie.

- Ja? Ale przecież jestem tylko pisarzem.

- Bardzo znanym pisarzem, co czyni cię celem dla wszelkiego rodzaju oskarżeń.

- Zostałem o coś oskarżony?
- Obawiam się, że tak.
- O co takiego?

Słyszałem, jak ze świstem wciąga powietrze, a następnie wypuszcza je, wypowiadając jedno proste słowo:

- Plagiatstwo.
- Co takiego? - serce przestało mi na chwilę bić.
- Zostałeś oskarżony o plagiatstwo, Davidzie.
- To absurd!
- Cieszę się, że to słyszę.
- Ja nie popełniam plagiatów, Brad.
- Jestem pewien, że mówisz prawdę...
- Skoro nie popełniam plagiatów, jakim cudem mogę być oskarżony o plagiatstwo?

- Ponieważ pewien gnojek, nazwiskiem Theo McCall, napisał coś o tym w swoim felietonie do najnowszego wydania „Legitu”, które jutro rano znajdzie się na ulicach.

Znałem felieton Theo McCalla. Nosił tytuł „Pranie brudów” i rzeczywiście jego zawartość pasowała do nagłówka jak ulał. Co tydzień facet wykopywał różnorakie nieprzyjemne informacje o ludziach z branży rozrywkowej. Był to rodzaj artykułów, który czytywałem z lubością, ponieważ wszyscy kochamy plotki i pranie brudów... dopóki sami nie staniemy się przedmiotem dyskusji.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że ten felieton jest o mnie? - spytałem.

- Owszem, jest. Chcesz, przeczytam ci go. Jest dość długi. Nie brzmiało to obiecująco.

- Dawaj - rzuciłem.

- W porządku. Cytuję: „Prawdziwe gratulacje należą się twórcom i scenarzyście *Sprzedając cię*, Davidowi Armitage'owi. Niedawno odebrał nagrodę Emmy za najlepszy scenariusz komediowy, a teraz pławi się w sensacyjnych recenzjach nowych odcinków serialu, które, muszę przyznać, są nawet lepsze niż seria premierowa...”.

- „Muszę przyznać”? - przerwałem Bradowi. - Co za żaloszny, cholerny dupek.

- Potem jest jeszcze gorzej. „Bez wątpienia Armitage'a należy uznać za jedno z największych odkryć ostatnich kilku lat... nie tylko z powodu jego przenikliwych komicznych obserwacji, lecz również ze względu na niesamowity strumień zgrabnych powiedzonek używanych tydzień w tydzień przez jego zakręcone postaci. Chociaż jednak nikt nie kwestionuje oryginalności zabawnych pomysłów pana Armitage'a, pewien spostrzegawczy informator powiedział nam w zeszłym tygodniu, iż cały dialog z odcinka, który zdobył Emmy dla Armitage'a, jest niemal dokładną kopią wymiany zdań z klasycznej komedii dziennikarskiej Bena Hechta i Charlesa McArthura pod tytułem *Strona tytułowa*...

- To kompletne bzdury - znowu przerwałem Bradowi. - Nie widziałem *Strony tytułowej* od...

- Ale kiedyś ją widziałeś - wtrącił Brad.

- Jasne. Obie wersje: Billy'ego Wildera i Howarda Hawksa, z Carym Grantem i Rosalind Russel. Grałem nawet w uniwersyteckim przedstawieniu owej sztuki w Dartmouth...

- Och, to po prostu świetnie, kurwa! Naprawdę zajebicie...

- Ale to było prawie dwadzieścia lat temu...

- Cóż, najwyraźniej coś tam zapamiętałeś. Ponieważ fragment, który podobno zwinąłeś...

- Brad, niczego nie zwinąłem...

- Posłuchaj mnie. Oto, co pisze McCall: „Błyskotliwą wymianę zdań, o której mowa, można znaleźć w odcinku *Sprzedając cię* pt. *A to Pek*, za który Armitage zdobył Emmy. W odcinku owym Joey, «chłopak od wszystkiego» w wymyślonej agencji PR, wpada na furgonetkę policyjną, wioząc ważnego klienta (megaegoistyczną diwę muzyki soul) przez miasto do budynku telewizji na nagranie *The Oprah Show*. Następnie wraca przerażony do biura, aby poinformować Jerome'a, założyciela firmy, że jego diwa jest w szpitalu i przeklina brutalność policji. W scenariuszu Armitage'a mamy następujący dialog:

JEROME NAPRAWDĘ WJECHAŁEŚ W POLICYJNĄ SUKĘ?
JOEY CÓŻ MOGĘ RZEC, SZEFIE. TO BYŁ WYPADEK.
JEROME CZY KTÓRYŚ Z GLINIARZY ZOSTAŁ RANNY?
JOEY NIE ZOSTAŁEM NA TYLE DŁUGO, ŻEBY SIĘ PRZEKONAĆ.
ALE WIESZ, CO SIĘ DZIEJE, KIEDY STUKNIE SIĘ RADIOWÓZ.
WSZYSTKIE GLINY WYPADAJĄ JAK GŁUPKI.

Porównajmy teraz ową sprytną wymianę zdań z następującym dialogiem ze *Strony tytułowej*, w której Louis, prawa ręka wpływowego edytora Waltera Burnsa, wpada do pokoju redakcji informacyjnej, aby poinformować swego szefa, iż w trakcie przewożenia przez miasto przyszłej teściowej ich czołowego reportera, Hildy'ego Johnsona, zderzył się z półciągarówką wypełnioną asami chicagowskiej policji:

WALTER NAPRAWDĘ WJECHAŁEŚ W WÓZ POLICYJNY?
LOUIS CÓŻ MOGĘ RZEC, SZEFIE. TO BYŁ WYPADEK.
WALTER CZY KTÓRYŚ Z GLINIARZY ZOSTAŁ RANNY?
LOUIS NIE ZOSTAŁEM NA TYLE DŁUGO, ŻEBY SIĘ PRZEKONAĆ. ALE
WIESZ, CO SIĘ DZIEJE, KIEDY STUKNIE SIĘ RADIOWÓZ.
WSZYSTKIE GLINY WYPADAJĄ JAK GŁUPKI”.

- Chryste Panie... - wyszeptalem. - Nigdy bym...
- Lepiej posłuchaj ostatniego akapitu felietonu McCalla: „Bez wątpienia takie oczywiste skopiowanie dialogu przez Armitage'a jest jednym z owych niezamierzonych przykładów czegoś, co Francuzi nazywają *hommage...*, w naszym rodzimym języku znanym jako «papugowanie». Z pewnością jest to jedyny taki plagiatorski wybryk w dorobku Armitage'a. Okazuje się, że ten mądry i utalentowany pisarz w tym przypadku zastosował się do słynnego dyktatu TS Eliota: «Niedojrzali poeci imitują, dojrzali kradną»..

Nastąpiło długie milczenie. Poczulem się, jakbym nagle wszedł do pustego szybu windy.

- Nie wiem, co powiedzieć Brad.

- Nie ma tu zbyt wiele do powiedzenia. Przyłapał cię na gorącym uczynku...

- Zaraz, jedną chwileczkę. Chcesz mi powiedzieć, że specjalnie skopiowałem ten dialog ze *Strony tytułowej*?

- Nie chcę ci niczego mówić. Po prostu podsumowuję fakty. A faktem jest, że dialogi, które zacytowałem ze skryptu i z owej sztuki, są takie same...

- Dobrze, w porządku, może i dialogi są takie same, ale przecież nie wierzysz w to, że usiadłem, otworzyłem scenariusz *Strony tytułowej* i bezczelnie skopiowałem...

- David, uwierz mi, ja cię o to nie oskarżam, ale zostałeś nakryty in flagranti...

- To przecież drobnostka...

- Mylisz się. To bardzo poważna sprawa.

- Posłuchaj, o czym my tu mówimy? O żarcie z mającej ponad siedemdziesiąt lat sztuki, który jakimś cudem, przez osmozę, wylądował w moim scenariuszu. Nie jest to przypadek celowej kradzieży literackiej, tylko niezamierzone wykorzystanie czyjegoś dowcipu, to wszystko. Kto w dzisiejszych czasach nie podkrada cudzych żartów? Na tym polega gra.

- To prawda, ale jest różnica między wykorzystaniem jakiegoś oklepanego dowcipu o blondynkach a przekopiowaniem ładnych kilku linijek dialogu ze słynnej sztuki do swojego własnego scenariusza.

Kolejna długa chwila ciszy. Serce waliło mi jak młotem. Nagle zrozumiałem, że jestem w poważnych tarapatach.

- Brad, musisz wiedzieć, że to było kompletnie niezamierzone z mojej strony...

- Ty zaś, David, musisz wiedzieć, że jako twój producent zostałem ukrzyżowany za twoją niezamierzoną pomyłkę. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że nigdy świadomie nie zrobiłbyś tak szalonej, auto-destrukcyjnej rzeczy. Rozumiem, że kilka linijek z czyjegoś innego dzieła mogłoby się niechcący zaplatać w twoim scenariuszu. Wiem również, że każdy pisarz ma w swoim dorobku podobne przygody. Problem w tym, że ciebie przyłapano.

- Ale to przecież drobne przewinienie.
- Wszyscy tak twierdzimy, ale... mam kolejne złe wieści. Znasz Tracy Weiss - była szefową działu PR w FRT.
- Oczywiście, że znam Tracy.
- Wczoraj wieczorem o dziewiątej trzydzieści zadzwonił do niej dziennikarz z „Variety” Craig Clark. Chciał usłyszeć oficjalny komentarz FRT w tej sprawie. Dzięki niebiosom Tracy i Clark są dobrymi przyjaciółmi. Udało jej się przekonać gościa, żeby wstrzymał publikację swojej historii do dzisiejszego dnia... musiała mu jednak obiecać, że otrzyma wyłączność na publikację komentarza rzeczownika FRT i twojego...
- Doskonale.
- Posłuchaj, musimy ratować naszą skórę. Wszystko, co może zmniejszyć siłę tego deszczu gówna...
- Rozumiem, rozumiem.
- Kiedy więc Tracy zadzwoniła do mnie wczoraj w nocy...
- Skoro wiedziałeś o tym wczoraj w nocy, dlaczego czekałeś z tym telefonem aż do rana?
- Ponieważ wiedzieliśmy z Tracy, że gdybyś dowiedział się wieczorem, nie przespałbyś całej nocy. Uznaliśmy, że biorąc pod uwagę to, co cię dzisiaj czeka, powinieneś dobrze wypocząć.
- Co mnie dzisiaj czeka, Brad?
- Musisz być „W biurze o ósmej i ani chwili później. Będziemy na ciebie czekać z Tracy i Bobem Robinsonem...
- Bob wie? - poczułem się nagle znacznie bardziej zdenerwowany.
- Bob jest kierownikiem całej produkcji. Oczywiście, że wie. Tracy ma nadzieję, że uda nam się opracować oświadczenie, w którym przyznasz, iż był to niezamierzony plagiat, że żałujesz tego błędu i jedyną twoją winą jest powtórzenie drugi raz świetnego dowcipu. Po przygotowaniu oświadczenia będziesz się musiał spotkać na dziesięć minut z tym pismakiem z „Variety”...
- Będę musiał rozmawiać z nim osobiście?
- Jeżeli liczysz na odrobinę sympatii, nie ma innego wyjścia.

Tracy ma nadzieję, że jeśli Clark przechyli szalę na twoją korzyść, będziemy mogli opublikować naszą wersję historii równocześnie ze śmierzącym felietonem McCalla i szybko załatwić sprawę.

- A jeśli ten dziennikarz z „Variety” nie kupi mojej historii? Co wtedy?

Znowu usłyszałem, jak głośno nabiera powietrza w płuca.

- O tym jeszcze nie powinniśmy rozmawiać - przerwał na dłuższą chwilę. - Posłuchaj, wiem, że to fatalna sytuacja...

- Fatalna? Wiele hałasu o nic.

- Dokładnie. I właśnie w ten sposób zamierzamy to rozegrać. Dlatego jestem pewny, że sobie poradzimy, ale Davidzie, muszę cię zapytać...-

Wiedziałem, co się szykowało.

- Nie - odparłem, nie czekając, aby dokończył. - Nigdy, prze-nigdy celowo nie popełniłem plagiatu i, o ile wiem, nie ma w moich scenariuszach do *Sprzedając cię* żadnych innych niezamierzonych cytatów lub parafraz do dzieł innych autorów.

- To właśnie chciałem od ciebie usłyszeć. A teraz zbieraj dupę w troki i przyjeżdżaj tutaj. Czeką nas cholernie długi dzień.

W drodze do biura skontaktowałem się z Alison.

- To najohydniejsza rzecz, jaką słyszałam w życiu - stwierdziła po moim streszczeniu felietonu McCalla. - A miałam do czynienia z niejednym świństwem.

- Tak czy inaczej, jest źle...

- To drobne gównu ubrane w futro skandalu. Pieprzeni dziennikarze. Wszyscy mają moralność dachowca. Obszczają wszystko, co się rusza.

- Co ja teraz zrobię?

- Cokolwiek się stanie, przeżyjesz.

- To bardzo pokrząpające.

- Najważniejsze, żebyś nie wpadał w panikę. Skoncentruj się teraz na prowadzeniu, abyś bezpiecznie dojechał do biura. Przyjadę tam i uwierz mi, nie pozwolę cię usmażyć na ruszcie, Davidzie, ani nawet lekko obsmażyć. Trzymaj się.

Kiedy przeciskałem się przez zatłoczone ulice, mój nastrój dryfował od strachu do agresji. W porządku, może i moja podświadomość mnie zdradziła, ale nie zrobiłem niczego złego. Co więcej, ta gadzina McCall wyciągnął ze scenariusza kilka nieistotnych linijek tekstu i urządził polowanie na czarownice. Jedynym sposobem na zwalczanie wrogiej dziennikarskiej nagonki był atak.

- Właśnie tego nie możemy zrobić - powiedziała Tracy, kiedy na samym początku naszego spotkania zaproponowałem ofensywę.

Zgromadziliśmy się wszyscy w gabinecie Brada, siedząc wokół okrągłego „stołu pomysłów”, gdzie zazwyczaj dyskutowaliśmy o nowych odcinkach. Tego poranka Brad, Tracy i Bob Robinson przywitali mnie słowami wsparcia i ściągniętymi twarzami, na których widniał strach i determinacja. Zdecydowanie nie była to jedna z sytuacji, w których cały zespół bierze winę również na siebie. Wręcz przeciwnie, od chwili kiedy usiadłem naprzeciwko nich przy stole, zdałem sobie sprawę, że chociaż, zawodowo biorąc, był to także ich problem, ja byłem jedynym oskarżonym, i to wyłącznie ja miałem przyjąć na siebie ewentualną karę za grzechy.

- Faktem jest, że chociaż McCall jest najgorszą z możliwych, mściwych kanalii, trzyma cię za *cojones** Jaja (hiszp.) - stwierdziła Tracy. - Oznacza to, że czy ci się to podoba, czy nie, musisz jakoś dyplomatycznie wybrnąć z sytuacji.

Siedząca obok mnie Alison zapaliła salema.

- Ale przecież McCall próbuje powiesić Davida za nieuważne przechodzenie przez jezdnię - oznajmiła.

- Daruj sobie ten melodramat, Alison - uciszył ją Bob Robinson. - Facet ma dowody. Jako były członek palestry zapewniam cię, że to wszystko, czego potrzeba, żeby kogoś skazać. Motywy nie grają roli, jeżeli przyłapano kogoś na gorącym uczynku.

- Jest jednak pewna różnica - stwierdziłem. - Ów domniemany plagiat był wynikiem podprogowego działania...

- I co, kurwa, z tego? - spytał Bob. - Nie chciałeś tego zrobić, ale zrobiłeś.

- Właśnie, że dużo z tego - wtrąciła się Alison. - Prawie żaden z pisarzy nie zdaje sobie sprawy, skąd pochodzi połowa jego tekstów.

- Tak się jednak nieszczęśliwie składa, że Theo McCall udowodni! to w przypadku Davida - podsumował Bob.

- Nie chciałem, żeby się tak stało - powiedziałem przeprasząco.

- Wyrazy współczucia - odparł Bob. - Szczere, bo wiesz, jak bardzo cię cenię. Niemniej fakt pozostaje faktem: co się stało, to się nie odstanie. Popeliłeś plagiat, być może niechcący, lecz jednak to zrobiłeś. Czy rozumiesz, co chcę powiedzieć, Davidzie?

Pokiwałem głową.

- Chciałem, żebyście wiedzieli oboje z Alison, że jesteśmy w tym przypadku całkowicie po waszej stronie - dodał Brad. - Nie zostawimy was samym sobie.

- To bardzo wzruszające, Brad - odparła sucho Alison. - Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiała ci przypominać tej deklaracji.

- Poradzimy sobie z tą sytuacją, ale w sposób, który nikomu nie wyda się ani agresywny, ani zbyt defensywny - przejęła pałeczkę Tracy. - Generalnie rzecz biorąc, musimy odebrać im wszelką możliwość dyskusji na ten temat lub dalszego śledztwa. David złoży oświadczenie, w którym przyzna się do niezamierzonego czynu...

- Świetne sformułowanie - poparł ją Robinson.

- ...lecz jednocześnie w którym nie będzie się zbyt kajał. Ton wypowiedzi jest tutaj bardzo ważny. Podobnie jak charakter twojego wywiadu z Craigiem Clarkiem, Davidzie.

- Sądzisz, że będzie nam sprzyjał? - spytał Brad.

- Clark jest przede wszystkim dziennikarzem sekcji rozrywkowej, taka historia zaś... mam tylko nadzieję, że wystarczająco dobrze zna nasz biznes i rozumie, iż coś takiego mogło się niechcący zdarzyć. Poza tym nie jest szumowiną jak McCall. Dostanie wyłączność na wywiad z Davidem, a poza tym uwielbia serial. Miejmy

więc nadzieję, że wszystko rozejdzie się po kościach.

Kolejną godzinę spędziliśmy, opracowując oświadczenie FRT, w którym firma przyznawała, że niechcący przekopiowałem kilka linijek tekstu *Strony tytułowej* do mojego scenariusza. Był to „niezamierzony błąd” (słowa Tracy, nie moje), którego szczerze żałuję, i kiedy zwrócono mi nań uwagę, byłem autentycznie wstrząśnięty. Znalazła się tam również wstawka Boba Robinsona, w której oświadczał, iż w pełni akceptuje moje wyjaśnienie o niezamierzonej „transpozycji” i że mam ich całkowite poparcie do tego stopnia, że, jak już to ogłoszono w prasie, podpisali ze mną kontrakt na kolejną serię *Sprzedając cię* (Alison nalegała na wspomnienie publikacji w prasie, żeby przypomnieć wszystkim, że nie robili mi laski, udzielając wsparcia, lecz była to po prostu „naturalna kontynuacja naszych relacji zawodowych”).

Wreszcie zacytowano moją wypowiedź, z której wynikało, iż jestem całkowicie skruszony i jednocześnie absolutnie zaskoczony, że coś takiego w ogóle mogło się wydarzyć:

„Pisarze są niczym gąbki - w ich umyśle wsiąka wszystko, co widzą, a potem przerabiają swoją wiedzę na coś nowego... czasem nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Z pewnością tak się właśnie zdarzyło w przypadku dialogu ze *Strony tytułowej*, który znalazł się w jednym z odcinków *Sprzedając cię*. Przyznaję, że to moja ulubiona sztuka i grałem w niej jeszcze na studiach. Było to w 1980 roku i od tamtej pory nie oglądałem jej ani nie czytałem. Jakim sposobem kilka wspaniałych linijek dialogu autorstwa Bena Hechta i Charlesa MacArthura znalazło się w moim scenariuszu, naprawdę nie wiem. Nie tłumaczy to oczywiście owej niezamierzonej, lecz jednak zaistniałej transpozycji (znów wstawka Tracy), której ogromnie się wstydzę. Nigdy celowo nie użyłem tekstu innego autora bez jego wiedzy. Była to jednorazowa pomyłka i mogę ją jedynie wytłumaczyć chwilową niedyspozycją umysłową: wygrzebałem bowiem żart z głębi mojego umysłu i nie pamiętałem, gdzie go pierwszy raz usłyszałem”.

Rozmawialiśmy bardzo długo o tej spowiedzi publicznej. Bob Robinson chciał, żebym zwyczajnie uderzył się w piersi i wykrzyczał *mea culpa* (cóż, jest katolikiem). Alison twierdziła, że muszę przeprosić za błąd, ale jednocześnie pozostawić sobie nieco godności - w końcu to przecież małe piwo, a poza tym, na Boga, czyż ludzie nie opowiadają sobie zawsze dowcipów, które wymyślił ktoś inny? Tracy z kolei doradziła mi mieszaninę skruchy i humoru.

- Podobnie powinieneś się zachowywać podczas wywiadu z Craigiem Clarkiem - powiedziała, kiedy skończyliśmy spisywać moją część wypowiedzi. Skruszony, zażenowany, lecz jednocześnie „ironicznie świadomy”.

Cokolwiek to miało oznaczać.

Jak się okazało, Craig Clark był bardzo przyzwoitym dziennikarzem. Po wyproszeniu pozostałych z gabinetu Boba Tracy dyskretnie zajęła miejsce w kącie, kiedy Craig zaczął zadawać mi pytania. Był po czterdziestce, nieco przysadzisty i wyglądał na lekko udęczonego życiem, jednak zachowywał się całkowicie profesjonalnie z (ku mojej ogromnej uldze) odrobiną sympatii.

- Chciałem na początku zaznaczyć, że jestem wielkim fanem *Sprzedając ciębie*.

- Dziękuję - odparłem.

- Naprawdę uważam, że jest to przełom w historii komicznych seriali telewizyjnych. Absolutnie oryginalna rzecz. Dlatego sądzę, że owa... ujawniona niedawno sprawa musi być dla pana bardzo trudna. Na początek chciałbym zapytać: czy sądzi pan, że większość pisarzy ma na swoim koncie podobne niezamierzone plagiaty?

Chwała niebiosom! Facet zdecydowanie mnie popierał. Nie chciał wypruć mi flaków i zrujnować kariery. Zadał kilka trudnych pytań: czy na przypadkowy plagiat powinno się przymykać oko (odparłem, że nie, w nadziei, że zaimponuje mu podejście w stylu „nie próbuję się rozgrzeszać”) i czy zasłużyłem sobie na ostre komentarze ze strony kolegów po fachu („prawdopodobnie tak”, odparłem, pokazując, iż jestem gotowy przyjąć karę jak prawdziwy

mężczyzna). Rozśmieszyłem go również, stwierdzając, że skoro już, niestety, „udało mi się” zapożyczyć tekst z jakiegoś innego dzieła, cieszę się, że była to *Strona tytułowa*, a nie *Wyspa Gilligana** Serial telewizyjny w latach 1964-67. Powiedziałem również, że jako karę za swoje grzechy zamierzam napisać scenariusz do najnowszego filmu Jackie Chana. Krótko mówiąc, zdaje się, że udało mi się stworzyć dokładnie taką atmosferę spotkania, jakiej życzyła sobie Tracy. Pod koniec dwudziestominutowego wywiadu (Tracy pozwoliła nam rozmawiać dłużej, jako że jej znajomy najwyraźniej dobrze się bawił), Clark uściśnił mi dłoń i powiedział:

- Mam nadzieję, że okaże się to jedynie nieistotnym potknięciem w pana karierze.

- Dziękuję. Naprawdę doceniam sposób, w jaki przeprowadził pan ten wywiad.

- Był pan świetnym rozmówcą.

Sięgnąłem do kieszeni, wyciągnąłem stamtąd mały notatnik. Zapisałem na kartce numer telefonu domowego i komórki, wydarłem stronicę i wręczyłem ją Craigowi.

- Gdyby chciał mi pan zadać jakieś dodatkowe pytania, niech pan po prostu zadzwoni. Kiedy już zaś sprawa ucichnie... może wybierzemy się na piwo.

- Fantastycznie - Craig schował karteczkę do kieszeni. - Eee... jakby to ... widzi pan, napisałem kilka scenariuszy do serialu komediowego...

- Porozmawiamy o tym.

Jeszcze raz uściśnił mi dłoń.

- Trzymam pana za słowo.

Tracy otworzyła przed nim drzwi.

- Odprowadzę cię do samochodu - powiedziała. Gdy tylko wyszli, do pokoju wróciła Alison. Tracy pokazała mi kciuki w górę.

- Zadowolony z wywiadu?

- W tej chwili czuję się ogłuszony - wzruszyłem ramionami.

- Będiesz jeszcze bardziej ogłuszony. Czekać na ciebie w twoim biurze, usłyszałam, jak Jennifer odebrała telefon od Sally. Podobno to coś pilnego.

Och, cudownie! Pewnie się dowiedziała, zanim miałem okazję sam jej to wytłumaczyć.

Poszedłem do swojego gabinetu i zadzwoniłem do Sally. Jej asystentka połączyła mnie z nią natychmiast.

- Jestem wstrząśnięta tą wiadomością - zabrzmiały jej pierwsze słowa.

- Kochanie, czy mogę...

- Najbardziej zaś ubodło mnie to, że dowiedziałam się o wszystkim z drugiej ręki.

- Ale przecież ja sam usłyszałem o tym o siódmej rano.

- Powinieneś natychmiast do mnie zadzwonić.

- Wiedziałem, że jesteś na śniadaniu służbowym ze Stu.

- Odebrałabym telefon od ciebie.

- Problem w tym, że musiałem natychmiast tu przyjechać i od tamtej chwili siedziałem na zebraniu, nie wspominając o wywiadzie z gościem z „Variety”.

- „Variety” już o tym wie? - spytała chyba przerażona.

- Tak, ale ten dziennikarz zadzwonił wczoraj wieczorem do Tracy Weiss, szefowej naszego działu PR, która postanowiła...

- Zatem wiedziała o tym już wczoraj w nocy...

- Tak, ale uwierz mi, ja dowiedziałem się dopiero dziś rano. Więc żeby ogłosić naszą wersję historii, zdecydowała, że zaoferuje temu dziennikarzowi wyłączność na wywiad ze mną...

- Do jutrzejszego wydania „Daily Variety”?

- Tak jest.

- Czy FRT wydało oświadczenie?

- Tak, z pełną skruchy notką ode mnie.

- Poprosisz ich, żeby mi ją przemailowali?

- Oczywiście, kochanie. Proszę cię, nie zachowuj się tak chłodno i profesjonalnie w stosunku do mnie. Potrzebuję cię teraz.

- Gdybyś mnie potrzebował, zadzwoniłbyś do mnie natychmiast. Podobno jestem miłością twojego życia.

- Dobrze wiesz, że jesteś. Po prostu... o Chryste, Sally, to wszystko trochę mnie przerasta.

- Potrafisz sobie wyobrazić, jak ja się poczułam, kiedy jakiś asystent z twojego biura prasowego pokazał mi artykuł w „Hollywood Legit” i stwierdził: „Szkoda, że tak się porobiło z pani chłopakiem”... a ja nic o tym nie wiedziałam.

- Przykro mi, tak mi przykro, naprawdę... - przerwałem. Poczulem, jakby przejechał po mnie walec. Kilka razy.

- David...?

- Uhm...

- Dobrze się czujesz?

- Nie. Zdecydowanie nie czuję się dobrze.

- Ja czuję się okropnie...

- Wiesz, że cię kocham nad życie... - powiedziałem.

- Ja też bardzo cię kocham. Po prostu...

- Masz rację, oczywiście. Powinienem zadzwonić, ale rozpętał się taki chaos i...

- Nie musisz się tłumaczyć. Za mocno zareagowałam. Byłam po prostu bardzo zdenerwowana. Poza tym wiesz, to wygląda naprawdę źle. Ale przecież to był przypadek, prawda?

- Zdecydowanie nie zrobiłem tego umyślnie.

- To już coś. Jesteś pewien... ?

Znowu to samo pytanie, które wszyscy zdaje się chcieli mi zadać.

- Uwierz mi, to jedyna sytuacja, w której czyjś inny tekst wyłądował w moim scenariuszu.

- Oczywiście, wierzę ci, kochanie. Wiem, że ponieważ to jednorazowy błąd, wszyscy ci wybaczą i zapomną.

- Nie popełniłem celowo plagiatu - odparłem gwałtownie.

- Wiem. Za tydzień nikt nie będzie już o tym pamiętał.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

- Nigdy się nie myślę - odparła lekko, ja zaś roześmiałem się po raz pierwszy tego dnia.

- Wiesz, o czym marzę? - spytałem. - O długiej, zakrapianej alkoholem nocy z tobą. Myślę, że najpierw muszę się dobrze znieczulić martini.

- Kochanie, wiesz, że dziś po południu jadę do Seattle...
- Zapomniałem o tym.
- Chodzi o twój nowy serial dla Foxa...
- Dobrze, dobrze.
- Ale wrócę w sobotę rano. I będę do ciebie często dzwoniła.
- Dobrze.
- Wszystko będzie w porządku, Davidzie.

Po tym telefonie wyrząłem z biura. Alison siedziała przy biurku Jennifer i rozmawiała przez telefon. Skinąłem jej głową, żeby przysłała do mnie, kiedy skończy.

Po chwili weszła do gabinetu i zamknęła za sobą drzwi.

- Jak poszło?
- Koniec końców okazała mi trochę serca.
- To już coś - odparła neutralnie.
- Nie mów mi tego...
- Czego?
- Co sądzisz o Sally.
- Nic o niej nie sędzę.
- Kłamczucha.
- Przyznaję się do winy. Cóż, przynajmniej zachowała się odpowiednio... pewnie wykoncypowała sobie, że ta sprawa nie zaszkodzi jej karierze...
- A to bardzo nieładnie z twojej strony.
- Ale w stu procentach prawdziwe.
- Możemy zająć się czym innym?
- Z przyjemnością, zwłaszcza że mam dla ciebie dobre wieści. Właśnie rozmawiałam z Lanym Latouchem z SATWA * Screen And Television Writers Association - Stowarzyszenie Autorów Filmowych i Telewizyjnych (ang.). Wiedział już o artykule McCalla.
- Doprawdy?
- Cóż, to kiepski tydzień dla plotek z dziedziny show-biznesu. Może jeśli nam się poszczęści, w ciągu kolejnych czterdziestu ośmiu godzin ktoś przyłapie jakiegoś słynnego aktora na posuwaniu nieletniej meksykańskiej ślicznotki i w ten sposób odwróci od ciebie

uwagę. W każdym razie chciał, żebyś wiedział, że Stowarzyszenie w pełni cię popiera... podobno zamierza jutro rano wydać oświadczenie na ten temat i oficjalnie potępić McCalla za to, że rozdmuchał taką śmieszna drobnostkę.

- Zadzwoń później do Latoucha z podziękowaniami.
- Dobry pomysł. Potrzebujemy teraz silnych popleczników.

Rozległo się pukanie do drzwi i po chwili weszła Tracy z kopią oświadczenia prasowego.

- Proszę bardzo. Właśnie zaaprobowane przez zarząd FRT w kwaterze głównej w Nowym Jorku.

- Jak przyjęli te nowiny? - spytała Alison.

- Nie byli zadowoleni, ponieważ nie lubią problemów. Wyrazili jednak swoje pełne poparcie dla Davida i stwierdzili, że chcą, aby zamknąć tę sprawę jak najszybciej.

Alison powiedziała jej o rozmowie z Latouchem. Tracy nie była zadowolona.

- To bardzo miłe z ich strony, że wspierają Davida, i doceniam, że to zorganizowałaś, Alison. Wolałabym jednak, żebyś najpierw porozumiała się ze mną w tej sprawie.

Alison zapaliła kolejnego salema.

- Nie wiedziałam, że dla ciebie pracuję, Tracy - stwierdziła.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Tak, masz obsesję na punkcie kontrolowania wszystkiego i wszystkich.

- Alison... - zacząłem.

- Masz rację - odparła Tracy. - Mam obsesję na tym punkcie i chcę kontrolować tę sytuację w taki sposób, żeby kariera twojego klienta nie była zagrożona. Czy to ci przeszkadza?

- Nie. Przeszkadza mi twój ton - stwierdziła Alison.

- Natomiast mnie przeszkadzają twoje papierosy. Tu nie wolno palić.

- W takim razie zmywam się stąd raz na zawsze.

- Alison, Tracy, uspokójmy się wszyscy, dobrze? - poprosilem.
- Nie ma sprawy - odparła Alison. - A skoro już przy tym jesteśmy, może powinniśmy się uściskać, otrzeć łezkę i „osiągnąć kolejny etap rozwoju”.

- Nie chciałam cię zdenerwować, Alison - stwierdziła Tracy.

- Tak naprawdę to denerwuje mnie ta cała główniana sytuacja... i to jest moja próba przeprosin.

- Masz ochotę na obiad dziś wieczorem? - spytałem Alison.

- A gdzie jest twoja ukochana?

- Będzie doglądała filmowania pilota trzeciej serii w Seattle.

- W takim razie stawiam martini. Będziemy potrzebowali sześć na łebka. Wpadnij do mnie do biura o szóstej.

Kiedy wyszła, Tracy spojrzała na mnie.

- Mam nadzieję, że się nie obrazisz, ale Alison to niezłe ziółko... Masz ogromne szczęście, że cię wspiera. Myślę, że ta kobieta potrafi zabić lub okaleczyć w twojej obronie.

- Faktycznie, jest bardzo zajadła... i szaleńczo lojalna.

- W takim razie jesteś prawdziwym szczęściarzem. Słowo „lojalność” zostało usunięte ze słownika LA już wieki temu.

- Rozumiem jednak, że mogę liczyć na twoją lojalność, tak?

- Oczywiście - odparła szybko. - To część pakietu.

- W takim razie, co powinienem teraz zrobić?

- Poczekać, jak rozwinie się historia McCalla.

Następnego dnia po południu wydawało się, że wygrywamy tę wojnę. Chociaż „LA Times” opublikował krótką wzmiankę (w sekcji show-biznesu) o artykule McCalla, żaden poważny dziennik krajowy nie podjął tematu. Był to znak, że sprawa została uznana za lokalną aferę hollywoodzką, nic więcej.

Owszem, „Hollywood Reporter” opublikował artykuł na dwie strony, rozwodząc się nad tymi cholernymi czterema wersami. Była to jednak dość ucziwa publikacja, w której znalazły się moje przeprosiny (zaczerpnięte z oświadczenia prasowego) oraz komentarz Larry'ego Latouche'a w sprawie mojej pozycji. Jeszcze lepszy artykuł napisał Craig Clark w „Daily Variety”. Zaznaczył, że podczas naszego ekskluzywnego wywiadu byłem całkowicie szczerzy w sprawie owego „niezamierzonego plagiatorstwa” i nie usiłowałem się usprawiedliwiać za ów „przypadkowy błąd”. Potem zacytował wypowiedzi może pięciu różnych scenarzystów filmowych i telewizyjnych (najwyraźniej zdążył ich wczoraj dorwać), którzy wypowiadali się w mojej obronie. Prawdziwym *coup de grâce** Cios łaski, decydujący cios kończący walkę, zdarzenie kładące czemuś kres (fr.) był komentarz Justina Wanamakera, człowieka uznawanego na równi z Williamem Goldmanem i Robertem Townem za najbardziej wpływowego scenarzystę ostatniego trzydziestolecia. W przygotowanym przez niego (podobno specjalnie dla „Variety”) oświadczeniu Wanamaker wbił nóż w plecy Theo McCalla i kilka razy nim pokręcił: „Są poważni dziennikarze zajmujący się show-biznesem i moralnie podejrzani «bokserzy», jak Theo McCall, których nie obchodzi to, że mogą zrujnować karierę pisarza, czyniąc podejrzone zarzuty plagiatorstwa oparte na śmiesznym założeniu, iż zapożyczenie dowcipu to grzech śmiertelny, za który jedyną karą jest spalenie na stosie. Nie ma nic bardziej godnego pogardy niż przyglądanie się, jak mierny pismak z Grub Street atakuje jeden z prawdziwie oryginalnych talentów współczesnej Ameryki”.

Tracy była zachwycona artykułem Craiga Clarka, podobnie zresztą jak Brad, Bob Robinson i, oczywiście, Alison.

- Jeszcze pięć minut temu sądziłam, że Justin Wanamaker to napuszony dupek - powiedziała. - Teraz zamierzam zgłosić go jako kandydata do Nagrody Nobla. Fantastyczny komentarz. Mam

nadzieję, że zrujnuje renomę tego śmierdzącego gnojka.

Sally również zadzwoniła do mnie z Seattle, zachwycona artykułem z „Variety”.

- Wszyscy do mnie wydzwanają od rana, oferują wsparcie, opowiadają, jak okropnie zostałeś potraktowany i jak elegancko się zaprezentowałeś w wywiadzie dla „Variety”. Jestem z Ciebie bardzo dumna, Kochanie. Poradziłeś sobie z tym wszystkim po mistrzowsku. Wygramy tę sprawę.

Miło było usłyszeć, że znowu jesteśmy „nami”. Nie mogłem jednak winić Sally za jej wczorajszy wybuch gniewu. Teraz zaś miała rację - cała ta potencjalnie niebezpieczna sytuacja pracowała na naszą korzyść... do tego stopnia, że moja automatyczna sekretarka i e-mail (zarówno w domu, jak i w biurze) utonęły w deszczu wiadomości z wyrazami wsparcia od przyjaciół i kolegów po fachu. Co więcej, w sobotę wszystko zaczęło się obracać przeciwko Theo McCallowi. „LA Times” opublikował na stronach redakcyjnych trzy listy, w których przytaczano inne przypadki niezamierzonego plagiatstwa i ostro krytykowano ludzi pokroju McCalla. Potem, w niedzielnym wydaniu tej samej gazety, pojawił się prawdziwie niszczący lewy sierpowy w postaci długiego na trzysta słów artykułu w dziale show-biznesu. Opisano w nim, jak to McCall, zanim został pismakiem w „Hollywood Legit”, przez pięć lat bezskutecznie usiłował dostać się do produkcji telewizyjnych seriali komediowych. Pewien producent z NBC stwierdził, że McCall współpracował z nim przez krótki czas jako scenarzysta w latach dziewięćdziesiątych, ale został zwolniony, kiedy „okazało się, że jego mizerny talent nigdy się nie rozwinie”. Zaznaczył również, że wkrótce po zwolnieniu go przez NBC, zrezygnowało z niego również ICM.

- Chciałabym, żeby życie zawsze się tak układało - stwierdziła Sally po odczytaniu mi miażdżącego artykułu w „LA Times”. - Otworzyli sezon łowiecki na tego dupka.

- I dobrze, ponieważ facet wybił się, odgrywając wściekłego psa Hollywoodu, którego wszyscy się tak obawiają. Teraz, kiedy obcięto

mu jaja, każdy może bezpiecznie go skopać.

- I nie zasługuje na nic więcej. Najlepsze w tym wszystkim jest to, że nie tylko stałeś się obiektem prywatnej zemsty, ale również wyszedłeś z całego incydentu jako poszkodowany... i na dodatek wielki łowca.

Po raz kolejny Sally miała absolutną rację. Podczas weekendu zadzwonił do mnie Jake Dekker, szef produkcyjny Warnera. Zapewnił mnie, że *Kradzież z włamaniem* jest na najlepszej drodze do rozpoczęcia filmowania. Potem, około południa w niedzielę, zadzwonił do mnie Sheldon Fischer, dyrektor naczelny FRT. Opowiedział mi następującą anegdotę:

- Rok temu zostałem mianowany przez B'Nai B'rith* Loża masońska hrabstwa Orange Dyrektorem Naczelnym Roku. Na ceremonii w przemówieniu podziękowałem mojej żonie, Babs, mówiąc: „Zawsze była ze mną o trzeciej nad ranem, kiedy cała reszta świata spała”. Wszyscy potem gratulowali mi świetnego wyrażenia, z wyjątkiem Babs, która powiedziała, iż zacytowałem niemal dokładnie dramaturga Augusta Wilsona, kiedy ten dziękował swojej żonie podczas wręczania nagród Tony w latach dziewięćdziesiątych. Byłem na tej uroczystości, wypowiedź Wilsona zapadła mi w pamięć... a potem, wiele lat później, wypłynęła znowu w przebraniu oryginalnej myśli Sheldona Fischera. Chcę przez to powiedzieć, Davidzie, że naprawdę współczułem ci, kiedy ukazało się to okropne pomówienie. Z własnego doświadczenia wiem, że to, co zdarzyło się tobie, może się przydarzyć każdemu.

- Dziękuję, panie Fischer - odparłem. - Wsparcie, jakie otrzymałem od wszystkich pracowników sieci FRT, było niesłychane.

- Rodzina to rodzina, Davidzie. I proszę, mów mi Shel...

Alison niemal zakrztusiła się dymem z salema, kiedy po wtórzyłem jej tę rozmowę następnego ranka.

- Czy wiesz, że twój nowy najlepszy przyjaciel Shel jest tak bardzo rodzinnym człowiekiem, że właśnie porzucił Żonę Numer Trzy i prowadzi się z, uważaj, jego terapeutką od lewatyw jelita grubego, dwudziestoosmioletnią Serbką z parą balonów, przy których Jayne Mansfield wygląda jak decha?

- Skąd ty wynajdujesz takie ciekawostki?

- Z artykułów Theo McCalla oczywiście.

- To nie jest zabawne.

- Właśnie, że tak, ponieważ to McCall teraz jest przedmiotem drwin. Ten cały biznes przejechał się po biedaku jak walec drogowy. Zupełnie, jakbyś kopnął w jaja największego łobuza na całej ulicy... wszyscy są uradowani z tego powodu.

- Nie zrobiłem nic niezwykłego. Po prostu powiedziałem prawdę.

- Jasne. Zaslugujesz na pokojową Nagrodę Nobla za charakter i żelazne zasady, nie wspominając o tym, że jesteś takim świetnym gościem.

- Czy ty przypadkiem nie jesteś nieco cyniczna?

- Ja? Cyniczna? Jak mogłeś powiedzieć o mnie coś takiego. Powiem ci jedno, Davidzie. Kamień spadł mi z serca. Myślę, że chyba wygrałeś tę wojnę.

- Wojna jeszcze się nie skończyła - odparłem.

Nieco później jednak wpadła do mnie Tracy z wielce zadowoloną miną.

- Właśnie sprawdziłam wszystkie krajowe i stanowe gazety. Znalazłam wzmiankę o sprawie twojej i McCalla w „New York Timesie”, „Washington Post” i „USA Today”. Opisali go jako niezrealizowanego pisarza. „San Francisco Chronicle” zamieściło krótką notkę o aferze, podobnie jak lokalne gazety w Santa Barbara, San Diego i Sacramento. Wszystkie artykuły przemawiają na twoją korzyść... dzięki Justinowi Wanamakerowi. Tak przy okazji powinniśmy mu wysłać dyskretny prezent z podziękowaniem za pomoc.

- Czy naprawdę lubi strzelby, wypchane głowy nosorożców i całe to hemingwayowskie paskudztwo?

- Tak, to prawdziwa żyłka pana Wanamakera. Jeżeli jednak sądzisz, że kupimy mu karabin szturmowy AK-47...

- A może skrzynkę dobrej szkockiej whisky? Podobno lubi sobie popić, tak?

- Uhm. Poza tym przy każdym wywiadzie musi zapalić lucky strike'a, aby zademonstrować, że nienawidzi kalifornijskich nazistów zdrowia. Myślę, że skrzynka dobrej szkockiej bardzo go ucieszy. Masz pomysł na jakąś konkretną markę?

- Po prostu upewnij się, że dojrzewiała przynajmniej przez 15 lat.

- Zrobione. Co mamy napisać na wizytówce? Zastanowiłem się przez chwilę.

- Może... „dziękuję”?

- To chyba wszystko wyjaśnia.

- Skoro już przy tym jesteśmy... dziękuję, Tracy. Rozegrałaś to po mistrzowsku. I naprawdę ocaliłaś moją skórę.

- To moja praca - uśmiechnęła się Tracy.

- Nie powinniśmy jednak jeszcze świętować zwycięstwa, prawda?

- Ujmę to w ten sposób: moi szpiedzy w „Hollywood Legit” twierdzą, że McCalla poważnie dotknęła historia z „LA Times”, w której wyszedł na godnego pogardy, pozbawionego talentu małego gnojka wykorzystującego łamy pisma, żeby odegrać się na innych za swój profesjonalny upadek. Żaden z artykułów nie atakował twojej pozycji, co oznacza po prostu, że wszyscy kupili twoją wersję tej historii. Wszystko jednak wyjaśni się w ciągu kolejnych kilku dni... musimy poczekać, czy przypadkiem ktoś nie postanowi dalej robić szumu wokół sprawy. Mam przecucie, że to już koniec, ale chcę poczekać do piątku z oficjalnym przypieczętowaniem tego wszystkiego.

W piątek rzeczywiście przyszła oficjalna wiadomość od Tracy.

Byłem akurat w domu i pracowałem nad szkicem pierwszego odcinka *Sprzedając cię*, kiedy zadzwonił telefon.

- Czytałeś dzisiejsze wydanie „Hollywood Legit”? - spytała mnie Tracy.

- Z jakiegoś powodu wykreśliłem to czasopismo z listy lektur obowiązkowych. Czy ten błazen nadal próbuje obrzucać mnie gównem?

- Dlatego właśnie dzwonię. Jego ostatni felieton w całości poświęcony jest Jasonowi Wonderly...

Był to tegoroczny obiekt kobiecych westchnień, którego przyłapano na dawaniu sobie w żyłę w toalecie na planie jego przebojowego serialu *Zawodnik Jack*, w którym grał rolę psotnego, ale w gruncie rzeczy dobrodusznego rozgrywającego uniwersyteckiej drużyny amerykańskiego footballu, który ugania się za spódniczkami, ale jednocześnie jest wielkim społecznikiem.

- ...w każdym razie McCall twierdzi, że dealer Wonderly'ego został przyłapany na próbach przekazania małemu Jasonowi „nikłówki”* Działka narkotyku, zazwyczaj heroiny lub marihuany, warta pięć dolarów u Betty Ford...

- Rozumiem, że nie wspomniał nic o mnie lub *Sprzedając ciebie*?

- Ani słowem. Co więcej, kazałam mojemu asystentowi przejrzeć pod kątem naszego problemu wszystkie co ważniejsze gazety. Żadnych więcej wzmianek. Nic od poniedziałku. Oznacza to, że tamta sprawa to już historia... poszła na dno. Gratuluję.

Później tego samego dnia czekały mnie dalsze dobre wiadomości.

Jake Dekker z Warnera zadzwonił do mnie i powiedział, że Vince Nagel, nowy młody reżyser miesiąca, przeczytał wreszcie pierwszą wersję scenariusza do *Kradzieży z włamaniem* i oszalał na jego punkcie. W przyszłym tygodniu miał jechać do Nowego Jorku, ale chciał się ze mną spotkać za dwa tygodnie... aby podzielić się spostrzeżeniami i pchnąć cały projekt do etapu drugiej redakcji.

- Tak przy okazji - dodał Jake pod koniec naszej rozmowy - bardzo się ucieszyłem, kiedy ten gnojek McCall oberwał za to, co próbował ci zrobić. Ten gość jest dziennikarskim odpowiednikiem

eboli. Dobrze, że go tak przerobili... co ważniejsze, znakomicie sobie poradziłeś z tą nieproszoną i nieoczekiwaną trudną sytuacją.

Jake Dekker miał rację: była to nieproszona i nieoczekiwana sytuacja i długi, ciężki tydzień. Poza faktem, że ktoś wycelował we mnie oskarżycielski palec w prasie (nigdy nie bywa to miłym przeżyciem, uwierzcie mi), najbardziej wytrąciła mnie z równowagi świadomość, że gdybym nie wygrał tej sprawy w hollywoodzkim sądzie opinii publicznej, skutki byłyby nie do pomyślenia...

Lepiej było nie zagłębiać się w to. Zamiast tego należało uczcić koniec tej śmierdzącej sprawy i wyjście cało z opresji. Właściwie, jak zauważyła Sally, moja pozycja wzmocniła się nawet na skutek tej krótkiej, lecz nieprzyjemnej turbulencji.

- Wszyscy lubią ripostę. Kogoś, kto walczy i zostaje oczyszczony z zarzutów - stwierdziła.

- Nadal czuję się jak idiota - oznajmiłem, układając głowę na jej brzuchu.

- To głupie i kompletnie bezcelowe. Rozmawialiśmy już zresztą o tym setki razy w zeszłym tygodniu. To była podświadoma pomyłka... bardzo niepospolita zresztą. Przestań się tym zamartwiać. Zostałeś uniewinniony. Wygrałeś.

Może i Sally miała rację. Może po prostu przed oczami stanęło mi całe moje życie zawodowe, jak komuś, kto cudem uniknął śmierci..”, i teraz, po tygodniu od pierwszego uderzenia, nadal jeszcze nie mogłem się pozbierać. Do tego stopnia, że przez większość weekendu spałem do późna, a potem objąłem się po domu, czytałem nową powieść Elmora Leonarda i usiłowałem zapomnieć o całej sprawie.

Właściwie to spodobał mi się ów weekend spędzony na lenistwie. Postanowiłem więc przedłużyć go na pierwszą połowę tygodnia roboczego. Powinienem zapewne planować kolejną serię *Sprzedając ciebie*, ale postanowiłem na kilka kolejnych dni wcielić się w rolę kalifornijskiego *flaneur** Próżniak (fr.). Szwendałem się bez celu po kawiarenkach w zachodnim Hollywood, spotkałem z

kolegą po fachu na długi lunch i plotki w dobrej meksykańskiej restauracji w Santa Monica, kupiłem zbyt dużo płyt kompaktowych, odwiedziłem z ciekawości moje dawne miejsce pracy, Book Soup, obejrzałem (czasem nie do końca) kilka popołudniowych seansów kinowych i generalnie odstawiłem na bok wszystkie zobowiązania zawodowe.

Poniedziałek znalazł się z wtorkiem, a potem środą. Późnego wieczoru, kiedy sprzątałem ze stołu po kolacji złożonej z sushi, powiedziałem Sally:

- Wiesz, chyba mógłbym się przyzwyczaić do takiej beczynności.

- Tak tylko mówisz, ale nie potrafisz nic nie robić. Trawa po drugiej stronie płotu zawsze wydaje się zieleńsza, jeżeli wpada się tam tylko na chwilę. Poza tym wiesz, jacy stają się beczynni pisarze?

- Szczęśliwi?

- Myślałam bardziej o „niemożliwych”. Albo o „absolutnie nie do wytrzymania”.

- Dobrze już, dobrze. Obiecuję, że nie będę zbyt leniwy.

- To miło z twojej strony - odparła oschle.

- W przyszłości jednak zamierzam robić sobie tygodniowy urlop co...

Zadzwoił telefon. Odebrałem. Dzwonił Brad Bruce. Nie przywitał się, nie usłyszałem też żadnych zwykłych zdawkowych uprzejmości.

- Możemy porozmawiać? - spytał po prostu.

- Co się stało, Brad? - dopytywałem się. Sally natychmiast spojrzała na mnie zaniepokojona. - Wydajesz się zdenerwowany.

- Jestem zdenerwowany i cholernie wkurzony.

- Dlaczego? Długie milczenie.

- Może powinniśmy się spotkać - stwierdził.

- Po co?

Kolejna długa chwila ciszy.

- Tracy właśnie przysłała do mojego biura z najnowszym wydaniem

„Hollywood Legit” - powiedział wreszcie. - Owszem, zgadłeś. Kolejny raz stałeś się bohaterem artykułu Theo McCalla. Jedynym bohaterem.

- Naprawdę? - Poczulem, że mój niepokój zmienia się w strach.
- Ale to niemożliwe. Nie zrobiłem nic złego.

- Jego nowe dowody wskazują na coś wręcz przeciwnego.

- Jego nowe dowody? Na co?

- Na plagiatstwo.

Zatkało mnie na dłuższą chwilę.

- To jakieś szaleństwo. Nie jestem, powtarzam, nie jestem plagiatorem.

Spojrzałem na Sally. Wpatrywała się we mnie wielkimi oczami.

- Powiedziałaś tak w zeszłym tygodniu - stwierdził ponuro Brad. - Wtedy ci uwierzyłem, ale teraz...

- Teraz co?

- Teraz McCall znalazł kolejne trzy przykłady plagiatu w twoich scenariuszach. Co więcej, wyszukał również przekalkowane wersy w sztukach, które napisałeś zanim... zanim...

Zanim stałem się sławny? To chciałeś powiedzieć? Zanim zdobyłem cały świat? Zanim zostałem obwołany literackim złodziejem, chociaż nigdy w życiu niczego umyślnie nie skopiowałem. Więc jak... ? Jak... ?

Usiadłem powoli na sofie. Pokój wirował razem ze mną. Całe życie zawodowe ukazało się przed moimi oczami niczym przyspieszony film. Tym razem jednak wiedziałem, że nie jest to jeden z koszmarów, w których spadałem, aby wylądować miękko na poduszce. Tym razem spadałem naprawdę - i lądowanie nie miało być miękkie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dzięki wątpliwym cudom technologii Tracy była w stanie zeskanować nowy artykuł McCalla i przesłać go na mój domowy komputer w ciągu kilku minut.

Sally stała nade mną, kiedy usiadłem, aby przeczytać ów tekst. Nie położyła jednak dłoni na moim ramieniu poczekającym gestem ani nie powiedziała żadnego dodającego otuchy słowa. Po między telefonem Brada a pojawieniem się artykułu w ogóle się nie odezwała. Zupełnie. Po prostu wpatrywała się we mnie z absolutnym niedowierzaniem... takim samym, jakie zobaczyłem na twarzy Lucy tamtej nocy, gdy powiedziałem jej, że kocham inną kobietę. Było to niedowierzanie, które jest reakcją na zdradę.

Tylko że ja nikogo nie usiłowałem zdradzić. Nawet siebie samego.

Usiadłem przed komputerem i połączyłem się z Internetem. W skrzynce pocztowej czekał już na mnie list od Tracy wraz z załącznikiem. Otworzyłem go. Na ekranie pojawił się feralny artykuł. Zaskoczyła mnie jego długość, jak również tytuł:

PRANIE BRUDÓW

autor Theo McCall

Czy „przypadkowe” plagiatstwo rzeczywiście było przypadkowe? - nowe dowody wskazujące na zamilowanie autora *Sprzedając siebie* do wykorzystywania tekstów innych autorów.

Jak wszyscy wiemy, Hollywood jest biznesem, który przemyka oczy na wszelką korupcję i inne śmiertelne grzechy popełnione przez ludzi z wewnętrznego kręgu, tak długo, jak dany osobnik pozostaje wpływowy i przynosi zysk. Zwykli śmiertelnicy, jak ty czy ja, nigdy nie znaleźliby pracy, gdyby ktoś odkrył, że byliśmy w posiadaniu narkotyków klasy A lub gdybyśmy zostali przyłapani *flagrante delicto** Na gorącym uczynku (łac) z jakąś nieletnią panienką. Show-biznes chroni swoich protegowanych, gdy spotykają ich drobne problemy tego rodzaju. I nawet gdy większość szanujących się gazet, magazynów i ośrodków wyższego wykształcenia natychmiast napiętnowałyby z całą surowością jakiegokolwiek pisarza lub naukowca, który dopuścił się zbrodni plagiatorstwa, w Hollywood poplecznicy takiego człowieka robią wszystko, aby ochronić jego reputację. Zwłaszcza jeśli owym literackim złodziejaskiem jest autor jednego z najbardziej popularnych seriali telewizyjnych ostatnich kilku lat.

Dwa tygodnie temu wykazałem, że David Armitage, ogromnie utalentowany twórca *Sprzedając ciębie*, za który to serial niedawno zdobył nagrodę Emmy, dopuścił się przepisania do swojego scenariusza kilku linijek dialogu z klasycznej sztuki *Strona tytułowa*. Zamiast jednak przyznać się do winy, pan Armitage i jego zausznicy z FRT przystąpili do ataku, znajdując przychylnego im pismaka z „Variety”, aby przedstawił ich wersję opowieści... tak przy okazji, był to ten sam pismak, który rok temu, podczas rocznego urlopu od swojej żony, miał romans z szefową działu PR w FRT. Zanim ktokolwiek zdążył wypowiedzieć słowo „nepotyzm”, wielu hollywoodzkich skrybów ustawiło się w kolejce do wyśpiewywania hymnów pochwalnych na cześć pana Armitage i do głośnego potępienia dziennikarza, który śmiał wytknąć mu owo przekopiowanie czterech linijek tekstu z jednego scenariusza do drugiego.

Naturalnie najgłośniej krzyczał Papa Hemingway Santa Barbara, Justin Wanamaker - czołowy radykalny scenarzysta lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, który w latach zmierzchu zawodowego produkuje już tylko lukratywne, lecz bardzo stereotypowe scenariusze dla Jerry'ego Bruckheimera. Jego jeremiada nie tylko stała się formą ognistej obrony pana Armitage'a, ale również zapoczątkowała polowanie na czarownice, którego celem był autor niniejszego felietonu. List opublikowany przez „LA Times”, którego edytorzy wyraźnie zabawili się w domorosłych Freudów, twierdzi, iż wasz oddany korespondent usiłował bez większego sukcesu zrobić karierę w telewizji jako scenarzysta i teraz zwyczajnie odbija sobie na pierwszym pisarzu, który odniósł sukces w telewizji, a do którego mógł się dobrać.

Parafrazując słowa sierżanta Joe Fridaya z pierwszego naprawdę postironicznego serialu *Dagnet*, niniejszy artykuł zajmuje się „wyłącznie faktami, proszę pani”. Faktem natomiast jest, że w ciągu dwóch tygodni, od kiedy wyszedł na jaw pierwszy akt plagiatostwa pana Armitage'a, jego agresywna reakcja zmusiła autora *Prania brudów* do wynajęcia pary literackich detektywów, którzy przejrzeni cały dorobek naszego bohatera, aby upewnić się, że owo literackie przestępstwo było rzeczywiście jednorazowe.

Czekała nas jednak ogromna niespodzianka. Oto, co znaleźli nasi detektywi:

1. W trzecim odcinku pierwszej serii *Sprzedając siebie* Bert, uganiający się za spódniczkami referent, wypowiada się o swojej byłej żonie, która przeprowadziła się z powrotem do LA, po tym jak puściła go z torbami w sądzie. „Wiesz, jaka jest prawdziwa definicja kapitalizmu?”, pyta swojego współpracownika, Chucka. „To proces, w którym kalifornijskie dziewczyny stają się kalifornijskimi kobietami”.

Identyczną wypowiedź można znaleźć w sztuce Christophera Hamptona *Opowieści z Hollywood*, za którą autor zdobył Oscara. W niej to austriacki dramaturg, Odon von Horvath zauważa, iż „kapitalizm to proces, w którym amerykańskie dziewczyny stają się amerykańskimi kobietami”.

2. W pierwszym odcinku nowej serii Tanya, strzelająca gumkami recepcjonistka informuje Joeya, że nie chce już z nim więcej sypiać, ponieważ ma nowego faceta, który wygląda dokładnie jak Ricky Martin. Później Joey widzi nowego chłopaka Tanyi w biurze i zwraca się do niej tymi słowami: „Ricky Martin? Zapomnij. Chyba już raczej Ricky Pryszech”.

Tak się składa, że Ricky Pryszech jest postacią z książki Elmora Leonarda pt. *Blichtr*.

3. W tym samym odcinku założyciel firmy, Jerome, ma wyjątkowo nieprzyjemną utarczkę z aktorem z hollywoodzkiej listy B, nagrywającym reklamę dla klienta firmy. Po wszystkim Jerome zwierza się Bertowi: „przy następnej reklamie nie będzie żadnych aktorów...”.

W klasyku Mela Brooksa *Producenci Zero Mostel* zwraca się do Gene Wildera i mówi: „W następnej sztuce nie będzie żadnych aktorów”.

Mamy jeszcze więcej przykładów literackich kradzieży pana Armitage. Nasi detektywi przebrnęli przez kilka jego wcześniejszych sztuk teatralnych, z których większość nie doczekała się niczego więcej niż wstępnego odczytu w podrzędnym teatrzyku na Broadwayu. Odkryli przy okazji dwa intrygujące fakty:

1. Sztuka Armitage'a zatytułowana *Solówka* opowiada o miłosnym trójkącie. Była pianistka jazzowa, obecnie gospodyni domowa wydana za lekarza, zakochuje się w najlepszym przyjacielu swojego męża, saksofoniście jazzowym. Zaczynają razem grać duety i, ulegając nabrzmiałej erotyce muzyce, poddają się coraz większej pasji ku sobie. Kiedy więc małżonek owej pani wyjeżdża na weekend, wreszcie mogą skonsumować swój związek... ale, niestety,

nakrywa ich mąż. W trakcie bójki z saksofonistą, kiedy żona usiłuje ich rozdzielić, mąż przypadkowo wbija jej nóż w serce.

Ciekawostką jest to, iż fabuła *Solówki* jest niemal dokładną kopią intrygi w sławnej noweli Tolstoja *Sonata Kreutzerowska*. W niej to znudzona była pianistka, obecnie kura domowa, zakochuje się w najlepszym przyjacielu swego męża, który, tak się składa, jest skrzypkiem. Kiedy grają razem *Sonatę Kreutzerowską* Beethovena, rodzi się między nimi uczucie, jednak gdy podczas nieobecności męża przychodzi do „wprowadzenia pasji w czyn”- niespodzianka! - ów pojawia się w domu i w ataku zazdrości przypadkowo zabija ukochaną żonę.

2. W nowym scenariuszu Armitage'a *Kradzież z włamaniem* (obecnie na etapie wczesnej produkcji w Warner Brothers, zamówionym za półtora miliona dolarów, jak donosi nam osoba wtajemniczona), główny bohater otwiera film następującym zdaniem: „Za pierwszym razem, kiedy obrabowałem sklep Cartiera, padało”.

Przedziwnym trafem podobnie zaczyna się klasyczna już opowieść Johna Cheevera **Powieść Montraldo*: „Za pierwszym razem, kiedy obrabowałem sklep Tiffany'ego, padało”.

Jak widzimy, pan Armitage nie jest wcale „przypadkowym plagiatozem”, jak to utrzymuje on i jego poplecznicy. Ma na swoim koncie liczne tego typu zbrodnie i chociaż można by stwierdzić, iż to wyłącznie pożyczony dowcip czy wątek fabuły, plagiat pozostaje plagiatem... nie można zatem odmówić słuszności następującemu wnioskowi: facet jest winny.

Kiedy skończyłem czytać, byłem tak zły, że musiałem się powstrzymać przed walnięciem pięścią w ekran.

- Możesz uwierzyć w te brednie? - odwróciłem się do Sally, żeby z nią porozmawiać. Ona jednak siedziała już na kanapie, objąłszy się ramionami (bardzo negatywna mowa ciała), niezwykle poruszona. Kiedy przemówiła, nie patrzyła w moją stronę:

- Tak, Davidzie. Mogę w to uwierzyć, ponieważ widzę dowody, czarno na białym. Jesteś nawykowym plagiatorem.

- Daj spokój, Sally. O co ten dupek mnie oskarża? O jedną linijkę ściągniętą stąd czy stamtąd...

- A co z tym wątkiem fabularnym w twojej sztuce? Tym „pożyczonym” od Tolstoja?

- Cóż, McCall nie wspomniał, że w programie sztuki wyraźnie napisałem, że była ona oparta na opowiadaniu Tolstoja.

- Jakim programie? Przecież ta sztuka nigdy nie była wystawiona, tak?

- W porządku, ale gdyby została wystawiona, bardzo wyraźnie zaznaczyłbym mój dług wobec...

- Teraz tak mówisz.

- To prawda. Serio myślisz, że zrobiłbym coś równie głupiego jak zwinięcie fabuły Tolstojowi?

- Nie wiem już, co mam sobie myśleć.

- Pamiętaj o jednym. Ten mały śmierdziel McCall usiłuje mi zniszczyć karierę. To jego sposób za obnażenie go w „LA Times” jako słabego dziennikarza.

- Nie o to chodzi, Davidzie. Znowu cię przyszpilił i tym razem nie ujdzie ci to na sucho.

Zadzwoił telefon. Odebrałem natychmiast. Dzwonił Brad.

- Przeczytałeś felieton? - spytał.

- Oczywiście. Naprawdę uważam, że przyczepił się do drobno-
stek, żeby...

- Davidzie, musimy porozmawiać - przerwał mi.

- Oczywiście - odparłem. - Możemy to wygrać, tak jak...

- Teraz.

Spojrzałem na zegarek. Było siedem po dziewiątej.

- Dzisiaj? Nie jest przypadkiem trochę za późno?

- Mamy sytuację kryzysową i musimy szybko reagować.
Odetchnąłem z ulgą. Brad chciał omówić strategię. Nadal był moim sprzymierzeńcem.

- Nie mógłbym się bardziej z tobą zgodzić - odparłem. - Gdzie się mamy spotkać?

- Tutaj, w biurze. O dziesiątej. Tracy już tu jest, a Bob Robinson jest w drodze.

- Przyjadę jak najszybciej. Chciałbym też przyprowadzić Alison.

- Nie ma sprawy.

- W takim razie do zobaczenia o dziesiątej - odłożyłem słuchawkę i spojrzałem na Sally. - Brad jest w biurze.

- Doprawdy?

- Powiedział, że musimy zareagować jak najszybciej i powinienem natychmiast przyjechać do biura.

Znowu na mnie nie spojrzała.

- Więc jedź - rzuciła.

Poszedłem do niej i próbowałem ją objąć, ale odepchnęła mnie.

- Sally, kochanie - powiedziałem. - Wszystko będzie dobrze.

- Nie, nie będzie - odparła i wyszła z pokoju.

Stałem jak wmurowany. Chciałem za nią pobiec i przekonać o mojej niewinności. Instynkt jednak podpowiedział mi, że powinienem wyjść. Chwyciłem kurtkę, telefon i kluczyki do samochodu, a potem wyszedłem.

Po drodze do FRT zadzwoniłem do Alison. Niestety, włączyła się tylko jej poczta głosowa, która przypomniała wszystkim zainteresowanym, że moja agentka do czwartku jest w Nowym Jorku. Znowu spojrzałem na zegarek. Na Wschodnim Wybrzeżu było już dobrze po północy, dlatego wysłuchałem przed chwilą nagrania Alison. Zostawiłem jej krótką wiadomość: „Alison, mówi David. Mam pilną sprawę. Zadzwoni na moją komórkę, jak odsłuchasz tę wiadomość”.

Potem wduśiłem pedał gazu i pomknąłem do biura, przerabiając argumenty, jakie chciałem wytoczyć w odpowiedzi na kampanię McCalla, nie wspominając o ostrym komentarzu, jaki zamierzałem

wysłać do Warnera, dotyczącym zdrajcy, który dał wgląd McCallowi do mojego manuskryptu.

Kiedy jednak dotarłem do FRT, Brad i Bob mieli bardzo ponure miny, oczy Tracy zaś były zaczerwienione, niewątpliwie od płaczu.

- Przykro mi z tego powodu - stwierdziłem na wstępie. - Wygląda na to, że ten maniak zatrudnił parę detektywów, którzy przebadali wszystkie moje scenariusze pod mikroskopem. Co znaleźli? Pięć linijek, które można przypisać innym autorom. To wszystko. Jeżeli zaś chodzi o to idiotyczne oskarżenie dotyczące Tołstoja...

- Davidzie, wszyscy rozumiemy, co mówisz - przerwał mi Bob Robinson. - Kiedy zobaczyłem ten artykuł, pomyślałem to samo co ty. To tylko kilka linijek, tu i ówdzie. Jeśli chodzi o sztukę, pieprzyć Tołstoja. Jestem przekonany, że nawet półgłówek zda sobie sprawę, że to celowe odniesienie...

- Dzięki, Bob - odparłem, czując jak ulga rozlewa się po całym moim ciele niczym strumień wody.

- Nie skończyłem jeszcze, Davidzie.

- Przepraszam.

- Jak już powiedziałem, nie sądzę, żeby kampania McCalla przeciwko tobie była uczciwa czy sprawiedliwa. Problem w tym, że na szali leży twoja wiarygodność. A jeśli o to chodzi, to czy chcesz, czy nie, kiedy gazeta z artykułem McCalla znajdzie się w piątek na ulicach, staniesz się lewym towarem...

- Ale Bob...

- Pozwól mi skończyć - upomniał mnie ostro.

- Przepraszam...

- Tak właśnie postrzegamy tę sytuację. Można wyjaśnić jeden przypadek niezamierzonego plagiatorstwa, ale cztery dodatkowe?

- Cztery cholerne linijki - odparłem. - Nic więcej.

- Cztery cholerne linijki, które McCall opublikował ze swoim komentarzem, po owych czterech linijkach ze *Strony tytułowej*...

- Nie widzisz, że ten dupek usiłuje zostać Kennethem Starrem*
Prokurator specjalny USA, zajmował się aferą z Monicą Lewinsky , robiąc
z marnych dowodów Sodomę i Gomorę.

- Masz rację - wtrącił się Brad. - To dupek. Morderca charakterów.
Zdecydował, że przerobi cię na miał i obawiam się, że twoje skrypty
dostarczyły mu wystarczająco dużo drobnych dowodów, aby bezkarnie
przykleić ci etykietkę plagiatora.

- Co więcej, ów bardzo długi artykuł zostanie podchwycony przez
wszystkie możliwe media - przejął pałeczkę Bob. - Nie tylko doznasz
uszczerbku na własnej reputacji, ale również nasz serial straci wiarygodność.

- To bzdura, Bob...

- Nie mów mi, co jest cholerną bzdurą, idioto! - rzucił gniewnie.
- Czy masz pojęcie, jakie to wyrządziło szkody? I nie mówię tutaj o
tobie i twoim serialu, ale o Tracy. Dzięki temu gnojkiwi McCallowi
reputacja Tracy również została zniszczona... do tego stopnia, że
musieliśmy przyjąć jej rezygnację...

- Rezygnujesz? - spytałam Tracy z rozwartymi szeroko oczami.

- Nie mam wyjścia - odparła cicho. - Ujawniono mój krótki „cudzołóżny”
romans z Craigiem Clarkiem...

- Nie zrobiłaś nic złego, Tracy - stwierdziłem.

- Możliwe... ale wszyscy widzą to inaczej: że poprosiłam byłego
chłopaka o napisanie miłego artykułu ratującego ci dupę.

- Ale to on sam zadzwonił do ciebie.

- To nie ma znaczenia. Wszyscy widzą to inaczej.

- Co na to Craig?

- Ma własne problemy - odparła Tracy. - „Variety” właśnie go
zwolniło.

- Ty nie zostałam zwolniona - przypomniał jej ostro Bob.

- Nie. Zamiast tego dostałam butelkę whisky, pistolet z jedną kulą i
radę, żebym postąpiła honorowo.

Wyglądała, jakby za chwilę znowu miała się rozplakać. Brad ścisnął jej ramię pokrzepiająco, ale odepchnęła jego dłoń.

- Nie chcę niczyjego współczucia. Zrobiłam głupi błąd i teraz za to płacę.

- Jestem wstrząśnięty - powiedziałem.

- I powinieneś być.

- Nie mam słów, żeby wyrazić, jak bardzo mi przykro. Jak już jednak mówiłem, nie miałem intencji...

- Tak, tak, wiemy - przerwał mi Bob. - Musisz jednak zrozumieć naszą zawiłą sytuację. Jeżeli cię nie zwolnimy...

Chociaż podświadomie oczekiwałem takiego obrotu zdarzeń, odebrałem tę nowinę jak policzek.

- Wyrzucacie mnie? - spytałem chrapliwie.

- Tak. Dodam, że z ogromnym smutkiem i żalem, ale...

- To niesprawiedliwe! - zaprotestowałem.

- Może i tak - rzekł Brad. - Ale musimy dbać o własną reputację.

- Mam z wami podpisany kontrakt.

Bob przerzucił jakieś papiery i wyciągnął spośród nich dokument.

- Owszem. Jestem pewien, że Alison wytłumaczy ci, iż jest w nim zawarta klauzula unieważniająca go, gdybyś w jakikolwiek sposób nieodpowiednio wykonywał swoją pracę. Plagiatorstwo zalicza się do takich przypadków...

- Bardzo źle robisz - powiedziałem.

- Niestety, to konieczne - odparł Bob. - Dla dobra serialu musisz odejść.

- A jeśli Alison pozwie was do sądu?

- Rób, co chcesz, Davidzie - odparł Bob. - Pamiętaj tylko, że nasze firmowe kieszenie są dużo głębsze niż twoje. Nie wygrasz tej sprawy.

- Jeszcze zobaczymy - wstałem.

- Uważasz, że to dla nas przyjemne? - spytał Brad. - Sądziś, że ktokolwiek w tym pokoju jest zadowolony z takiego obrotu rzeczy? Przecież jesteś twórcą tego serialu... i uwierz mi, nadal będziesz na liście płac. Problem w tym, że w realizację *Sprzedając ciębie*

zaangażowanych jest siedemdziesiąt osób i nie mogę narażać ich, stając po twojej stronie. Twoja obecna pozycja jest nie do obrony. Nie przyłapano cię nad trupem z dymiącym rewolwerem. Tym razem to była cała cholerna bazooka, Davidzie.

- Dziękuję za lojalność...

Zapadła długa cisza. Brad obracał w zaciśniętej dłoni długopis. Zaczepnął powietrza w płuca.

- Davidzie, puszczyć w niepamięć ten komentarz ze względu na emocje, jakie nami wszystkimi teraz targają - powiedział. - Okazywałem ci bowiem nieskończoną lojalność. Zanim zaczniesz się znowu na nas wyzywać, pamiętaj tylko jedno: sam sobie zgotowałeś ten los.

Chciałem wydać z siebie jakiś emocjonalny i pozbawiony sensu okrzyk, ale zamiast tego po prostu wypadłem z biura, wsiadłem do samochodu i odjechałem.

Całymi godzinami przemierzałem ulice miasta bez planu czy logiki. Zaliczyłem na czas Dziesiątą, Trzysta Trzydziestą, Dwunastą i Osiemdziesiątą Piątą. Mój plan podróży stał się cudem nielogiczności - z Manhattan Beach do Ven Nuys, potem Santa Monica, Newport Beach i...

Wreszcie zaczęła dzwonić komórka. Spojrzałem na zegarek. Było dziesięć po trzeciej. Jeździłem tak bez celu pięć godzin.

- Davidzie, wszystko w porządku?

To była Alison, zaspana, ale wyraźnie zaniepokojona.

- Poczekaj, muszę zjechać na pobocze.

Ustawiłem samochód przy drodze i wyłączyłem silnik.

- Nie jesteś w domu? Gdzieś jedziesz?

- Donikąd.

- Ale przecież jest środek nocy.

- Aha.

- Właśnie się obudziłam i dostałam twoją wiadomość. Gdzie teraz jesteś?

- Nie mam pojęcia...

- Co to znaczy, nie masz pojęcia? Jak się nazywa droga albo autostrada?

- Nie wiem.
- Teraz naprawdę mnie zaniepokoiłeś. Co się dzieje?

Wtedy zacząłem płakać... doszedł do mnie bowiem cały horror tej sytuacji i straciłem panowanie nad sobą. Płakałem dosyć długo, ale wreszcie jakoś się uspokoilem.

- Davidzie, mój Boże, błagam, powiedz mi, co się do diabła stało?

Opowiedziałem jej o wszystkim od obszernego tekstu McCalla z kolejnymi oskarżeniami o plagiat, do nieprzyjaznej reakcji Sally i zwolnienia mnie przez Boba i Brada.

- Jezu Chryste i wszyscy święci - skomentowała Alison, kiedy skończyłem. - To się zupełnie wymknęło spod kontroli..

- Czuję się, jakbym otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz ze szczytu drapacza chmur.

- No dobrze, wszystko po kolei. Wiesz, gdzie jesteś?

- Gdzieś w mieście.

- Jesteś pewien, że to LA?

- Tak, tego jestem pewien.

- Będziesz mógł prowadzić?

- Chyba tak.

- W porządku. Plan gry jest taki. Pojedź teraz do domu. Ostrożnie. Jeżeli jesteś w LA, powinieneś być tam za godzinę. Jak tylko dotrzesz na miejsce, prześlij mi artykuł McCalla. Będę w drodze na lotnisko, ponieważ zamierzam wrócić pierwszym samolotem do LA. Powinno mi być połączenie z Internetem na lotnisku i przeczytać ten artykuł. Po starcie mogę użyć AirPhone. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, będę w LA około południa, może więc spotkamy się u mnie w biurze o drugiej. W międzyczasie chcę, żebyś zrobił jedno... przespał się. Masz w domu coś, co pomoże ci zasnąć?

- Chyba zostało jeszcze trochę tylenolu.

- Weź trzy pastylki.

- Błagam, nie mów mi tylko, że kiedy się wyśpię, wszystko będzie wyglądało dużo lepiej. Nie będzie.

- Wiem, ale przynajmniej trochę wypoczniesz.

Dotarłem do domu po czterdziestu minutach. Przesłałem artykuł do Alison. Kiedy siedziałem przed komputerem, drzwi od sypialni otworzyły się i stanęła w nich Sally. Miała na sobie tylko górę od piżamy. Pomyślałem najpierw, że jest piękna. Potem spytałem samego siebie, czy to ostatni raz, kiedy widzę ją w tak intymnej sytuacji?

- Udało ci się mnie zaniepokoić - stwierdziła.

Nadal wpatrywałem się w ekran.

- Czy zechciałbyś wytłumaczyć mi, gdzie byłeś przez ostatnie siedem godzin?

- W biurze, a potem jeździłem.

- Gdzie?

- Po prostu jeździłem.

- Mogłeś do mnie zadzwonić. Powinieneś do mnie zadzwonić.

- Przepraszam.

- Co się stało?

- Wiesz, co się stało, skoro jeździłem po mieście przez pół nocy.

- Wyrzucili cię?

- Tak, wyrzucili mnie.

- Rozumiem - odparła obojętnym tonem.

- Tracy Weiss również stanęła pod murem.

- Za przyznanie wyłączności na wywiad temu dziennikarzowi?

- To właśnie była jej zbrodnia.

- To twardy biznes.

- Dzięki za oświecenie.

- A co chcesz, żebym powiedziała, Davidzie?

- Chcę, żebyś do mnie podeszła, objęła i powiedziała, że mnie kochasz.

Zapadła długa cisza.

- Wracam do łóżka - oznajmiła wreszcie Sally.

- Uważasz, że dobrze zrobili, wyrzucając mnie, prawda?

- Przypuszczam, że mają po temu powody.

- Doprawdy? Za kilka pożyczonych linijek?

- Wspominali cokolwiek o kompensacji?

- To działka Alison, a ona jest teraz w Nowym Jorku.
- Ale wie o sprawie?
- Rozmawialiśmy o tym.
- I?
- Chce, żebym się trochę przespał.
- To bardzo dobry pomysł.
- Uważasz, że jestem winny, prawda?
- Davidzie, jest już późno...
- Odpowiedz mi na pytanie.
- Możemy to zrobić jutro?
- Nie. Teraz.
- W porządku. Uważam, że spieprzyłeś sprawę i, tak, jestem bardzo rozczarowana. Zadowolony?

Wstałem i, mijając ją, wszedłem do sypialni. Rozebrałem się, odszukałem tylenol w łazience, połknąłem cztery tabletki i poszedłem do łóżka, nastawiając budzik na pierwszą po południu. Przełączyłem telefon na pocztę głosową, naciągnąłem prześcieradła na głowę i odpłynąłem w ciągu minuty.

Kiedy zadzwonił budzik, zobaczyłem na sąsiedniej poduszce karteczkę:

„Lecę dziś do Seattle na dwa dni. Sally”.

Mrużąc oczy, spojrzałem na zegarek. Pierwsza po południu. Zwlokłem się z łóżka. Przeczytałem notkę Sally jeszcze raz. Tego rodzaju wiadomości zostawia się pokojówce. Nagle poczułem się bardzo samotny, bardzo przerażony i bardzo zapragnąłem zobaczyć moją córkę. Sprawdziłem telefon. Żadnych wiadomości. Mimo wszystko zadzwoniłem na pocztę głosową i usłyszałem: „Nie masz żadnych nowych wiadomości”.

To musi być jakaś pomyłka. Byłem przekonany, że niektórzy z moich kolegów i przyjaciół dowiedzieli się już o artykule McCalla i powinni zadzwonić ze słowami wsparcia.

Dwa tygodnie temu wszyscy to zrobili, ale teraz, w obliczu zarzutu wielokrotnego plagiatstwa, zostałem sam. Nikt nie chciał mieć z tym nic wspólnego.

Chwyciłem słuchawkę i zadzwoniłem do domu Lucy w Sausalito. Wiedziałem, że Caitlin jest w szkole, ale chciałem usłyszeć jej

nagrany na automatycznej sekretarce głos. Po dwóch sygnałach jednak odebrała Lucy.

- O... hej - powiedziałem.
- Co ty robisz? Czemu dzwonisz o tej porze? Caitlin jest w szkole, dobrze o tym wiesz.
- Chciałem po prostu zostawić jej wiadomość, że za nią tęsknię.
- Cóż to, nagle, kiedy twoja kariera legła w gruzach, zatęskniłeś za rodziną?
- Skąd wiesz...?
- Nie czytałeś gazet?
- Dopiero co wstałem.
- Na twoim miejscu wróciłabym do łóżka. Jesteś na trzeciej stronie „San Francisco Chronicle” i „LA Times”. Bardzo ładnie, Davidzie. Przywłaszczanie sobie owoców pracy innych ludzi.
- Nie kradłem...
- Jasne, tylko oszukiwałeś. Tak jak oszukiwałeś mnie.
- Powiedz Caitlin, że zadzwonię do niej później - stwierdziłem i odłożyłem słuchawkę.

Poszedłem do kuchni. Na blacie leżało dzisiejsze wydanie „LA Times”. Sally uprzejmie otworzyła je na trzeciej stronie, gdzie w górnym prawym rogu widniał nagłówek:

AUTOR SPRZEDAJĄC CIEBIE

OSKARŻONY O KOLEJNE PLAGIATORSTWO

Pod spodem zamieszczono krótkie na pięćset słów streszczenie artykułu McCalla... ewidentnie napisane w pośpiechu wczoraj w nocy (najwyraźniej egzemplarze sygnałne „Hollywood Legit” musiały dostać się w ręce dziennikarzy z wszystkich większych dzienników). Po przytoczeniu punktów oskarżenia „LA Times” zaznaczył, iż wczoraj w nocy skontaktował się z producentem *Sprzedając ciębie*, Bradem Bruce'em. „«Te wieści to tragedia zarówno dla Davida Armitage'a, jak i dla całego zespołu realizatorskiego serialu», powiedział nam Bruce. Dodał, że dziś po południu zostanie wydane

oficjalne oświadczenie FRT w tej sprawie”.

Świetne posunięcie, Brad. Najpierw wylewasz łzy nad nie-szczęściem, które na mnie spadło, a potem wydajesz oświadczenie, że zostałem wyrzucony z pracy.

Podbiegłem do komputera i połączyłem się z Internetem. Sprawdziłem witrynę „San Francisco Chronicle”. Tam również zamieszczono pospiesznie napisany artykuł, w którym przytoczono te same punkty oskarżenia i komentarz Brada. Naprawdę zdenerwowało mnie to, że w mojej skrzynce elektronicznej czekało już pół tuzina listów od wybranych dziennikarzy z prośbą o wywiad lub chociaż komentarz opisujący reakcję na artykuł McCalla.

Chwyciłem telefon i zadzwoniłem do biura. Byłego biura. Odebrała moja była asystentka, Jennifer.

- Poinstruowano mnie, że mam spakować twoje rzeczy - stwierdziła. - Rozumiem, że chcesz, aby wszystko zostało dostarczone do twojego domu?

- Jennifer, mogłabyś się przynajmniej przywitać.

- Witam. Mam więc wszystko wysłać do mieszkania?

- Tak.

- Doskonale. Oczekuj dostawy jutro rano. Co mam zrobić z telefonami do ciebie?

- Ktoś dzwonił?

- Miałeś piętnaście telefonów od rana: „LA Times”, „Hollywood Reporter”, „New York Times”, „Seattle Times”, „San Francisco Chronicle”, „San Jose Mercury”, „Boston Globe”...

- Rozumiem.

- Mam ci przemailować listę i ich numery kontaktowe?

- Nie.

- W takim razie, jeżeli ktokolwiek z prasy będzie się chciał z tobą skontaktować...

- Powiedz, że jestem nieosiągalny.

- Skoro taka jest twoja decyzja...

- Jennifer, skąd ten chłód?

- A jak sądzisz? Twoje odejście oznacza, że dostałam wypowiedzenie z tygodniowym wyprzedzeniem...
- O Boże...
- Tylko bez frazesów.
- Nie wiem, co powiedzieć z wyjątkiem przeprosin. Dla mnie to takie samo zaskoczenie, jak dla...
- Jak możesz być zaskoczony, skoro ukradłeś czyjeś teksty?
- Nigdy nie chciałem...
- Czego? Zostać przyłapany? Wielkie dzięki za schwytanie mnie w swoją sieć - z tymi słowy z hukiem odłożyła słuchawkę.

Ukryłem twarz w dłoniach. Jakkolwiek dużą stratę osobistą poniosłem, najgorsze było to, że niechcący zniszczyłem również życie dwóm niewinnym istotom. Byłem przerażony myślą, że piętnastu dziennikarzy usiłowało wymóc na mnie jakiś komentarz. Teraz naprawdę zasługiwałem na wyłuszczone nagłówki: historia scenarzysty, który odniósł niesłychany sukces i zaprzepaścił go w najgłębszy z możliwych sposób. A przynajmniej tak to zaprezentują. Moja wersja zadziałała w zeszłym tygodniu. Teraz jednak z nowymi, jakkolwiek trywialnymi, dowodami wszystko obróci się na moją niekorzyść. Zostanę przedstawiony jako przykład utalentowanego człowieka pokonanego przez autodestrukcyjną siłę: scenarzysty, który stworzył jeden z najbardziej oryginalnych seriali dziesięciolecia i mimo to nadal musiał kraść pracę innych. Potem będą, jak zwykle, rozvodzić się nad tym, jak to stałem się kolejną ofiarą okrutnego kultu Tinseltown, oddającego cześć nietrwałemu sukcesowi, i tak dalej.

Ostateczna konkluzja owego dziennikarskiego ataku była tylko jedna: po czymś takim nikt nigdy nie zatrudni mnie jako scenarzysty.

Spojrzałem na zegarek. Czternaście po pierwszej. Zadzwoiłem do biura Alison. Odebrała jej asystentka, Suzy. Wydawała się szczerze zmartwiona.

- Chciałam tylko powiedzieć, że uważam całą tę historię za bardzo niesprawiedliwą - powiedziała, zanim miała okazję zapytać o Alison.

Wzruszenie ścisnęło mi gardło, a oczy wypełniły się piekącymi łzami.

- Dziękuję - odparłem.
- Jak się czujesz?
- Niezbyt dobrze.
- Zamierzasz tu przyjechać?
- Tak, za chwilę.
- Doskonale. Alison cię oczekuje.
- Mogę z nią teraz porozmawiać?
- Konferuje z FRT.
- W takim razie do zobaczenia za pół godziny.

Kiedy wszedłem do gabinetu Alison, zobaczyłem, jak siedzi za biurkiem i wpatruje się w milczeniu w okno, zmęczona i zaambarsowana. Słyszając, że wchodzę, odwróciła się, wstała, podeszła do mnie i przytuliła mnie na długo. Potem podeszła do barku.

- Może być szkocka? - spytała.
- Jest aż tak źle?

Nie odpowiedziała. Wróciła do biurka z butelką J & B oraz dwiema szklaneczkami. Nalała nam obojgu po dużej porcji, zapaliła papierosa, zaciągnęła się porządnie i wypila połowę swojego drinka. Poszedłem w jej ślady.

- No dobrze, sytuacja jest następująca - stwierdziła. - Nigdy nie kłamałam ci jako agentka i nie zamierzam tego zrobić teraz. Sytuacja w tej chwili jest naprawdę zła.

Dopilem resztę whisky. Alison natychmiast dołała mi nową porcję.

- Kiedy przeczytałam historię McCalla na lotnisku, zdziwiłam się początkowo, że Brad i Bob w ogóle wzięli ją poważnie... zwłaszcza że jego dowody były tak nieistotne. Oskarżył cię o kompletne idiotyzmy. Przecież w dzisiejszych czasach, praktycznie rzecz biorąc, wszyscy pożyczają od siebie śmieszne powiedzonka i tym podobne. Jeśli chodzi o tę sprawę z Tolstojem, to już szczyt idiotyzmu

i McCall również zdaje sobie z tego sprawę. Jednakże ta linijka z opowieści Cheevera...

- Mogę tylko powiedzieć jedno: zdałem sobie sprawę, że to bezpośrednie zapożyczenie, i wiedziałem, że nigdy nie ujrzy światła dziennego na ekranie. To, co przeczytał McCall, było pierwszą wersją, to wszystko.

- Ja to wiem i ty to wiesz. Problem w tym, że w połączeniu z tą historią o *Stronie tytułowej*... jesteś wystarczająco sprytny, żeby samemu sobie to wykoncypować...

- Winny czy nie, jestem w poważnych tarapatkach.

- Otóż to.

- Rozumiem, że rozmawiałas z FRT i nie dadzą się przekonać...?

- Absolutnie. Jeśli o nich chodzi, jesteś przypalonym tostem. To jeszcze nie wszystko. Zaraz po wylądowaniu spędziłam godzinę na boksowaniu się z ich prawnikami. Wygląda na to, że zrobią wszystko, żeby pozbawić cię jakiegokolwiek złotego spadochronu.

- Robi się coraz gorzej. Ale przecież jest klauzula...

- O tak - Alison przyciągnęła do siebie dokumenty. - Zdecydowanie jest tam klauzula. Numer 43b, żeby uściślić. Mówi, iż jeśli zrobisz cokolwiek nielegalnego lub dopuścisz się jakiegokolwiek przestępstwa w związku z produkcją, twoje przyszłe zyski zostaną ograniczone.

- Sugerują, że dopuściłem się przestępstwa?

- Usiłują odciąć cię od wszystkich przyszłych tantiem scenarzysty, tłumacząc to tym, iż twoje plagiatorstwo jest nielegalnym aktem...

- Co za stek bzdur.

- Wiem, ale oni są zdeterminowani przepchnąć tę wersję.

- A mogą?

- Ostatnie pół godziny rozmawiałam z moim prawnikiem. Zamierza bardzo uważnie przyjrzeć się kontraktowi. Jego instynkt podpowiada mu jednak, że owszem, mogą to wygrać.

- Czyli żadnej kompensacji?

- Gorzej... zamierzają cię pozwać o zwrot tantiem z owych

trzech odcinków, w których dopuściłeś się domniemanego plagiatstwa.

- Co chcą zrobić? Wypruć mi flaki?

- Owszem. Spójrzmy prawdzie w oczy. Pieniądze są dosyć spore. Jeżeli odetną cię od tantiem, zaoszczędzą w ten sposób około trzystu pięćdziesięciu tysięcy za każdą serię. Jeżeli zaś, zgodnie z oczekiwaniami, wypuszczą ich jeszcze parę... sam sobie policz. Za każdy z trzech odcinków jesteś im winny sto pięćdziesiąt tysięcy. Dodaj wszystko do siebie...

- Chyba to możemy akurat przewalczyć... ?

- Mój prawnik powiedział, że zrobią cię na klauzurze, w której twórca gwarantuje, że jego scenariusz jest całkowicie oryginalnym dziełem. Myślę jednak, że możemy wynegocjować jakąś cenę ugodową...

- Czyli będę musiał im zwrócić część mojej gaży?

- Jeżeli do tego dojdzie, owszem. Mam nadzieję, ale tylko nadzieję, że za kilka dni, kiedy wszystko się uspokoi i będą pewni, że wygrali bitwę o przyszłe tantiemy, zapomną o ściganiu cię za te trzy odcinki.

- Pozwolisz im wygrać tę sprawę?

- Davidzie, czy ja kiedykolwiek pozwoliłam jakiemuś pieprzonemu studiu albo sieci telewizyjnej wygrać cokolwiek od mojego klienta? Mamy jednak poważny problem. Formalnie rzecz biorąc, złamałeś warunki umowy. Jeżeli mój człowiek, który bierze trzysta siedemdziesiąt pięć dolarów za godzinę i zna każdą lukę prawną w tej cholernej dziedzinie, mówi mi, że związali ci ręce, musimy, niestety, postarać się zminimalizować szkody, na ile to możliwe. Oczywiście zamierzam zasięgnąć drugiej i może nawet trzeciej opinii, zanim znowu porozmawiam z tymi krętaczami z FRT... nie wspominając już o ich obleśnych koleśkach z Warnera.

- Mogę dostać jeszcze jedną porcję szkockiej?

- To chyba dobry pomysł - zgodziła się Alison. - To jeszcze nie koniec złych wieści.

Nalałem sobie podwójną porcję.

- Strzelaj - rzuciłem.

- Dzwonił do mnie przed chwilą jakiś orzeł Temidy z Warnera. Zamierzają zrezygnować z *Kradzieży z włamaniem*...

- To znaczy, że spotkanie z Nagelem jest odwołane?

- Obawiam się, że tak. Co gorsza, chcą, żebyś oddał im całą załóżkę.

- To szaleństwo. Jak mogą to zrobić?

- Zamierzają cię wyrolować na tej pożyczonej linii Johna Cheevera...

- Daj spokój. Przecież ja tylko próbowałem, jak się ułoży. W pierwszym scenopisie...

- Hej, nie mnie musisz przekonywać. Problem w tym, że tak jak FRT, zamierzają użyć tego zapożyczenia, żeby dobić cię klauzulą o „oświadczeniu pisarza, że jego dzieło jest oryginalne”. Niestety, mają dowody potwierdzające... nawet jeżeli ci idioci nie mają pojęcia, kim jest John Cheever.

- Cóż, przynajmniej scenariusz dla Flecka pokryje wszystkie te długi.

Alison zapaliła papierosa, chociaż jeden już dopalał się, leżąc na brzegu popielniczki.

- Po południu zadzwonił do mnie prawnik Flecka...

- Proszę, nie mów mi...

- „Z ogromnym żalem zawiadamiam, iż pan Fleck nie może prowadzić dalszych negocjacji z tobą z powodu obecnego stanu zawodowej reputacji pana Armitage'a”. Tak powiedział.

Wbiłem wzrok w ziemię.

- W życiu nie uda mi się oddać dwustu pięćdziesięciu tysięcy Warnerowi.

- Już wydałeś ćwierć miliona?

- Większość.

- Nie jesteś chyba splukany?

- Może jestem idiotą, ale nie jestem głupi. Zainwestowałem około pół miliona w akcje. Problem w tym, że połowę muszę oddać Wujowi Samowi. Jeżeli FRT i Warner chcą dostać pieniądze z powrotem... zostanę bankrutem.

- Nie wpadajmy jeszcze w rozpacz. Nie zamierzam odpuścić tym skurwielom. Postaram się, żeby obniżyli roszczenia, jeśli chodzi o zwrot pieniędzy. W międzyczasie lepiej pogadaj ze swoim maklerem i księgowym i zastanówcie się, jak zwiększyć zyski z pieniędzy, które zainwestowałeś...

- Ponieważ jestem skończony w tym mieście, tak?

- Trudno ci będzie znaleźć pracę.

- A jeśli cała ta sprawa nie przeminie? Jeżeli zostanę napiętnowany na zawsze? Co wtedy?

- Szczerze? - spytała Alison.

- Tak.

- Nie wiem. Zobaczmy najpierw, jak się rozwinie sytuacja w ciągu najbliższych kilku tygodni. Teraz musisz przygotować oświadczenie, w którym będziesz bronił swojej pozycji, ale również żałował tego, co się stało. Zadzwoniłam do Mary Morse, mojej znajomej agentki PR. Przyjedzie tu za dziesięć minut i opracuje z tobą oświadczenie. Potem pomoże ci je dostarczyć do wszystkich zainteresowanych, żeby przynajmniej mieli również twoją wersję tej historii. Jeżeli sytuacja nie poprawi się w ciągu kilku dni, będziemy musieli znaleźć sprzyjającego ci dziennikarza, który zgodzi się opowiedzieć twoją wersję.

- Cóż, ten facet z „Variety” zdecydowanie odpada. Spieprzyłem mu karierę, a biedna Tracy...

- To nie twoja wina.

- Tak, ale gdybym tak nie narozrabiał...

- Posłuchaj, oboje są profesjonalistami i powinni wiedzieć, że ich były romans może wyjść na światło dzienne...

- Tracy próbowała mnie w ten sposób chronić.

- Owszem, ale to była jej praca. Nie możesz się obciążać ich problemami. Masz wystarczająco dużo własnych.

- Doskonale o tym wiem.

Następnego poranka o sprawie wiedział cały świat. Oskarżenia McCalla zostały opublikowane, podobnie jak oświadczenie FRT, w którym zaanonsowali (z żalem), moje zwolnienie z zespołu realizatorskiego serialu. Wszystkie duże dzienniki krajowe ciągnęły tę

historię w działach związanych z rozrywką, ale „LA Times” umieściło artykuł o mnie na pierwszej stronie. Co gorsza, rozważano tę sprawę również w programie NPR *Do przemyślenia* oraz w większości programów porannych. Owszem, wszyscy przytaczali mój komentarz, gdzie przepraszałem za zawód, jaki sprawiłem FRT i wszystkim ludziom zaangażowanym w realizację *Sprzedając cię*, chociaż nadal uważałem, że nie powinienem zostać oskarżony o coś tak poważnego jak kradzież, z powodu zapożyczenia kilku linijek tekstu. „Najgorszą rzeczą, o jaką można oskarżyć pisarza, jest kradzież, ja zaś zdecydowanie nie uważam się za złodzieja”, napisałem.

Tej nocy, w programie HBO *Real Time* jego gospodarz, Bill Maher zauważył podczas swojego monologu:

- Z Hollywood donoszą mi, iż twórca *Sprzedając cię*, David Armitage użył słynnej wypowiedzi Richarda Nixona „Nie jestem oszustem”. Stało się to po zwolnieniu go z pracy przez FRT za plagiatstwo. Spytany, czy wszystko, co napisał, jest w stu procentach oryginalne, odparł: „Nie uprawiałem seksu z tą kobietą”...

Publiczność ryknęła w tym momencie śmiechem.

Oglądałem program samotnie, siedząc w mieszkaniu. Sally była w Seattle pod nieznanym adresem, ponieważ nie zostawiła mi nazwy hotelu. Nie zadzwoniła do mnie przez cały dzień. Wiedziałem, że zazwyczaj zatrzymywała się w Czterech Porach Roku, ale obawiałem się, że jeśli do niej zadzwonię, uzna, że jestem zbyt zdesperowany. W tej chwili miałem tylko nadzieję, że kiedy przetoczy się fala pierwszej krytyki, Sally przypomni sobie wszystkie powody, dla których zakochaliśmy się w sobie i...

I co? Wróci do mnie, powie mi, że zawsze będzie ze mną, na dobre i na złe? Tak jak Lucy? Ona trwała przy mnie... może czasem przy tym marudziła, ale nigdy mnie nie opuściła. Przez wszystkie te lata, kiedy byłem nikim, musiała pracować w telemarketingu. Zrezygnowała z kariery aktorskiej, bo musieliśmy mieć na czynsz. I jak odplaciłem jej za tę wierność? Jak typowy facet przeżywający kryzys

wieku średniego, który przy okazji odniósł sukces. Nie dziwota, że tak mnie znienawidziła. Nie dziwota, że byłem teraz tak przerażony. Wreszcie przyznałem się przed sobą do tego, co podświadomie rozumiałem po tych kilku miesiącach życia z Sally: jej miłość do mnie była oparta wyłącznie na moim sukcesie i statusie w społeczności rozrywkowej, co z kolei umacniało jej pozycję w owej Wyższej Szkole Zarabiania Pieniędzy zwanej Hollywood.

„Każdy ma swoje pięć minut”, powiedziała, kiedy wygrałem Emmy. „Ta chwila należy do nas”.

Już nie, kochanie.

Jak to możliwe, że wszystko, co osiągnąłem przez kilka lat, zostało mi odebrane w ciągu zaledwie kilku dni?

Ludzie, co wy robicie? Przecież to ja, David Armitage!

Miałem ochotę wykrzyknąć to z najbliższego dachu. Potem jednak pomyślałem, że kiedy stoi się na samym szczycie, zostaje już tylko droga w dół. W Hollywood (tak jak w życiu), każdy talent jest ulotny i nietrwały. Nawet ludzie, którzy doszli na sam szczyt, podlegają owemu prawu. Nikt tutaj nie był wyjątkowy. Wszyscy graliśmy w tę samą grę, która kierowała się jedną podstawową zasadą: twoje „pięć minut” trwa tyle, ile trwa... oczywiście jeżeli w ogóle poszczęści ci się i dochrapiesz się owych „pięciu minut”.

Nadal nie mogłem uwierzyć, że od tej chwili muszę mówić o „swoich pięciu minutach” w czasie przeszłym. Sally nie może być aż tak wyrachowana, żeby porzucić mnie właśnie w tym momencie. Musiałem też wierzyć, że w jakiś sposób zdołam przekonać Brada, Boba, Jake'a Dekkera z Warner Brothers i innych zainteresowanych producentów w tym przeklętym mieście, że byłem godny ich zaufania.

Ludzie, co wy robicie? Przecież to ja, David Armitage! Wszyscy na mnie zarobiliście!

Mimo to im bardziej się starałem nadać mojej sytuacji pozytywne zabarwienie, tym bardziej myślałem: najgorszy rodzaj bzdur to takie, za pomocą których usiłujesz zamydlić oczy sobie samemu.

Otworzyłem butelkę glenlivet'a i zacząłem obserwować, jak powoli znika jej zawartość. Gdzieś po piątym kieliszku osiągnąłem totalnie idiotyczne interludium, podczas którego wpadłem w tryb introspektywnej inspiracji. Zdecydowałem obnażyć duszę przed Sally, że się tak wyrażę, w nadziei, że odpowie z czułością na ów *cri de coeur** Krzyk serca, krzyk oburzenia (fr.).

Zataczając się, podszedłem do komputera i napisałem:

Kochanie.

Kocham cię i potrzebuję. Bardzo cię potrzebuję. Jestem w złej sytuacji, niesłusznie oskarżony. Proszę, błagam, nie zostawiaj mnie. Nie rezygnuj z nas. Potrzebuję cię. Proszę, zadzwoń, wróć do domu. Przejdźmy przez to razem. Ponieważ możemy sobie z tym poradzić. Ponieważ jesteśmy najlepszą rzeczą, jaka mogła się przytrafić nam obojgu. Ponieważ jesteś kobietą, z którą chcę spędzić resztę mojego życia, z którą chcę mieć dzieci i którą będę nadal kochał, kiedy za wiele lat oboje wkroczymy w zmierzch starości. Zawsze będę u twojego boku. Proszę, proszę, bardzo cię proszę, nie opuszczaj mnie teraz.

Wysłałem list bez ponownego przeczytania, po czym wlałem w siebie kolejne dwie porcje glenlivet'a, poczołgałem się do sypialni i urwał mi się film.

Potem nadszedł poranek. Obudził mnie telefon. Kiedy odbierałem go nieprzytomny z przepicia i zaspania, przez mój umysł przemknęło zdanie... właściwie wyrażenie... zmierzch starości.

Potem dotarł do mnie cały idiotyzm mojego żalnego, błagalnego e-maila. Pomyślałem, że jestem cholernym kretynem.

- David Armitage? - spytał ktoś po drugiej stronie słuchawki.
- Niestety tak.

- Mówi Fred Bennett z „Los Angeles Times”.
- Która jest godzina?
- Siódma trzydzieści.
- Nie mam ochoty rozmawiać.
- Panie Armitage, czy może mi pan poświęcić dwie minuty?
- Skąd pan ma mój numer telefonu?
- Nie tak trudno jest go zdobyć.
- Złożyłem już oświadczenie.
- Tak, ale czy słyszał pan o wotum zgłoszonym wczoraj w nocy na posiedzeniu SATWA?
- Jakim wotum?
- Wniosku, aby publicznie napiętnować pana za plagiatstwo, odebrać panu członkostwo w SATWA i prawo uprawiania zawodu na minimum pięć lat... chociaż niektórzy członkowie komisji sugerowali odebranie panu tej możliwości na całe życie...

Odłożyłem słuchawkę na widelki, a potem wyszarpnąłem wtyczkę ze ściany. Natychmiast zaczął dzwonić telefon w sąsiednim pokoju, ale go zignorowałem. Naciągnąłem prześcieradła na głowę. Chciałem zniknąć z tego świata.

Nie mogłem już teraz zasnąć, więc w końcu wstałem z łóżka, wtoczyłem się do łazienki i połknąłem trzy adwile, żeby złagodzić walenie młota pneumatycznego w moim mózgu. Potem poszedłem do dużego pokoju i usiadłem przed komputerem. W skrzynce czekało na mnie dwanaście listów: jedenaście od różnych dziennikarzy, jeden od Sally. List, którego tak się obawiałem:

David,
bardzo mi przykro z powodu sytuacji, w jakiej się znalazłeś. Przykro mi również, że twoja kariera została zrujnowana z powodu owych oskarżeń. Niestety, sam sobie zgotowałeś ten los. Z powodów wiadomych wyłącznie tobie samemu postanowiłeś być architektem swojego własnego upadku. Tego naprawdę nie potrafię pojąć. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek cię w

ogóle znalazłam... zmartwienie to zaś pogłębia twój niepokojący e-mail. Zdaję sobie sprawę, że jesteś ogromnie zdenerwowany tym, co się stało. Nie ma jednak niczego mniej atrakcyjnego niż człowiek błagający o miłość - zwłaszcza kiedy ów człowiek podkopał zaufanie potrzebne, aby tę miłość kultywować. Chociaż rozumiem, że obecnie żyjesz w ogromnym stresie, nie jest to żadnym usprawiedliwieniem dla takiego tonu listu. Że nie wspomnę już o „zmiernych starości”.

Wszystko to sprawiło, że jestem jeszcze bardziej zagubiona, zakłopotana i smutna. Myślę, że kilka kolejnych dni spędzonych oddzielnie pozwoli nam wyklarować nieco naszą sytuację. Postanowiłam jechać na weekend do Vancouver. Wrócę w poniedziałek i wtedy możemy porozmawiać. W międzyczasie zgódźmy się, że nie będziemy się ze sobą kontaktować, żeby nie komplikować spraw. Mam nadzieję, że postarasz się przez ten czas o profesjonalną pomoc. Twój e-mail był niczym więcej, jak tylko błaganiem o pomoc.

Sally

Doskonale. Po prostu cudownie.

Znów zaczął dzwonić telefon. Zignorowałam go. Potem oszalała moja komórka. Spojrzałam na wyświetlacz. Dzwoniła Alison. Odebrałam natychmiast.

- Masz okropny głos - stwierdziła. - Piłeś wczoraj w nocy?
- Jesteś bardzo spostrzegawczą kobietą.
- Dawno wstałeś?
- Jakiś czas temu. Kiedy pismak z „LA Times” zadzwonił do mnie usłużnie z wiadomością, że SATWA planuje wyrzucić mnie z jej szeregów.
- Co takiego?
- Tak powiedział. Wczoraj w Politbiurze odbyło się specjalne posiedzenie.
- To zaczyna przybierać rozmiary szaleństwa. A będzie jeszcze gorzej.

- Co tym razem?
- Theo McCall zamierza dać wywiad na żywo z LA w *Today Show*.

- Na mój temat?
- Tak przypuszczam.
- Jezu Chryste, ten gość nie daje za wygraną.
- Jak każdy redaktor rubryki towarzyskiej jest absolutnie bezwzględny. Jesteś dla niego wyłącznie towarem. Chwilowo bardzo lukratywnym towarem, skoro za twoją pomocą udało mu się rozślawić swoje nazwisko w całym kraju i znaleźć się w *Today Show*.

- Nie spoczniesz, dopóki nie zrobi ze mnie sieczki.
- Obawiam się, że masz rację. Dlatego właśnie zdecydowałam się obudzić cię tak wcześnie i powiedzieć ci o tym wywiadzie. Myślę, że powinieneś to obejrzeć. Może powie coś tak odrażającego lub szkalującego, że będziemy mogli udupić tego małego gnojka.

Właściwie „mały” było ostatnią rzeczą, którą można powiedzieć o Theo McCallu. Był to czterdziestokilkuletni Brytyjczyk, który przyjechał do Ameryki dziesięć lat temu i miał dziwny akcent i afektowany sposób mówienia - wymawiał samogłoski z typową południowokalifornijską nosowością. Był gruby. Jego twarz kojarzyła mi się z rozlewającym się camembertem leżącym zbyt długo na słońcu. Zdawał sobie sprawę ze swoich rozmiarów i kompensował to, ubierając się jak dandys: ciemnoszary garnitur w kredowe paski, biała koszula z dużym kołnierzykiem i czarny krawat w dyskretne groszki. Domyśliłem się, że ponieważ „Hollywood Legit” nie płacił zbyt dobrze, był to jedyny garnitur McCalla. Musiałem jednak przyznać z niechęcią, że potrafił się dobrze sprzedać światu: angloamerykański dandys, który wiedział wszystko o hollywoodzkich wyskokach i złym zachowaniu. Bez wątpienia bardzo uważnie dobrał strój na dzisiejszy wywiad, wiedząc, że będzie on niejako jego rozmową wstępną do pracy w wyżej cenionych rubrykach towarzyskich, które zamierzał przejąć.

Anne Fletcher, przeprowadzająca wywiad dziennikarka z Nowego Jorku, nie dała się nabrać na to skrzyżowanie T.S. Eliota i Toma Wolfego.

- Theo McCall. Wielu ludzi w Hollywood uważa pana za najgroźniejszego dziennikarza w mieście - stwierdziła.

Na ustach McCalla pojawił się delikatny uśmiezek samozadowolenia.

- To bardzo pochlebiające - odparł ze snobistycznym akcentem.

- Inni jednak uważają pana za nikogo więcej jak złośliwego skandalistę, kogoś, kto nie potrafi pomyśleć dwa razy, zanim zniszczy czyjąś karierę, małżeństwo lub nawet całe życie.

McCall zbladł nieco, ale szybko się pozbierał.

- Oczywiście, niektórzy ludzie zawsze będą mnie odbierali w ten sposób. Jeśli w Hollywood obowiązują jakieś zasady, to na pewno ta, że swoi powinni chronić swoich... nawet w przypadku poważnego wykroczenia.

- Zatem sądzi pan, że plagiatstwo, przez które David Armitage został zwolniony z FRT i odsunięty od programu, który stworzył, było „poważnym wykroczeniem”?

- Oczywiście. Ten człowiek ukradł pracę innych ludzi.

- No dobrze, ale co tak naprawdę „ukradł” pan Armitage. Żart z jednej sztuki, kilka linijek z innych. Naprawdę sądzi pan, że za takie drobne przewinienia powinien ponieść aż tak dotkliwe konsekwencje?

- Po pierwsze, Anne, to nie ja wybrałem karę dla pana Armitage'a. Była to decyzja jego szefów w FRT. Odpowiadając jednak na pytanie, czy sądzę, iż plagiatstwo jest poważnym wykroczeniem... cóż, kradzież jest kradzieżą...

- Ja jednak pytałam, panie McCall, czy tak nieistotny wybryk, jak pożyczanie kilku dowcipów...

- Pan Armitage przywłaszczył sobie wątek fabularny z powieści Tolstoja...

- Pan Armitage wyjaśnił, iż jego niewystawiona sztuka była adaptacją powieści Tolstoja...

- Oczywiście, pan Armitage twierdzi tak teraz. Mam jednak przy sobie oryginalny manuskrypt - mówiąc to, wyciągnął przed siebie zakurzony scenariusz *Solówki*. Kamera pokazała zbliżenie strony tytułowej. - Czytamy tutaj: *Solówka*, dramat autorstwa Davida Armitage'a... Nigdzie nie jest wspomniane, iż sztuka została oparta na *Sonacie Kreutzerowskiej* Tołstoja, chociaż cała fabuła jest właściwie żywcem przepisana z jego opowiadania. Rodzi się zatem pytanie: dlaczego człowiek tak utalentowany i zdolny jak David Armitage musi w ogóle kraść teksty innym pisarzom? Jest to pytanie, na które wszyscy w Hollywood chcieliby znać odpowiedź: skąd wzięła się u niego owa nieuczciwość zawodowa i dążenie do autodestrukcji? Wiadomo na przykład, że wkrótce po tym, jak serial *Sprzedając cię* stał się przebojem, pan Armitage porzucił żonę i dziecko dla ambitnej kierowniczkii w sieci telewizyjnej. Tak więc ów schemat oszustw, który, niestety, doprowadził do niesławnego końca jego kariery...

Wyłączyłem telewizor i cisnąłem pilotem o ścianę. Potem chwyciłem kurtkę i wybiegłem z domu, wskoczyłem do samochodu i odjechałem z piskiem opon. W ciągu około pół godziny dojechałem do studia NBC. Liczyłem na to, że ten próżniak wykorzysta w pełni przydzielony mu pokój, żeby oczyścić twarz z makijażu. Nie myliłem się. Kiedy podjechałem pod drzwi studia, McCall właśnie przez nie wychodził, zmierzając w kierunku oczekującej na niego limuzyny Lincoln Town Car. Podjechałem z piskiem opon i zatrzymałem samochód tak gwałtownie, że hamulce zaskrzeczały z przeciążenia. Wyskoczyłem z auta i pobiegłem w kierunku McCalla.

- Ty obleśny tłusty pieprzony Angolu... - wrzeszczałem.

McCall wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczami, a na jego twarzy malował się strach. Wyglądał, jakby chciał uciec, ale był sparaliżowany przerażeniem. Dzięki temu dopadłem gnojka w ułamkach sekund, chwyciłem za klapy prążkowanego garnituru i zacząłem nim silnie potrząsać, wyrzaskując bez ładu i składu:

- Usiłujesz zniszczyć mi życie... nazywasz mnie złodziejem... obmawiasz moją żonę i dziecko... połamię ci łapska, ty śmierdzący gnoju...

W międzyczasie wydarzyły się dwie rzeczy, których nie byłem świadomy. Po pierwsze, miejscowy fotograf czekający przed lobby NBC, słysząc moje ryki, podbiegł do nas i zrobił kilka ujęć tego, jak potrząsałem McCalla za kłapy, ciskając na niego gromy. Po drugie, pojawił się obok nas ochroniarz, wysoki muskularny dwudziestoparolatek, który próbował położyć kres tej scenie.

- Hej, hej, hej... wystarczy! - z tymi słowy odciągnął mnie od McCalla i unieruchomił, zakładając półnelsona.

- Czy ten mężczyzna pana zaatakował? - krzyknął do McCalla.

- Próbował - odparł dziennikarz, cofając się.

- Chce pan, żebym zadzwonił po gliny?

McCall wpatrywał się we mnie pogardliwym wzrokiem, a na jego ustach widniał wstrętny uśmiezek w stylu „dorwałem cię, sukinsynu”.

- Ma już i tak wiele kłopotów - odparł wreszcie. - Po prostu niech pan go wyrzuci z terenu - z tymi słowy odwrócił się i zaczął rozmawiać z fotografem. Spytał o jego nazwisko i legitymację.

- Udało ci się zrobić zdjęcia tej akcji? - spytał.

W międzyczasie ochroniarz poprowadził mnie w kierunku samochodu.

- To pana porsche?

Kiwnąłem głową.

- Ładne cacko. A teraz dam panu jednorazową szansę. Wsiada pan do samochodu i się stąd zmywa, a my zapominamy o całym incydencie. Jeżeli się tu pan jeszcze raz pojawi...

- Nie pojawię się...

- Da mi pan na to słowo?

- Tak.

- W porządku - powoli uwolnił mnie z uścisku. - W takim razie niech pan postąpi zgodnie z obietnicą i odjedzie stąd bez wywoływania awantur.

Otworzyłem drzwiczki samochodu, wsunąłem się za kierownicę i włączyłem silnik. Ochroniarz zapukał w okno po mojej stronie. Opuściłem szybę.

- Jeszcze jedno, sir - stwierdził. - Zanim zdecyduje się pan jeszcze gdzieś pokazać na mieście, sugeruję zmianę ubrania.

Wtedy zdałem sobie sprawę, że nadal jestem w pizamie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nie ma ucieczki od prawa przyczyny i skutku... zwłaszcza jeżeli przy twojej próbie napaści na dziennikarza jest obecny dziennikarz, a na dodatek ubrany jesteś wtedy w piżamę.

Dwa dni po całym zajściu znów znalazłem się na pierwszej stronie „LA Timesa”, w wiadomościach... z dodatkową fotografią mojego ataku na Theo McCalla na stronie czwartej wydania sobotniego. Moja twarz była wykrzywiona w wyrazie gniewnego obłędu. Widać było, że wczepiłem się pazurami w jego marynarkę. Oczywiście należało do tego dodać mój wyjściowy strój nocny. Człowiek, który wychodzi z domu w piżamie, wygląda na zwyczajnego wariata. Ubrany w piżamę niezrównoważony osobnik, przebywający na parkingu NBC w ciągu dnia, budzi podejrzenia natury psychiatrycznej. Gdybym potrafił spojrzeć na ową fotografię obiektywnie, na pewno doszedłbym do wniosku, że znajdujący się na niej człowiek kompletnie oszalał.

Pod zdjęciem zamieszczono krótki artykuł opatrzone nagłówkiem:

ZWOLNIONY Z PRACY AUTOR *SPRZEDAJĄC CIEBIE* ATAKUJE DZIENNIKARZA NA PARKINGU NBC

Historia była dość prosta. Podano w niej fakty dotyczące zajścia w NBC oraz roli McCalla w moim upadku, streszczenie moich zbrodni przeciw ludzkości, a także komentarz, że ochrona NBC pozwoliła mi opuścić parking NBC, pod warunkiem że się uspokoję.

Był tam również komentarz McCalla: „Staralem się po prostu powiedzieć prawdę, chociaż wyraźnie zdenerwowała ona pana Armitage'a. Na szczęście ochrona NBC zainterweniowała, zanim był w stanie wyrządzić mi fizyczną krzywdę. Mam tylko nadzieję, że dla własnego dobra pan Armitage uda się po pomoc do specjalisty. Wyraźnie widać, że nie radzi sobie z problemami”.

Czy mogę ucałować kraj pana *shmaty** Szmata (jidisz), doktorze Freud (tak, wiem, to cytat)? Nie miałem jednak czasu martwić się oceną mojego stanu psychicznego przez McCalla. Borykałem się z dużo poważniejszymi problemami. Wyglądało na to, że ów niezależny fotograf, który przyłapał mnie na odgrywaniu wściekłego klauna, wcisnął swoją fotografię wszelkim możliwym agencjom prasowym. Historia rozeszła się po całym kontynencie (wszyscy uwielbiają historię w stylu „kiedyś był sławny, teraz dostał świra”). Udało jej się nawet dotrzeć do chłodnych terytoriów Kanady... zwłaszcza do Victorii w Kolumbii Brytyjskiej, gdzie w jakimś lokalnym magazynie trzeciej kategorii przeczytała o niej Sally. Nie była zachwycona. Do tego stopnia, że o wpół do dziesiątej rano w sobotę zadzwoniła do mnie i bez przywitania rzuciła:

- Davidzie, czytałam o twoim ostatnim wysoku... obawiam się, że od tej chwili ty i ja to historia.
- Czy dasz mi szansę się wytłumaczyć?
- Nie.
- Gdybyś tylko usłyszała, co wygadywał o mnie w *Today*...
- Słyszałam i szczerze powiedziawszy, zgadzam się z większością. To, co zrobiłeś, było czystym szaleństwem. Mówię to całkiem poważnie...
- Och, na miłość boską, Sally. Po prostu straciłem panowanie...
- Nie. Straciłeś rozum, inaczej jak mógłbyś pojawić się w NBC w piżamie?
- Wszystko po prostu trochę mnie przerosło.
- Trochę? Nie sądzę.

- Proszę, kochanie. Porozmawiajmy o tym, zanim...
- Nic z tego. Masz opuścić moje mieszkanie przed moim powrotem do domu jutro wieczorem.
- Zaraz, chwileczkę. Nie możesz mnie tak po prostu wyrzucić. Wspólnie je wynajmujemy, pamiętasz? Na umowie są dwa nazwiska.
- Mój prawnik twierdzi...
- Zdażyłaś już rozmawiać ze swoim prawnikiem? Jest sobota.
- Nie poszedł jeszcze do *shulu** Synagoga (jidisz). W każdym razie biorąc pod uwagę, że mam teraz sytuację kryzysową...
- Och, nie bądź taka melodramatyczna, Sally.
- I ty twierdzisz, że nie jesteś niezrównoważony?
- Jestem zdenerwowany.
- W takim razie jest nas dwoje... tylko że to ty, zgodnie z prawem kalifornijskim, możesz zostać uznany jako fizyczne zagrożenie dla współnajemcy. To zaś pozwala rzeczonemu zdobyć nakaz sądowy przeciwko zainteresowanej stronie, zabraniając jej zamieszkiwania w tym samym miejscu co współnajemca.

Zapadła długa cisza.

- Nie zrobisz tego chyba, co? - spytałem.
- Nie. Nie pójde z tym do sądu, jeżeli obiecasz, że wyniesiesz się z mieszkania przed szóstą jutro wieczorem. Jeżeli nadal cię zastanę, zadzwonię do Mela Binga i poproszę, żeby zajął się sprawą formalnie.
- Proszę, Sally, czy nie możemy...
- Rozmowa skończona.
- To niesprawiedliwe...
- Sam sobie zgotowałeś ten los. Wyświadczyć sobie przysługę i wyprowadź się do jutra. Nie pogarszaj swojej sytuacji, angażując w to sąd - z tymi słowami rozłączyła się.

Usiadłem na kanapie, w całkowitym szoku. Najpierw mnie oszkalowano. Potem zwolniono. Następnie znalazłem się w gazetach, wyglądając, jakbym startował do roli Ezry Pounda. Wreszcie

zostałem wyeksmitowany, nie tylko z mieszkania, ale także ze związku, dla którego zniszczyłem swoje małżeństwo.

Co czekało mnie teraz?

Oczywiście następny cios nadszedł ze strony mojej ukochanej eksmałżonki Lucy, za pośrednictwem jej prawnika Alexandra McHenry'ego. Zadzwonił do mnie godzinę po mojej rozmowie z Sally.

- Pan Armitage? - spytał profesjonalnym, neutralnym tonem. - Mówi Alexander McHenry z firmy Platt, McHenry i Swabe. Jak może pan pamiętać, reprezentowaliśmy...

- Doskonale pamiętam, kogo reprezentowaliście. Wiem również, że skoro dzwoni pan do mnie w sobotę rano, ma pan dla mnie niezbyt miłe wiadomości.

- Cóż...

- Bez owijania w bawełnę, panie McHenry. O co chodzi Lucy tym razem?

Znałem odpowiedź na to pytanie. „San Francisco Chronicle” również opisało mój wyskok na parkingu NBC.

- Obawiam się, że pana była żona jest ogromnie zaniepokojona pana wczorajszym zachowaniem przed budynkiem NBC. Szczególnie martwi ją rozgłos, jaki został nadany tej sprawie, ze względu na Caitlin. Nie wiadomo, jak pana córka poradzi sobie z ową sytuacją.

- Zamierzałem osobiście porozmawiać z córką dziś rano.

- Obawiam się, że nie będzie to możliwe. Pana była żona uważa, że w świetle wczorajszych zdarzeń może być pan fizycznym zagrożeniem dla niej i jej córki...

- Jak może w ogóle powiedzieć coś takiego? Nigdy, przenigdy nie skrzywdziłem...

- Jakkolwiek by to pan przedstawiał, faktem jest, iż zaatakował pan pana McCalla na parkingu NBC. Niedawno FRT zerwała z panem kontrakt z powodu popełnionego przez pana plagiatu. Był to tragiczny zbieg okoliczności, który, jak zapewne stwierdzi każdy psycholog, może nader łatwo zdestabilizować psychikę. Krótko mówiąc, może być pan prawnie uznany za niebezpiecznego dla swojej byłej żony i dziecka.

- Zanim mi pan przerwał, chciałem wyjaśnić, że nigdy, ale to przenigdy nie skrzywdziłem ani żony, ani dziecka. Wczoraj po prostu straciłem panowanie nad sobą, to wszystko.

- Obawiam się, że nie, panie Armitage. Złożyliśmy formalną prośbę o sądowy zakaz wszelkiego kontaktu fizycznego i słownego z Lucy lub Caitlin...

- Nie możecie mnie odciąć od mojej córki.

- Sprawa jest zamknięta. Muszę również poinformować pana, że jeżeli naruszy pan ów zakaz, usiłując się zobaczyć lub skontaktować telefonicznie z Caitlin czy Lucy, naraża się pan na areszt i karę więzienia. Rozumie pan, panie Armitage?

Trzasnąłem słuchawką o widełki i padłem na kanapę, ukrywając twarz w dłoniach.

Niech zabiorą sobie wszystko, co chcą, ale nie Caitlin. Nie mogli mi tego zrobić. Po prostu nie mogli.

Rozległo się mocne pukanie do drzwi.

- Davidzie, nie wyglupiaj się. Wiem, że tam jesteś. Otwieraj, do cholery! - usłyszałem głos Alison.

Uchyliłem nieco drzwi wejściowe.

- Co ty tu robisz? - spytałem cicho.

- Próbuję cię ocalić przed samym sobą.

- Nic mi nie jest.

- Jasne, jasne. W „LA Times” dziś rano wyglądałeś zabójczo. Świetna piżama. Niczym tak nie może się podjarać agent jak wido-kiem swojego klienta, usiłującego pobić na parkingu studia telewizyjnego...

- Nie chciałem go pobić.

- Ach, no to wszystko w całkowitym porządku. Wpuścisz mnie do środka czy co?

Przestałem blokować wejście i przesunąłem się na bok. Usiadłem na kanapie i wpatrzyłem się w podłogę.

- Pieprzyć to - rzuciłem. - Pieprzyć to wszystko.

- Czy to komentarz do wydarzenia przed studiem NBC?

Opowiedziałem jej o lawinie nieszczęść, jaką wywołało owo zdjęcie; o tym, jak Sally wyrzuciła mnie z mieszkania i skończyła ze mną

na dobre, o tym, jak Lucy odebrała mi córkę. Alison milczała przez długi czas.

- Zabieram cię stąd - stwierdziła wreszcie.
- Co takiego?
- Zabieram cię z tego piekła w ciche i bezpieczne miejsce, gdzie nie będziesz mógł wyrządzić więcej szkód...
- Wszystko ze mną w porządku, Alison.
- Nieprawda. Im dłużej będziesz w LA, tym większa szansa, że do cna zwariujesz...

- Wielkie dzięki.
- Mówię poważnie. Czy ci się to podoba, czy nie, straciłeś panowanie nad sobą. Jeżeli będziesz nadal okazywał to publicznie, gazety będą skakały z radości, a przez to pozbawisz się jakiegokolwiek szansy pracy w zawodzie...

- Już i tak jestem skończony, Alison.
- Nie zamierzam z tobą dyskutować na ten temat. Kiedy Sally chce, żebyś się wyprowadził?

- Do szóstej jutro wieczorem.
- W porządku. Wszystko po kolei. Daj mi klucze do mieszkania.
- Po co?
- Żebym mogła spakować twoje rzeczy.
- Sam się mogę tym zająć.
- Ale tego nie zrobisz. Wyjeżdżamy za pół godziny.
- Gdzie? -
- Zobaczysz.
- Nie zamierzasz zabrać mnie do Centrum Betty Ford* Ośrodek rehabilitacyjny dla osób uzależnionych od alkoholu i narkotyków, założony przez Betty Ford, co?

- Zdecydowanie nie. Zabieram cię do miejsca, w którym nie będziesz mógł narobić sobie kłopotów i w którym odbijesz się od dna. Uwierz mi, teraz najbardziej potrzebujesz snu i czasu na przemyślenia.

Czy mi się to podobało, czy nie, Alison miała rację. Miałem nerwy jak postronki i naprawdę zastanawiałem się, czy uda mi się

przetrwąć weekend bez zrobienia czegoś ostatecznego... na przykład wyskoczenia przez okno.

- W porządku - stwierdziłem. - Co mam robić?

- Spakuj najpotrzebniejsze rzeczy do torby lub dwóch. Nie musisz brać książek ani płyt. Tam, gdzie jedziemy, jest tego pełno. Lepiej jednak zabierz ze sobą laptop, żebyś mógł mieć kontakt internetowy ze światem. Potem weź prysznic i ogól się. Zaczynasz wyglądać jak talib.

Po upływie pół godziny byłem umyty, ogolony i przebrany w świeże ciuchy. Spakowałem swoje rzeczy do dwóch dużych worków marynarskich oraz laptop do bagażnika wozu Alison.

- Dobra, robimy tak - powiedziała. - Mamy przed sobą około dwóch godzin podróży autostradą numer Jeden* Autostrada biegnąca wzdłuż wybrzeża Pacyfiku. Ja pojedę swoim samochodem, a ty swoim. Obiecuj, że nie znikniesz mi nagle gdzieś w bliżej niesprecyzowanym miejscu...

- Uważasz, że jestem jakimś Jackiem Kerouakiem**? Amerykański powieściopisarz, poeta i artysta, jeden z najwybitniejszych członków tzw. bitników.

- Chciałam tylko...

- Obiecuję, że nie oddalę się samowolnie.

- Dobrze. Jeżeli się rozdzielimy, zadzwoń do mnie na komórkę.

- Potrafię się dobrze trzymać ogona - odparłem.

Okazało się, że byłem w stanie podążyć tuż za nią przez całą drogę wzdłuż wybrzeża. Wreszcie zjechaliśmy z autostrady do małego miasteczka Meredith. Przejechaliśmy wąską uliczką pełną sklepów (między innymi była tam księgarnia i spożywczy) i dalej dwupasmową asfaltówką do niewybetonowanego podjazdu, który prowadził poprzez gęsty las do chaty z bielonego drewna, zbudowanej tuż obok małej kamienistej plaży omywanej wodami Pacyfiku. Sama posiadłość zajmowała może ćwierć akra, ale widok był cudowny. Spodobał mi się również hamak rozwieszony między dwoma

drzewami, pozwalający leżącemu na nim zrelaksować się w cieniu, podziwiając cudowny widok oceanu.

- Niezłe miejsce - stwierdziłem. - Czy to twoja mała tajemna kryjówka?

- Chciałabym, ale nie. Domek należy do Willarda Stevensa. Szczęściarz.

Willard Stevens był jednym z klientów Alison, scenarzystą (podobnie jak mój lubiący sobie dać w szyję obrońca, Justin Wanamaker) bardzo popularnym w latach siedemdziesiątych, a teraz żył głównie ze zleceń redakcyjnych.

- Gdzie jest Willard?

- W Londynie na trzy miesiące. Dopieszcza scenariusz do nowego Bonda...

- I potrzebuje na to trzech miesięcy?

- Myślę, że planuje spędzić trochę czasu na Lazurowym Wybrzeżu. W każdym razie dał mi klucz do tego domu i powiedział, że mogę z niego korzystać za każdym razem, kiedy go tu nie będzie. Do tej pory skorzystałam z oferty tylko raz. Ponieważ zaś Willard nie zamierza wrócić przez przynajmniej dziesięć tygodni...

- Nie będę tutaj siedział aż tak długo.

- Dobrze, dobrze. To przecież nie izolotka z wyciszonymi ścianami. Masz samochód. Możesz się stąd urywać, ile razy chcesz. Wszystko, o co proszę, to żebyś na początek spędził tutaj tydzień. Nazwijmy to małymi wakacjami. Będziesz miał okazję zrobić podsumowania, przemyśleć parę spraw i oczyścić umysł od całego tego gówna, które zalało cię w mieście. Obiecuj mi, że to zrobisz.

- Jeszcze nie widziałem, jak wygląda w środku.

Po dwóch minutach od wejścia do domu bez oporów obiecałem Alison, że zostanę tu przynajmniej przez tydzień. Miał kamienne ściany i podłogi oraz wygodne meble. Prócz tego było tam mnóstwo płyt CD i filmów na DVD.

- To mi odpowiada - stwierdziłem.

- Cieszę się, że ci się podoba. Jest tu telefon, ale nie ma telewizji. Willard zdecydował, że nie chce tutaj oglądać niczego oprócz klasyków. Jego filmoteka jest niezłe zaopatrzona. Poza tym, jak

widzisz, masz tu mnóstwo książek i muzyki. W wieży jest tuner, który powinien złapać lokalną rozgłośnię radia NPR, jeśli chcesz być na bieżąco z nowinami na świecie. Jeśli chodzi o jedzenie, to w mieście jest mały sklep spożywczy, a dwadzieścia pięć kilometrów stąd duży supermarket, chociaż powinieneś tutaj dostać wszystko, czego potrzebujesz...

- Jestem pewien, że sobie poradzę - stwierdziłem.

- A teraz posłuchaj. - Usiadła na kanapie i poprosiła gestem, żebym zajął fotel. - Chciałabym, żebyś mi coś obiecał.

- Nie, nie zdemoluję tego miejsca, nie zniknę...

- I nie pojawisz się w LA - przerwała mi. - I nie będziesz dzwonił do FRT, Warnera i innych ludzi z naszej branży. Najważniejsze jednak, że nie będziesz się kontaktował z Sally, Lucy lub Caitlin.

- Jak możesz wymagać, żebym nie rozmawiał ze swoją córką?

- Porozmawiasz ze swoją córką, ale tylko wtedy, jeżeli pozwolisz mi załatwić tę sprawę. Jak się nazywali twoi prawnicy od rozwodu?

- Zapomnij o nich. Pozwolili ludziom Lucy puścić mnie z torbami.

- W porządku. Zadzwonię do mojego prawnika i poproszę go, żeby znalazł jakiegoś nazistę. Muszę jednak podkreślić...

- Wiem. Jeżeli zadzwonię do Caitlin, zmienię katastroficzną sytuację w Armagedon.

- Właśnie. Poza tym zamierzam porozmawiać z twoim księgowym. Muszę wiedzieć, ile jesteś winien urzędowi skarbowemu i tym podobne. Jutro przed szóstą zabiorę wszystkie twoje rzeczy z twojego mieszkania i oddam je na przechowanie. Rozmówię się również z Sally w kwestii różnych drobiazgów, jak zwrot połowy depozytu, pieniędzy za meble, które razem kupiliście...

- Niech zatrzyma sobie wszystko.

- Nie.

- Spieprzyłem sprawę z Sally. Spieprzyłem sprawę ze wszystkim i wszystkimi. A teraz...

- Teraz spędzisz tutaj tydzień na niczym więcej niż długich spacerach, czytaniu na hamaku, picciu, nie więcej niż dwóch kieliszków dobrego wina z Napa, i wysypianiu się. Rozumiemy się?

- Tak jest, pani doktor.

- Skoro już mowa o lekarzach, jeszcze jedno... tylko nie wywracaj oczami... jutro o jedenastej zadzwoni do ciebie psychoterapeuta Matthew Sims. Zarezerwowałam go na pięćdziesiąt minut. Jeżeli przypadnie ci do gustu, będziecie mogli przeprowadzać codzienne sesje telefoniczne. Uwierz mi, jeśli chodzi o psychoterapeutów, ten jest naprawdę dobry...

- To twój psychoterapeuta?

- Dlaczego jesteś taki zdziwiony?

- Po prostu... nie zdawałem sobie sprawy...

- Słonko, jestem agentką w Hollywood. Oczywiście, że mam psychoterapeutę. Ten gość naprawdę potrafi z tobą rozmawiać, a myślę, że w tej chwili tego właśnie potrzebujesz...

- W porządku, porozmawiam z nim.

- Świetnie.

- Alison...

- Tak?

- Nie musiałaś tego wszystkiego dla mnie robić.

- Owszem, musiałam. A teraz obawiam się, że muszę wracać do miasta. Mam randkę.

- Z kimś interesującym?

- Tak, z sześćdziesięcioletnim emerytowanym dyrektorem finansowym jednego ze studiów filmowych. Zdaje się, że właśnie założyli mu potrójny by-pass, a poza tym ma wczesne stadium Alzheimera, ale co tam. Nie odmówię sobie małej przyjemności.

- Jezus, Alison...

- Posłuchaj tylko siebie. Wcielenie niewinności. Może i mam pięćdziesiąt siedem lat, ale nie jestem twoją matką. Wolno mi uprawiać seks...

- Bez komentarza.

- I bardzo dobrze - uśmiechnęła się do mnie drapieżnie. Potem chwyciła moje obie dłonie i je ścisnęła. - Chcę, żebyś poczuł się lepiej.

- Postaram się.

- Pamiętaj, cokolwiek wydarzy się w twoim życiu zawodowym, jakoś to przeżyjesz. Życie toczy się dalej, więc postaraj się o tym pamiętać.

- W porządku.

- A teraz: do hamaka!

Gdy tylko Alison odjechała, zrobiłem, jak mi kazała. Chwyciłem z półki *W pogoni za cieniem* Hammetta i uwalilem się na hamaku. Chociaż była to jedna z moich ulubionych powieści kryminalnych, nagle padłem z napięcia i wyczerpania, które ogarnęło mnie z powodu wydarzeń ostatnich kilku dni, i zasnąłem po przeczytaniu jednej strony.

Kiedy się obudziłem, na dworze panował charakterystyczny nadmorski przedwieczorny chłód. Słońce wisiało już nisko nad oceanem. Poczulem się zziębnięty i dezorientowany... w ciągu kilku sekund przypomniałem sobie, dlaczego się tu znalazłem. W pierwszej chwili chciałem pobiec do telefonu i zadzwonić do Lucy, powiedzieć jej, że zachowała się wyjątkowo nikczemnie, i zażądać rozmowy z Caitlin. Udało mi się jednak uspokoić i nie popełnić żadnej głupoty. Przypomniałem sobie, co się zdarzyło, kiedy usiłowałem doprowadzić do konfrontacji z Theo McCallem, a przy okazji zdałem sobie sprawę, jakie lanie sprawiłby mi świat, gdybym złamał nakaz sądowy. Wygramoliłem się z hamaka, poszedłem do domu, obmyłem twarz i wyciągnąłem z torby sweter. Potem uświadomiłem sobie, że nie mam nic do jedzenia, więc wskoczyłem do samochodu i pojechałem do miejscowego sklepu.

Nie był to tylko spożywczy, ale wielobranżowy sklep z delikatesami. Jak wszystko, co udało mi się dostrzec podczas przejazdu przez główną ulicę Meredith (księgarnia, sklepy z pachnącymi świeczkami i kosztownymi solami do kąpieli, sklepy odzieżowe z koszulami od Ralphi Laurena w oknach wystawowych), sugerował,

że znajduję się w bogatym miasteczku weekendowym dla nadzianych mieszkańców LA... jednym z tych miejsc, w którym ludzie starają się nie wściubić nosa w nie swoje sprawy.

Zasada owa zdecydowanie obowiązywała w sklepie spożywczym Fullera. Kupiłem kilka podstawowych rzeczy do domu i jakiś bardzo wymyślny makaron z pesto na obiad. Pięćdziesięciokilkuletnia kasjerka (ładna, z siwymi włosami, w błękitnej dżinsowej bluzce, typowa ekskluzywna właścicielka ekskluzywnego sklepu, jak ten tutaj) nie zapytała mnie, czy jestem nowy w mieście, czy przyjechałem tylko na weekend. Nie wypytywała mnie w ogóle o nic. Po prostu przyjrzała mi się w milczeniu i powiedziała:

- Pesto to dobry wybór. Sama je zrobiłam.

Rzeczywiście, pesto to był dobry wybór. Podobnie jak butelka pinot noir z Oregonu. Wypiłem tylko dwa kieliszki i położyłem się do łóżka przed dziesiątą. Nie mogłem jednak spać, więc wstałem i obejrzałem *Garsonierę* Billy'ego Wildera (jeden z moich ulubionych filmów). Mimo że widziałem go już kilkanaście razy, nadal popłakałem się bezwstydnie, kiedy na samym końcu Shirley MacLaine biegła ulicami Manhattanu, aby wyznać miłość Jackowi Lemmonowi. Ponieważ nadal nie chciało mi się spać, wrzuciłem do odtwarzacza wspaniałą, choć zapomnianą nieco, komedię Cagneya *Jimmy the Gent*. Skończyłem oglądać o trzeciej. Powlokłem się do łóżka i natychmiast zasnąłem.

Obudził mnie telefon od Matthew Simsa, psychoterapeuty, z którym umówiła mnie Alison. Mówił profesjonalnie, bardzo spokojnym i wyważonym tonem. Zapytał, czy mnie obudził. Kiedy odpowiedziałem twierdząco, oznajmił, że ponieważ jest niedziela i nie jest bardzo zajęty, może zadzwonić do mnie za dwadzieścia minut. Podziękowałem mu i poszedłem do kuchni. Zaparzyłem dzbanek kawy i zanim znowu się zgłosił, zdążyłem wypić dwie filiżanki.

Alison miała rację: Sims był bardzo dobry. Żadnego uzalania się nade mną, żadnych nonsensów w stylu „wewnętrzne dziecko”. Poprosił, żebym powiedział mu o wydarzeniach ostatniego tygodnia,

o tym, że czułem się, jakbym spadał, i o moim strachu, iż nigdy już nie podniosę się z tego zawodowego upadku. Zwierzyłem się mu również z mojego poczucia winy z powodu doprowadzenia do rozpadu mojej rodziny i z przemyśleń, że chyba sam sobie zgotowałem ten los. Oczywiście Sims natychmiast zapragnął rozwinąć ów komentarz:

- Chcesz powiedzieć, że uważasz, iż podświadomie lub świadomie wpakowałeś się sam w te kłopoty?

- Podświadomie.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Dlaczego inaczej przywłaszczyłbym sobie te wszystkie wersy z innych sztuk?

- Może zrobiłeś to przypadkiem, Davidzie. Taki rodzaj asymilacji dowcipów innych ludzi czasem się zdarza, prawda?

- A może chciałem, żeby mnie nakryli.

- Nakryli na czym?

- Na tym...

- Tak?

- Na tym... na tym, że oszukiwałem.

- Naprawdę uważasz, zwłaszcza biorąc pod uwagę sukces, jaki odniosłeś do tej pory, że jesteś oszustem?

- Teraz tak myślę.

Nasza sesja dobiegła końca i ustaliliśmy, że wznowimy rozmowę następnego dnia o jedenastej.

Większość czasu spędziłem w hamaku lub spacerując po plaży, rozmyślając i tocząc w umyśle ciche rozmowy, w których mówiłem Lucy prosto z mostu wszystko, co chciałem już dawno powiedzieć; w których przekonywałem Sally, że powinna dać mi - nam - jeszcze jedną szansę; w których podczas wywiadu z Charliem Rosem na PBS odpowiadałem na zarzuty McCalla tak inteligentnie i ostro, że następnego dnia Brad Bruce zadzwoniłby do mnie, mówiąc: „Dave, popełniliśmy ogromny błąd. Przyjeżdżaj tu natychmiast i zajmij się pracą nad trzecią serią”.

Jasne. Chyba we śnie. Nie miałem najmniejszej szansy, żeby zwrócono mi moje dotychczasowe życie. Spieprzyłem sprawę...

pozwoliłem niechcianej pomyłce rozwinąć się w wielki pożar.

Zacząłem też zabawiać się w gdybanie: gdybym nie zareagował tak gwałtownie na pierwsze oskarżenia McCalla, gdybym przelknął gorzką pigułkę pokory i napisał do niego list z podziękowaniem za wytknięcie mi błędu. Byłem jednak zbyt przerażony i arogancki, zupełnie jak wtedy, gdy zaczynał się mój romans z Sally Birmingham: przerażony, że wszystko wyjdzie na jaw i stracę rodzinę, lecz zadowolony z sukcesu i przekonany, że zasłużyłem na nagrodę. Oczywiście było też to: gdybym został z Lucy, zapewne nie zareagowałbym tak gwałtownie na wywiad McCalla w *Today*, ponieważ nigdy nie skomentowałby wtedy mojego porzucenia żony i dziecka, czego konsekwencją była owa upokarzająca scena na parkingu NBC...

Wystarczy tego. Co się stało, to się nie odstanie. Doprowadziło mnie to do brutalnej konkluzji: kiedy masz przesrane, masz przesrane.

Najbardziej denerwowała mnie jedna myśl: czy tego właśnie chciałem? Czy tak bardzo nie dowierzałem swojemu sukcesowi, że instynktownie doprowadziłem się do upadku? Czy rzeczywiście stałem się - wedle słów Sally - architektem swego katastroficznego upadku?

Następnego dnia powiedziałem o tym Simsowi podczas naszej porannej rozmowy.

- Chcesz powiedzieć, że nie ufasz samemu sobie? - spytał.
- Czy ktokolwiek może sobie ufać?
- Co przez to rozumiesz?
- Przecież wszyscy trzymamy palec na przycisku „Auto-destrukcja”.
- Być może, ale większość z nas go nie używa.
- Ja to zrobiłem.
- Ciągłe do tego wracasz, Davidzie. Naprawdę sądzisz, że to, co się stało, było niejako samookaleczeniem?
- Nie wiem.

W ciągu kilku kolejnych dni owa sprawa stała się głównym tematem naszych rozmów: czy sam doprowadziłem do mojego spektakularnego końca? Matthew zachęcał mnie do uwierzenia, że czasem po prostu tak się w życiu zdarza.

- Pamiętaj - stwierdził - pod wpływem stresu wszyscy zachowujemy się dość nagannie. W końcu nie skrzywdziłeś fizycznie tego człowieka...

- Ale bardzo zaszkodziłem sobie...

- To prawda, popełniłeś błąd. Co teraz?

- Nie wiem.

Rozmowy z Simsem stały się głównym punktem mojego dnia. Resztę czasu spędzałem na spacerach, lekturze, oglądaniu starych filmów i opieraniu się pokusie, żeby wykonać pewne telefony lub połączyć się z Internetem. Udało mi się nawet nie kupić sobie ani razu gazety. Alison dzwoniła do mnie codziennie o szóstej wieczorem, ale nigdy nie pytałem, czy moje nazwisko nadal pojawia się w prasie. Zamiast tego pozwalałem jej przekazać najnowsze wiadomości dnia. W poniedziałek powiedziała, że spakowała wszystkie moje rzeczy i oddała na przechowanie. We wtorek oznajmiła, że wynajęła renomowanego prawnika od rozwodów, Waltera Dickersona, żeby mnie reprezentował, i że wyduсила od Sally pięć tysięcy dolarów za depozyt i wspólne meble, dzięki czemu mogłem zapłacić Dickersonowi za jego pracę.

- Co powiedziała Sally?

- Na początku usłyszałam dużo inwektyw i wiele: „Jak śmiesz?”. Odpowiedziałam na to: „Jak śmiesz rozbijać małżeństwo faceta, a potem porzucać go, kiedy wpada w kłopoty?”.

- Jezu Chryste, naprawdę to powiedziałaś?

- Jeszcze jak.

- Jak zareagowała?

- Nastąpiło więcej: „Jak śmiesz!”. Zwróciłam jej więc uwagę, że nie jestem odosobniona w tej opinii... że podzieli ją całe Hollywood. Oczywiście ryzykowałam, ale zmusiłam Sally w ten sposób do wypisania czeku. Szarpałyśmy się przez chwilę o cenę, zwłaszcza że zażądałam siedmiu i pół tysiąca, ale wreszcie zgodziła się na pięć.

- Cóż... dziękuję. Chyba.
- Wszystko wliczone w usługę. W każdym razie teraz, skoro wpakowała ci kulkę w serce, zamierzam powiedzieć prawdę: zawsze uważałam, że to bezwzględna suka. Dla niej byłeś po prostu kolejnym etapem w karierze.

- Teraz mi to mówisz?
- Wiedziałaś o tym od początku, Davidzie.
- Tak - odparłem cicho. - Chyba tak.

W środę Alison powiedziała, że mój księgowy Sandy Meyer, zamierza przygotować pełny raport na temat stanu moich finansów, ale nie mógł się skontaktować z Bobbym Barą... który, jak twierdzi jego asystent, przebywa obecnie w sprawach zawodowych w Chinach. Zapewne sprzedawał im właśnie ich Wielki Mur. W czwartek oznajmiła mi, że Walter Dickerson prowadził poważne negocjacje z Alexandrem McHenrym i powinien mieć dla mnie jakieś wiadomości na początku przyszłego tygodnia.

- Dlaczego Dickerson nie zadzwonił do mnie?
- Ponieważ prosiłam, żeby tego nie robił. Streściłam mu pokrótce sytuację i powiedziałam, że chcesz odzyskać pełny kontakt z córką. Potem podałam mu numer telefonu McHenry'ego i powiedziałam, żeby go rozłożył na łopatki. Czy miałbyś coś jeszcze do dodania?

- Chyba nie. Po prostu...
- Jak sypiasz?
- Właściwie to całkiem nieźle, dziękuję.
- To już postęp. Rozmawiasz z Simsem codziennie?
- O tak.
- Jakieś postępy?
- Wiesz, jak to jest na psychoterapii - powtarzasz to samo bez końca, aż wreszcie sam masz tego dość i myślisz: jestem uleczony.
- Czujesz się uleczony?
- Nie. Humpty Dumpty* nadal jest w rozsypce. Postać ze znanej angielskiej rymowanki, jajko.

- Ale przynajmniej czujesz się lepiej niż w zeszłym tygodniu?
- Tak.
- W takim razie może zostaniesz tam jeszcze na następny tydzień?
- Dlaczego by nie? I tak nie mam gdzie się podziać.

Nie miałem zbyt wiele do roboty podczas kolejnego weekendu, poza przekopywaniem się przez ogromną filмотekę Willarda, czytaniem, słuchaniem muzyki, włączeniem się po plaży, spożywaniem lekkich posiłków, wypijaniem dwóch kieliszków wina dziennie i utrzymywaniem wszystkich moich demonów w ryzach.

Nastał poniedziałek i wkrótce po zakończeniu mojej codziennej sesji z Simsem zadzwonił telefon. To był mój prawnik Walter Dickerson.

- Nie będę owijał w bawełnę, Davidzie - zaczął gładko. - Z sobie tylko znanych powodów twoja była żona naprawdę postanowiła wygrać tę sprawę. Jej prawnik przyznał, że Lucy grubo przesadziła z zakazem twoich kontaktów z córką, zwłaszcza że nie masz żadnej historii przemocy domowej i poza jednym weekendem byłeś bardzo konsekwentny, jeśli chodzi o twój czas z Caitlin. Chociaż jednak McHenry wyjaśnił to wszystko twojej byłej, podobno jest zdeterminowana, aby cię ukarać... oznacza to, że mamy problem. Z mojego doświadczenia, jeżeli ktoś jest aż tak wściekły, wkurzy się jeszcze bardziej, jeżeli weźmiesz tę sprawę do sądu. Innymi słowy, możemy zacząć formalne dochodzenie, wytłumaczyć cię z owego zajścia z McCallem, opowiedzieć, jak ten błazen cię zdenerwował, ale mimo wszystko nie wyrządziłeś mu żadnej krzywdy... dlaczego więc nagle miałbyś się stać jakimkolwiek zagrożeniem dla swojej byłej żony i dziecka? Daję ci jednak słowo, że kiedy to zrobimy, Lucy podbije stawkę i zacznie cię obrzucać różnorakimi oskarżeniami, od praktykowania satanizmu po trzymanie laleczki wudu pod łóżkiem...

- Nie jest na tyle szalona...

- Może i nie, ale jest cholernie na ciebie wściekła. Jeżeli dolejemy oliwy do ognia, zapłacisz za to zarówno emocjonalnie, jak finansowo. W tych okolicznościach oto co ustaliłem z McHenrym i chociaż jest to dalekie od ideału, ale lepszy rydz niż nic. McHenry sądzi, że uda mu się przekonać twoją byłą małżonkę do zezwolenia na początek na codzienne rozmowy telefoniczne z Caitlin...

- To wszystko?

- Zważywszy, że Lucy chce całkowicie odebrać ci prawa rodzicielskie, jej zgoda na kontakt telefoniczny jest dużym krokiem naprzód.

- Ale czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę moją córkę?

- Nie mam co do tego wątpliwości... może to jednak zająć kilka miesięcy.

- Kilka miesięcy? Panie Dickerson...

- Nie jestem cudotwórcą, Davidzie. Muszę słuchać, co ma do powiedzenia mój oponent na temat intencji jego klientki. To zaś, co mi powiedział, wskazuje, iż codzienny kontakt telefoniczny z córką powinien zostać uznany za prezent. Jak mówiłem, mamy jeszcze możliwość odwołania się do sądu... ale będzie cię to kosztowało minimum dwadzieścia pięć kawałków i oczywiście przysporzy ci dalszego rozgłosu. Z tego zaś, co powiedziała mi Alison, oraz tego, co czytałem ostatnio w gazetach, to ostatnia rzecz, jakiej potrzebujesz.

- W porządku, przyjmuję. Załatw mi te codzienne rozmowy telefoniczne.

- Mądry chłopiec - stwierdził Dickerson. - Zadzwoń, jak tylko dowiem się, co postanowiła druga strona. Tak przy okazji, jestem ogromnym fanem *Sprzedając cię*.

- Dzięki - odparłem słabym głosem.

Tego dnia zadzwonił do mnie Sandy Meyer z wiadomością, że termin na oddanie ćwierci miliona dolarów urzędowi skarbowemu upływa za trzy tygodnie i że martwi się bardzo moją obecną sytuacją finansową.

- Sprawdziłem w BankAmerica, że masz około dwudziestu ośmiu tysięcy na bieżącym rachunku... powinno wystarczyć na

pokrycie alimentów za kolejne dwa miesiące. Potem...

- Wszystkie pieniądze zainwestowałem za pośrednictwem Bobby'ego Barry.

- Spojrzałem na jego raport finansowy za ostatni kwartał. Zrobił dobrą robotę, ponieważ dwa miesiące temu miałeś na koncie 553 tysiące i 245 dolarów. Problem w tym, Davidzie, że nie masz już więcej pieniędzy, tylko tę inwestycję.

- Miałem zarobić w tym roku dwa miliony, tyle że potem obe-rwałem cegłówką w łeb. Teraz... teraz nie mam żadnych przycho-dów. Wiesz, gdzie poszła większość mojego pierwszego wielkiego zarobku w tym roku...

- Tak, do urzędu skarbowego i na konto twojej eksmałżonki.

- Boże błogosław im obojgu.

- Wygląda na to, że będziesz musiał upłynnić połowę swojego porfolio inwestycyjnego, żeby wypłacić się urzędowi. Tyle że Alison powiedziała, iż FRT i Warner chcą zwrotu około pół miliona dola-rów za zaliczkę i tantiemy. Jeżeli wprowadzą słowo w czyn...

- Wiem, potrafię sobie policzyć. Mam nadzieję, że Alison wyne-gocjuje z nimi obniżenie sumy do połowy.

- Oznacza to, że twoje inwestycje przestaną istnieć. Czy masz jeszcze jakieś inne przychody?

- Nie.

- Jakim cudem zamierzasz zdobyć jedenaście kawałków mie-sięcznie dla Lucy i Caitlin?

- Polerując buty?

- Na pewno Alison znajdzie ci jakąś pracę.

- Nie wiem, czy słyszałeś, ale podobno jestem plagiatorem.

Nikt nie zatrudnia plagiatorów.

- Masz jeszcze jakieś inne aktywa, o których nie wiem?

- Tylko samochód. Usłyszałem, jak przerzuca papiery.

- To porsche, prawda? Wart jakieś czterdzieści patyków.

- Coś koło tego.

- Sprzedaj go.

- Czym będę jeździł?
- Czymś dużo tańszym niż porsche. W międzyczasie miejmy nadzieję, że Alison przekona FRT i Warnera, żeby byli rozsądni. Jeżeli bowiem będą chcieli zwrotu całej sumy, będziesz musiał ogłosić upadłość...

- Tak, wiem.

- Miejmy nadzieję, że nie wylądujemy w takiej sytuacji. Wszystko po kolei. Według jego asystenta, Bobby Barra wraca pod koniec tygodnia. Zostawiłem mu wiadomość z prośbą o pilny kontakt. Sugeruję, żebyś zrobił to samo. Od dnia jego powrotu będziemy mieli tylko siedemnaście dni do zapłacenia Wujowi Samowi... a sprzedaż inwestycji zajmuje trochę czasu. Tak więc...

- Pogonię Barrę.

Następnego poranka zwierzyłem się z moich problemów finansowych Simsowi. Naturalnie zapytał mnie, jak się czuję.

- Jestem śmiertelnie przerażony - odparłem.

- W porządku. Porozmawiajmy o najgorszym z możliwych scenariuszy. Tracisz wszystko, jesteś zmuszony ogłosić bankructwo. Na koncie nie masz nawet pensa. Co wtedy. Uważasz, że nigdy już nie znajdziesz pracy?

- Pewnie, że znajdę pracę, w której będę zadawał pytania w stylu: „Chce pani frytki z koktajlem mlecznym?”.

- Daj spokój, Davidzie. Jesteś bystrym facetem...

- I przy okazji persona non grata w Hollywood...

- Może w tej chwili.

- Może na zawsze. To właśnie cholernie mnie przeraża. Być może nigdy już nie będę mógł pisać...

- Oczywiście, że będziesz mógł pisać.

- Tak, ale nikt nie kupi moich wypocin. Pisarze żyją dla publiczności: dla czytelników, recenzentów, kogo tam jeszcze wymienisz. Pisanie to jedyna rzecz, w której jestem dobry. Byłem fatalnym mężem, jestem przeciętnym ojcem, ale jeśli chodzi o słowa, jestem cholernie dobry. Czternaście lat usiłowałem przekonać świat, że jestem świetnym pisarzem. I wiesz co? Wreszcie osiągnąłem cel. Dostałem więcej, niż kiedykolwiek mogłem sobie wymarzyć.

A teraz wszystko to zostanie mi odebrane.

- Rozumiesz przez to, że masz przeczucie, iż twoja eksmałżonka odbierze ci Caitlin na zawsze?

- Stara się o to ze wszystkich sił.

- Uważasz, że jej się uda?

Po raz piąty (a może szósty) z rzędu zakończyłem naszą sesję słowami:

- Nie wiem.

Tej nocy spałem bardzo źle. Obudziłem się wcześniej rano z uczuciem przerażenia. Potem zadzwoniła do mnie Alison. Wydawała się nieco spięta.

- Czytałeś dzisiejsze gazety?

- Przestałem zaglądać do prasy, odkąd tu przyjechałem. Co się dzieje tym razem?

- Dobra. Mam dla ciebie dobre i złe wiadomości. Które chcesz usłyszeć najpierw?

- Złe, oczywiście. Jak bardzo złe?

- To zależy.

- Od czego?

- Od tego, jak bardzo jesteś przywiązany do swojej Emmy.

- Ci dranie chcą ją z powrotem?

- Dokładnie. W dzisiejszym wydaniu „LA Timesa” napisano, że Amerykańska Akademia Telewizyjna podjęła wczoraj decyzję o odebraniu ci nagrody Emmy na podstawie...

- Wiem, jakie było uzasadnienie.

- Bardzo mi przykro, Davidzie.

- Niepotrzebnie. To brzydki kawałek aluminium. Zabrałaś nagrodę z mieszkania?

- Tak.

- Więc odeślij im ją. Krzyżyk na drogę. Jakie masz dobre wiadomości?

- Pochodzą z tego samego raportu w „LA Times”. Wygląda na to, że SATWA postanowiła potępić cię publicznie...

- I to mają być twoim zdaniem dobre wiadomości?

- ...posłuchaj: postanowili cię potępić, ale przewagą dwóch trzecich głosów postanowili oddalić wniosek o zakazie profesjonalnego pisania na całe życie.

- Wielkie mi co. Każde studio i producent w mieście zrobi to za nich... z oficjalnym czy bez oficjalnego błogosławieństwa SATWA.

- Posłuchaj, wiem, że zabrzmie teraz jak rzecznik prasowy, ale publiczne potępienie to nic więcej, tylko prztyczek w nos. To dobry znak, bo najwyraźniej ludzie twojej profesji doskonale widzą, czym jest cała ta sytuacja: jedną wielką bzdurą.

- Ale nie ludzie od Emmy.

- To tylko chwyt pod publikę. Kiedy wrócisz do pracy...

- Alison, nie wierzę w reinkarnację. Poza tym nie wiem, czy pamiętasz, co powiedział Scott Fitzgerald w jednej z nielicznych chwil trzeźwości pod koniec życia: w amerykańskim życiu nie ma drugiego aktu.

- Ja hołduję zupełnie innemu pogładowi: życie jest krótkie, ale kariera pisarza może być zastanawiająco długa. Spróbuj się wyspać dziś w nocy. Z tego, co słyszę, znów jesteś w fatalnym stanie.

- Masz rację.

Oczywiście nie udało mi się zasnąć. Zamiast tego obejrzałem wszystkie trzy części *The Apu Trilogy* (sześć godzin hinduskiego życia domowego z lat pięćdziesiątych - genialne, ale tylko maniak cierpiący na bezsenność wysiedziałyby na miejscu do końca seansu). Wreszcie poczołgałem się do łóżka i obudziłem znowu na dźwięk telefonu. Co to był za dzień? Środa? Może czwartek? Czas przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie. W przeszłości moje życie było jedną wielką wędrówką na czas. Każdy dzień był napakowany niezliczonymi zajęciami: kilka godzin pisania, parę spotkań z producentami, kilka sesji z burzą mózgow, niezliczone rozmowy telefoniczne, lunch i kolacja w sprawach zawodowych, tu pokaz, tam impreza, na której musiałem się pojawić. Co dwa tygodnie spędzałem weekendy z Caitlin, w pozostałe zaś przesiadywałem dziewięć godzin dziennie

przed komputerem, pisząc scenariusz do nowego odcinka serialu lub kolejny rozdział scenariusza. Byle do przodu, do przodu, do przodu. Wiedziałem bowiem dobrze, że toczę się wraz z kołem fortuny, a kiedy człowiek się toczy do przodu, nie może sobie pozwolić na zatrzymanie... Telefon nadal dzwonił. Odebrałem go.

- David? Mówi Walter Dickerson. Obudziłem cię?
- Która godzina?
- Około południa. Posłuchaj, mogę zadzwonić później.
- Nie, nie. Powiedz mi... masz jakieś nowiny?
- Owszem.
- I?
- Dość dobre nowiny...
- Co przez to rozumiesz?
- Twoja była żona zgodziła się na przyznanie ci kontaktu telefonicznego z Caitlin.
- To krok do przodu, prawda?
- Niewątpliwie. Niemniej nalegała na kilka spraw. Możesz dzwonić do Caitlin co dwa dni i nie wolno ci z nią rozmawiać dłużej niż piętnaście minut.
- Naprawdę ustaliła takie warunki?
- Tak i z tego, co mówił mi jej prawnik, zajęło mu trochę czasu, żeby przekonać ją do zgody na limitowany dostęp telefoniczny.
- Kiedy mogę zadzwonić?
- Dziś wieczorem. Twoja była żona zasugerowała, żebyś dzwonił zawsze o siódmej. Odpowiada ci to?
- Jasne - pomyślałem. Nie miałem zbyt napiętego planu zajęć. - Panie Dickerson... Walter... jak sądzisz, ile czasu minie, zanim będę mógł zobaczyć się z córką?
- Szczerze powiedziawszy, wszystko zależy od twojej byłej żony. Jeżeli nadal będzie chciała oberwać ci jaja... że się tak nieuprzejmie wyrażę... cała sprawa może się ciągnąć miesiącami. Gdybyś miał dużo pieniędzy, moglibyśmy oddać sprawę do sądu. W tej sytuacji musimy liczyć na to, że kiedy ochłonie nieco z gniewu, zrobi się bardziej skłonna do negocjacji w sprawie odwiedzin. Jak już jednak

powiedziałem, zajmie to trochę czasu. Chciałbym mieć dla ciebie lepsze nowiny, ale... zapewne już się domyśliłeś, że nie ma czegoś takiego jak polubowny rozwód. Kiedy zaś we wszystko wplątane jest jeszcze dziecko, lista rozbieżności nie ma końca. Przynajmniej udało się nam uzyskać dla ciebie możliwość rozmowy z Caitlin. To dobry początek.

Zgodnie z nowymi ustaleniami zadzwoniłem do córki o siódmej tego wieczoru. Lucy chyba trzymała ją tuż przy telefonie, bo odebrała natychmiast.

- Tatusiu! - krzyknęła. Wydawała się szczerze uradowana, słysząc mój głos. - Dlaczego się przestałeś pojawiać?

- Musiałem wyjechać w związku z pracą - odparłem.

- Nie chcesz się już ze mną spotykać? - spytała.

Przełknąłem głośno.

- Bardzo chcę się z tobą spotkać, tylko... chwilowo nie mogę.

- Dlaczego nie możesz?

- Dlatego... dlatego... że jestem bardzo daleko i pracuję.

- Mama powiedziała, że wpakowałeś się w jakieś kłopoty.

- To prawda, miałem kłopoty... ale jest już lepiej.

- Więc przyjedziesz się ze mną zobaczyć?

- Jak tylko będę mógł - wciągnąłem powietrze i przygryzłem mocno dolną wargę. - Na razie będziemy mogli rozmawiać przez telefon - nie wytrzymałem i zacząłem płakać.

- Tatusiu, co się stało? - spytała zmartwiona Caitlin.

- Nic, nic, wszystko w porządku... - Opanowałem się jakoś. - Opowiedz mi, co słyhać w szkole.

Przez kolejne czternaście minut rozmawialiśmy o przeróżnych sprawach... o jej roli anioła w szkolnym przedstawieniu wielkanocnym, o tym, dlaczego uważała, że Wielki Ptak jest nudny, ale Potwór Ciasteczkowy* jest super, i o tym, że bardzo chciałyby dostać Sleep-Over Barbie. Postaci z *Ulicy Sezamkowej*.

Cały czas patrzyłem na zegarek. Dokładnie po piętnastu minutach od czasu, gdy Caitlin odebrała telefon, usłyszałem w tle głos Lucy:

- Powiedz tacie, że czas kończyć.
- Tato, czas kończyć.
- W porządku. Tęsknię za tobą strasznie, kochanie.
- Ja też za tobą tęsknię.
- Zadzwoń w piątek. Czy mogę porozmawiać z mamą?
- Mamo? Tata chce z tobą porozmawiać - zawołała Caitlin. - Pa,

tatusiu!

- Pa, kochanie.

Usłyszałem, że przekazuje słuchawkę Lucy, która bez słowa się rozłączyła.

Oczywiście owa rozmowa telefoniczna zajęła całą sesję z Matthew Simsem następnego poranka.

- Lucy tak mnie nienawidzi, że nigdy nie pozwoli mi widywać się z Caitlin.

- Ale zgodziła się na rozmowy telefoniczne... to postęp w porównaniu z sytuacją z zeszłego tygodnia.

- Sam doprowadziłem do takiej sytuacji.

- Davidzie, kiedy odszedłeś od Lucy?

- Dwa lata temu.

- Z tego, co powiedziałeś podczas pierwszej sesji, byłeś niezmiernie hojny, jeśli chodzi o podział majątku.

- Dostała dom, który całkowicie spłaciłem.

- Od tamtej pory płaciłeś wszystkie alimenty o czasie, byłeś dobrym ojcem dla Caitlin i ani razu nie zachowałeś się wrogo w stosunku do niej czy do twojej byłej żony.

- To prawda.

- W takim razie skoro Lucy nadal żywi w stosunku do ciebie urazę, dwa lata po rozwodzie, to jej problem, nie twój. Jeżeli zaś wykorzystuje Caitlin jako broń przeciwko tobie... wkrótce zostanie zmuszona do spojrzenia prawdzie w oczy, ponieważ zachowuje się bardzo egoistycznie. Twoja córka jej to uświadomi.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Nadal jednak niepokoi mnie pewna rzecz...

- Co takiego?
- Fakt, że nigdy nie powinienem ich zostawić i że była to największa pomyłka w moim życiu.
- Chciałbyś do niej wrócić?
- To się nigdy nie stanie. Zbyt wiele złych rzeczy się wydarzyło, narosło zbyt dużo animozji. Mimo wszystko... nie zmienia to faktu, że popełniłem błąd. Potworny błąd.

- Czy kiedykolwiek powiedziałeś o tym swojej byłej żonie?

W piątek, kiedy zadzwoniłem do Caitlin, Lucy nadal nie chciała ze mną rozmawiać. Kazała po prostu Caitlin odłożyć słuchawkę po upływie piętnastu minut. Podobnie w niedzielę, chociaż wtedy przynajmniej udało mi się przekazać Caitlin numer telefonu do domu i poprosić, żeby przekazała go Lucy z wiadomością, iż będę pod tym telefonem przez następane kilka miesięcy.

Decyzja o pozostaniu w chatce Willarda przyszła mi z łatwością. Nie miałem wielkiego wyboru, a poza tym szczęśliwym zbiegiem okoliczności moja potrzeba dachu nad głową zbiegła się z decyzją mojego gospodarza o pozostaniu w Londynie na kolejne pół roku.

- Dostał kolejne zlecenie zredagowania scenariusza, a poza tym zdaje się, że podoba mu się szarość owego miasta. Wygląda na to, że możesz się u niego zatrzymać aż do Bożego Narodzenia - stwierdziła Alison, która przekazała mi owe pomyslnie wieści. - Co więcej, cieszy się, że jego dom będzie miał takiego opiekuna... nie zamierza obciążyć cię ani groszem, poza opłatami za prąd i gaz.

- Jak dla mnie - bomba.

- Prosił mnie również, żebym ci przekazała jego słowa. Uważa, że to, co ci się przydarzyło, jest kompletnie przesadzone i zdecydowanie niesprawiedliwe. Napisał nawet do ludzi od Emmy, że zachowali się jak banda tchórzliwych gnojeków.

- Rzeczywiście użył tych słów?

- W przybliżeniu.

- W takim razie przy następnej rozmowie podziękuj mu ode mnie. To pierwszy fart, jaki mi się przytrafił od długiego czasu.

Niestety, moje szczęście nie trwało zbyt długo. Następnego dnia Bobby Barra, z którym wreszcie udało mi się skontaktować, spuścił na mnie megatonową bombę.

Zadzwoiłem do niego na komórkę. Nie był zbyt zachwycony, że słyszy mój głos.

- Hej człowieku. Jak leci? - spytał.

- Bywało lepiej.

- Tak. Słyszałem, że ostatnio niezbyt ci się powodziło.

- Skąd teraz dzwonisz?

Opowiedziałem mu o tym, że Sally wyrzuciła mnie z domu i Alison znalazła dla mnie domek na wybrzeżu.

- Człowieku, siedzisz po uszy w gównie - podsumował Bobby.

- Delikatnie powiedziane.

- Słuchaj, koleś, przepraszam, że nie dzwoniłem, ale wiesz, byłem w Szanghaju w sprawie IPO - tej nowej przeglądarki. Wiem, że dzwonisz, żeby się dowiedzieć, jak poszła pierwsza oferta.

W mojej głowie rozległy się dzwonki alarmowe.

- Co to IPO ma ze mną wspólnego, Bobby?

- Co ma wspólnego? Daj spokój, człowieku. Przecież sam powiedziałeś, że mam w to zainwestować całą kasę z portfolio.

- Nigdy czegoś takiego nie powiedziałem.

- Jeszcze jak. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy parę miesięcy temu, kiedy zadzwoniłem z raportem o zyskach z ostatniego kwartału?

- Tak, pamiętam...

- O co cię wtedy spytałem?

Faktycznie, zapytał mnie, czy chciałbym zostać jednym z niewielu uprzywilejowanych ludzi, którym dane było zainwestować w stuprocentowo pewne IPO azjatyckiej wyszukiwarki internetowej... wyszukiwarki, która miała się stać najbardziej popularnym

narzędziem internetowym w Chinach i całej Azji Południowo-Wschodniej. Mój nieco ociężały umysł zdołał sobie przypomnieć dokładnie, jak przebiegała nasza rozmowa:

- To coś jak skośnookie Yahoo - powiedział.
- Jesteś niezwykle poprawny politycznie, Bobby.
- Posłuchaj, mówimy tu o największym niewykorzystanym rynku na świecie. To ogromna szansa na wejście na samym początku. Muszę jednak działać szybko. Jesteś zainteresowany?
- Jeszcze nigdy nie odpowiedziałeś mi źle.
- Mądry chłopak.

Cholera. Cholera. Cholera. Facet pomyślał, że to pozwolenie na sprzedaż.

- A nie? - spytał Bobby. - Przecież spytałem cię, czy jesteś zainteresowany. Potwierdziłeś. Zrozumiałem więc, że chcesz zainwestować.

- Nie powiedziałem ci jednak, żebyś włożył w to wszystkie moje pieniądze...

- Ale też nie poleciłeś mi czego innego. Dla mnie „tak” znaczy „tak”.

- Nie miałeś prawa zainwestować żadnych udziałów bez mojego wyraźnego pisemnego zezwolenia.

- Gówno prawda i dobrze o tym wiesz. Sądziś, że jak działa cały ten maklerski biznes? Poprzez uprzejmą wymianę dokumentów? To gra, w której zasady zmieniają się co trzydzieści sekund. Jeżeli ktoś mówi mi, że mam sprzedawać...

- Nie powiedziałem nic takiego...

- Złożyłem ci propozycję, że zainwestuję twoją forszę w IPO. Zaakceptowałeś ją. Jeżeli przeczytasz sobie kontrakt, który podpisałeś, gdy zostałeś klientem mojej firmy, znajdziesz tam klauzulę zezwalającą na kupno lub sprzedaż w twoim imieniu na podstawie twojej słownej zgody. Oczywiście jeżeli chcesz udać się do Komisji Papierów Wartościowych i Giełd, proszę uprzejmie. Zabiją cię śmiechem.

- Nie mogę uwierzyć...
- Hej, to jeszcze nie koniec świata. Za dziewięć miesięcy cena akcji wzrośnie czterokrotnie, co oznacza, że nie tylko zwróci ci się pięćdziesięcioprocentowa strata, ale...

Znowu usłyszałem dzwonki alarmowe.

- Co ty przed chwilą powiedziałeś?

Zachował spokój.

- Powiedziałem, że ze względu na chwilowy spadek akcji na rynku technologicznym IPO nie poszło tak dobrze, jak oczekiwałem... straciłeś przez to około pięćdziesięciu procent wartości w akcjach.

- To nie może być prawda.

- Zdarza się. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Wszystkie inwestycje to hazard, prawda? Usiłuję zminimalizować ryzyko, ale czasem rynek zachowuje się zupełnie od czapy. Poza tym to jeszcze nie koniec świata. Wręcz przeciwnie. Jestem pewien, że za rok o tej porze będziesz...

- Bobby, za rok o tej porze będę siedział za długi. Muszę zwrócić urzędowi skarbowemu ćwierć miliona, a jeśli dobrze pójdzie, FRT i Warner za chwilę zaczną mnie ścigać o taką samą sumę. Czy ty rozumiesz, co się zdarzyło? Zerwali ze mną wszystkie kontrakty. Jestem skończony w Hollywood. Jedyne pieniądze, jakie miałem, zainwestowałem poprzez ciebie. A teraz mówisz...

- Mówię, żebyś nie tracił spokoju.

- Ja za to mówię, że mam siedemnaście dni na zapłacenie podatku. Urząd skarbowy nie jest zbyt miły dla ludzi, którzy zalegają z opłatami. Wiadomo wszem wobec, że to największe dranie na tej planecie.

- I co chcesz, żebym zrobił?

- Chcę, żebyś zdobył z powrotem moje pieniądze.

- Będziesz musiał na to poczekać.

- Nie stać mnie na czekanie.

- W takim razie nie mogę tego dla ciebie zrobić. W każdym razie nie natychmiast.

- A co możesz zrobić w tej chwili?

- Upłynnić obecne portfolio, na którym masz około ćwierć miliona.

- Zrobiłeś ze mnie bankruta...

- Myślę, że to ty sam zrobiłeś z siebie bankruta. Poza tym cały czas tłumaczę ci, jeżeli zostawisz swoje akcje w spokoju na dziewięć miesięcy...

- Nie mam cholernych dziewięciu miesięcy. Mam siedemnaście dni. A kiedy już zapłacę urzędowi, nie zostanie mi ani grosza. Kapujesz? Mniej niż zero...

- Cóż ja na to mogę poradzić. Hazard to hazard.

- Gdybyś od początku był wobec mnie uczciwy...

- Byłem, kretynie - warknął nagle zdenerwowany. - Spójrzmy prawdzie w oczy. Gdybyś nie usmażył własnej dupy, kradnąc teksty innych ludzi...

- Pieprz się, ty cholerny sukinsynu...

- Dosyć tego. Kończę z tym, dosłownie i w przenośni. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

- Jasne, że nie, po tym, jak mnie wydymałeś...

- Nie zamierzam kontynuować tej rozmowy. Mam ostatnie pytanie: chcesz, żebym upłynnił twoje akcje?

- Nie mam wyboru.

- Czyli potwierdzasz, tak?

- Tak. Sprzedaj wszystko.

- Doskonale. Zrobione. Jutro możesz się spodziewać pieniędzy na twoim koncie. Koniec historii.

- Nigdy więcej do mnie nie dzwoń - rzuciłem.

- Po co miałbym to robić? - spytał Bobby. - Nie zadaję się z nieudacznikami.

Oczywiście następnego poranka moja codzienna sesja z Simsem zaczęła się od tego ostatniego stwierdzenia.

- Uważasz się za nieudacznika? - spytał mnie Matthew.

- A co ty sądzisz na ten temat?

- Odpowiedz na pytanie.

- Nie tylko jestem nieudacznikiem, ale kompletną katastrofą. Odebrano mi wszystko, absolutnie wszystko. Głównie dzięki mojej głupocie i zapatrzeniu w siebie.

- Znowu podążasz ścieżką autonienawiści.
- A czego ode mnie oczekujesz? Zdążam również ku przepaści finansowej.
- I sądzisz, że nie jesteś wystarczająco sprytny, żeby wykaraskać się z tej sytuacji?
- Jak? Popołniając samobójstwo?
- Nie należy opowiadać tego rodzaju dowcipów w rozmowie z psychoterapeutą.

Mój księgowy również nie był w szczególnie dobrym humorze, kiedy wyjaśniłem mu, co zrobił Bobby Barra.

- Nie chcę krzyczeć: „A nie mówiłem”, ale ostrzegłem cię przed zgromadzeniem wszystkich inwestycji w rękach jednego maklera.

- Do tej pory nieźle dla mnie zarabiał. Poza tym spodziewałem się otrzymać spore wypłaty...

- Wiem, Davidzie. To trudna sytuacja. No dobrze, rozegramy to w ten sposób. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy ze sprzedaży akcji pójdzie do urzędu. Twoje karty kredytowe sięgnęły limitu, więc trzydzieści tysięcy przeznaczymy na spłatę długu. Zostaną ci dwa tysiące gotówki. Alison powiedziała mi jednak, że nie musisz płacić czynszu...

- To prawda. Poza tym nie wydaję zbyt wiele na życie. Dwieście dolców tygodniowo, jeżeli zaszaleję.

- W takim razie będziesz miał pieniądze na dziesięć miesięcy. Pozostaje jeszcze problem jedenastu tysięcy miesięcznie dla Lucy i Caitlin. Rozmawiałem o tym z Alison. Powiedziała, że masz nowego prawnika. Jestem pewien, że biorąc pod uwagę twoje szczególne położenie, sąd zgodzi się obniżyć alimenty.

- Nie zrobię tego. To nieuczciwe.

- Davidzie, Lucy zarabia bardzo dobrze... poza tym, moim zdaniem, pierwotna suma alimentów była zbyt wygórowana. Wiem, że zarabiałeś wtedy milion rocznie, ale mimo wszystko tak ogromna suma wydała mi się... przepraszam, jeśli cię urażę... zapłatą za czyste sumienie.

- Bo to była zapłata za czyste sumienie. Nadal jest.

- Rozumiem. Tyle tylko że nie możesz już sobie pozwolić na kupowanie czystego sumienia za jedenaście tysięcy. To poza twoim zasięgiem.

- Sprzedam samochód, zgodnie z twoją sugestią. Powinienem dostać za niego czterdzieści kawałków.

- Czym będziesz jeździł?

- Czymś tanim. Zdecydowanie poniżej siedmiu patoli. Z trzydziestoma trzema tysiącami, które mi zostaną, wystarczy na następne trzy miesiące.

- A potem?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Lepiej poproś Alison, żeby znalazła ci jakąś pracę.

- Alison jest najlepszą agentką literacką w tym mieście, ale nie znajdzie mi żadnej pracy.

- Jeżeli pozwolisz, zadzwonię do niej w tej sprawie?

- Po co się fatygować? Jestem na straconej pozycji.

Kilka dni później zadzwoniła do mnie Alison.

- Cześć, pesymisto.

- Podejrzewam, że rozmawiałś z moim szacownym księgowym.

- Och, rozmawiałam z wieloma ludźmi - odparła. - Włączając w to FRT i Warnera.

- I?

- Niestety, znowu mam dla ciebie dobre i złe wiadomości. Najpierw złe: zarówno FRT, jak i Warner upierają się przy zwrocie pieniędzy.

- Jestem skończony.

- Nie tak szybko. Obie firmy zgodziły się na zmniejszenie sumy do połowy, co oznacza tylko sto dwadzieścia pięć tysięcy.

- I tak mnie to zrujnuje.

- Tak, Sandy wszystko mi wyjaśnił. Kolejna dobra nowina to taka, że przekonałam FRT i Warnera, żeby pozwolili ci spłacić wszystko w ratach, z pierwszą płatnością dopiero za pół roku.

- I co z tego? Problem w tym, że nie mam pieniędzy na spłatę tego długu i nie mam też pracy.

- Nieprawda.
- O czym ty mówisz?
- Znalazłam ci pracę.
- Pracę związaną z pisaniem?
- Zdecydowanie. Nie jest to szczególnie ambitna rzecz, ale zawsze. Poza tym zamierzają ci nieźle zapłacić, biorąc pod uwagę czas, jaki ci to zajmie.

- Powiedz, o co chodzi.
- Dobrze, ale proszę cię, nie jęcz...
- Po prostu powiedz, dobrze?
- Chodzi o nowelizację.

Zrobiłem, co w mojej mocy, żeby nie jęknąć. Nowelizacja była chałturą. Polegała na przerabianiu scenariusza nowo produkowanego filmu na krótką i łatwą do czytania powieść, którą potem sprzedawano przy kasach supermarketów i w punktach sprzedaży K-Martu. Ze względu na mój zawód była to najbardziej upodlająca robota ze wszystkich - coś, czego podejmuje się tylko pisarz, który kompletnie nie wierzy w swoje możliwości albo który stoczył się na samo dno i desperacko potrzebował gotówki. Ja kwalifikowałem się pod oboma względami, więc zamiast zaprotestować, spytałem:

- A co to za film?
- Postaraj się nie jęczeć...
- Postarałem się za pierwszym razem.
- Teraz, niestety, może ci się nie udać. To nowy film dla nastolatków produkowany przez New Line.

- Podtytułem?
- *Utrata niewinności*.

Tym razem jęknąłem.

- Niech zgadnę... film opowiada o dwóch przyszczałych szesnastolatkach chcących wreszcie stracić dziewictwo?
- Proszę, proszę, ależ jesteś domyślny - odparła Alison. - Tyle że te dzieciaki mają po siedemnaście lat.

- Późno zaczynają.
- Dziewictwo jest teraz bardzo na topie.
- Imiona głównych bohaterów?
- Spodoba ci się to: Chip i Chuck.

- Zupełnie jak para bobrów z kreskówki. Gdzie rozgrywa się akcja filmu? W jakimś głęboko banalnym podmiejskim otoczeniu jak Van Nuys?

- Blisko. Hrabstwo Orange.

- Czy jeden z bohaterów okazuje się krwawym mordercą?

- Nie. To nie *Krzyk*. Jest jednak niesamowity zwrot akcji: okazuje się, że panienka, którą wreszcie udaje się Chipowi przelecieć, jest siostrą przyrodną Chucka...

- O czym Chuck kompletnie nie ma pojęcia?

- Dokładnie. Okazuje się, że Nadzieja...

- Ma na imię Nadzieja?

- Tak, to „ten” rodzaj filmu.

- Najwyraźniej. Wygląda mi na totalny bzdet.

- Bo jest totalnym bzdetem. Niemniej chcą ci zapłacić za nowelizację dwadzieścia pięć kawałków, pod warunkiem że oddasz manuskrypt za dwa tygodnie.

- W porządku - odparłem.

Następnego dnia przybył Fedexem scenariusz. Był okropny: napuszony, pełen świńskich dowcipów o erekcjach, lechtaczkach i wzdęciach, z jednowymiarowymi postaciami, tradycyjnymi sytuacjami z filmów dla nastolatków (włączając w to klasyczne robienie łoda na tylnym siedzeniu samochodu), obowiązkową bójkę bohaterów po tym, jak Chuck dowiaduje się, że jego kumpel przespał się ze spokrewnioną z nim dziewczyną, a wreszcie-obligatoryjną finałową sceną „dorastania”, kiedy to Chip i Chuck się godzą, Nadzieja zaś wyznaje Chipowi, że ona też była dziewczicą... i chociaż nie ma ochoty na gorący romans, to na zawsze pozostaną przyjaciółmi.

Po przeczytaniu scenariusza zadzwoniłem do Alison.

- I co? - spytała.

- Koszmar.

- Zdasz przerobić to w dwa tygodnie?

- Bez problemu.

- Doskonale. A teraz kilka zasad, o których przekazanie poprosił mnie wydawca, Max Newton. Nie przekraczaj siedemdziesięciu pięciu tysięcy słów. Książka jest przeznaczona dla głupców, więc ma być prosta, z szybką akcją, nieskomplikowanymi dialogami... i

pamiętaj, żeby sceny z seksem były... jakby to ująć... gorące, ale bez przesady. Rozumiesz?

- Chyba tak.

- Jeszcze jedno. Wydawca wie, że to ty masz robić nowelizację...

- I nie ma nic przeciwko temu?

- Jest z Nowego Jorku, a poza tym uważa, że to, co się tutaj odbywa, jest, delikatnie mówiąc, idiotyczne. Oboje zgodziliśmy się jednak, że dla dobra was obu, najlepiej będzie, jeżeli użyjesz pseudonimu. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

- Żartujesz? Nie mam ochoty, żeby moje nazwisko było kojarzone z takim gównem.

- W takim razie wymyśl coś.

- Może John Ford?

- Dlaczego by nie? I, Davidzie... ostatnia sprawa. Chociaż ja wiem, ty wiesz i nawet wydawca wie, że to beznadzieja...

- Wiem. Będę profesjonalny do bólu.

- O to chodzi!

Począwszy od jutra, miałem mieć dokładnie trzynaście dni na skończenie zlecenia. Zanim zabrałem się do pracy nad streszczeniem (roboata na dziś), podzieliłem siedemdziesiąt pięć tysięcy na trzynaście. Wyszło mi cztery tysiące dwieście trzydzieści, co oznaczało, że tyle właśnie muszę napisać dziennie słów, aby wyrobić się w wyznaczonym czasie. Ponieważ jedna strona autorska liczy około dwustu pięćdziesięciu słów, oznaczało to, że będę musiał napisać siedemnaście stron dziennie. Szalona liczba, ale na szczęście nie musiałem w to wkładać zbyt wiele energii i wysiłku umysłowego.

Praca to praca, zwłaszcza jeżeli inne możliwości zostały przed tobą zamknięte. Zabrałem się więc do powierzonego mi zadania bardzo poważnie. Postanowiłem, że zrobię z tym kiepskim materiałem co w mojej mocy, nadam nowelizacji profesjonalny połysk i wykonam w terminie.

Narzuciłem sobie surowy harmonogram i trzymałem się go bez wyjątku. Jedynymi przerwami, na jakie sobie pozwalałem, były moje rozmowy z Caitlin co drugi dzień oraz codzienne sesje terapeutyczne z Matthew Simsem.

- Wydajesz się bardziej optymistyczny - stwierdził Sims po jakimś tygodniu.
- To dzięki pracy. Gównianej pracy, ale...
- Mimo to wykonujesz ją bardzo sumiennie, co jest godne podziwu.
- Potrzebuję pieniędzy, a poza tym wreszcie robię coś konstruktywnego.
- Innymi słowy, zachowujesz się jak człowiek odpowiedzialny i udowadniasz samemu sobie, że nadal możesz pracować w swoim zawodzie.
- To niezupełnie praca, jaką chciałbym wykonywać.
- Ale jest to jakiś początek. Poza tym zdaje się, że całkiem nieźle ci płacą, tak? Dlaczego nie cieszy cię fakt, iż mógłby to być twój nowy start po kryzysie?
- Ponieważ nowelizacja nigdy nie jest pozytywnym doświadczeniem.

Mimo to nadal pracowałem. Codziennie pisałem wyliczoną liczbę słów i trzymałem się mojego harmonogramu bez żadnych odstępstw. Nie poszedłem po linii najmniejszego oporu, nawet z tak byle jakim materiałem. Odwaliłem kawał dobrej roboty i - co najważniejsze - wyrobiłem się w terminie. Udało mi się nawet dotrzeć do najbliższego punktu wysyłkowego Fedexu całą godzinę przed ostatnią turą wysyłkową.

Zrobiłem trzy kopie tekstu, jedną wysłałem do wydawcy w Nowym Jorku, drugą do Alison, trzecią zaś zachowałem dla siebie. Potem pojechałem do włoskiej restauracji w Santa Barbara (czterdzieści minut drogi) i zafundowałem sobie pierwszy wystawny obiad od czasu, kiedy wyprowadziłem się z LA. Uznałem, że należy mi się odrobina luksusu po takiej harówce. Czuję się wspaniale, jedząc w restauracji. Kiedyś było to na porządku dziennym i nie doceniałem tego przywileju. Teraz posiłek w restauracji wydawał mi się rzadką przyjemnością. Po wszystkim wybrałem się na długi spacer po plaży w świetle księżycy, rozkoszując się tym prostym faktem, że skończyłem zleconą pracę i spisałem się przy tym całkiem nieźle.

Jak się okazało, nawet lepiej niż nieźle.

Alison zadzwoniła do mnie trzy dni później i powiedziała, że wydawca z Nowego Jorku jest zachwycony wynikiem mojej pracy.

- Wiesz, co powiedział mi Max Newton? „Ten facet wziął szmirę i zmienił ją w opowieść z klasą”. Naprawdę był pod wielkim wrażeniem, nie tylko gładkości stylu, ale również tego, że wyrobiłeś się w terminie. Uwierz mi, że czyni to z ciebie najrzadszy gatunek pisarza na świecie. Najlepszą nowiną jednak jest to, że Max wydaje takie nowelizacje co miesiąc. W przeszłości rozdawał zlecenia różnym pisarzom, ale nie był z tego zbyt zadowolony. W związku z tym chciałby ci zaproponować kontrakt na sześć adaptacji za tę samą sumę, dwadzieścia pięć tysięcy za książkę, pod warunkiem że będziesz ją produkował raz na miesiąc...

- I mogę zatrzymać mój pseudonim?

- Tak, Johnie Fordzie. Nie ma problemu. Co więcej, ten kontrakt pomoże ci spłacić dług FRT i Warnerowi.

- Zapominasz o alimentach.

- Tak, Sandy rozmawiał ze mną na ten temat. Musisz zredukować sumę tego comiesięcznego obciążenia. Jedenaście kawalków to czyste szaleństwo. Poza tym Lucy stać na...

- Proszę, nie rozmawiajmy na ten temat.

- Twój wybór, Davidzie.

- Wracając do sprawy, to doskonale wiadomości, Alison. Naprawdę się cieszę. Nigdy nie myślałem, że powiem coś takiego o nowelizacji, ale...

- ...lepszy rydz niż nic - podsumowała Alison.

Tej nocy spałem doskonale. Następnego poranka obudziłem się dziwnie wypoczęty i pełen optymizmu. Jeżeli Max Newton będzie zadowolony z moich pierwszych sześciu adaptacji, być może Alison uda się go przekonać do stałego kontraktu na nowelizację. Jeżeli nadal będę dostawał taką stawkę, to po odjęciu prowizji Alison i podatku będę mógł płacić alimenty i oddać dług FRT i Warnerowi w ciągu dwóch lat.

- Cieszę się, że jesteś zadowolony - stwierdził Matthew Sims podczas naszej kolejnej rozmowy.

- Wreszcie odbiłem się od dna.

Minął tydzień. Alison przysłała mi czek od Maxa Newtona. Natychmiast wpłaciłem pieniądze na konto i poleciłem przelać je na rachunek Lucy. Wysłałem do niej także następujący prosty e-mail:

Alimenty za kolejne dwa miesiące powinny wpłynąć na twoje konto dziś po południu. Miło by było kiedyś zamienić z Tobą kilka słów.

Następnego wieczoru, kiedy rozmawiałem z Caitlin, po upływie danego mi czasu spytałem, czy mogę porozmawiać z mamą.

- Przepraszam, tatusiu. Mama mówi, że jest zajęta.

Nie próbowałem dalej.

Minęło kolejnych kilka dni, podczas których Max Newton nie dał znaku życia. Napisałem więc do Alison z pytaniem, co się dzieje. Odpisała, że rozmawiała poprzedniego dnia z Maxem i wszystko jest w porządku. Podobno powiedział jej, że jego prawnicy wyślą do niej mój kontrakt Fedexem następnego dnia.

Następnego dnia jednak zadzwoniła do mnie. Ton jej głosu zwiastował nieszczęście.

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć... - zaczęła.

Nie potrafiłem wydusić z siebie pytania: „Co tym razem?”, czekałem więc w milczeniu.

- Max anulował kontrakt.

- Co takiego?

- Anulował kontrakt.

- Z jakiego powodu?

- Z powodu naszego starego przyjaciela Theo McCalla...

- O nie, tylko nie to...

- Przeczytam ci, co tym razem wymyślił. To bardzo krótka notka: „Jakże nisko upadają wielcy. Twórca serialu *Sprzedając cię*, David Armitage, zwolniony z FRT za kradzież tekstów innych pisarzy (co ujawniła wcześniej niniejsza kolumna), a potem publicznie ośmieszony za atak pewnego dziennikarza (to znaczy *moi*)* Ja(fr.)

na parkingu przed studiem NBC został zmuszony do wykonywania najgorszego rodzaju tak zwanej «twórczości». Chodzi o nowelizację. Informator z Lionel Publishing w Nuewa Jorku doniósł, że niegdysiejszy zdobywca nagrody Emmy (ostatnio odebranej mu przez Amerykańską Akademię Telewizyjną) jest zmuszony do produkowania adaptacji scenariuszy do mających wkrótce wejść na ekrany filmów. Zgadnijmy, jaki to przyszły przebój kinowy nasz były złoty chłopiec właśnie znowelizował: makabrycznie szmirowaty film dla nastolatków ze studia New Line zatytułowany *Utrata niewinności*. Podobno *American Pie* jawi się przy tej tragedii niczym późny obraz Bergmana. Jeszcze ciekawszą nowiną jest pseudonim, jakiego używa pan Armitage w swojej obecnej pracy: John Ford. Czy miał na myśli wielkiego reżysera westernów... a może jakobickiego dramaturga, który napisał *Tis Pity she's a whore...* chociaż w przypadku Armitage'a tytuł powinien brzmieć: *Tis Pity he's a Plagiarist*”.

Zapadła długa cisza. Nie czułem się chory, wstrząśnięty ani zdezastowany... przeszedłem przez wszystkie te fazy już wcześniej. Teraz po prostu byłem odrętwiały niczym bokser, który otrzymał właśnie o jeden cios w głowę za dużo i przestał cokolwiek czuć.

- Davidzie, nie wiem nawet, gdzie zacząć... - przerwała wreszcie ciszę Alison.

- Rozumiem, że Max Newton przeczytał ten artykuł i anulował kontrakt? - spytałem dziwnie spokojnym głosem.

- Tak mniej więcej to było.

- W porządku - odparłem obojętnie.

- Zrozum, rozmawiam właśnie z bardzo renomowanym prawnikiem o możliwości pozwania McCalla do sądu za zniesławienie.

- Daruj sobie.

- Proszę, nie mów tak, Davidzie.

- Trzeba wiedzieć, kiedy się przegrało.

- Możemy z łatwością wygrać tę sprawę.
- Nie ma potrzeby. Posłuchaj, zanim skończymy tę rozmowę, chciałem ci powiedzieć, że nie tylko byłaś niezwykłą agentką, ale również najlepszym przyjacielem, jakiego człowiek mógłby sobie życzyć.
- Davidzie, co to wszystko do cholery znaczy?
- Nic, poza tym...
- Nie zamierzasz zrobić niczego głupiego, prawda?
- Masz na myśli coś w rodzaju owinięcia mojego porsche wokół drzewa? Nie, nie dam McCallowi tej satysfakcji. Zamierzam jednak zrezygnować z walki.
- Nie mów tak.
- Mówię.
- Zadzwoń do ciebie jutro.
- Jak chcesz.

Odłożyłem słuchawkę, spakowałem laptopa, znalazłem wszystkie dokumenty własności samochodu i zadzwoniłem do dealera porsche w Santa Barbara, z którym rozmawiałem tydzień wcześniej. Powiedział, że oczekuje mnie za godzinę.

Pojechałem więc na północ. W salonie sprzedawca wyszedł mi naprzeciwko. Zaoferował kawę, lecz podziękowałem za nią. Powiedział, że pełny raport o stanie technicznym wraz z wyceną powinien być gotowy za dwie godziny. Poprosiłem go o zamówienie taksówki. Kiedy przybyła, kazałem kierowcy zawieźć się do najbliższego lombardu. Spojrzał na mnie niespokojnie w lusterku wstecznym, ale zrobił to, o co prosiłem. Powiedziałem, żeby zaczął na mnie przed sklepem i wszedłem do środka. Okna lombardu były zbrojone gęstą siatką, a nad żelaznymi drzwiami zamontowano kamerę. Wszedłem do małego westybulu z podłogą wyłożoną porysowanym linoleum, świetłówkami i okienkiem z kuloodporną szybą. Właściciel musiał być bardzo nerwowy. W okienku sprzedawcy pojawił się otyły czterdziestoletni mężczyzna. Konsumował właśnie kanapkę.

- Co pan dla mnie ma? - spytał z pełnymi ustami.

- Najlepszy model laptopa Toshiba Tecra. Kupiłem go za cztery i pół tysiąca.

- Pan go poda przez okienko - uniósł nieco ruchomą szybę.

Przyjrzał się pobieżnie komputerowi, podnosząc go do góry, włączając i sprawdzając aplikacje, jakie pojawiły się na desktopie. Wreszcie wyłączył maszynę i wzruszył ramionami.

- Problem z tymi cackami polega na tym, że pół roku po wypuszczeniu na rynek są już przestarzałe. Ich wartość spada na łeb na szyję. Czteryście dolarów.

- Tysiąc.

- Sześćset.

- Sprzedane.

Po powrocie do salonu porsche dealer oświadczył mi, że po przejrzeniu raportu o stanie samochodu może mi zaoferować trzydzieści dziewięć tysięcy dwieście osiemdziesiąt dolarów.

- Oczekiwałem czterdziestu dwóch lub trzech tysięcy - stwierdziłem.

- Czterdzieści to absolutne maksimum.

- Sprzedane.

Poprosiłem go o czek i o zamówienie kolejnej taksówki. Pojechałem do najbliższego oddziału BankAmerica. Pokazałem kilka dowodów tożsamości. Potem nastąpiła długa rozmowa z moim rodzimym oddziałem banku w zachodnim Hollywood. Dostałem stertę formularzy do podpisania i wreszcie miejscowi bankierzy zgodzili się skasować czek i przelać trzydzieści trzy tysiące dolarów na rachunek Lucy w Sausalito. Wyszedłem z banku z siedmioma tysiącami gotówki. Taksówką dojechałem do salonu z używanymi samochodami w pobliżu dealera porsche. Udało mi się tam kupić za pięć tysięcy granatowego volkswagena golfa rocznik 1994 z „jedynymi” stu sześćdziesięcioma tysiącami kilometrów na liczniku i sześciomiesięczną gwarancją. Skorzystałem z telefonu dealera, żeby zadzwonić do mojego ubezpieczyciela. Wydawał się zaszokowany, kiedy usłyszał, że zamieniłem porsche na siedmioletniego golfa.

- Nadal masz dziewięć miesięcy ubezpieczenia na porsche. Volkswagen będzie kosztował jakąś jedną trzecią sumy... czyli zostało ci jakieś pięćset dolarów.

- Czy możesz mi wysłać czek? - podałem mu adres w Meredith.

Pojechałem moim nowym nabytkiem do kawiarenki internetowej, kupiłem kawę i zalogowałem się na moje konto. Wysłałem do Lucy e-mail:

Alimenty za kolejne trzy miesiące zostały dziś przelane na twoje konto. Zapłaciłem ci za pięć miesięcy. Nadal mam nadzieję, że pewnego dnia będziemy mogli porozmawiać. Tymczasem chciałem powiedzieć ci jedno: postąpiłem bardzo źle. Teraz to rozumiem... i bardzo mi przykro.

Po wysianiu e-maila skorzystałem z telefonu w kawiarence. Zadzwoiłem do American Express, Visy i MasterCarda. Każda z firm potwierdziła, że spłaciłem swoje kredyty (skorzystałem bowiem z rady Sandy'ego i użyłem pieniędzy z konta do wyrównania tych rachunków). Wszyscy usiłowali mnie przekonać, żebym nie rezygnował z ich usług („Ależ nie ma potrzeby zamykać konta, panie Armitage”, stwierdziła kobieta z American Express. „Nie chcielibyśmy stracić tak cennego klienta, jak pan”). Nie ugiąłem się jednak i wreszcie doprowadziłem do zamknięcia wszystkich kont kredytowych. Poprosiłem, żeby papiery do podpisania wysłano na mój nowy adres w Meredith.

Zanim wyszedłem z kawiarenki, zatrzymałem się przy kasie i spytałem, czy mają nożyczki. Mieli. Pożyczyłem je i pociąłem wszystkie moje złote karty kredytowe na ćwiartki. Właściciel przyglądał mi się uważnie zza lady.

- Awansował pan do platynowej czy co? - spytał.

Roześmiałem się, porzuciłem pocięty plastik na ladzie i wyszedłem.

W drodze powrotnej do Meredith zrobiłem szybkie podsumowanie. Tysiąc siedemset dolarów na koncie. Trzy tysiące sześćset

gotówki. Pięćset dolarów wyśle mi agent ubezpieczeniowy. Wysłałem Lucy alimenty za pięć miesięcy z góry. Mogłem mieszkać za darmo w domku Willarda przez kolejne pięć miesięcy... a jeżeli mi się poszczęści, może zdecyduje się zostać w Londynie jeszcze dłużej (choć nie przywiązywałem się do tej myśli). Nie miałem długów ani żadnych rachunków do spłacenia, zwłaszcza że Alison (kochana kobieta) nalegała na zapłacenie Simsowi z jej prowizji za nowelizację (powiedziała, że przez te dwa tłuste lata zarobiła na mnie tyle, że mogła przynajmniej zapłacić za mojego psychoanalityka). Ubezpieczenie zdrowotne było aktualne jeszcze przez dziewięć miesięcy. Nie potrzebowałem ubrań, książek, ekskluzywnych piór wiecznych, filmów wideo, trenerów osobistych, wizyt u fryzjera kosztujących siedemdziesiąt pięć dolarów, wybielania zębów (dwa tysiące rocznie), wakacji za osiem tysięcy w uroczym malutkim stylowym hoteliku przy plaży w Baja* Baja Kalifornia, stan w Meksyku położony na Półwyspie Kalifornijskim... krótko mówiąc, nie potrzebowałem żadnych kosztownych parafernaliów, które kiedyś wypełniały do cna moje życie. Miałem pięć tysięcy osiemset dolarów. Opłata za prąd i gaz wyniesie mnie maksimum trzydzieści dolarów na tydzień. Prawie nie używałem telefonu, więc łącznie z jedzeniem, kilkoma butelkami taniego wina, kilkoma sześciopakami piwa i wycieczką od czasu do czasu do miejscowego kina mogłem z łatwością utrzymać się za dwieście dolarów tygodniowo. Oznaczało to, że miałem pieniądze na kolejne dwadzieścia sześć tygodni.

Świadomość, że wszystko w moim życiu zostało zredukowane do tego poziomu, była zaiste przedziwna. Nie dawała mi poczucia swobody, ale zdecydowanie czyniła moje życie prostszym. Otepienie, które ogarnęło mnie tamtego dnia, kiedy Alison powiedziała o ostatnim artykule McCalla, nie ustępowało. Często wydawało mi się, że żyłem i podejmowałem decyzje na autopilocie. Na przykład kiedy pociąłem moje karty kredytowe, sprzedałem laptopa lub gdy

wszedłem do księgarni na Main Street w Meredith i spytałem, czy nie szukają kogoś do pracy.

Books and Company była bardzo małą niezależną księgarnią, która jakimś cudem nadal utrzymywała się na rynku wypełnionym wielkimi monokulturowymi sieciami księgarni. Był to sklep, w którym pachniało wypolerowanym drewnem, z drewnianym sufitem, parkietem i mnóstwem drewnianych półek, na których widniał typowy przegląd ekskluzywnych książek beletrystycznych, popularnej literatury, książek kucharskich i książeczek dla dzieci. W oknie już od kilku tygodni widniało ogłoszenie, że właściciel poszukuje sprzedawcy na pełen etat.

Les Pearson był pięćdziesięcioletnim mężczyzną, brodatym okulnikiem w błękitnej dżinsowej koszuli i pasujących do niej lewisach. Wyobraziłem go sobie, jak za młodu podczas Lat Miłości przesiadywał w kultowej księgarni City Lights Books w San Francisco lub był dumnym posiadaczem bębnow bongo. Teraz jednak bił od niego spokój właściwy ludziom w średnim wieku... pasowało to bardzo do właściciela małej księgarni w ekskluzywnym nadmorskim miasteczku.

Kiedy pojawiłem się w księgarni, stał za ladą. Bywałem tu już wcześniej, więc od razu zapytał:

- W czym mogę pomóc?
- Przyszedłem spytać o posadę.
- Doprawdy? - spojrzał na mnie uważnie. - Pracował pan kiedyś w księgarni?
- Zna pan Book Soup w Los Angeles?
- A kto nie zna?
- Pracowałem tam przez trzynaście lat.
- Ale teraz mieszka pan tutaj. Widuję pana w okolicy.
- Tak. Zatrzymałem się w domu Willarda.
- Rozumiem. Słyszałem, że ktoś przyjechał do jego chatki. Skąd pan zna Willarda?
- Mieliśmy tego samego agenta literackiego.
- Jest pan pisarzem?
- Byłem.

- Mam na imię Les...
- David Armitage...
- Skąd ja znam to nazwisko?

Wzruszyłem ramionami.

- Naprawdę jest pan zainteresowany pracą u mnie?
 - Lubię księgarnie. Znam się na rzeczy.
 - Mówimy tu o czterdziestu godzinach tygodniowo, od środy do niedzieli, dwanaście godzin od jedenastej rano, z godziną przerwy na lunch. Ponieważ to mała księgarnia, stać mnie tylko na siedem dolarów za godzinę, co da około dwieście osiemdziesiąt dolarów tygodniowo. Nie pokrywam ubezpieczenia zdrowotnego ani innych podobnych rzeczy... przykro mi, ale nie stać mnie na nic poza darmową kawą i pięćdziesięcioprocentową zniżką na wszystkie książki, które będzie pan chciał kupić. Czy dwieście osiemdziesiąt dolarów tygodniowo panu wystarczy?

- Jasne, nie ma sprawy.
- Gdybym potrzebował jakichś referencji...

Wyciągnąłem z kieszeni notesik i długopis i zapisałem nazwisko Andy'ego Barrona, managera Book Soup (który, jak wiedziałem, zachowa dla siebie wiadomość, iż szukam pracy w księgarni). Podałem również Lesowi telefon do Alison.

- Andy był moim pracodawcą, Alison zaś kiedyś mnie reprezentowała - stwierdziłem. - Jeżeli chce się pan ze mną skontaktować...

- Mam telefon Willarda w moim notesie - Les wyciągnął do mnie dłoń. - Zadzwoń, dobrze?

Tego popołudnia zadzwonił telefon.

- Co ty sobie wyobrażasz? - spytała Alison. - Zamierzasz pracować w pieprzonej księgarni?

- Witaj, Alison. Jak tam życie w Los Angeles?

- Pełne smogu. Odpowiedz mi na pytanie, proszę. Zadzwoił do mnie Les Pearson i powiedział, że jesteś kandydatem na posadę sprzedawcy w jego księgarni.

- Dałaś mi dobre referencje?
- A jak myślisz? Dlaczego, do cholery, to robisz?
- Muszę pracować, Alison.

- Dlaczego nie odpowiedziałeś na żaden z moich e-maili z ostatnich kilku dni?

- Ponieważ pozbyłem się komputera.
- Na litość boską, David, dlaczego?
- Dlatego, że wypadłem z pisarskiej gry i tyle.
- Nie mów tak.
- To prawda.

- Posłuchaj, jestem pewna, że jeśli się trochę rozejrzymy, znajdziemy...

- Co? Adaptację serbskiej opery? Szybką redakcję meksykańskiego horroru o wampirach? Spójrzmy prawdzie w oczy. Jeżeli nie mogę utrzymać się z nowelizacji, ponieważ wydawca nie chce mieć ze mną nic wspólnego, nawet gdy pracuję pod pseudonimem artystycznym, to kto mnie wynajmie? Odpowiedź jest prosta: nikt.

- Może nie od razu, ale...

- Kiedy? Pamiętasz tę dziennikarkę z „Washington Post”, której odebrano Pulitzera, gdy okazało się, że zmyśliła całą opisaną przez siebie historię? Wiesz, co robi dziesięć lat po całej aferze? Sprzedaje kosmetyki w jakimś domu towarowym. Oto co się dzieje, kiedy twoje literackie oszustwo wychodzi na jaw. Kończysz w handlu detalicznym.

- Dobrze wiesz, że w porównaniu z tą dziennikarką nie zrobiłaś niczego naprawdę złego.

- Theo McCall zdołał przekonać cały świat o czymś wręcz przeciwnym... i teraz moja kariera pisarza dobiegła końca.

- Davidzie, nie podoba mi się ten twój cholerny spokój.
- Dlaczego? Naprawdę jestem spokojny. I bardzo zadowolony.
- Nie jesteś chyba na prozaku, co?
- Nie biorę nawet dziurawca.
- Posłuchaj, może przyjadę do ciebie w odwiedziny?

- Daj mi kilka tygodni, dobrze? Że sparafrazuję panią Garbo: „Chcę być teraz sam”.

- Jesteś pewien, że dobrze się czujesz?
- Nigdy nie czułem się lepiej.

- Nie podoba mi się to, co słyszę - stwierdziła na pożegnanie. Godzinę później zadzwonił Les Pearson.
- Dostał pan znakomite referencje od Andy'ego Barrona i pana agentki. Kiedy chce pan zacząć pracę?
- Jutro.
- W takim razie do zobaczenia o dziesiątej. A... jeszcze jeden drobiazg. Naprawdę mi przykro z powodu tego, przez co musiał pan przejść ostatnimi czasy.
- Dzięki.

Zgodnie z umową zacząłem pracę następnego dnia. Była to prosta robota. Od środy do niedzieli sam prowadziłem sprzedaż. Pomagałem klientom, przyjmowałem pieniądze, składałem zamówienia i robiłem inwentaryzację. Potem zamiatąłem, odkurzałem półki, czyściłem toaletę, liczyłem dzienny utarg i zanosilem go do miejscowego banku. Udawało mi się przy tym wszystkim znaleźć codziennie godzinę lub dwie, żeby usiąść za ladą i poczytać książkę.

Wszystko to było naprawdę proste, zwłaszcza w ciągu tygodnia roboczego, kiedy w sklepie rzadko pojawiał się klient, zazwyczaj ktoś miejscowy. W weekendy miałem nieco więcej pracy, zwłaszcza że przyjeżdżało tu sporo mieszkańców LA. Mimo to nie przepracowywałem się. Nie wiedziałem, czy tubylcy dowiedzieli się, kim jestem. Nigdy o to nie pytałem. Trzeba również przyznać, że i oni nigdy mnie nie komentowali słowem czy spojrzeniem. W Meredith panowało niepisane prawo, żeby nie wtykać nosa w nie swoje sprawy. Muszę powiedzieć, że bardzo mi to odpowiadało. Jeśli zaś chodzi o ściągających tu w piątek wieczorem mieszkańców LA, nigdy nie zauważyłem nikogo „z branży”. Z wyjątkiem nieobecnego Willarda Stevensa, Meredith przyciągało głównie prawników, lekarzy i stomatologów. Dla nich zaś byłem tylko zwykłym księgarzem... który zresztą w ciągu kilku kolejnych tygodni zaczął zmieniać wygląd.

Po pierwsze, schudłem dobre siedem kilogramów. Byłem teraz 81-kilogramowym chudziakiem. Na początku główną rolę odegrał stres, a potem zredukowanie spożycia alkoholu do jednej szklanki

piwa lub kieliszka wina dziennie. Moja dieta stała się również dużo prostsza i zdrowsza. Poza tym zacząłem codziennie biegać wzdłuż brzegu oceanu. Równocześnie zdecydowałem się odstąpić od golenia się i ścinania włosów. Pod koniec drugiego miesiąca mojej pracy w księgarni wyglądałem jak wychudzony relikw z lat sześćdziesiątych. Nikt w Meredith, łącznie z Lesem, nie skomentował mojego nowego włochatego image'u. Wykonywałem swoją pracę i w dodatku robiłem to dobrze. Byłem pracowity, sumienny, miły w obejściu i zawsze uprzejmy. Wszystko to razem działało idealnie.

Les z kolei był idealnym pracodawcą. Przejmował paleczkę w poniedziałki i wtorki (dwa dni, które miałem wolne). Resztę czasu spędzał, żeglując i grając na giełdzie. W jednej z naszych nieczęstych konwersacji wspomniał, że kilka lat temu dostał trochę pieniędzy w spadku, dzięki czemu mógł otworzyć tę księgarnię (jego dawne marzenie, jeszcze z czasów, kiedy pracował w Seattle w reklamach) i prowadzić miły żywot w tym zakątku w pobliżu autostrady numer Jeden. Innym razem powiedział, że jest rozwiedziony, a jego dwoje dorosłych dzieci mieszka w okolicy zatoki. Kiedy zaś pierwszego dnia pracy wspomniałem, że muszę dzwonić do córki co drugi dzień o siódmej wieczorem, stwierdził, iż mogę korzystać ze służbowego telefonu i nie chciał słyszeć o zwrocie pieniędzy za te regularne piętnastominutowe rozmowy.

- Przyjmijmy, że to dodatkowe świadczenie - stwierdził.

Lucy nadal nie chciała ze mną rozmawiać. Po dwóch miesiącach wreszcie zadzwoniłem do Waltera Dickersona i spytałem, czy nie mógłby wynegocjować wizyt u Caitlin.

- Jeżeli Lucy chce być przy tym, proszę bardzo - stwierdziłem. - Po prostu muszę już zobaczyć moją córkę.

Po kilku dniach Dickerson oddzwonił.

- Przykro mi, żadnych tego typu zmian, Davidzie. Jej prawnik twierdzi, że Lucy jest nadal nieprzekonana do pomysłu „bezpośredniego kontaktu”. Podobno Caitlin naprawdę naciska na matkę w tej sprawie, żądając wyjaśnienia, dlaczego nie może się spotykać z tatusiem. Poza tym po długich negocjacjach udało mi się zdobyć dla

ciebie pozwolenie na codzienne rozmowy z córką.

- To bardzo dobre wieści.
- Daj sprawie jeszcze trochę czasu, Davidzie. Zachowuj się najlepiej, jak potrafisz. Prędzej czy później Lucy będzie musiała się poddać.
- Dzięki za dodatkowe rozmowy telefoniczne. Wiesz, gdzie wysłać rachunek?

- Umówmy się, że ta usługa była na mój koszt.

Po trzech miesiącach pracy w Books and Company moje życie zmieniło się w prostą i przyjemną rutynę. Bieganie, praca do siódmej, telefon do Caitlin, powrót do domu, lektura lub oglądanie filmu. W dni wolne często wybierałem się na wycieczki samochodowe wzdłuż wybrzeża albo spędzałem cały wieczór w lokalnym kinie. Czasem jeździłem na obiad do skromnej meksykańskiej restauracji w Santa Barbara. Usiłowałem nie myśleć o tym, co się stanie za osiem tygodni, kiedy przyjdzie czas zapłaty kolejnych alimentów, ani o tym, jak spłacę dług FRT i Warnerowi. Odsuwałem też od siebie myśl, co będzie, jeżeli Willard Stevens zdecyduje się wrócić z Londynu... co, zgodnie z zapowiedzią Alison, miało nastąpić za trzy miesiące.

W tej chwili postanowiłem żyć z dnia na dzień, wiedziałem bowiem, że jeśli zacznę rozmyślać nad przyszłością, znowu wpadnę w przerażenie.

Alison nadal dzwoniła co tydzień. Nie miała dla mnie nic ciekawego, żadnych nowin, żadnych perspektyw pracy, żadnych nagle objawionych tantiem... oczywiście straciłem to wszystko wraz z kontraktem z FRT. Mimo wszystko w każdą sobotę rano dzwoniła do mnie, żeby dowiedzieć się, jak się miewam. Niezmiennie odpowiadałem, że dobrze.

- Wiesz co? Byłabym dużo szczęśliwsza, gdybyś powiedział, że wszystko jest naprawdę do dupy - stwierdziła.
- Ale nie jest.
- Moim zdaniem po prostu nie przyznajesz się do tego przed sobą i muszę przyznać, że świetnie ci idzie. Tyle że kiedyś świadomość tego zwali się na ciebie jak King Kong.

- Na razie jakoś sobie radzę.
- Jeszcze jedno, Davidzie. Mógłbyś mnie zaskoczyć któregoś dnia, wydając parę groszy na telefon do mnie.

Zrobiłem to dwa tygodnie później. Była dziesiąta rano i właśnie otworzyłem księgarnię. Nie miałem żadnych klientów, więc po przyrządzeniu kawy i przejrzeniu poczty zdecydowałem się zerknąć na „LA Times” (znowu zacząłem czytywać gazety). W dziale rozrywki znalazłem następującą notkę:

Samotniczy multimiliarder Philip Fleck zdecydował się ponownie zasiąść na fotelu reżyserskim, pięć lat po wyprodukowaniu swojego pierwszego, prywatnie sfinansowanego filmu - czterdziestomilionowej kłapy pt. *Ostatnia szansa*, wyśmianej po kilku seansach. Teraz Fleck oświadczył, że zamierza zrealizować komediowy film akcji należący do głównego nurtu, zatytułowany *Trzej malkontenci*. Akcja rozgrywa się w Chicago, gdzie dwóch starzejących się weteranów wojny wietnamskiej, przypartych do muru, postanawia dorobić sobie, okradając banki. Jak poprzednio, Fleck zamierza sam w pełni sfinansować produkcję filmu, do którego napisał scenariusz i który, jak zapewnia, zawiera ten sam rodzaj ciętego humoru, jakim charakteryzują się obrazy Roberta Altmana z lat siedemdziesiątych. Fleck obiecuje również wiele niespodzianek w obsadzie. Miejmy nadzieję, że reżyser, który aktualnie jest wart około dwudziestu miliardów, nie postanowi w międzyczasie zamienić owej zapowiadanej komedii w szwedzki esej o gniewie, albowiem gniew egzystencjalny nie pasuje do krajobrazu Chicago.

Odłożyłem gazetę, po czym wziąłem ją z powrotem do ręki, mrugając z niedowierzaniem. Moje oczy przyciągało niczym magnes jedno szczególne zdanie: „Jak poprzednio, Fleck zamierza sam w pełni sfinansować produkcję filmu, do którego napisał scenariusz”.

Skurwiel. Oślizgłe zawistne beztalencie. Nie dość, że znowu ukradł mój scenariusz, ale tym razem miał czelność zachować nawet oryginalny tytuł.

Chwyciłem za słuchawkę i zadzwoniłem do Los Angeles.

- Alison?
- Właśnie zamierzałam do ciebie zadzwonić.
- Widziałas to?
- Tak. Widziałam.
- Fleck chyba sobie żartuje.
- Jest wart dwadzieścia miliardów. Może być tak poważny, jak chce.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Nie martw się tym - stwierdziła Alison.
- Jak mam się nie martwić? - spytałem. - Ukradł mój scenariusz. To chyba najbardziej idiotycznie głupia ironia na tej ziemi. Ja straciłem wszystko z powodu kilku pożyczonych linijek... a teraz Mości Pan Multimiliarder podpisuje się pod caluteńkim, długim na sto osiem stron, scenariuszem mojego autorstwa.

- Nie ujdzie mu to na sucho.

- Żebyś wiedziała.

- I powiem ci dlaczego. Ponieważ zarejestrowałeś swoje skrypty w SATWA w latach dziewięćdziesiątych. Jeden szybki telefon potwierdzi, że to ty masz prawa do *Malkontentów*. Potem kolejny telefon do mojego prawnika i nakaz sądowy pofrunie w kierunku naszego pana Flecka. Pamiętasz, jak zaoferował ci dwa i pół miliona za scenariusz kilka miesięcy temu? Teraz zapłaci dokładnie tyle samo, jeżeli nie chce, żeby jego kradzież została wyeksponowana na pierwszych stronach gazet stąd do Ziemi Ognistej.

- Dokop temu dupkowi! W końcu jego kieszenie są tak głębokie, że nawet nie poczuje wydatku. Dwa i pół miliona dla niego to jak forsa na paczkę wacików. Ten człowiek to moralne zero. Próbuje zrobić mnie w konia, kiedy znalazłem się na dnie.

Alison roześmiała się chrapliwym śmiechem palacza.

- Cieszę się, że jesteś w dobrej formie.

- O czym ty, do cholery, mówisz?

- W ciągu ostatnich kilku miesięcy zmieniłeś się w wyznawcę zen. Stwierdziłam, że postanowiłeś odtworzyć w swoim życiu Księgę Hioba i poddałeś się szokowi. Cieszę się, że zdołałeś wrócić do stanu twardziela.

- A czego oczekiwałaś? Ta cała sytuacja przerasta o dwie głowy cokolwiek, czego ja się dopuściłem...

- Bez obaw - przerwała mi Alison. - Gnojek nam za to zapłaci.

Nie zadzwoniła do mnie następnego dnia ani dwa dni później. Kiedy próbowałem się z nią porozumieć trzeciego dnia, jej asystentka powiedziała, że Alison nie ma w biurze, ale na pewno skontaktuje się ze mną jutro. Niestety, nigdy to nie nastąpiło. Potem przyszedł weekend. Zostawiłem jej trzy wiadomości na automatycznej sekretarce, ale nie oddzwoniła.

Minał poniedziałek, aż wreszcie zadzwoniła do mnie do domu we wtorek rano.

- Co dzisiaj robisz? - spytała.

- Dzięki, że odpowiadasz na moje telefony.

- Byłam zajęta.

- Masz jakieś nowiny?

- Tak - powiedziała z napięciem. - Lepiej będzie jednak, jeżeli porozmawiamy osobiście.

- Nie możesz powiedzieć...

- Masz czas na spotkanie ze mną w porze lunchu?

- Jasne.

- W takim razie zobaczymy się koło pierwszej po południu w moim biurze.

Wziąłem prysznic, ubrałem się, zapakowałem do volkswagena i pojechałem na południe. Dotarłem do miasta po niecałych dwóch godzinach. Nie byłem w Los Angeles od niemal czterech miesięcy. Kiedy przejeżdżałem przez Wiltshire w stronę biura Alison dotarło do mnie, jak bardzo tęskniłem za tym miejscem. Chociaż cała reszta świata wyśmiewa się z LA z powodu jego płytkości i wizualnych deformacji („New Jersey z lepszymi ciuchami”, jak to określił jeden z moich mądralińskich przyjaciół z Manhattanu), zawsze podobała mi się jego halucynogenna beładna zabudowa, mieszanka nędzy

przemysłu i bogactwa, boleśnie tandetny przepych i poczucie, że człowiek znajdował się na wysypisku śmieci raj... mimo to nadal obfitującym w możliwości dobrego, dostatniego życia.

Suzy, asystentka Alison, nie poznała mnie w pierwszej chwili.

- Czy mogę panu w czymś pomóc? - spytała, spoglądając na mnie podejrzliwie, kiedy wszedłem do biura. Potem nagle zaskoczyła. - O mój Boże, David... eee... witaj.

Alison wyszła z gabinetu i też wykazała się spóźnionym refleksem, kiedy mnie zobaczyła. Nie dziwota: broda sięgała mi niemal do piersi, a włosy nosiłem spięte w kucyk. Alison ucałowała mnie szybko w policzek, przyjrzała mi się jeszcze raz uważnie i powiedziała:

- Jeżeli kiedykolwiek usłyszę o konkursie na sobowtóra Charleisa Mansona, zgłoszę cię. Będziesz niewątpliwym faworytem.

- Mnie również miło cię widzieć, Alison - odparłem.

- Na jakiej ty teraz jesteś diecie? Makroneurotycznej?

Zignorowałem ten komentarz i wpatrzyłem się w gruby plik dokumentów, który trzymała pod pachą.

- Co tam masz? - spytałem.

- Dowody.

- Na co?

- Wejdźmy do środka.

Poszedłem za nią i usiadłem na krześle naprzeciwko biurka.

- Jeśli chcesz, możemy pójść do jakiejś dobrej restauracji - stwierdziła. - Tylko że...

- Wolałabyś porozmawiać tutaj?

- Oczywiście.

- Jest aż tak źle?

- Jest aż tak źle. Zamówimy coś na wynos?

Kiwnąłem głową. Alison wzięła do ręki słuchawkę i poprosiła Suzy, żeby ta zadzwoniła do Barneya Greengrassa i kazała przysłać ich najlepszy zestaw *Nova* z bajglami i zwyczajowymi bajeranckimi dodatkami.

- Do tego dwie butelki Cel-Ray* Oranzada o smaku selerowym dr. Browna, popularna w Nowym Jorku, lecz trudna do znalezienia w innych stanach USA. , żebyśmy mogli udawać, że jesteśmy w Nowym Jorku - dodała. Odłożyła słuchawkę i spojrzała na mnie. - Rozumiem, że nie pijesz?

- Czy to takie oczywiste?
- Promieniujesz anorektycznie dobrym zdrowiem.
- Czy muszę się napić, żeby przełknąć to, co masz mi do powiedzenia?

- Być może.

- W takim razie nie, dziękuję.

- Jestem pod wrażeniem.

- Wystarczy tych wstępów, Alison. Powiedz mi, o co chodzi.

Alison otworzyła teczkę z dokumentami.

- Chcę, żebyś przypomniał sobie, kiedy skończyłeś pisać *Trzech malkontentów*. Wedle tego, co wiem, było to jesienią 1997 roku.

- Dokładnie w listopadzie - potwierdziłem.

- I jesteś pewien, że zarejestrowałeś scenariusz w SATWA?

- Oczywiście. Zawsze rejestrowałem moje skrypty w Stowarzyszeniu.

- Oni zaś zawsze wysyłali ci standardowy list potwierdzający, że twoje dzieło zostało wpisane do rejestru, tak?

- Uhm.

- Masz list dotyczący *Malkontentów*?

- Wątpię.

- Jesteś o tym całkowicie przekonany?

- Nigdy nie byłem zbyt porządny, jeśli chodzi o papiery. Zwykle wyrzucam niepotrzebne rzeczy.

- Chcesz powiedzieć, że list ze Stowarzyszenia nie jest ważnym dokumentem?

- Nie wtedy, kiedy wiem, że mój scenariusz z całą pewnością został przez nich zarejestrowany. O co tu do diabła chodzi, Alison?

- SATWA ma w swoim rejestrze scenariusz zatytułowany *Trzej*

malkontenci. Wedle ich bazy danych, został on zgłoszony dopiero miesiąc temu przez niejakiego Philipa Flecka.

- Zaraz, chwileczkę, muszę przecież mieć dane o mojej rejestracji z listopada 1997 roku?

- Nie, nie mają.

- Ale to przecież niemożliwe. Na pewno zarejestrowałem ten scenariusz.

- Wierzę ci. W dodatku udało mi się wygrzebać oryginalny manuskrypt - sięgnęła do teczek i wyciągnęła stamtąd podniszczony, lekko pożółkły egzemplarz scenariusza. Na stronie tytułowej widniał napis:

TRZEJ MALKONTENCI

SCENARIUSZ AUTORSTWA DAVIDA ARMITAGE'A

(PIERWSZA WERSJA: LISTOPAD 1997)

- Proszę bardzo, oto dowód - wskazałem na datę na stronie tytułowej.

- Dobrze, ale powiedz mi, jak udowodnisz, że nie sprokurowałeś tej strony tytułowej teraz? Kto zaświadczy, że nie postanowiłeś ukraść Philipowi Fleckowi jego scenariusza i przywłaszczyć sobie jego autorstwo...

- O co ty mnie oskarżasz, Alison?

- Nie słuchasz mnie, Davidzie. Ja wiem, że napisałeś ten scenariusz. Wiem, że nie jesteś plagiatorem. Wiem, że nie jesteś bardziej niepoczytalny niż inni pisarze, których reprezentuję. Wiem jednak również i to, że SATWA nie ma żadnego dokumentu potwierdzającego, iż jesteś autorem *Malkontentów*...

- Skąd?

- Ponieważ kiedy powiedzieli mi w zeszłym tygodniu, że scenariusz jest zarejestrowany wyłącznie pod nazwiskiem Philipa Flecka, skontaktowałam się z moim prawnikiem, który polecił mi prywatnego detektywa...

- Zatrudniłaś prywatnego detektywa? - spytałem zszokowany.

- Pewnie, że tak. W końcu mowa tu o kradzieży dwóch i pół miliona dolarów. To chyba oczywiste, że zatrudniłam prywatnego detektywa. Powinieneś go zobaczyć. Trzydzieści pięć lat, najgorszy przypadek trądziku, jaki kiedykolwiek widziałam w życiu, jego garnitur wyglądał jak ukradziony z jakiegoś mormońskiego ośrodka misyjnego. Żaden z niego Sam Spade* Główny bohater *Sokoła maltańskiego* Hammetta. W adaptacji filmowej w jego rolę wcielił się Humphrey Bogart., ale pomimo niewyjściowego wyglądu facet był dokładny niczym inspektor podatkowy. Dostarczył mi to... - poszperała chwilę w teczce i wyciągnęła rejestrację *Malkontentów* z pieczęcią SA-TWA, wyraźnie pod nazwiskiem Philipa Flecka. Potem na stole wylądowały dokumenty dotyczące wszystkich moich scenariuszy, łącznie z listą odcinków *Sprzedając ciębie*. Była tam również *Kradzież z włamaniem*, ale brakowało manuskryptów zarejestrowanych w latach dziewięćdziesiątych.

- Wymień mi te scenariusze - stwierdziła Alison.

- *Na morzu* - klasyczny (lecz mrocznie satyryczny) scenariusz do filmu akcji, w którym islamscy terroryści porywają jacht z prezydentem USA i jego trójką dzieci na pokładzie.

Alison położyła przede mną jakiś dokument.

- Zarejestrowany na nazwisko Philipa Flecka w zeszłym miesiącu. Jeszcze jakiś scenariusz?

- *Czas podarunków* - scenariusz z 1996 roku, opowiadający o kobiecie umierającej na raka.

- Zarejestrowany w zeszłym miesiącu na nazwisko Philipa Flecka - Alison wręczyła mi kolejny dokument. - Do trzech razy sztuka. Tytuł kolejnego manuskryptu?

- *Właściwe miejsce, niewłaściwa pora*.

- To o tym zamieszaniu z miesiącem miodowym, tak? Zarejestrowany w zeszłym miesiącu pod nazwiskiem Philipa Flecka.

Wpatrywałam się w dokumenty, które wręczyła mi Alison.

- Ukradł mi wszystkie niewyprodukowane scenariusze, które napisałem?
- Na to wygląda.
- I SATWA nie ma żadnych zapisów o uprzedniej ich rejestracji pod moim nazwiskiem?
- Żadnych.
- Jakim cudem Fleckowi udało się tego dokonać?
- Ach! To prawdziwy majstersztyk. - Alison znów sięgnęła do teczki i wręczyła mi kserokopię krótkiego artykułu opublikowanego cztery miesiące temu w „Hollywood Reporterze”:

FUNDACJA FLECKA WPLACA OSIEM MILIONÓW DOLARÓW NA FUNDUSZ DOBROczynny SATWA

Fundacja Philipa Flecka ogłosiła dziś, że zamierza przeznaczyć sumę ośmiu milionów dolarów na fundusz dobroczynny SATWA. Rzecznik prasowy fundacji, Cybill Harrison, stwierdził, że podarunek ów jest gestem uznania dla Stowarzyszenia za promowanie i ochronę pracy scenarzystów oraz za pomoc pisarzom, którzy znaleźli się w kryzysie finansowym lub zostali złożeni ciężką chorobą. Dyrektor wykonawczy SATWA, James LeRoy, skomentował, iż „ów niezwykle hojny podarunek świadczy o jednym: jeżeli chodzi o wspieranie rozwoju sztuk pięknych w naszym kraju, Philip Fleck jest amerykańskim Medyceuszem. Każdy pisarz powinien mieć takiego przyjaciela jak on”.

- Doskonale zakończenie, nie sądzisz? - stwierdziła Alison.
- Nie mogę w to uwierzyć. Fleck kupił SATWA.
- Praktycznie rzecz biorąc, owszem. Co więcej, zapłacił, żeby SATWA „zgubiła” dowody na to, iż jesteś autorem tych scenariuszy, i zarejestrowała je pod nazwiskiem Flecka.
- Jezu Chryste, przecież z wyjątkiem *Trzech malkontentów* żaden z tych manuskryptów nie jest szczególnie dobry.

- Tak, ale mimo wszystko są dość sprytne i gładkie, prawda?
- Oczywiście, że tak. W końcu to ja je napisałem.
- No właśnie. Fleck ma teraz cztery solidne, profesjonalnie napisane scenariusze zarejestrowane pod swoim nazwiskiem. Jeden z nich jest na tyle dobry, że zgodnie z tym, co napisało dziś „Daily Variety”, zdołał przekonać Petera Fondę i Dennisa Hoppera, żeby zagrali weteranów wojny wietnamskiej, z Jackiem Nicholsonem w epizodycznej roli...
 - Richardsona, ich prawnika?
 - Dokładnie.
 - To fantastyczna obsada - stwierdziłem nagle podekscytowany. - Całe pokolenie *Easy Ridera* pojawi się w kinach, żeby obejrzeć ten film.
 - Z pewnością. Zwłaszcza że Columbia chce się zająć dystrybucją.
 - Czyli rzeczywiście zamierza się do tego zabrać?
 - To pieniądze Flecka, więc on wydaje zezwolenie na start. Problem w tym, że twoje nazwisko nie pojawi się na liście płac...
 - Jestem pewien, że możemy rozwiązać ten problem...
 - Przerobiłam tę sprawę w tę i we w tę z moim prawnikiem. Powiedział, że Fleck wykołował cię idealnie. Twoje stare dokumenty zostały zniszczone. Fleck stał się tym samym jedynym oficjalnym autorem twoich starszych dzieł. Jeżeli pójdziemy z tym do gazet, zwłaszcza jeśli chodzi o *Malkontentów*, ludzie Flecka zagrają kartą w stylu „to zwariowany plagiator”. Ogłoszą wszem i wobec, że kiedy jeszcze byłeś „uznawanym pisarzem”, Fleck zaprosił cię na swoją wyspę, aby omówić sprawę napisania scenariusza do jego nowego filmu. Odniósł jednak wrażenie, że współpraca z tobą będzie dość kłopotliwa i zrezygnował z niej. Oczywiście przy takim obrocie spraw odbiło ci i wmówiłeś sobie, że jesteś prawowitym autorem *Malkontentów*... chociaż przecież nie ma żadnego dokumentu potwierdzającego twoje roszczenia, jako że SATWA zarejestrowała scenariusz pod nazwiskiem Flecka.

- Jezu Chryste!
- Niesamowite, co można załatwić, mając wystarczająco dużo forsy.

- Ale przecież... chwileczkę... czy nie możemy go dorwać na zarejestrowaniu wszystkich czterech scenariuszy w zeszłym miesiącu?

- Nie masz dowodu, że nie napisał ich wcześniej i po prostu zwlekał z rejestracją aż do zeszłego miesiąca. Może z łatwością stwierdzić, że pisał owe scenariusze przez ostatnich kilka lat. To, że zdecydował się zrealizować *Malkontentów*, popchnęło go do zarejestrowania wszystkich czterech manuskryptów naraz.

- Ale co z dyrektorem teatru i ludźmi, którzy przeczytali mój scenariusz...

- Masz na myśli te pięć lat temu? Daj spokój, Davidzie. Pierwsza zasada rozwoju mówi, że o scenariuszu, który właśnie się odrzuciło, należy zapomnieć w ciągu trzech minut. Poza tym nawet jeżeli jakaś dobra dusza przypomni sobie, że rzeczywiście czytała kiedyś twój scenariusz, naprawdę sądzisz, że stanie po twojej stronie w wojnie z wszechmogącym Fleckiem? Zwłaszcza biorąc pod uwagę twoją obecną pozycję w tym mieście? Uwierz mi, razem z moim prawnikiem i prywatnym detektywem przerobiliśmy każdy scenariusz tej sprawy. Nie znaleźliśmy możliwości wygrania. Fleck dopilnował, żebyśmy nie mogli znaleźć żadnej pomyłki, żadnej luki prawnej. Mój prawnik stwierdził, że podziwia elegancję, z jaką wykonano ów przekręt. Mówiąc krótko, masz związane ręce.

Wpatrywałem się w stertę papierów pokrywającą biurko Alison. Nadal usiłowałem odnaleźć się w gabinecie luster, w którym nagle się znalazłem, i pojąć, że z tej sytuacji nie ma żadnego wyjścia. Moje dzieło stało się dziełem Flecka. Nie mogłem powiedzieć ani zrobić nic, aby to zmienić.

- Jest jeszcze coś, co powinieneś wiedzieć – stwierdziła Alison.
- Kiedy opowiedziałam mojemu detektywowi o tym, jak Theo McCall doprowadził do zniszczenia twojej kariery, facet od razu się

zainteresował i przeprowadził dodatkowe małe śledztwo - znowu wyciągnęła z teczek pliki kserokopii. Wręczyła mi je. - Przyjrzyj się temu.

Zerknąłem na odbitki. Był to wykaz z konta w Banku Kalifornijskim, należącego do niejakiego Theodora McCalla, zamieszkałego przy 1158 King's Road, Zachodnie Hollywood, Kalifornia.

- Jak on to zdobył?

- Nie pytaj. Nie chcę wiedzieć. Ujmijmy to w ten sposób: dla chcącego nic trudnego. Przyjrzyj się kolumnie z wpłatami, czternaściego dnia każdego miesiąca. Jak pewnie zauważyłeś, na jego konto wpływa wtedy dziesięć tysięcy dolarów z kompanii o nazwie Lubitsch Holdings. Mój detektyw sprawdził tę firmę. Jest zarejestrowana na Kajmanach i nie można wyśledzić, do kogo należy. Co więcej, dowiedział się, że McCall zarabia nędzne trzydzieści cztery patyki rocznie jako felietonista „Hollywood Legit” oraz dodatkowe pięćdziesiąt tysięcy jako niezależny reporter z Hollywood, piszący do jakiegoś brytyjskiego szmatławca. Nie ma żadnych pieniędzy ze spadku, żadnego funduszu, nic z tych rzeczy. Niemniej jednak przez ostatnie sześć miesięcy zaczął dostawać 10 patoli miesięcznie z owej tajemniczej firmy o nazwie Lubitsch - przerwała. - Kiedy odwiedziłeś wyspę Flecka? - spytała.

- Siedem miesięcy temu.

- Czy nie opowiadałeś mi wtedy, że Fleck jest prawdziwym kinomanem?

- Niezwykłym kolekcjonerem filmów.

- Z kim kojarzy ci się nazwisko Lubitsch?

- Z Ernstem Lubitschem, świetnym reżyserem filmów komediowych z lat trzydziestych.

- Chyba tylko wielki amator filmowy mógłby uznać za zabawne, aby nazwać zarejestrowaną na Kajmanach firmę na cześć legendarnego hollywoodzkiego reżysera.

Zapadła długa cisza.

- Sądzisz, że Fleck zapłacił Theo McCallowi, żeby znalazł na mnie coś, co mnie zniszczy? - spytałem wreszcie.

Alison wzruszyła ramionami.

- Nie mamy na to żadnego dowodu, ponieważ Fleck doskonale zaciera za sobą ślady. Niemniej zgadzam się z moim detektywem: wygląda na to, że właśnie tak było.

Odchyliłem się na oparcie krzesła i zacząłem intensywnie myśleć. Kawałki układanki nagle zaczęły wskakiwać na swoje miejsce. Przez ostatnie pół roku wierzyłem, że nieszczęście, jakie mnie dotknęło, trzeba przypisać nieszczęśliwemu zrządzeniu losu: teorii łańcuchowej katastrof, w której jedna klęska pociągała za sobą drugą i tak bez końca, niczym przewracające się kostki domino...

Teraz jednak zrozumiałem, że wszystko to zostało dokładnie zaplanowane i przeprowadzone z olbrzymią pieczołowitością. Dla Flecka byłem niczym więcej niż tylko nic niewartą marionetką, którą mógł się bawić tak, jak chciał. Niczym samozwańczy nadczłowiek stwierdził, że może rządzić moim życiem i postanowił mnie zrujnować.

- Wiesz, co mnie zastanawia w całej tej sprawie? - spytała Alison. - To, że czuł tak ogromną potrzebę, żeby cię wykończyć. W końcu jeżeli chciałby po prostu kupić twój scenariusz i uzyskać na niego wyłączność... jestem pewna, że doszlibyśmy do porozumienia. Zwłaszcza jeżeli cena byłaby odpowiednia. Zamiast tego jednak rzucił ci się do gardła, wypruł flaki i rozerwał tętnicę. Zrobiłeś coś, za co cię znenawidził, czy jak?

Wzruszyłem ramionami, myśląc: „Nie, ale bardzo się do siebie zbliżyliśmy z jego żoną”. Ale co tak naprawdę zdarzyło się między mną a Martha? Pijane uściski, nic więcej... w dodatku w dyskretnym oddaleniu, chyba że na plaży też mieli zamontowane kamery, w pniach palm...

Dosyć! To już kompletna paranoja. Poza tym przecież Fleck i Martha byli w zasadzie w separacji, czyż nie? Dlaczego więc miały się przejmować, jeżeli okazaliśmy sobie nieco uczucia?

Najwyraźniej jednak się przejął, inaczej dlaczego miałyby zrobić to wszystko?

Chyba że...

Pamiętasz ten film, który koniecznie chciał ci pokazać? *Salo, czyli 120 dni Sodomy*? Pamiętasz, jak jeszcze długo po seansie zastanawiałeś się, dlaczego należał, abyś wziął udział w tak ponurym widowisku? Pamiętasz, jak bronił tego filmu: „Pasolini pokazał faszyzm w jego najczystszej pretechnologicznej formie. Opisał przekonanie, że pewni ludzie mają prawo, wręcz przywilej do sprawowania całkowitej kontroli nad innymi istotami ludzkimi do tego stopnia, iż mogą im odebrać wszelką godność i podstawowe prawa, odrzec ich ze wszelkiej indywidualności i traktować jak funkcjonalne obiekty, których można się pozbyć, kiedy utracą swą przydatność”.

Jaki był sens całego tego złowrogiego czynu? Czyżby Fleck chciał wprowadzić w czyn swoje przekonanie, że miał „prawo, wręcz przywilej, do sprawowania całkowitej kontroli nad innymi istotami ludzkimi”? I czy Martha brała również w tym udział? Czy z powodu jej przelotnego zainteresowania się mną stałem się oczywistym celem manipulacji Flecka? A może chodziło o zazdrość, potrzebę zniszczenia czyjejś kariery, aby złagodzić cierpienie spowodowane brakiem talentu? Fleck miał przerażającą ilość pieniędzy, przerażającą ilość wszystkiego. Oczywiście po jakimś czasie musiał zacząć się nudzić. Znudził się jednym Rothko za dużo, ciągłym pićm cristala, wieczną świadomością, że gulfstream lub jego boeing 767 zawsze jest gotowy na jego skinienie. Może poczuł, że czas przekonać się, czy będzie w stanie wykroczyć poza barierę swoich miliardów, robiąc coś naprawdę oryginalnego, zuchwałego i czysto egzystencjalnego, odgrywając rolę, którą mógł przyjąć jedynie człowiek posiadający więcej niż wszystko? Ostateczny akt kreacji: odgrywanie Boga.

Nie wiedziałem, jak odpowiedzieć na to pytanie. Nie obchodziło mnie to. Motywacja Flecka była jego motywacją. Ja wiedziałem tylko, że stał za moim upadkiem. Zaplanował go niczym generał opracowujący oblężenie zamku: najpierw należy naruszyć fundamenty, a potem po prostu patrzeć, jak cała budowla rozpada się w

gruzy. Kontrolował cały przebieg tego wydarzenia, a zatem również i mnie.

- Davidzie, wszystko w porządku? - Alison wyrwała mnie z zamyslenia.

- Zastanawiałem się nad czymś.

- Wiem, że to sporo szokujących wiadomości do przełknięcia.

- Mogę cię prosić o przysługę?

- Jasne.

- Czy mogłabyś polecić Suzy skopiowanie wszystkich tych dokumentów, które wygrzebał dla ciebie prywatny detektyw?

- Co zamierzasz z nimi zrobić?

- Po prostu potrzebuję ich... oraz oryginalnego egzemplarza mojego manuskryptu.

- Robię się nerwowa.

- Musisz mi zaufać.

- Powiedz mi chociaż ogólnie...

- Nie.

- Davidzie, jeżeli to spieprzysz...

- Wtedy będę miał jeszcze bardziej przesrane niż poprzednio.

Co oznacza, że nie mam nic do stracenia.

Sięgnęła po telefon i poprosiła do siebie Suzy.

- Kochanie, czy możesz skopiować wszystko z tej teczki?

Pół godziny później odebrałem od niej kserokopie i mój manuskrypt. Zrobiłem sobie także kanapkę z wędzonego łososia z bajetami, którą wepchnąłem do kieszeni kurtki. Ucałowałem Alison w policzek i podziękowałem jej za wszystko.

- Proszę cię, nie rób niczego głupiego.

- Jeżeli tak się stanie, dowiesz się pierwsza.

Wyszedłem z biura, wsiadłem do samochodu, położyłem teczkę z dokumentami na siedzeniu obok. Potem poklepałem się po kieszeniach kurtki, aby upewnić się, czy mam przy sobie notes z adresami. Pojechałem do zachodniego Hollywood, zaszedłem do księgarni, znalazłem książkę, której szukałem, a potem ruszyłem dalej do kawiarenki internetowej, którą pamiętałem nader dobrze, po

wiecznym przemierzaniu Doheny w tę i z powrotem. Zaparkowałem przed sklepikiem, wszedłem do środka, usiadłem przy terminalu i połączyłem się z moją skrzynką pocztową. Znalazłem w notesie e-mail do Marthy. W miejscu na adres nadawcy wpisałem e-mail księgarni Lesa i usunąłem wszelkie ślady mojego imienia. W liście umieściłem następujące wersety:

Dwukroć przeżyłam życia koniec –
Ale wciąż czekam przecież,
Czy Nieśmiertelność mi odsłoni
Jakieś zdarzenie trzecie -

Przytlaczająco niepojęte
Jak tamte dwa dalekie.
Rozstanie: tylko tę rzecz znamy z nieba,
Tylko ją nam wystarczy znać z piekieł.*

... tak przy okazji, miło by było, gdybyś się odezwała

Twoja przyjaciółka,
Emily

Wysłałem list, wierząc, że dotrze na prywatny adres Marthy. Jeżeli nie, jeżeli Fleck śledził każdy jej ruch, miałem nadzieję, że uzna to za niewinny liścik z księgarni... lub że Marcie uda się przechwycić wiadomość, zanim wpadnie w ręce Flecka.

Zostałem przez jakiś czas w zachodnim Hollywood. Wypiłem kawę z mlekiem w kawiarence z wystawionymi na dwór stolikami, przejechałem obok mieszkania, które kiedyś zajmowałem wraz z Sally. Zadziwiło mnie, jak szybko przestałem za nią tęsknić... jeżeli w ogóle kiedykolwiek za nią tęskniłem. Od naszego rozstania nie skontaktowała się ze mną ani razu. Bez wątplenia nagrała na automatycznej sekretarce coś w stylu: „David Armitage już tutaj nie

mieszka”. Kiedy jednak przejeżdżałem obok znajomego budynku, poczułem ból w zasklepionej świeżo ranie. I znowu powtórzyłem w myślach pytanie, które zapewne zadawało sobie już wielu mężczyzn w średnim wieku: Co ja sobie wyobrażałem?

I znowu, jak zawsze, nie znalazłem odpowiedzi.

Przyspieszyłem i wyjechałem z zachodniego Hollywood, a potem z Los Angeles. W Meredith byłem przed szóstą. Les stał za ladą. Wydawał się zaskoczony moim widokiem.

- Nie lubisz wolnych dni? - spytał.
- Po prostu oczekuję e-maila. Nie zauważyłeś przypadkiem...
- Nie sprawdzałem e-maili przez cały dzień. Zrób to, jeśli chcesz.

Poszedłem do małego biura, włączyłem maca, wstrzymałem oddech i...

Był tam. Czekał na mnie:

List do Emily D... głosił tytuł. Otworzyłem go:

Czekać Godzinę - to długo -

Jeśli Miłość ma się tuż przed sobą -

Czekać Wieczność całą - to krótko -

Jeśli Miłość jest w końcu nagrodą -

... sądzę, że znasz autorkę. Podobnie jak wiesz, że twoja korespondentka będzie zachwycona ponownym spotkaniem. O co chodzi z adresem e-mailowym księgarni? Jestem zaintrygowana. Zadzwoń do mnie na komórkę (917) 555 3739. Tylko ja ją odbieram, więc to najlepszy sposób komunikacji, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć. Zadzwoń wkrótce.

Serdeczności

Ślicznotka z Amherst

Krzyknąłem do Lesa:

- Czy mogę skorzystać z telefonu?

- Jasne - odparł.

Zamknąłem drzwi do biura i wykręciłem numer Marthy. Odebrała natychmiast. Dziwne, ale moje serce przyspieszyło na dźwięk jej głosu.

- Witaj - rzuciłem.

- David? Gdzie ty jesteś?

- W księgarni w Meredith. Wiesz, gdzie to jest?

- Przy autostradzie numer Jeden?

- Dokładnie.

- Kupiłeś księgarnię?

- To długa historia.

- Wyobrażam sobie. Posłuchaj, wiem, że powinnam do ciebie zadzwonić parę miesięcy temu, kiedy przechodziłeś przez najgorsze, ale powiem ci jedno: to, co zrobiłeś... to, co cię oskarżyli... to małe piwo. Powiedziałam Philipowi, że jeśli miałabym dostać centa za każdy przeczytany przeze mnie manuskrypt, w którym zawarto cudze teksty...

- Byłabyś tak samo bogata jak on?

- Nikt nie może być aż tak bogaty, z wyjątkiem pięciu innych ludzi na całej planecie. W każdym razie chciałam powiedzieć, że jest mi bardzo przykro, iż musiałeś przez to wszystko przejść, zwłaszcza przez kalumnie tego śmierdziela McCalla. Cóż, przynajmniej Philip mógł nieco zamortyzować ten upadek sumą, jaką zapłacił za scenariusz.

- Tak - odparłem beznamiętnie.

- Tak przy okazji, jest świetny. Mądry, inteligentny, nurtowy i naprawdę wywrotowy. Kiedy się jednak spotkamy, muszę cię jakoś odwieść od pomysłu, żeby przypisać wszystkie zasługi Philipowi...

- Wiesz, jak to jest...

- Wiem. Philip wyjaśnił mi, że martwisz się, że pojawienie się twojego nazwiska na liście płac mogłoby zaszkodzić filmowi. Mimo wszystko chcę go przekonać, żeby przynajmniej po wypuszczeniu filmu na ekrany powiedział, że byłeś oryginalnym autorem scenariusza...

- Tylko jeżeli recenzje będą bardzo dobre.

- Będą, uwierz mi, ponieważ tym razem Philip zaczyna z fantastycznie silnym scenariuszem. Poza tym słyszałeś już pewnie o Fondzie, Hopperze i Nicholsonie?

- To wymarzona obsada.

- Cieszę się, że znowu możemy porozmawiać, panie Armitage. Zwłaszcza że po tamtej nocy zastanawiałam się...

- Nie zrobiliśmy niczego nielegalnego.

- Niestety. Jak twoja przyjaciółka?

- Nie mam pojęcia. To jedna z rzeczy, która się rozpadła po tym, jak...

- Przykro mi. A twoja córka?

- Świetnie - odparłem. - Z tym że od kiedy sfotografowano mnie w pizamie, atakującego McCalla, jej matka wystąpiła do sądu o zakaz kontaktów, uzasadniając to moim rzekomym nie zrównoważeniem psychicznym.

- Jezu Chryste, Davidzie, to okropne!

- Wiem.

- Wygląda na to, że przydałby ci się solidny lunch.

- Nie odmówię. Jeżeli kiedyś będziesz w pobliżu Meredith...

- Chwilowo jestem w naszej posiadłości w Malibu, na tydzień.

- Gdzie jest Philip?

- Rozgląda się za plenerami w Chicago. Pierwszy dzień zdjęciowy już za osiem tygodni.

- Wszystko między wami w porządku? - spytałem, usiłując zachować obojętny, nonszalancki ton.

- Przez krótką chwilę było. Niestety, owe miłe interludium skończyło się niedawno i teraz... jest dokładnie tak jak przedtem.

- Przykro mi.

- *Comme d'habitude**... Jak zwykle; jak to zwykle bywa (fr.).

- ... jak to mawiają w Chicago.

Roześmiała się.

- Posłuchaj, jeżeli jutro będziesz miał wolne w porze lunchu...

Umówiliśmy się o pierwszej w księgarni.

Gdy tylko skończyłem rozmawiać z Marthą, wyszedłem z biura i spytałem Lesa, czy mógłby znaleźć kogoś na zastępstwo za mnie jutro w porze lunchu.

- W środę miasteczko jest jak wymarłe. Weź sobie wolne popołudnie.

- Dzięki.

Tego wieczoru przed snem wziąłem trzy tabletki tylenolu, żeby zasnąć. Zanim odpłynąłem w krainę marzeń, usłyszałem w głowie jej słowa: „Muszę cię jakoś odwieść od pomysłu, żeby przypisać cały splendor Philipowi... Philip wyjaśnił mi, że martwisz się, że pojawienie się twojego nazwiska na liście płac mogłoby zaszkodzić filmowi”.

Teraz rozumiałem bezwzględną logikę, jaką posłużył się Fleck w zbijaniu swojej fortuny. Gdy przychodziło do walki, był prawdziwym artystą. Prowadzenie wojny to jego jedyny talent.

Martha pojawiła się w sklepie punktualnie o pierwszej. Muszę przyznać, że wyglądała promiennie. Miała na sobie proste czarne dżinsy, czarny podkoszulek i niebieską dżinsową kurtkę. Mimo stylu Lou Reeda było jednak w niej coś nieodłącznie charakterystycznego dla patrycjuszki ze Wschodniego Wybrzeża. Może to jej długie brązowe włosy związane w kok, łabędzia szyja i wysokie kości policzkowe przywodziły mi na myśl jeden z portretów kobiety bostońskiej z 1870 roku, autorstwa Johna Singera Sargenta* Znany portrecista, namalował m.in. *Madame X*. A może to tradycyjne okulary w rogowych oprawkach, które nosiła z uporem. Były ironicznym kontrpunktem do jej szykownego ubioru „dziewczyny z sąsiedztwa”, nie wspominając już o pieniądzach, jakie teraz sobą reprezentowała, zwłaszcza że z pewnością kosztowały nie więcej niż pięćdziesiąt dolarów, a lewa strona oprawki była obecnie sklejoną taśmą. Zrozumiałem od razu, co symbolizował ów kawałek scotcha: autonomię i przebiegły typ inteligencji, który nadal, po wszystkich tych miesiącach rozłąki, wydawał mi się niezwykle atrakcyjny.

Weszła do sklepu i spojrzała przed siebie, jakbym był powietrzem.

- Dzień dobry - zaczęła. - Czy David Arm... - przerwała w połowie zdania. - David? - wydawała się autentycznie zszokowana.

- Witaj, Martha.

Chciałem pocałować ją w policzek, ale pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli po prostu uścisknę jej dłoń. Odwzajemniła mój gest, wpatrując się we mnie z mieszaniną zdziwienia i rozbawienia.

- To naprawdę ty, za tym całym...

- Broda zrobiła się nieco rozczochrana.

- Podobnie jak włosy. Słyszałam wprawdzie o wyglądzie w stylu „powrót do natury”, ale „powrót do księgarni”?

Roześmiałem się.

- Ty za to wyglądasz cudownie.

- Nie mówię, że wyglądasz źle, Davidzie. Po prostu... sama nie wiem... ty się nie zmieniłeś, ty uległeś transformacji. Jak jedna z tych dziecięcych zabawek...

- Gdzie przy kilku drobnych zmianach szeregowy Joe zmienia się w dinozaura?

- Dokładnie.

- Oto nowy ja. Dinozaur.

Teraz to ona się roześmiała.

- I to dinozaur z księgarnią - stwierdziła, rozglądając się wokół i oceniając zawartość półek z książkami. - Jestem pod wrażeniem. To urocze miejsce. Bardzo książkowe.

- Cóż, nie jest to księgarnia w centrum handlowym i nie ma w niej Starbucka, więc automatycznie nabiera dziewiętnastowiecznej tajemniczości.

- Jakim cudem ją znalazłeś?

- To długa historia.

- Mam nadzieję, że usłyszę ją podczas lunchu.

- Nie martw się. Usłyszysz.

- Byłam zaskoczona, że do mnie napisałeś. Myślałam...

- Co takiego?

- Och, nie wiem sama... Ze po tamtej nocy uznałeś mnie za szaloną idiotkę...

- To był najlepszy rodzaj szaleństwa...

- Naprawdę?

- Oczywiście.

- To dobrze, bo... - wzruszyła nerwowo ramionami. - Naprawdę czułam się strasznie głupio po tamtej nocy.

- Witaj w klubie - stwierdziłem.

- No dobrze, gdzie mam cię zabrać na lunch? - spytała, szybko zmieniając temat.

- Może pojedziemy do mnie? Zatrzymałem się w małej chatce nad morzem...

- Wynajmujesz tu dom?

- Właściwie to należy on do jednego z klientów mojej agentki, Willarda Stevensa.

- Tego scenarzysty?

- Tak jest.

Spojrzała na mnie pytająco, usiłując poskładać wszystkie usłyszane wiadomości.

- Czyli kiedy odkryłeś to miasto i księgarnię, znalazłeś jednocześnie miejsce do mieszkania, które tak się składa, że jest domem Willarda Stevensa... szczęśliwym trafem jednego z klientów twojej agentki?

- Mniej więcej. Zbierajmy się...

Kilka minut zajęło mi zamknięcie sklepu. Wyjaśniłem Marcie, że na cześć jej przyjazdu do Meredith postanowiłem zrobić sobie wolne popołudnie.

- Jestem wzruszona - odparła. - Ale nie chcę, żebyś przeze mnie stracił przychód.

- Nie martw się. W środę zawsze mamy mało klientów. Poza tym Les nie miał nic przeciwko...

- Kim jest Les?

- Les jest właścicielem tej księgarni.

Teraz wyglądała na autentycznie zgubioną.

- Myślałam, że powiedziałeś, iż jesteś właścicielem tej księgarni.

- Nigdy niczego takiego nie stwierdziłem. Powiedziałem tylko...
- Wiem, że to długa historia.

Martha zaparkowała swój samochód przed sklepem. Był to wielki czarny lśniący land-rover.

- Pojedziemy moim potworem? - spytała.
- Weźmiemy mój - pokazałem na sędziwego golfa.

Znowu nie skojarzyła na początku, o czym mówię, ale kiedy zrozumiała, nie skomentowała widoku ani słowem.

Wsiadliśmy do środka. Jak zwykle na początku zapłon nie chciał działać (była to jedna z licznych drobnych usterek, które odkryłem w tym złomie od czasu zakupu). Wreszcie jednak za czwartym razem silnik zaskoczył.

- Niezła fura - stwierdziła Martha, kiedy zjechaliśmy z krawężnika i ruszyliśmy drogą.
- Dzięki niemu mogę się dostać z punktu A do punktu B - stwierdziłem.
- Poza tym dobrze pasuje do wczesnostudenckiego wyglądu, do jakiego aspirujesz.

Nie odpowiedziałem. Po prostu wzruszyłem ramionami.

Dotarliśmy do domku w ciągu pięciu minut. Martha była oczarowana widokiem oceanu i prostotą samego domu, jego dominującymi bielami, miękkimi fotelami i obszerną biblioteką.

- Rozumiem, dlaczego czujesz się tutaj szczęśliwy - stwierdziła.
- To kryjówka marzeń dla każdego pisarza. Tak przy okazji, gdzie pracujesz?
- W księgarni.
- Bardzo śmieszne. Miałam na myśli prawdziwą pracę.
- Chodzi ci o pisanie.
- Davidzie, nie mów mi, że ten twój kucyk kompletnie pozbawił cię zdolności rozumowania. Tak się składa, że jesteś pisarzem...
- Nie. Byłem pisarzem.
- Nie mów o swojej karierze w czasie przeszłym.
- Dlaczego nie? To prawda.
- Problem w tym, że Philip zamierza właśnie sfilmować twój

scenariusz... z niesamowitą obsadą i gwarantowaną dystrybucją na cały świat przez Columbię. Tak jak mówiłam wczoraj przez telefon... gdy tylko rozniosą się wieści, że byłeś autorem scenariusza, zaleją cię oferty. Hollywood uwielbia wielkie powroty. Zanim doliczysz do trzech, będziesz harował przy laptopie.

- Nie, nie będę.
- Skąd wiesz?
- Bo go sprzedałem.
- Co takiego zrobiłeś?
- Sprzedałem mój komputer. Właściwie to zaniósłem do lombardu w Santa Barbara.
- Davidzie, to jakiś żart, prawda?
- Nie, to prawda. Wiedziałem, że nigdy więcej nie będę mógł zarabiać pisaniem, a potrzebowałem forsy...
- Jasne! - przerwała mi nagle zdenerwowana. - W co ty grasz, Davidzie?
- W nic.
- W takim razie co to za wygłupy z tą księgarnią?
- To nie wygłupy. Pracuję tam za dwieście osiemdziesiąt dolarów tygodniowo.
- I znowu wygadujesz idiotyzmy. Dwieście osiemdziesiąt dolarów tygodniowo? Davidzie, przecież Philip zapłacił ci dwa i pół miliona dolarów za scenariusz.
- Nie zrobił tego.
- Powiedział mi...
- Skłamał.

Podszedłem do biurka, chwyciłem teczkę z kopiami wszystkich dokumentów, które zgromadził detektyw Alison oraz oryginał *Trzech malkontentów* z 1997 roku. Wręczyłem wszystko Marcie.

- Chcesz dowodów? Proszę bardzo. Tu jest wszystko, czego potrzebujesz - a potem opowiedziałem jej całą historię.

Kiedy mówiłem, przyglądała mi się okrągłymi ze zdumienia oczami. Pokazałem jej dokumenty z SATWA i wytłumaczyłem, że nagle cała dokumentacja o rejestracji moich niewykorzystanych scenariuszy zniknęła, owe dzieła zaś pojawiły się w ewidencji

zarejestrowane pod nazwiskiem Philipa Flecka. Pokazałem wykazy z kont McCalla i zwróciłem jej uwagę na ogromną pulę pieniędzy, którą otrzymywał w miesięcznych odstępach z firmy Lubitsch Holdings.

- Czy twój mąż lubi Ernsta Lubitscha?
- Na pewno ma całą kolekcję jego filmów.
- Bingo.

Wyjaśniłem, jak dzięki Bobby'emu Barrze straciłem wszystkie swoje inwestycje, i stwierdziłem, że mam powody przypuszczać, iż mój makler działał na polecenie Flecka tak, aby okaleczyć mnie finansowo.

- Nie mogę tylko zrozumieć jednego: czy postanowił to zrobić, ponieważ jakimś cudem dowiedział się o nas...

- Ale co tu było do dowiadywania się? - spytała. - Przecież to był występ z późnej podstawówki. A przecież w tamtym czasie Philip w ogóle się do mnie nie zbliżał... od wielu miesięcy...

- W takim razie skoro to nie to, może... nie wiem... może zazdrościł mi małego sukcesu...

- Philip zazdrości wszystkim ludziom, którzy posiadają choćby mierny talent twórczy. Sam nie ma go ani za grosz. O ile go znam, a znam go cholernie dobrze, mógł zdecydować się na taką akcję z tuzina różnych powodów... bardzo tajemniczych i zrozumiałych tylko dla niego. A może zrobił to dla zabawy, ponieważ mógł sobie na to pozwolić - wstała i zaczęła spacerować w tę i z powrotem po salonie, kręcąc przy tym głową. - Jestem taka... nie mieści mi się w głowie, jak mógł... przez cały czas gra w jakieś pieprzone gierki... ta rzecz... to typowy cholerny Philip.

- Znasz go lepiej niż ja.
- Tak mi przykro.
- Mnie również. Dlatego potrzebuję twojej pomocy.
- Zrobię wszystko.
- Tylko że to, co zamierzam zaproponować, może być... cóż... trochę ryzykowne.
- Pozwolisz, że o to będę się martwić ja. Dalej - co chcesz, żebyśmy zrobiła?

- Skonfrontuj swojego męża z dowodami na to, że ukradł moje scenariusze i zapłacił McCallowi za zniszczenie mojej kariery.

- Chcesz, żebym miała założony podsłuch, tak? - spytała.

- Kieszonkowy dyktafon wystarczy. Potrzebuję jednego zdania, przyznania się do winy. Gdy będę miał to na taśmie, moja agentka i jej prawnicy dostaną broń do ręki. Kiedy zaś Philip zda sobie sprawę, że nagraliśmy jego przyznanie się do kradzieży scenariusza i napuszczenia na mnie McCalla, jestem pewien, że będzie chciał negocjacji... zwłaszcza jeśli zdaje sobie sprawę, jakiego rozgłosu może nabrać ta sprawa i jak wielkie szkody mu wyrządzi. Zdaje się, że Philip nie lubi rozpowszechniania złej opinii o sobie.

- Jeszcze jak.

- Ja tylko chcę, żeby zwrócono mi dobrą reputację. Nie zależy mi na forsie...

- To niech ci zaczniesz zależeć. Pieniądze to jedyny język, jaki rozumie Philip. Jest jednak pewien problem.

- Zaprzeczy wszystkiemu?

- Tak, chociaż...

- Co takiego?

- Jeżeli wystarczająco go sprowokuję, może uda mi się z niego wycisnąć wyznanie, o które ci chodzi.

- Nie wydajesz się zbyt optymistycznie nastawiona.

- Bo znam go nader dobrze. Mimo to skórka jest warta wyprawki.

- Dziękuję.

Martha zgarnęła dokumenty.

- Będę potrzebowała wszystkich tych dowodów.

- Nie ma sprawy.

- A teraz czy możesz mnie odwieźć do mojego samochodu?

Przez całą drogę powrotną nie powiedziała ani słowa. Spojrzałam na nią raz. Przyciskała teczkę z dokumentami do piersi. Wyglądała na bardzo zamyśloną i wściekłą jednocześnie. Kiedy podjechaliśmy

przed księgarnię, pochyliła się i cmoknęła mnie w policzek.

- Odezwę się - stwierdziła.

Wygramoliła się z golfa, poszła w stronę swojego samochodu i odjechała.

Wracając do domu, myślałem, iż była to dokładnie taka reakcja, jakiej oczekiwałem.

Minęło jednak kilka dni, a Martha nie dawała znaku życia. Alison za to utrzymywała ze mną regularne kontakty. Pytała mnie, jak też wykorzystałem odbitki zgromadzonych dowodów. Powiedziałem, że nadal trzymam je w domu i usiłuję znaleźć sposób na ich wykorzystanie przeciwko Fleckowi.

- Kiepski z ciebie kłamca.

- Myśl sobie, co chcesz, Alison.

- Mam tylko nadzieję, że tym razem jesteś ostrożny.

- Pracuję nad tym. A teraz powiedz, czy twój prawnik doszedł do jakichś nowych wniosków dotyczących pozwania do sądu tego dupka Flecka za literacką kradzież pierwszego stopnia?

- Przyjrzał się sprawie z każdej strony i... nie, nic nie znalazł. Facet naprawdę zabezpieczył się na każdą ewentualność.

- Jeszcze zobaczymy.

Kiedy Martha nie odezwała się przez tydzień, zacząłem myśleć, że rzeczywiście Fleck zabezpieczył się na każdą ewentualność... do tego stopnia, że Marcie nie udało się wyciągnąć od niego ani słowa, którym przyznawałby się do winy.

Walczyłem z ogarniającym mnie zniechęceniem. Za trzy tygodnie mijał termin wpłacenia kolejnych alimentów, a ja nie miałem nawet połowy sumy - i żadnych możliwości jej zdobycia. Oznaczało to, że Lucy prawdopodobnie odbierze mi możliwość rozmów telefonicznych z Caitlin. Ponieważ nie będzie mnie też stać na usługi Waltera Dickersona w sądzie (czy gdziekolwiek), moja była żona zapewne rozłoży mnie na łopatki. Pozostawała również sprawa Willarda Stevensa, który zadzwonił do mnie osobiście z Londynu

kilka dni temu, przeprowadzając szybką rozmowę rozpoznawczo-zapoznawczą. Spytał, czy dobrze mi się mieszka w jego domu, a potem poinformował mnie, że najprawdopodobniej wróci do Stanów za dwa miesiące, czyli...

Jakim cudem miałem znaleźć cokolwiek do wynajęcia w Meredith za dwieście osiemdziesiąt dolarów tygodniowo? Najtańszy pokój w mieście kosztował około osmiuset dolarów za miesiąc. Oznaczało to, że po opłaceniu czynszu zostanie mi osiemdziesiąt dolarów na wszelkie opłaty: od elektryczności i gazu po jedzenie. Innymi słowy, niewykonalne zadanie.

Wkrótce stanę się bezdomnym na Witshire Boulevard, przesiadującym na chodniku z ręcznie wymalowaną tabliczką: „Kiedyś byłem znany i lubiany”.

I nagle zadzwoniła do mnie Martha. Był piątek wieczorem, koło szóstej... całe dziesięć dni od naszego spotkania.

- Przepraszam, że się nie odzywałam - stwierdziła rzeczowym tonem niczym bizneswoman. - Wyjechałam.

- Masz jakieś wiadomości?
- Kiedy masz wolne?
- W poniedziałki i wtorki.
- Czy możesz nie robić żadnych planów na poniedziałek?
- Oczywiście.
- Doskonale. Przyjadę po ciebie do domu około drugiej.

Rozłączyła się, zanim zdążyłem ją o cokolwiek zapytać.

Chciałem od razu do niej zadzwonić i zażądać wyjaśnień. Wiedziałem jednak, że w najlepszym wypadku nic by to nie dało. Nie mogłem zrobić nic więcej, niż tylko liczyć godziny do poniedziałku.

Martha pojawiła się punktualnie. Zaparkowała swojego land-rovera tuż przed drzwiami. Znowu wyglądała czarująco: miała na sobie krótką czerwoną spódnicę, obcisłą bluzkę bez rękawów, tę samą dżinsową kurtkę co ostatnim razem, te same złamane okulary, na szyi zaś staroświecką kameę. Skrzyżowanie Isobel Archer z modą śródmiejską. Wyszedłem, żeby się z nią przywitać. Na mój widok promiennie się uśmiechnęła i natychmiast pomyślałem, że ma dobre wiadomości. Kiedy ucałowała mnie w policzek, lekko przy tym

ściskając moje ramię, pomyślałem, że to dość obiecujący początek spotkania... chociaż nieco dezorientujący.

- Witaj - rzuciła.
- Witaj. Czyżbym wyczuwał dobry humor?
- Nigdy nie wiadomo. To twój ubiór na dzisiaj?

Miałem na sobie parę starych lewisów, podkoszulek i zapinaną na suwak szarą bluzę.

- Nie wiedziałem, jakie są plany, więc...
- Czy mogę ci coś zaproponować?
- Zamieniam się w słuch.
- Pozwól, że ja się zajmę całym dzisiejszym dniem.
- Co oznacza...?
- Co oznacza, że chcę, abyś zgodził się na wszystkie moje działania bez zadawania pytań... i robił to, czego zażądam.
- Wszystko?
- Tak - wyszczerzyła zęby w uśmiechu. - Wszystko. Nie martw się. Nie będziemy robić nic nielegalnego. Ani niebezpiecznego.
- Cóż za ulga...
- Umowa stoi? - wyciągnęła do mnie dłoń.
- Chyba tak - uściśnąłem ją. - Tak długo, jak nie zażadasz, że bym pogrzebał pod ziemią jakiegoś trupa.
- To byłoby zbyt banalne - odparła. - Chodź, musimy cię jakoś przyzwoicie ubrać.

Weszła do domu i ruszyła prosto do sypialni. Otworzyła szafę i zaczęła grzebać w ubraniach. Wreszcie wyciągnęła czarne dżinsy, biały podkoszulek, lekką kurtkę skórzaną i parę czarnych tenisówek Converse.

- To powinno wystarczyć - wręczyła mi cały komplet. - Dalej, przebierz się. Na co czekasz?

Wyszła do salonu, ja zaś przebrałem się w to, co dla mnie znalazła. Kiedy wszedłem do salonu, Martha stała właśnie przed biurkiem, przyglądając się mojemu zdjęciu z Caitlin. Oceniała mnie wzrokiem.

- Ogromna poprawa - rzekła. Wzięła do ręki fotografię. - Czy mogłabym to zabrać?

- Eee... tak, ale czy wolno mi zapytać dlaczego?
- Jaka była umowa na dziś?
- Że nie będę zadawał pytań?

Podeszła do mnie i pocałowała lekko w usta.

- W takim razie nie rób tego - chwyciła mnie pod ramię. -
Chodź, zmywamy się stąd.

Odjechaliśmy jej wozem. Po wyjeździe z Meredith Martha wjechała na autostradę numer Jeden.

- Jestem pod wrażeniem, Davidzie.
- Z jakiego powodu?
- Nie zapytałeś mnie nawet, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dziesięciu dni. Cóż za dyscyplina.

- Sama powiedziałaś: żadnych pytań.
- Cóż, udzielię ci odpowiedzi... ale pod kolejnym warunkiem. Nie będziemy o tym dyskutować. Nigdy.

- Ponieważ to złe wieści?
- Ponieważ to niesatysfakcjonujące wieści. Poza tym nie chcę zepsuć naszego dnia.

- W porządku.

Wpatrzyła się przed siebie, od czasu do czasu zerkając w lustro wsteczne.

- Po naszym ostatnim spotkaniu wróciłam do LA i stamtąd poleciałam gulfstreamem do Chicago. Zanim weszłam na pokład, wstąpiłam do sklepu elektronicznego na lotnisku LAX i kupiłam małą aktywowany głosem dyktafon. Potem, kiedy już wystartowaliśmy, zadzwoniłam do Philipa i zażądałam natychmiastowego spotkania. Po przyjeździe do jego apartamentu w Czterech Porach Roku rzuciłam mu w twarz wszystkie dokumenty. Wiesz, co zrobił? Wzruszył ramionami i stwierdził, że nie ma pojęcia, o czym mówię. Opowiedziałam mu więc całą jego intrygę, krok po kroku, pokazując przy tym odpowiednie dokumenty. Zaprzeczył, jakoby wiedział o czymkolwiek. Nie zapytał nawet, skąd wzięłam te dowody. Zignorował sprawę. Nawet kiedy straciłam panowanie nad sobą i zaczęłam na niego wrzeszczeć, żądając odpowiedzi, zamknął się w sobie i przełączył na stan introwertycznego zombi. Przez prawie godzinę

próbowałam wszystkich możliwych sztuczek, żeby wydobyć od niego choćby jedno zdanie, jedno słowo potwierdzające przyznanie się do winy, ale on kompletnie mnie ignorował. Wreszcie zebrałam wszystkie papiery i wysłałam stamtąd, po czym wróciłam gulfstreamem do LA. Kolejne kilka dni spędziłam na małym prywatnym śledztwie. Firma Lubitsch Holdings zdecydowanie należy do Philipa, chociaż została skrzętnie „zamaskowana” na Kajmanach, tak żeby nikt nie mógł jej z nim powiązać. Jestem również pewna, że poza wielką donacją na fundusz charytatywny SATWA Philip zasilił również konto Jamesa LeRoya, dyrektora naczelnego Stowarzyszenia... oczywiście nie mam na to dowodów.

- A skąd to wiesz? - spytałem.

- Jaka była umowa?

- Przepraszam.

- W każdym razie to by było na tyle. Wszystko, co mi powiedziałeś, okazało się prawdą. Philip postanowił cię zniszczyć. Nie wiem, dlaczego to zrobił, ale zrobił to. Nigdy się nie przyzna i nigdy nie wyjaśni, co nim powodowało. Wiem jednak, że jest winny i zapłaci za to. Ceną zaś jest moje odejście. Nie to, żeby specjalnie się tym przejął, oczywiście.

- Powiedziałaś mu, że od niego odchodzisz - miałem nadzieję, że nie zabrzmiało to za bardzo jak pytanie.

- Jeszcze nie. Ponieważ nie rozmawiałam z nim od tamtej pory. Dobra robota. To prawie nie zabrzmiało jak pytanie.

- Dzięki.

- Nie ma za co. Szkoda tylko, że nie udało mi się wydobyć od niego zeznania. Wtedy mogłabym go zmusić do odkręcenia całej sytuacji, a tak... - wzruszyła ramionami.

- Nie ma sprawy - stwierdziłem.

- Owszem, jest.

- W tej chwili to nieistotne.

Oderwała jedną rękę od kierownicy i chwyciła mnie za rękę. Splotła palce z moimi i trzymała tak, aż dotarliśmy do zjazdu do Santa Barbara i musiała wrzucić trójkę.

Minęliśmy uliczkę z warsztatami, salonami sprzedaży samochodów (w jednym z nich sprzedałem mojego porsche) oraz z

lombardem, w którym zastawiłem mój komputer. Pojechaliśmy dalej, wzdłuż ulicy pełnej markowych sklepów z ubraniami i ekskluzywnych jadalni, w których rucola i parmezan były *de rigueur** Zgodne z wymaganiami etykiety lub mody; obowiązkowe (fr.). Po dotarciu do plaży skręciliśmy i podążaliśmy wzdłuż wybrzeża, aż do Czterech Pór Roku.

- Eee... - zacząłem, pamiętając mój potajemny tydzień spędzony tu z Sally w czasach, gdy byłem jeszcze żonaty i śmiesznie arogancki.

- Nie pytaj - przerwała mi Martha, zanim miałem szansę cokolwiek powiedzieć.

Boy uwolnił nas szybko od samochodu, a Martha poprowadziła mnie do głównego wejścia. Zamiast jednak podejść do recepcji, powiodła mnie bocznym korytarzem w kierunku pary wielkich dębowych drzwi, na których napisano „Gabinet odnowy biologicznej”.

- Doszłam do wniosku, że przydałaby ci się odnowa - stwierdziła Martha z szerokim uśmiechem. Otworzyła drzwi i wepchnęła mnie do środka. Całkowicie przejęła dowództwo, oznajmiając recepcjonistce, że nazywam się David Armitage i miałem zarezerwowaną specjalną sesję popołudniową, włączając w to strzyżenie. A skoro już mowa o strzyżeniu, czy mogłaby porozmawiać ze stylistą? Recepcjonistka chwyciła za słuchawkę i po kilku minutach z bocznych drzwi wynurzył się wysoki żylasty gentleman. Mówił niemal szeptem, kiedy przedstawiał się jako Martin.

- Doskonale, Martin - stwierdziła Martha. - Oto twoja ofiara - sięgnęła do torby i wyciągnęła z niej moją fotografię z Caitlin. Wręczyła ją stylistyce. - Tak wyglądał, zanim zamieszkał w jaskini. Sądzisz, że będziesz potrafił przywrócić go do preneandertalskiego stanu?

- Nie ma problemu - uśmiechnął się lekko Martin, oddając fotografię Marcie.

- No dobrze, przystojniaku - zwróciła się do mnie. - Czekają cię cztery godziny zabawy. Do zobaczenia na patio o siódmej. Będę czekała z drinkami.

- Co zamierzasz robić przez ten czas?

Kolejny pocałunek w usta.

- Żadnych pytań - odwróciła się i wyszła. Martin poklepał mnie po ramieniu i poprosił gestem, abym poszedł za nim do jego świątyni.

Najpierw kazano mi zdjąć ubranie. Potem dwie kobiety odeskorowały mnie do ogromnej, wyłożonej marmurami kabiny prysznicowej. Tam pod silnymi strumieniami bardzo gorącej wody wyszorowały mnie mydłem z glonów i twardą szczotką z naturalnego włosia. Następnie osuszyły ręcznikiem, owinięły miękkim szlafrokiem i odesłały na fotel Martina, który za pomocą nożyczek pozbył się dużej części mojej brody. Później nastąpiło obkładanie twarzy gorącymi ręcznikami, nakładanie piany i ze sterylizatora wynurzyła się brzytwa. Martin ogolił mnie do gołej skóry, znowu zrobił gorący kompres z ręcznika. Kiedy go usunął, obrócił fotel i umył mi włosy nad fryzjerską umywalką. Wreszcie zabrał się za nie i obciął je na krótko, zwłaszcza z tyłu i po bokach, jak to lubiłem jeszcze przed kryzysem.

Po skończeniu znowu poklepał mnie po ramieniu i wskazał na inne drzwi.

- Do zobaczenia po zakończeniu kuracji - stwierdził.

Przez kolejne trzy godziny ugniatało mnie, ubijano, mumifikowano, pokrywano błotem, masowano z użyciem olejku i wreszcie odesłano z powrotem do Martina, który wysuszył i ułożył mi włosy.

- Wygląda pan tak samo jak przedtem - stwierdził, wskazując na lustro.

Wpatrzyłem się w swoje odbicie. Nie mogłem się na początku przyzwyczaić do nowego wyglądu. Twarz wyszczuplała, a po czterech godzinach „odnowy” byłem lśniący i wypolerowany na wysoki połysk. Część mnie nie mogła uwierzyć, że ów fryzjersko-kosmetyczny akt dokonał takiego cudu. Nie chciałem widzieć swojej twarzy, ponieważ już jej nie ufałem. Obiecałem sobie, że od jutra znowu zacznę zapuszczać brodę.

Kiedy wszedłem na werandę, zastałem Marthę przy stoliku z

idealnym widokiem na Pacyfik. Przebrała się w małą czarną sukienkę i rozpuściła długie do ramion włosy. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

- Tak lepiej - stwierdziła.

Usiadłem obok.

- Przysuń się - poprosiła.

Pochyliłem się ku niej. Dotknęła mojej twarzy dłonią, a potem pocałowała mnie głęboko.

- Tak jest dużo, dużo lepiej - stwierdziła.

- Cieszę się, że aprobujesz. - W głowie jeszcze kręciło mi się od pocałunku.

- Widzi pan, panie Armitage, na świecie jest niewielu atrakcyjnych i inteligentnych mężczyzn. Mamy mnóstwo przystojnych i głupich oraz mądrych i brzydkich... atrakcyjny i inteligentny mężczyzna to rzadkość dorównująca przelotowi komety Halleya-Boppa. Kiedy zatem atrakcyjny i inteligentny mężczyzna decyduje się przeobrazić na podobieństwo Jeffreya Huntera w *Królu królów... cóż*, należy podjąć kroki w celu przywrócenia mu zdrowego rozsądku. Zwłaszcza że nigdy nie potrafiłabym pójść do łóżka z kimś, kto wygląda, jakby właśnie zszedł z jakiegoś tandetnego obrazu *Kazanie na Górze*.

Nastąpiła długa przerwa. Martha chwyciła mnie za rękę.

- Słyszałeś, co przed chwilą powiedziałam? - spytała.

- O tak.

- I?

Teraz to ja pochyliłem się i ją pocałowałem.

- To odpowiedź, na którą liczyłam - stwierdziła.

- Czy wiesz, jak bardzo się w tobie zakochałem tamtej nocy? - rzuciłem nagle.

- Znowu zadajesz pytania.

- I co z tego? Chcę, żebyś to wiedziała.

Chwyciła mnie za kłapy kurtki i przyciągnęła do siebie, bardzo blisko.

- Wiem o tym - wyszeptała. - Bo ja też czułam to samo. Ale teraz nie mów nic więcej - znowu mnie pocałowała. - Chcesz spróbować czegoś naprawdę innego?

- Jak najbardziej.
- W takim razie wypijmy tylko po lampce wina. Najwyżej dwie. Coś mi mówi, że byłoby miło pozostać trzeźwym tej nocy.

Ograniczyliśmy się zatem do kieliszka chablis. Potem przenieśliśmy się do restauracji, zjedliśmy ostrygi i kraby. Wypiłem jeszcze jeden kieliszek i przez godzinę rozmawialiśmy o zabawnych i nieistotnych rzeczach, śmiejąc się jak para wariatów. Po spożyciu głównego dania zrezygnowaliśmy z kawy i Martha poprowadziła mnie za rękę do głównego budynku hotelu, windą na górę, wprost do ogromnego, luksusowego apartamentu. Kiedy zamknęły się za nami drzwi, objęła mnie i spytała:

- Znasz tą standardową scenę w każdym filmie Carry'ego Granta i Katherine Hepburn, kiedy Carry zdejmuje jej okulary i całuje, jakby świat miał się zaraz skończyć? Chcę, żebyśmy odegrali teraz tę scenę.

Tak też zrobiliśmy, tyle że nie poprzestaliśmy na tym. Potykając się, ruszyliśmy w stronę łóżka. A potem...

Potem nastał poranek i - o dziwo - obudziłem się doskonale wypoczęty. Było mi tak dobrze, że przez kilka pierwszych chwil po otworzeniu oczu po prostu leżałem, przypominając sobie cały niezwykły wczorajszy wieczór. Kiedy jednak sięgnąłem ręką, szukając Marthy, napotkałem na sąsiedniej poduszce drewniany obiekt: obramowane zdjęcie mnie i Caitlin. Usiadłem i zrozumiałem, że jestem sam. Spojrzałem na zegarek. Było dwanaście po dziesiątej rano. Zauważyłem czarną walizkę na stole, a na niej kopertę. Wstałem. Koperta była zaadresowana do mnie. W środku znalazłem następujący list:

*Najdroższy Davidzie,
musiałam iść. Skontaktuję się z tobą wkrótce... ale proszę, pozwól, żebym to ja się do ciebie odezwała, nie odwrotnie.*

W walizce zostawiłam mały prezent dla ciebie. Jeżeli chcesz, możesz się go pozbyć, ale wtedy nigdy się już do

ciebie nie odezwę. Ponieważ zaś chcę z tobą znowu porozmawiać... cóż, myślę, że sam rozumiesz całą resztę.

*Ukochania
Martha*

Otworzyłem teczkę i wpatrzyłem się w nowiutki laptop Toshiba.

Kilka minut później stałem już przed lustrem w łazience, pocierając lekki zarost na twarzy. Po lewej stronie umywalki stał telefon. Zadzwoiłem z niego do recepcji.

- Dzień dobry - rzuciłem do dyżurującego mężczyzny. - Czy mógłbym dostać przybory do golenia?

- Nie ma problemu, panie Armitage. Życzy pan sobie również śniadanie?

- Tylko sok pomarańczowy i kawę poproszę.

- Natychmiast, sir. Jeszcze jedno. Pana przyjaciółka zaaranżowała, żeby jeden z naszych kierowców odwiózł pana do domu...

- Naprawdę?

- Tak. Wszystko jest już załatwione. Nie trzeba się jednak wymeldowywać do pierwszej, więc...

Pięć po pierwszej siedziałem w prowadzonym przez szofera mercedesie, jadąc w kierunku Meredith z moim nowym komputerem w walizce na siedzeniu tuż obok mnie.

Następnego dnia przyszedłem do pracy w księgarni jak zwykle. Tego popołudnia wpadł do biura Les i przez chwilę czy dwie próbował odgadnąć, kim jest człowiek za ladą. Potem spojrzął na mnie z udawaną powagą i stwierdził:

- Według mojego doświadczenia, musisz być zakochany do szaleństwa, żeby aż tak zmienić wygląd.

Miał rację. Byłem naprawdę zakochany do szaleństwa. Martha zajmowała mój umysł całkowicie, myślałem o niej bez przerwy. Wciąż wspominałem wydarzenia ostatniej nocy. Słyszałem jej głos, śmiech, szeptem wypowiedane zapewnienia o miłości, kiedy się kochaliśmy. Rozpaczliwie chciałem z nią porozmawiać, być z nią. Martwiłem się, że jeszcze do mnie nie zadzwoniła.

Czwartego dnia nie wytrzymałem. Postanowiłem, że jeśli nie odezwie się do mnie do jutra w południe, zadzwonię na jej komórkę i powiem, że musimy uciec gdzieś razem, i to natychmiast.

O ósmej następnego poranka rozległo się łomotanie do drzwi. Wyskoczyłem z łóżka, myśląc: „Przyjechała”. Kiedy jednak otworzyłem drzwi, zobaczyłem mężczyznę w niebieskim uniformie z dużą, wykładaną brązową kopertą.

- David Armitage? Kiwnąłem głową.
- Usługi kurierskie. Mam dla pana przesyłkę.
- Od kogo?
- Nie mam pojęcia, sir - wręczył mi podkładkę z drukiem zaświadczenia o odbiorze. Podpisałem i podziękowałem mu.

Wszedłem do środka i otworzyłem kopertę. Znalazłem w niej DVD. Wyciągnąłem je z kartonowego opakowania. Na wierzchu białego dysku ktoś namalował serce przebite strzałą. Po jednej stronie widniały inicjały D.A., po drugiej zaś M.F. Poczułem, jak przechodzi mnie zimny dreszcz. Mimo to zmusiłem się do włożenia płyty do odtwarzacza.

Na ekranie pojawiło się statyczne ujęcie pokoju w apartamencie hotelowym. Drzwi otworzyły się i w środku pojawiła się Martha i ja. Objęła mnie. Chociaż dźwięk był kiepskiej jakości, nadal słyszałem wystarczająco wyraźnie, co powiedziała:

- Znasz tę standardową scenę w każdym filmie Carry'ego Granta i Katherine Hepburn, kiedy Carry zdejmuje jej okulary i całuje, jakby świat miał się zaraz skończyć? Chcę, żebyśmy odegrali teraz tę scenę.

Zaczęliśmy się całować, zmierzając w stronę łóżka. Rzuciliśmy się na siebie, zdzierając ubrania. Ustawiona idealnie kamera nagrywała każdy szczegół.

Po pięciu minutach wyłączyłem odtwarzanie. Nie musiałem oglądać dalej.

Fleck.

Wszystkowiedzący, wszystkowiedzący, wszechmogący Philip Fleck. Wrobił nas. Podслуchiwał jej rozmowy telefoniczne, odkrył,

że zaaranżowała nasze spotkanie w Czterech Porach Roku w Santa Barbara. Potem, jeszcze raz kazał swoim ludziom rozsypać trochę miedziaków, dowiedzieć się, który apartament zarezerwowała i zainstalować w nim kamery oraz podsłuch.

A teraz... miał nas na widelcu. Nagich i w kolorze. Jego pierwsza hardkorowa produkcja, którą wykorzysta do zniszczenia swojej żony i upewnienia się, że na zawsze już pozostanę w bagnie, w którym siedziałem po uszy.

Zadzwoił telefon. Zanurkowałem po słuchawkę.

- David?

To była Martha, nadzwyczaj spokojna - w sposób, który przeważnie towarzyszy głębokiemu szokowi.

- Och, dzięki Bogu, Martha...

- Widziałeś to?

- Tak, widziałem. Właśnie dostałem paczkę.

- Niezłe, co?

- Nie mogę uwierzyć...

- Powinniśmy się spotkać - przerwała mi.

- Natychmiast - zdecydowałem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ubranie się i wyjechanie z domu zajęło mi niespełna pięć minut. Przez całą drogę do Los Angeles wbijałem pedał gazu w podłogę, zmuszając golfa do jazdy z maksymalną prędkością stu dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę. Zupełnie, jakbym zmuszał staruszkę z rozedmą płuc do stumetrowego sprintu - ale nic mnie to nie obchodziło. Musiałem się spotkać z Martha natychmiast, zanim Fleck zdąży użyć nagrania naszej wspólnej nocy.

Martha zasugerowała jako miejsce spotkania kawiarenkę w Santa Monica. Dojechałem tam tuż po dziesiątej. Siedziała przy stoliku, twarzą zwrócona w kierunku plaży. Słońce grzało już z całą mocą, a znad Pacyfiku wiała lekka bryza, schładzając nieco poranny upał.

- Witaj - rzuciła, kiedy pojawiłem się obok stolika.

Założyła okulary przeciwsłoneczne, więc nie byłem w stanie ocenić, jak bardzo jest zdenerwowana. Uderzyło mnie jednak jej niezwykle w takiej sytuacji opanowanie. Zimna krew. Znowu uznałem, że to następstwo szoku.

Podszedłem do niej i przytuliłem ją. Martha jednak nie wstała, pocałowała mnie tylko w policzek, co natychmiast wywołało u mnie strach.

- Spokojnie - powiedziała, kładąc lekko dłoń na mojej piersi i popychając mnie w kierunku krzesła. - Nigdy nie wiadomo, kto może nas obserwować.

- Oczywiście, jasne - usiadłem i chwyciłem jej dłoń pod stolikiem. - Posłuchaj... myślałem o tym przez całą drogę tutaj. Wiem, co powinniśmy zrobić. Musimy iść razem do twojego męża, powiedzieć, że się kochamy, i poprosić go, żeby dał nam spokój...

- Davidzie - przerwała mi bezpardonowo. - Zanim cokolwiek zrobimy, musisz odpowiedzieć na jedno bardzo ważne pytanie.

- Jakie?

- Chcesz espresso, cappuccino czy latte?

Uniosłem głowę i zobaczyłem stojącą przy naszym stoliku kelnerkę, która za wszelką cenę usiłowała ukryć rozbawienie. Najwyraźniej słyszała wszystko, co powiedziałem.

- Podwójne espresso - poprosiłem.

Po odejściu kelnerki znów chwyciłem dłoń Marthy i ucałowałem.

- To były bardzo długie cztery dni - stwierdziłem.

- Naprawdę? - spytała rozbawiona.

- Nie potrafię wyrazić, jak bardzo wzruszył mnie twój prezent.

- Mam nadzieję, że go używasz.

- Zamierzam. Zamierzam.

- Pisanie to coś, co robisz nader dobrze.

- Muszę ci coś powiedzieć...

- Zamieniam się w słuch.

- Od chwili, kiedy obudziłem się tamtego poranka w pokoju hotelowym, myślałem o tobie bezustannie.

Martha spokojnie oswobodziła swoją dłoń z mojego uścisku.

- Zawsze zachowujesz się w taki sposób po spędzeniu pierwszej nocy z jakąś kobietą?

- Przepraszam. Wiem, że reaguję jak zakochany gówniarz.

- To naprawdę słodkie.

- Tak się właśnie czuję.

- Davidzie... mamy znacznie poważniejszą sprawę do omówienia.

- Tak, masz rację. Jestem dość zdenerwowany myślą, co Fleck mógłby zrobić z tym nagraniem.

- To zależy, jak bardzo go zabolalo.

- Co przez to rozumiesz? - spytałem lekko skonfundowany.

- To, że Philip nie miał z tym nic wspólnego.

- Ale to nie ma sensu. Jeżeli to nie on nas wrobił, w takim razie kto?

- Ja.

Spojrzałem na nią uważnie, usiłując odnaleźć szelmowski błysk w jej oczach. Martha jednak wpatrywała się we mnie całkiem poważnie.

- Nie rozumiem - stwierdziłem wreszcie.

- Wszystko to jest bardzo proste. Kiedy Philip nie chciał się przyznać do zaaranżowania twojego upadku zawodowego, zdecydowałam, że czas na drastyczne metody. Wtedy właśnie uknułam mój mały plan. Stwierdziłam, że skoro nie mogę nagrać go na taśmie, nagram nas. Zarząd hotelu był nader chętny do udzielenia pomocy, zwłaszcza po tym, jak dałam w łapę odpowiednim osobom. W LA mam znajomego kamerzystę i dźwiękowca, który zgodził się zorganizować i ustawić cały sprzęt.

- Czy był tam, kiedy...

- Naprawdę myślisz, że chciałam, aby ktokolwiek obserwował nas w łóżku? Pamiętasz, jak tuż przed wyjściem z restauracji poszłam do toalety? Tak naprawdę pojechałam windą na górę, do pokoju, i włączyłam nagrywarke DVD ukrytą w jednej z szaf. Potem... potem przyszła pora na występ. Następnego dnia, kiedy spałeś, wyjęłam DVD z maszyny i odjechałam. Dwa dni później przyjechałam do Chicago i zmusiłam Philipa do obejrzenia pierwszych kilku minut naszego filmiku.

- Jak zareagował?

- W typowy dla siebie sposób. Nic nie powiedział. Po prostu wpatrywał się w ekran. Wiedziałam jednak, jaka będzie jego reakcja.

Chociaż nigdy tego nie okazuje, jest koszmarnie zazdrosny. Wiem również, że potwornie boi się, że ktoś dowie się o tajemnicach jego życia, pokaże je szerszej publiczności, ośmieszy go. Dlatego właśnie zdecydowałam się na ten krok. Wiedziałam, że sfilmowana noc z tobą włączy wszystkie możliwe alarmy w jego pokręconym umyśle. Aby się jednak upewnić, że zrozumiał przekaz, powiedziałam mu, że kopia tego nagrania znajduje się u mojego prawnika w Nowym Jorku. Jeżeli nie wyprostuje twoich spraw w ciągu siedmiu dni, mój człowiek został poinstruowany, aby wysłać kopie DVD do „Post”, do „News”, „Enquirer”, „Inside Edition” i każdego innego brukowca, jaki przyjdzie mu do głowy. Odliczanie trwa. Philip ma sześć dni...

- Ale jeżeli stwierdzi, że blefujesz... jeżeli to nagranie się ukaże...

- Wtedy znajdziemy się oboje na pierwszych stronach gazet. Nic mnie to nie obchodzi. Jeżeli on postanowi zaryzykować, zamierzam udzielić bardzo szczerego wywiadu Ophrze albo Diane Sawyer i opowiedzieć o „radościach” życia z człowiekiem wartym tyle pieniędzy co Philip, lecz mimo to posiadającym wrażliwość papierowego kubka. Tak naprawdę chodzi o to, żeby zwrócił ci twoje życie. Ja już postanowiłam: odchodzę od niego.

- Naprawdę? - spytałem z nieco za dużą nadzieją.

- Tak mu powiedziałam. Mój prawnik mówił, że nawet jeśli sprzedam to DVD prasie, nie wpłynie to w żaden sposób na intercyzę małżeńską. To bezpieczny kontrakt. Jeżeli odejdę lub on zdecyduje się ze mną rozwieść, rezultat jest wciąż ten sam. Dostaję sto dwadzieścia milionów.

- Dobry Boże.

- Jeśli chodzi o pana Flecka, to taniocha. Gdybyśmy byli pełnoprawnymi rezydentami Kalifornii, mogłabym zażądać połowy majątku. Nie to, żebym tego chciała. Sto dwadzieścia milionów wystarczy z okładem na utrzymanie mnie i dziecka...

- Co ty powiedziałaś?

- Jestem w ciąży.
- Och - owa wiadomość jeszcze bardziej mnie zaskoczyła. - To... eee... cudownie.

- Dzięki.
- Kiedy się dowiedziałas?
- Trzy miesiące temu.

Nagle zrozumiałem, dlaczego tamtego wieczoru nie chciała wypić więcej niż jedną lampkę wina.

- Co Philip...
- Dowiedział się o tym zaledwie wczoraj - przerwała mi. - To jedna z kilku bomb, które na niego wczoraj spuściłam.

- Myślałem, że między wami nie było...
- Kilka miesięcy temu przeżyliśmy kolejny powrót. Wkrótce po twojej wizycie na wyspie. Philip zdecydował, że jednak powinniśmy dzielić życie i wydawał się znów we mnie zakochany... z wzajemnością. Trwało to tylko trzy miesiące. Potem znowu się ode mnie odsunął i kiedy zorientowałam się, że jestem w ciąży, po prostu mu nie powiedziałam. Oczywiście aż do wczoraj. Wiesz, jak zareagował na tę nowinę? Nijak. Kompletna cisza.

Znów chwyciłem jej dłoń.

- Martha... - zacząłem, ale zanim miałem szansę powiedzieć coś więcej, znowu mi przerwała.

- Nie mów tego...
- Ale czy ty... czy ty mnie nie...
- Co? Nie kochasz?
- Tak.
- Znam cię dokładnie trzy dni.
- Takie rzeczy wie się po pięciu minutach.
- To prawda, ale ja nie zamierzam teraz nawet o tym myśleć.
- Nie mogę uwierzyć, że ryzykowałeś dla mnie wszystko, co masz.

- Daruj sobie te teksty z harlequina, dobrze? Facet potraktował cię jakbyś był śmieciem, jak sądzę, głównie dlatego, że otrzymał pełny raport z naszej nocy na mojej wyspie. Nie obchodziło go to, że

tak naprawdę do niczego między nami nie doszło. Ważne było, że jesteś utalentowany, a ja się tobą zauroczyłam. Kiedy więc dowiedziałam się, jak zniszczył ci karierę, poczułam się odpowiedzialna. Kiedy zaś nie chciał słuchać wszelkich zdroworozsądkowych argumentów, postanowiłam zagrać nieczysto. To wszystko. Wyrównanie rachunków. Zadośćuczynienie czy jakikolwiek jeszcze inny frazes, który przyjdzie ci do głowy.

- Fleck nie może tak po prostu mnie spłacić. Będę potrzebował swego rodzaju profesjonalnej rekompensaty. Oczyszczenia mojego imienia. Poza tym...

- Tak?

Wpadł mi do głowy pewien pomysł, absurdalny i pokrętny, ale wart ryzyka, zwłaszcza że nie miałem absolutnie nic do stracenia.

- Chcę, żebyś zmusiła go do udzielenia wraz ze mną wywiadu w telewizji. Musi to być jakiś znany krajowy program. Nie wątpię, że twój mąż może to zorganizować.

- Co zamierzasz zrobić podczas tego wywiadu?

- To moja sprawa.

- Zobaczę, co się da zrobić. Jeżeli w ogóle będę mogła zrobić cokolwiek.

- Byłaś wspaniała. Bardziej niż wspaniała.

- Davidzie, przestań - wstała. - A teraz muszę już iść.

Podniosłem się z krzesła i pocałowałem ją. Tym razem pozwoliła moim ustom dotknąć jej warg. Poczułem falę romantycznych głupstw, które chciały się wydostać na wolność, ale powstrzymałem się przed czczą gadaniną.

- Zadzwoń do ciebie, jak tylko będę coś wiedziała - z tymi słowami odwróciła się i poszła do swojego samochodu.

W drodze powrotnej do Meredith powtarzałem w nieskończoność całą naszą rozmowę w myślach, czepiając się niczym tonący brzytwy kilku optymistycznych sygnałów, które mi dała. Odchodzi od Flecka. Nie przyznała wprawdzie, że mnie kocha, ale też nie zaprzeczyła. Poza tym w pewnym sensie wyznała, że zauroczyła się mną. Wiedziała również o moich uczuciach do niej, zanim usłyszałem, ile dostanie po rozwodzie z mężem. To chyba się liczyło, prawda?

Jako typowy fatalista, wyobraziłem sobie również najczarniejszy scenariusz: Fleck decyduje się grać twardziela, DVD zostaje opublikowane, szkalując mnie publicznie po raz drugi. Staję się nie tylko wstrętnym plagiatorem, ale również dewiantem, który rozbija małżeństwa... w dodatku śpiąc z kobietą w trzecim miesiącu ciąży. Martha odchodzi od Flecka, ale decyduje się zostać sama. W efekcie pozostaję z niczym, w jeszcze głębszym dole niż dotychczas.

W Meredith w księgarni na automatycznej sekretarce czekały na mnie dwie pilne wiadomości: pierwsza od mojego szefa pytającego, dlaczego nie otworzyłem dziś sklepu... i wyrażającego nadzieję, iż to tylko jednorazowy wyskok. Druga wiadomość była od Alison, która prosiła mnie o niezwłoczny kontakt.

Zadzwoiłem do niej.

- Niezbadane są ścieżki Pana - stwierdziła na wstępie.
- To znaczy?
- Posłuchaj tylko tego: właśnie odebrałam telefon od niejakiego Mitchella van Parksa, z cholernie ekskluzywnej firmy prawniczej w Nowym Jorku. Wyjaśnił, że działa w imieniu firmy Fleck Films i chciał przeprosić za zamieszanie w związku z rejestracją twojego... tak, użył dokładnie tego słowa... twojego scenariusza pod tytułem *Trzej malkontenci*. „To jakiś tragiczny błąd systemu SATWA”, powiedział. Oczywiście, Fleck Films wyprostowało całą sprawę. Ja na to: „Więc o czym teraz rozmawiamy?”. „O milionie dolarów oraz współautorstwie”. Odparłam: „siedem miesięcy temu pana klient, pan Fleck, zaoferował mojemu klientowi, panu Armitage, sumę dwóch i pół miliona dolarów, pay-or-play. Zważywszy na to, że można by zadać publicznie pewne pytania dotyczące sposobu, w jaki nazwisko pana Flecka w ogóle znalazło się na stronie tytułowej...”. Przerwał mi wtedy: „W porządku, milion czterysta”. Ale się nie zgodziłam.

- Nie?

- Nie. Oczywiście kontrargumentowałam, mówiąc, iż w związku z „intrygującymi” okolicznościami dotyczącymi praw autorskich do scenariusza, Fleck Films zapewne chciałby uczynić coś więcej w ramach ostatecznego załatwienia tej sprawy... i upewnienia się, że owo niefortunne porozumienie pozostanie prywatną sprawą mojego klienta i pana Flecka.

- I co na to ten prawnik?

- Trzy miliony.

- Na co ty odparłaś...?

- Sprzedane.

Odłożyłem na chwilę słuchawkę na stolik i ukryłem twarz w dłoniach. Nie czułem się triumfotorem. Nie czułem się oczyszczony z zarzutów. Nie czułem się uniewinniony. Nie wiedziałem w ogóle, co mam czuć... z wyjątkiem potwornej pustki i ogromnego pragnienia, aby chwycić Marthę w ramiona. Jej szalony plan się powiódł i teraz, jeżeli zechce zaryzykować, nasze wspólne życie mogłoby...

- David?! - wrzasnęła Alison do telefonu. - Jesteś tam?

- Przepraszam - przyłożyłem słuchawkę do ucha. - Miałem chwilowy...

- Nie musisz się tłumaczyć. To było długie sześć miesięcy.

- Dzięki, Alison. Niech cię Bóg błogosławi.

- Tylko nie zaczynaj się o mnie głośno modlić, Armitage. Będziemy musieli odwalić sporo brudnej, niechrześcijańskiej roboty w związku z prawami autorskimi do scenariusza. Poprosiłam van Parksa, żeby przesłał mi Fedexem ostatnią wersję scenariusza. Przywiozę ci ją jutro i zobaczymy, jaki powinien być nasz następny krok. Tymczasem zamierzam kupić sobie butelkę francuskich bąbelków... tobie radzę zrobić to samo. Wiesz, właśnie zarobiłam czterysta pięćdziesiąt tysięcy dolców.

- Gratuluję.

- Wzajemnie. Pewnego dnia musisz mi opowiedzieć, jak zdołałeś sprawić, że szczęście się znowu do ciebie uśmiechnęło.

- Nie powiem ci nic, poza tym jednym: cieszę się, że wróciłem do branży z tobą jako moją agentką.

- Nigdy nie wypadłeś z branży, Davidzie.

Po skończeniu rozmowy z Alison zadzwoniłem na komórkę Marthy. Połączyłem się jednak z pocztą głosową, więc zostawiłem następującą wiadomość:

„Martha, kochanie, to ja. Udało się. Twój szalony plan się powiódł. Proszę, zadzwoń, o każdej porze dnia i nocy. Po prostu zadzwoń. Kocham cię...”

Martha jednak nie zadzwoniła ani tego wieczoru, ani następnego dnia, ani dwa dni później. Zamiast tego skontaktowała się ze mną Alison z kolejnymi intrygującymi nowinami.

- Możesz zdobyć dzisiejsze wydanie „New York Timesa”? - spytała.

- Tak się składa, że sprzedajemy go w księgarni.

- Pójdź do działu o sztuce. Jest tam wyłączny wywiad z naszym ulubionym *auteurem*, Philipem Fleckiem. Powinieneś przeczytać, co o tobie powiedział. Według niego, jesteś najbardziej prześladowanym pisarzem od czasów Voltaire'a, podczas gdy twoje rzekome zbrodnie były niczym innym jak drobnostkami rozdmuchanymi do niemożliwych rozmiarów przez dziennikarskiego Joe McCarthy'ego* Sędzia, później senator amerykański, zainicjował kampanię antykomunistyczną, oskarżany o prowadzenie nagonek, oskarżanie i pomówienia często niewinnych osób. Najpiękniejsze jest jednak to, że wedle Flecka, ponieważ byłeś systematycznie szkalowany przez McCalla i bezwzględnie porzucony przez przemysł rozrywkowy, obaj uznaliście, że w najlepszym interesie filmu będzie... och, naprawdę potwierdza to słuszność mojej kiepskiej opinii o naturze ludzkiej...

Do tego czasu udało mi się chwycić egzemplarz gazety i otworzyć na właściwej stronie. Czytałem wraz z Alison, która ciągnęła:

- Posłuchaj tylko tego: Fleck twierdzi jednak, że idea nieumieszczenia nazwiska autora na liście plac przypomniła mu o

tragicznych czasach czarnej listy z lat pięćdziesiątych. Dlatego postanowił przerwać milczenie w tej sprawie i pomimo jego znanej antypatii do udzielania jakichkolwiek wywiadów, stanąć w obronie swojego scenarzysty. „David Armitage jest bez wątpienia jednym z najbardziej oryginalnych głosów amerykańskiego filmu i telewizji”, stwierdził Fleck. „To wstyd, że jego kariera została zrujnowana przez osobnika, który sam nie odniósł sukcesu zawodowego i postanowił zemścić się za to na kimś naprawdę utalentowanym. Jestem przekonany, że już sam genialny scenariusz do *Trzech malkontentów* całkowicie oczyści Davida z zarzutów i przypomni Hollywood, co straciło”.

- Niech mnie diabli! - rzuciłem.

- Szkoda, że nie robią nowej przeróbki *Życia Emila Zoli*. Po takim wystąpieniu Fleck dostałby główną rolę. Dobrze, że nazywa cię po imieniu. Powiesz mi wreszcie, co się zdarzyło na tej jego wyspie?

- Będę milczał jak grób.

- Nie ma z tobą żadnej zabawy. Cóż, przynajmniej znowu zacząłeś przynosić zyski, a powiadam ci, ten artykuł otworzy przed tobą ponownie wiele drzwi w tym mieście.

Rzeczywiście, tego wieczoru telefon wręcz się urywał. Zgodziłem się na udzielenie komentarza dla „Daily Variety”, „Hollywood Reporter”, „LA Timesa” i „San Francisco Chronicle”. Co im powiedziałem? Jaka była moja oficjalna reakcja na natchnioną obronę mojego honoru przez Philipa Flecka? Rozegrałem swoją partię:

- Każdy pisarz potrzebuje takiego reżysera jak Philip Fleck... z jego hojnością i natchnieniem, lojalnością oraz rzadko spotykaną, cudowną wiarą w słowo pisane – ten ostatni komentarz był oczywiście ukrytym przekazem dla Flecka i jego drużyny twórczej: „Nie myślcie, że uda się wam zmienić choćby jedną literę w moim scenariuszu”.

Kiedy dziennikarze spytali, czy żywię jakąkolwiek urazę do Theo McCalla, odparłem po prostu:

- Cieszę się, że nie jestem jego sumieniem.

Tej nocy ponownie próbowałem skontaktować się z Marthą, ale

połączyłem się, jak poprzednio, z pocztą głosową. Zostawiłem krótką wiadomość o tym, jak bardzo ucieszył mnie artykuł w „Timesie”, że nadal mam nadzieję na wspólny wywiad telewizyjny z Fleckiem i że bardzo chciałbym z nią porozmawiać.

Nie oddzwoniła. Oparłem się pokusie wysłania e-maila lub pojechania do Malibu i zapukania do jej drzwi. Oczywiście zdawałem sobie sprawę z tego, co robił Fleck: oprócz upewnienia się, że nagranie mojej nocy z Martha nie ujrzy światła dziennego, dawał w ten sposób do zrozumienia swojej żonie, że nie chce jej stracić.

Następnego dnia wywiad z Fleckiem ukazał się ponownie w „LA Timesie”. Rano zaś zadzwonił do mnie realizator programu *Today* w NBC i poinformował, że zarezerwowano mi bilet na samolot do Nowego Jorku o drugiej po południu. Z lotniska Kennedy'ego miała odebrać mnie limuzyna i zawieźć do hotelu Pierre. Następnego dnia rano zaś miałem udzielić wspólnego wywiadu z panem Fleckiem.

Spojrzałem na zegarek. Było piętnaście po dziewiątej. Żeby dojechać na czas na lotnisko LAX, musiałbym wyruszyć za godzinę. Po potwierdzeniu, że mogę odebrać bilet na lotnisku, zadzwoniłem do Lesa.

- Wiem, że to na ostatnią chwilę, ale naprawdę bardzo potrzebuję dwóch wolnych dni.

- Widziałem artykuł w dzisiejszym „LA Timesie”. Pewnie nie popracujesz ze mną zbyt długo, co Davidzie?

- Pewnie nie.

- Jeśli chodzi o te dwa dni, to nie ma sprawy. Czy miałbyś jednak coś przeciwko temu, żeby odpracować swoje dwa tygodnie wypowiedzenia, żebym zdążył znaleźć kogoś na zastępstwo?

- Nie ma sprawy, Les.

Spakowałem do walizki wszystkie cztery scenariusze z lat dziewięćdziesiątych i ubrania na zmianę. Droga na lotnisko zajęła mi nieco ponad dwie godziny. Po kolejnych sześciu godzinach wylądowałem po drugiej stronie kontynentu i znalazłem się w pokoju

hotelowym przed północą. Nie mogłem jednak zasnąć, więc ubrałem się i spacerowałem po ulicach Manhattanu do białego rana. Po powrocie do hotelu przebrałem się w garnitur i czekałem na przyjazd firmowej limuzyny NBC. Pojawiła się tuż po siódmej.

Piętnaście minut później wizażystka robiła mi już makijaż. Nagle drzwi otworzyły się i do pomieszczenia wkroczył Philip Fleck w towarzystwie dwóch potężnych gentlemanów w sztywnych czarnych garniturach. Ochroniarze.

Fleck usiadł na krześle tuż obok. Spojrzałem na niego i zauważyłem, że jego oczy są podpuchnięte. Widocznie nie byłem jedyną osobą, która miała tej nocy problemy ze snem. Jego niepokój był prawdziwym manifestem, podobnie jak to, że odmówił spojrzenia na mnie choćby raz. Wizażystka usiłowała go trochę rozluźnić, gadając bez przerwy, kiedy nakładała podkład i puder na jego bułowaną twarz, ale on tylko zamknął oczy i odciął się od świata.

Potem drzwi otworzyły się znowu i do środka weszła dwudziestoletnia, bardzo energiczna kobieta. Poinformowała, że ma na imię Melissa i jest producentką dzisiejszego programu. Zapoznała nas z przebiegiem pięciominutowego wywiadu. Fleck nie skomentował ani razu listy potencjalnych pytań, które mógł zadać nam gospodarz, Matt Lauder.

- Czy mają panowie jakieś pytania? - rzuciła na koniec.

Pokręciliśmy głowami. Melissa życzyła nam powodzenia i wyszła.

Zwróciłem się w stronę Flecka.

- Chciałem ci podziękować za wspaniałe komentarze w wywiadzie dla „Timesa”. Byłem ogromnie wzruszony.

Nie odpowiedział. Patrzył przed siebie, z twarzą napiętą z niepokojem i zakłopotania.

A potem nagle pojawili się ludzie, którzy odeskortowali nas za kulisy dzisiejszego programu *Today*. Matt Lauder już był w studio. Siedział ze skrzyżowanymi nogami na fotelu. Wstał, żeby uścisnąć

nam dłonie, ale nie zdołał powiedzieć nic poza krótkim przywitaniem, ponieważ doskoczyli do nas dźwiękowcy i zaczęli przypinać nam mikrofony, podczas gdy jednocześnie dwie wizażystki poprawiały nasz makijaż. Położyłem na stoliku moje cztery scenariusze. Fleck spojrzał na nie, ale nic nie powiedział. Dostrzegłem, że jego czoło zrosiło się potem. Trema wyraźnie dawała o sobie znać. Czytałem tyle razy o jego patologicznej nienawiści do wywiadów. Teraz z bliska widziałem, jaki to był dla niego wysiłek. I zdałem sobie sprawę, że robi to tylko dlatego, żeby nie stracić Marthy.

- Wszystko w porządku, Philipie? - spytał Matt Lauder swojego spoconego gościa.

- Tak, będzie dobrze.

Główny producent obwieścił:

- Piętnaście sekund.

Wszyscy zeszytnieliśmy w oczekiwaniu. Producent zaczął odliczać ostatnie pięć sekund, a potem wycelował wskazujący palec na Laudera, który natychmiast przełączył się na tryb czynny.

- Witamy ponownie, a dla tych, którzy lubią słuchać o dobrych hollywoodzkich skandalach, mamy tu opowieść o jednym z nich, o którym od kilku dni rozpisują się gazety. W przeciwieństwie do innych tego typu sytuacji, tym razem sprawa zakończyła się pomyślnie dla Davida Armitage'a, zdobywcy nagrody Emmy za przebojowy serial *Sprzedając ciebie*. David został zwolniony z produkcji własnego dzieła po oskarżeniach o plagiatostwo. Teraz jednak jego reputacja została kompletnie odbudowana dzięki interwencji jednego z najbardziej wpływowych biznesmenów amerykańskich, Philipa Flecka.

Potem Lauder streścił pokrótce postawione mi wcześniej zarzuty, rozpoczętą przez Theo McCalla kampanię przeciwko mnie oraz sposób, w jaki Fleck zdołał przywrócić mi dobre imię.

- Wiem, że nie lubisz rozgłosu, Philipie - stwierdził. - Dlaczego więc zdecydowałaś się wystąpić publicznie i pomóc Davidowi Armitage'owi?

Fleck zaczął mówić bardzo niepewnym głosem, z lekko opuszczoną głową, niezdolny do spojrzenia w oczy gospodarzowi programu.

- Cóż... eee... David Armitage jest bez wątpienia jednym z najbardziej wpływowych scenarzystów współczesnych. Tak się również składa, że napisał scenariusz do mojego najnowszego filmu... Kiedy więc jego kariera została zrujnowana przez mściwego dziennikarza, człowieka, którego można porównać do płatnego mordercy... cóż... po prostu poczułem, że muszę interweniować.

- Davidzie, rozumiem, że owa interwencja była dla ciebie punktem zwrotnym w historii, zwłaszcza po wszystkich tych oszczerstwach, które usłyszałeś przez ostatnie kilka miesięcy, i kalumniach, które dosłownie wyгнаły cię z Hollywood.

Uśmiechnąłem się szeroko.

- Masz absolutną rację, Matt. Zawdzięczam moje zawodowe zmartwychwstanie jednemu człowiekowi, gentlemanowi siedzącemu po twojej lewicy, mojemu wielkiemu przyjacielowi, Philipowi Fleckowi. Chciałem dziś zademonstrować, jak głęboka była jego przyjaźń... - pochyliłem się w kierunku stolika i chwyciłem jeden ze scenariuszy, otwierając go na stronie tytułowej. - Kiedy moja reputacja legła w gruzach i nikt nie chciał mnie zatrudnić, czy wiesz, co zrobił Philip? Wystąpił jako moja przykrywka i wstawił swoje nazwisko jako autora moich czterech starych manuskryptów. Wiedział bowiem doskonale, że jeśli pozostaną sygnowane moim nazwiskiem, żadne studio filmowe się nimi nie zainteresuje. Widzisz, oto jeden ze scenariuszy, *Trzej malkontenci*... jak może zauważyłeś, Matt, autorem jest Philip Fleck.

Kamera przesunęła się i pokazała zbliżenie strony tytułowej.

- Czyli zadziałałeś jako przykrywka dla Davida, tak, Philipie? - spytał Lauder Flecka.

Po raz pierwszy od czasu naszego spotkania Fleck spojrzał mi w oczy z chłodnym niedowierzaniem. Wiedział, że go mam i nie mógł

zrobić nic innego, jak tylko tańczyć, jak mu zagrałem. Kiedy kamera skoncentrowała się na nim, odparł:

- To, co... eee... powiedział David - to prawda. Jego imię zmieszano z błotem, został uznany za trędowatego w kręgach filmowych Hollywoodu. Ponieważ zaś... eee... chciałem, żeby filmy, które zamierzam zrealizować na podstawie jego scenariuszy, zostały przeprowadzone przez poważną firmę dystrybutorską... eee... nie miałem większego wyboru, jak tylko zmienić imię autora na własne... oczywiście za zgodą Davida.

- Czy mam rozumieć, Philipie, że poza filmem *Trzej malkontenci*, którego produkcja ma się rozpocząć w przyszłym miesiącu, z Peterem Fondą, Dennisem Hopperem i Jackiem Nicholsonem, zamierzasz wyprodukować pozostałe trzy filmy do scenariuszy Davida Armitage'a? - spytał Lauder.

Fleck wyglądał, jakby chciał się wczłogać pod krzesło.

- Taki jest plan, Matt - odparł mimo to.

- To nie wszystko, Matt - wtrąciłem się szybko. - Wiem, że Philip będzie teraz zażenowany tym, co zamierzam powiedzieć, jest bowiem człowiekiem, który nie lubi robić wielkiego rozgłosu ze swojej szczodroblewości. Kiedy jednak byłem zupełnie bez pracy, nie tylko zgodził się kupić wszystkie cztery scenariusze, ale nalegał, żeby zapłacić mi za każdy z nich trzy miliony.

Nawet Matt Lauder wydawał się nieco oszołomiony taką sumą pieniędzy.

- Czy to prawda, panie Fleck? - spytał z nowo nabytym szacunkiem.

Fleck zacisnął usta, jakby chciał zaprzeczyć mojemu oświadczeniu, potem jednak powoli pokiwał głową.

- Oto co nazywam prawdziwym aktem zawodowej wiary - stwierdził Lauder.

- Powtórz te słowa - odparłem, cały w uśmiechach. - Co więcej, Philip nalegał, żeby owe dwanaście milionów za moje manuskrypty zostało mi wypłacone na zasadzie pay-or-play... innymi słowy, dostanę

swoje pieniądze niezależnie od tego, czy wejdą do produkcji, czy nie. Ciągłe powtarzałem mu, że jest zbyt hojny, ale Philip uparł się, żeby mi pomóc i, co ważniejsze, tak niezachwianie wierzył we mnie, że w końcu musiałem się zgodzić. Oczywiście nie trzeba było mnie zbyt długo przekonywać.

Mój ostatni komentarz wywołał wybuch śmiechu u Matta Laudera.

- Wygląda na to, że jest pan spełnieniem marzeń każdego scenarzysty, panie Fleck - stwierdził.

Fleck utkwił we mnie wzrok.

- David jest wart każdej sumy.

Wytrzymałem jego spojrzenie.

- Dziękuję ci, Philipie.

Pół minuty później wywiad dobiegł końca. Fleck natychmiast opuścił studio. Uścisnąłem dłoń Mattowi Lauderowi i odprowadzono mnie do mojej garderoby. Wcześniej zostawiłem tam na jednym ze stołów komórkę. Zaczęła dzwonić, kiedy chowałem ją do kieszeni.

- Ty szalony, niebezpieczny skurwielu - Alison była wyraźnie rozbawiona. - Nigdy w życiu nie widziałam takiego przekrętu.

- Cieszę się, że aprobujesz.

- Aprobuję? Właśnie zarobiłeś dla mnie półtora miliona dolarów. Oczywiście, że aprobuję. Jak cholera! Gratuluję.

- Ja tobie również. Naprawdę jesteś warta piętnaście procent.

Alison roześmiała się chrapliwie.

- Zbieraj dupę w troki i przyjeżdżaj, bo po tym wywiadzie rozdzwonią się telefony. Za chwilę staniesz się najbardziej pożądanym człowiekiem Hollywoodu.

- Nie mam nic przeciwko temu, ale nie mogę się niczym zająć przez następne dwa tygodnie.

- Niby dlaczego?

- Muszę odpracować okres wypowiedzenia w księgarni.

- Davidzie, przestań gadać jak pokręcony...

- Obiecałem facetowi...

Nagle drzwi do garderoby otworzyły się i stanął w nich Philip Fleck.

- Muszę kończyć, Alison - powiedziałem. – Zadzwoń później.

Fleck usiadł na krześle obok mnie. Wizażystka podeszła do niego ze stoikiem kremu do demakijażu. Fleck powstrzymał ją.

- Czy może nas pani na chwilę zostawić?

Dziewczyna wyszła, zamykając za sobą drzwi. Zostaliśmy sami. Fleck milczał przez kilka chwil, a potem rzucił:

- Wiesz, że nie zamierzam wyprodukować żadnego z twoich scenariuszy. Nigdy w życiu.

- Twoje prawo.

- Wycofuję się nawet z *Trzech malkontentów*.

- Również twoje prawo, chociaż możesz wkurzyć tym pana Fondę, pana Hoppera i pana Nicholsona.

- Jeżeli dostaną swoją forszę, nic ich to nie obejdzie. W końcu to biznes. Nikogo nic nie obchodzi tak długo, jak przestrzega się kontraktu i pieniądze lądują na koncie. Dlatego nie martw się, dostaniesz swoje dwanaście milionów. W końcu to kontrakt pay-or-play. Dla mnie ta suma to drobny wydatek.

- Nie obchodzi mnie, czy mi zapłacisz, czy nie.

- Owszem, obchodzi cię, i to bardzo, ponieważ dzięki tym dwunastu milionom znowu stałeś się hollywoodzkim Złotym Chłopcem. Wiele mi zatem zawdzięczasz. Przy okazji zrobiłeś dużo dla mojego wizerunku publicznego. Wyszedłem dzięki tej sprawie na wielkiego humanistę... oraz przyjaciela wszystkich pisarzy. Innymi słowy, korzyści były obopólne.

- Naprawdę musisz wszystko mieć pod kontrolą?

- Nie nadążam za twoją logiką...

- Owszem, nadążasz, bo to ty zniszczyłeś moją karierę i życie.

To ty...

- Co takiego zrobiłem? - spytał, przerywając mi.

- ...postanowiłeś wyreżyserować mój upadek...

- Doprawdy? - wydawał się rozbawiony. - Naprawdę tak sądzisz?

- Wiem to z całą pewnością.

- To bardzo pochlebiające. Pozwól jednak, że cię o coś zapytam, Davidzie. Czy kazałem ci porzucić żonę i dziecko? Czy zmusiłem cię do wizyty na mojej wyspie? Czy sprzedałeś mi swój scenariusz, bo trzymałem cię na muszce... chociaż nienawidziłeś wszelkich pomysłów, które miałem na temat zmian w twojej wersji? A kiedy ten ohydny McCall wytknął ci, że ściągnąłeś kilka linijek z jakiejś starej sztuki, czy powiedziałem ci wtedy, że powinieneś natychmiast przejść do ofensywy?

- Nie w tym rzecz. Zorganizowałeś to wszystko, żeby mnie zniszczyć...

- Nie, Davidzie, to ty sam siebie zniszczyłeś. Uciekłeś od żony z panną Birmingham. Skorzystałeś z mojej gościnności. Nie miałeś nic przeciwko przyjęciu dwóch i pół miliona dolarów za scenariusz. Dopuszczałeś się rękoczynów w stosunku do wrednego dziennikarza, a także zakochałeś się w mojej żonie. Ja nie miałem nic wspólnego z żadną z tych rzeczy, Davidzie. Sam podejmowałeś decyzje. Nie grałem z tobą w żadną grę. Stałeś się ofiarą własnych wyborów. Życie takie właśnie jest. Wybieramy, a z powodu naszych decyzji zmieniają się okoliczności i warunki naszej egzystencji. To się nazywa działanie przyczynowo-skutkowe. A kiedy zdarzają się złe rzeczy z powodu niewłaściwych decyzji, które podjęliśmy, lubimy obwiniać siły wyższe i innych, spiskujących przeciwko nam złych ludzi. Tymczasem tak naprawdę możemy mieć pretensje wyłącznie do siebie samych.

- Podziwiam pana amoralność, panie Fleck. Jest doprawdy niesamowita.

- Podobnie jak ja podziwiam to, że tak całkowicie potrafisz zamknąć się na prawdę o całej tej sytuacji.

- A tą prawdą jest, iż... ?

- Sam siebie wrobiłeś. Wszedłeś prosto...

- ...w pułapkę, którą na mnie zastawiłeś?

- Nie, Davidzie... w pułapkę, którą zastawiłeś na siebie sam. Oczywiście dlatego, że jesteś człowiekiem. Ludzie zawsze zastawiają na siebie pułapki. Nazywamy to, zdaje się, wątpliwościami. Najbardziej zaś wątpimy w siebie samych.

- Co ty wiesz o wątpliwościach?

- Och, byłbyś zdziwiony, jak wiele. Pieniądze nie pomagają pozbyć się wątpliwości. Szczerze powiedziawszy, często je zwielokrotniają - wstał. - A teraz muszę...

- Kocham twoją żonę - przerwałem mu.

- Gratuluję. Ja również ją kocham - z tymi słowy Fleck odwrócił się i podszedł w kierunku drzwi. Otworzył je, odwrócił się i dodał: - Do zobaczenia w kinie, Davidzie.

I zniknął.

Tego popołudnia w drodze na lotnisko JFK zostawiłem na poczcie głosowej Marthy dwie prośby o to, żeby do mnie zadzwoniła. Kiedy siedem godzin później dotarłem do Los Angeles, na automatycznej sekretarce znalazłem tuzin wiadomości od różnych niegdyśszych kolegów i przyjaciół, gratulujących mi mojego występu telewizyjnego. Niestety, jedynej wiadomości, którą pragnąłem usłyszeć - wiadomości od niej - nie było.

Wsiadłem do samochodu i pojechałem na wybrzeże. Następnego dnia odkryłem w sekcji rozrywkowej „LA Timesa” obszerny artykuł zatytułowany „Theo McCall i sztuka mściwego dziennikarstwa”.

Historia została bardzo dobrze zbadana i podawano w niej wiele źródeł informacji. Była kompletnym expose stalinowskich metod McCalla, jego romansu z udupianiem talentów, jego potrzebą zniszczenia karier innych ludzi. Znalazły się tam również interesujące szczegóły osobiste, jak na przykład fakt, iż Theo McCall opowiadał wszystkim, że jest absolwentem Trinity College w Dublinie, podczas gdy w rzeczywistości ledwo udało mu się skończyć gimnazjum. Napisano również, że odszedł od dwóch różnych kobiet po tym, jak dowiedział się, iż są z nim w ciąży - i oczywiście odmówił płacenia jakichkolwiek alimentów. Opowiedziano o tym, jak został wyrzucony z jego jedynej prawdziwej pracy scenarzysty w NBC,

podobnie jak o pewnym mało znanym fakcie, iż rok przed ukazaniem się w telewizji *Sprzedając cię* McCall zaprezentował swoim pracodawcom pomysł (nigdy niepodjęty) na sitcom, którego akcja miałaby się rozgrywać w biurze reklam. Wniosek nasuwał się sam: nie dziwne, że wytoczył wojnę przeciwko Davidowi Armitage'owi i jego przebojowemu serialowi.

Następnego dnia Theo McCall poszedł do piachu. „Hollywood Legit” oznajmiło, że jego felieton przestanie się ukazywać, i chociaż wielu jego kolegów po fachu próbowało go odnaleźć (aby wydobyć od niego komentarz na artykuł w „LA Timesie”), podobno przepadł jak kamień w wodę.

- Wiesz niesie, że facet zwał do Anglii - oznajmiła Alison, kiedy do mnie zadzwoniła. - Tak przynajmniej twierdzi mój prywatny detektyw. Wiesz, co jeszcze mi powiedział? Podobno w zeszłym tygodniu McCall dostał równy milion dolarów z Lubitsch Holdings. Pewnie się domyślasz, jaką umowę zawarł z tą szują Fleck: bierzesz odpowiedzialność na siebie, tracisz reputację, opuszczasz miasto w pośpiechu i dostajesz za to milion dolców.

- Jak ten twój detektyw znajduje takie wiadomości?

- Nie pytam. Poza tym już nie jest moim detektywem. Od dzisiaj nie pracuje nad sprawą, ponieważ została zamknięta. Ach, przy okazji, dzisiaj pojawiły się u mnie w biurze kontrakty na zakup wszystkich czterech scenariuszy, spisane przez prawników Fleck Films. Równe dwanaście milionów, pay-or-play...

- Nawet jeżeli nie wyprodukuje żadnego z nich.

- Z wyjątkiem *Malkontentów*.

- Powiedział mi, że tego też nie zamierza realizować.

- Tak, ale stwierdził tak zaraz po tym, jak zrobiłeś go w jajo publicznie, w wywiadzie dla *Today*. Myślę, że jego żona przekonała go jednak do pierwotnej wersji.

- To znaczy...?

- W dzisiejszym „Daily Variety” na stronie trzeciej znalazłam artykuł oznajmiający rozpoczęcie zdjęć do filmu *Trzej malkontenci* za sześć tygodni. Producentem ma być Martha Fleck. Najwyraźniej

masz w niej ogromną wielbicielekę.

- Nie wiedziałem o tym.

- Davidzie, kogo obchodzi, czy ta pani cię lubi, czy nie? Ważne, że robią film, a to dobra nowina.

Moje szczęście nie skończyło się na tym. Tydzień później zadzwonił do mnie Brad Bruce.

- Mam nadzieję, że nadal chcesz ze mną rozmawiać - stwierdził.

- Za nic cię nie obwiniam, Brad.

- To bardzo wielkoduszne z twojej strony. W podobnych okolicznościach ja pewnie nie puściłbym tego tak łatwo w niepamięć. Mimo to dzięki. Jak ci leci, Davidzie?

- W porównaniu z ostatnimi sześcioma miesiącami, jakby lepiej.

- Nadal mieszkasz w tej mieścinie, do której zaciągnęła cię Alison?

- Uhm. Odpracowuję okres wypowiedzenia w lokalnej księgarni.

- Pracowałeś w księgarni?

- Musiałem przecież jeść, nie?

- Rozumiem, rozumiem. Ale teraz, kiedy zabezpieczyłeś sobie dwanaście milionów od Philipa Flecka...

- Nadal zamierzam pracować w księgarni przez kolejne pięć dni.

- Dobrze, dobrze. Podziwiam cię... ale zamierzasz chyba potem wrócić do LA?

- Tam przecież są pieniądze, czyż nie?

Brad roześmiał się.

- Jak tam nowa seria? - spytałem.

- Tak... właśnie w tej sprawie do ciebie dzwonię. Po twoim odejściu ustawiłem w redakcji scenariusza Dicka LaTouche. Dostaliśmy sześć nowych odcinków, ale powiem ci, szefostwo jest bardzo niezadowolone. Nowym kawałkom brakuje sprytu, błyskotliwości, prowokacji i tego maniakałnego humoru, którego nam dostarczałeś.

Milczałem.

- Dlatego zastanawialiśmy się...

Tydzień później podpisałem kontrakt z FRT, aby powrócić do realizacji *Sprzedając siebie*. Miałem napisać scenariusz do pozostałych ośmiu odcinków i przejąłem całkowitą kontrolę nad redakcją manuskryptów. Zgodziłem się również na to, że w pierwszej kolejności podkreczę nieco pierwsze sześć odcinków.

Dług, z którym teoretycznie zalegałem za ów feralny odcinek w poprzedniej serii, oczywiście został natychmiast anulowany. Oddało mi moje kredyty, premię autorską, nie wspominając o biurze, miejscu na parking, ubezpieczeniu medycznym i, przede wszystkim, mocnej pozycji w biznesie. Gdy tylko bowiem mój nowy dwumilionowy kontrakt z FRT został zaanonsowany publicznie, wszyscy chcieli znowu być moimi przyjaciółmi. Alison otrzymała telefon od ludzi z Warnera, którzy oświadczyli, że planują wznowić realizację *Kradzieży z włamaniem* (i oczywiście ta głupia sprawa z oddaniem zaliczki... proszę powiedzieć panu Armitage'owi, żeby sobie ją zatrzymał). Starzy wspólnicy dzwoniли do mnie co chwila, znajomi z branży zaprosili mnie kilka razy na lunch. I nie, nie myślałem sobie: „Gdzie byliście, kiedy was potrzebowałem?”. Wiedziałem bowiem, że Hollywood nie działa w taki sposób. Jesteś w biznesie lub z niego wypadasz. Płyniesz na fali albo się topisz. W tym sensie Hollywood było czysto darwinowską konstrukcją. W przeciwieństwie do innych miast, które tę samą bezlitosną zasadę usiłowały ukryć pod fasadą wyszukanej uprzejmości prawniczej oraz intelektualnej afektacji, w Hollywood obowiązywała jedna prosta zasada: jestem zainteresowany tak długo, jak długo przynosisz mi korzyści. Dla wielu ludzi była to kwintesencja powierzchowności LA, ja jednak podziwiałem bezlitosną praktyczność owego światopoglądu. Człowiek wiedział doskonale, na czym stoi, znał reguły gry.

Tego samego tygodnia, w którym podpisałem kontrakt z FRT, przeprowadziłem się z powrotem do miasta. Chociaż z łatwością mogłem rozpocząć poszukiwanie domu do kupienia, pojawiła się w

moim umyśle elementarna ostrożność. Żadnych pochopnych decyzji, żadnego łapania się na kosztowną lśniąca rezydencję, żadnej więcej wiary w powodzenie i sukces. Zamiast zatem ogromnego minimalistycznego poddasza na jakimś hipernuworyszowskim osiedlu Brentwood wynająłem przyjemny nowoczesny domek na przyjemnym nowoczesnym osiedlu w Santa Monica, za trzy tysiące dolarów miesięcznie. Dwie sypialnie, przestronny i rozsądny, taki, jakiego było mi potrzeba.

Kiedy zaś przyszło do wybrania owego niezbędnego symbolu LA - samochodu - zdecydowałem się zatrzymać mojego biednego pobijanego golfa. Pierwszego dnia, kiedy przyjechałem nim do FRT tuż za lśniąącym mercedesem kabrioletem SR Brada Bruce'a, jego właściciel przyjrzał się mojemu rękowi z rozbawieniem.

- Niech zgadnę - rzucił. - To taki powrót do przeszłości... pewnie w schowku masz pełno płyt Crosby'ego, Stillsa i Nasha, co?

- W Meredith dojeżdżałem nim z punktu A do punktu B, więc tutaj pewnie też dowiesz mnie tam, gdzie trzeba.

Brad uśmiechnął się z wyższością, jakby chciał powiedzieć: „Dobra, dobra, niech ci będzie. Poudawaj trochę gościa z plebsu... i tak niedługo znowu wskoczysz na wyższą półkę, bo tego będą po tobie oczekiwać inni”. Wiedziałem, że ma rację. Ostatecznie pewnie pozbędę się tego ręką, ale dopiero wtedy, kiedy pewnego poranka nie zapali.

- Gotowy na wielkie powitanie? - spytał mnie Brad.

- No jasne - odparłem.

Kiedy jednak wszedłem do biura w studiu realizatorskim *Sprzedając cię* i cały zespół przywitał mnie owacją na stojąco, onie miałem, a oczy zaczęły mnie piec od zbierających się pod powiekami łez. Gdy oklaski ucichły, zrobiłem to, czego oczekiwano:

- Powinni mnie częściej wyrzucać z pracy - zażartowałem. - Dziękuję za to miłe przyjęcie. Nikt z was nie powinien być w tej

branży, wiecie? Jesteście zbyt dobrymi ludźmi.

Potem wycofałem się do mojego biura. Nadal stało tam moje biurko, podobnie jak fotel od Hermana Millera. Usiadłem w nim, wyregulowałem wysokość i odchyliłem się na oparcie. Pomyślałem, że nie spodziewałem się jeszcze kiedyś zobaczyć tego miejsca.

Po chwili do drzwi zapukała moja dawna asystentka, Jennifer.

- Witam, witam - rzuciłem miłym głosem.
- Czy mogę wejść? - spytała niepewnie.
- Pracujesz tutaj przecież. Oczywiście, że możesz wejść.
- Davidzie... panie Armitage... ?
- David. Cieszę się, że koniec końców nie wyrzucili cię z pracy.
- W ostatniej chwili okazało się, że jedna z asystentek odchodzi, więc przyjęli mnie na jej miejsce. Davidzie, czy kiedykolwiek będziesz w stanie wybaczyć mi sposób, w jaki...
- To było wtedy, teraz jest nowy dzień, a ja chciałbym się napić podwójnej porcji espresso.
- Nie ma sprawy - odparła z widoczną ulgą. - Przyniosę też listę telefonów.

Zupełnie jak za starych dobrych czasów.

Spośród listy nazwisk ludzi, którzy usiłowali się ze mną skontaktować, wyróżniały się dwa: Bobby'ego Barry'ego oraz Sally Birmingham. Sally zadzwoniła raz, pod koniec zeszłego tygodnia. Bobby z kolei wydzwaniał do mnie dwa razy każdego dnia od czterech dni. Jennifer twierdziła, że błagał ją o podanie mojego numeru domowego. Podobno powtarzał cały czas to samo: „Powiedz mu, że mam dla niego dobre wiadomości”. Kiedy to usłyszałem, wiedziałem, że jakiegokolwiek nowiny miał dla mnie Bobby, stał za tym Fleck.

Nie odbierałem jego telefonów przez następny tydzień. Chciałem, żeby wiedział, iż nie można mnie tak po prostu ponownie zdobyć. Wreszcie skapitulowałem.

- W porządku - powiedziałem do Jennifer, kiedy po raz kolejny oznajmiła mi, że ma na linii Bobby'ego Barre, trzeci raz z rzędu tego dnia. - Przełącz go do mnie.

Gdy tylko rzuciłem: „Halo”, Bobby zaczął nawijkę:

- Nieźle potrafisz dać człowiekowi popalić - stwierdził.

- I kto to mówi?

- Hej, to ty zachowałeś się jak nieźrównoważony dupek...

- A ty powiedziałeś, że nigdy więcej nie chcesz mieć ze mną nic do czynienia. Dlaczego zatem nie powiemy sobie wzajemnie „spierdaj” i nie zostawimy tego w cholere?

- Ooo, posłuchajcie tylko tego luzaka. Wrócił na szczyt i od razu zaczyna traktować maluczkich jak śmieci.

- Nie jestem za porównywaniem rozmiarów, Bobby, nawet jeżeli jesteś wrednym, dwulicowym, małym konusowatym gówniarzem.

- I pomyśleć, że chciałem ci przekazać dobre nowiny.

- Strzelaj - rzuciłem pozornie znudzonym tonem.

- Pamiętasz te dziesięć tysięcy, które zostawiłeś u mnie na rachunku?

- Nie zostawiłem u ciebie żadnych pieniędzy, Bobby. Kiedy zamknąłem...

- Zapomniałeś o dziesięciu tysiącach dolarów.

- Gówno prawda.

- Davidzie, powtórzę jeszcze raz: zapomniałeś o dziesięciu tysiącach dolarów. Kumasz?

- Uhm. I coś takiego, że odważę się spytać, stało się z owymi „zapomnianymi” pieniędzmi?

- Kupiłem ci za nie małe, ale pewne udziały w wenezuelskiej wyszukiwarce internetowej, która właśnie weszła na rynek. I co się okazało? Wartość akcji wzrosła pięćdziesięciokrotnie i...

- Dlaczego opowiadasz mi tę absurdalną historię?

- To nie żaden absurd. Masz teraz na koncie firmy Barra & Company pół miliona dolarów. Dzisiaj każę moim ludziom wysłać tobie i twojemu księgowemu wykaz.

- Naprawdę chcesz, żebym w to uwierzył?

- Pieniądze są na twoim cholernym koncie, Davidzie.

- O tak, w to akurat wierzę. Ale to wenezuelskie IPO? Nie mogłeś wymyślić czegoś lepszego?

Przerwa.

- Czy to ważne, w jaki sposób ta forsa znalazła się na twoim koncie?

- Po prostu chcę, żebyś przyznał...

- Co takiego?

- Że kazał ci mnie zrobić.

- Kto?

- Wiesz doskonale, o kim mówię.

- Nie rozmawiam z klientami o innych klientach.

- On nie jest klientem. On jest Bogiem...

- Bóg czasem bywa dobry. Daruj więc sobie to świętoszkowate kazanie... zwłaszcza że Bóg zapłacił ci również dwanaście milionów dolarów za scenariusze, które pleśniały w dolnej szufladzie. A skoro już jesteśmy przy tym, powinieneś mi pogratulować, że zarobiłem dla ciebie dwieście pięćdziesiąt tysięcy więcej niż to, z czym wylądowałeś podczas kryzysu.

Westchnąłem.

- Cóż mogę rzec? Jesteś geniuszem, Bobby.

- Przyjmuję to jako komplement. Co chcesz, żebyś zrobił z forszą?

- To znaczy, jak masz je dla mnie zainwestować?

- O to właśnie pytam.

- Dlaczego sądzisz, że nadal chcę, abym był moim maklerem?

- Bo wiesz, że zawsze zarabiałem dla ciebie pieniądze.

Rozważałem sprawę przez chwilę.

- Wiesz, że po odliczeniu podatku i prowizji Alison będę miał dodatkowe sześć milionów z umowy z Fleckiem?

- Tak, porachowałem to sobie.

- Powiedzmy, że chciałbym ulokować te sześć milionów, wraz z połówką, którą dla mnie zarobiłeś, w funduszu powierniczym...?

- Funduszami powierniczymi też się zajmujemy. Nie jest to najbardziej seksowny rodzaj inwestycji...

- Ale nie da rady przypadkowo zmienić ich w akcje jakiegoś indonezyjskiego IPO?

Teraz to Bobby westchnął ciężko. Zamiast jednak skomentować zgryźliwie, powiedział tylko:

- Jeżeli chcesz bezpieczną lokatę niskiego ryzyka, nic prostszego.

- Dokładnie tego chcę. Ultrabezpieczne. Solidne. Fundusz ma zostać założony na nazwisko Caitlin Armitage.

- Bardzo ładnie - pochwalił Bobby. - Aprobuję.

- Bardzo dziękuję. A skoro już jesteśmy przy podziękowaniach, przekaż je Fleckowi.

- Nie słyszałem tego.

- Nie mów mi, że głuchniesz.

- Nie zauważyłeś? Połączenie się rwie. Myślę, że to się nazywa życie. Dlatego, mój przyjacielu, należy podchodzić do niego z umiarkowanym rozbawieniem, zwłaszcza w czasach kryzysu.

- Proszę, nie dość, że makler, to jeszcze filozof. Brakowało mi ciebie, Bobby.

- Mnie ciebie też, Davidzie... i to cholernie. Lunch w przyszłym tygodniu?

- Chyba nie dam rady tego uniknąć.

Udało mi się to jednak z telefonami od Sally.

Nie była oczywiście tak uparta jak Bobby, ale jej nazwisko pojawiało się na liście telefonicznej raz w tygodniu przez pierwsze trzy tygodnie. Potem pewnego dnia przyszedł do mnie list w firmowej kopercie Foxa.

*Drogi Davidzie,
piszę, żeby powiedzieć Ci, jak bardzo cieszę się z Twojego powrotu do branży po tej okropnej kampanii oszczerstw nakręcanej przez Theo McCalla. Jesteś jednym z największych talentów branży telewizyjnej i to, co Ci się przytrafiło, było absolutnie odrażające. W imieniu wszystkich pracowników telewizji Fox chciałam Ci pogratulować pokonania tego najgorszego z możliwych kryzysu i ponownego triumfu. Czasem jednak dobrym ludziom udaje się wygrać.*

Chciałam Ci również powiedzieć, że Fox jest ogromnie zainteresowany realizacją twojego nowego serialu komediowego Talk it over, o którym rozmawialiśmy jakiś czas temu. Jeżeli pozwoli Ci na to czas, miło by było spotkać się z Tobą na lunchu i porozmawiać o różnych sprawach. Mam nadzieję, że do zobaczenia wkrótce.

*Pozdrowienia
Sally*

PS Byłeś świetny w Today.

Nie wiedziałem, czy w ten sposób Sally usiłowała mnie przeprosić, czy też była to ukryta aluzja, że teraz, kiedy znów byłem na topie, chciała „porozmawiać o różnych sprawach”. A może po prostu zachowała się jak sprytny dyrektor, który usiłuje zwerbować dla swojej firmy tak zwany talent? Nie miałem ochoty się przekonywać, która wersja była prawdziwa. Nie zamierzałem jednak zachować się niekulturalnie czy triumfująco... ponieważ, szczerze mówiąc, nie miałem powodu, aby triumfować. Usiadłem więc i, używając oficjalnej papeterii FRT, napisałem następującą oficjalną odpowiedź:

*Droga Sally,
dziękuję za Twój list. Nawal pracy nad nową serią Sprzedając ciebie oznacza, że nie mam czasu na lunch z Tobą, moje zaś wcześniejsze zobowiązania zawodowe są takiej natury, iż przez czas nieokreślony nie będę zainteresowany innymi zleceniami.*

*Z poważaniem
David Armitage*

Pod koniec tygodnia usłyszałem najważniejszą dobrą wiadomość. Dostarczył mi ją Walter Dickerson, który po miesiącach negocjacji z drugą stroną wreszcie dostał to, na co czekałem.

- W porządku - powiedział, dzwoniąc do mnie do biura. - Oto nowiny: odzyskałeś możliwość widywania się z córką.

- Lucy przestała ze mną walczyć?
- Tak. Wreszcie zdecydowała, że Caitlin musi widywać się z ojcem. Przykro mi, że zajęło to tak cholernie dużo czasu. Teraz jednak nie tylko możesz się znów regularnie widywać z córką, ale też Lucy nie należała na obecność podczas tych spotkań, co jest regułą, kiedy widzenia były sądownie wstrzymane.

- Czy jej prawnik podał jakikolwiek powód, dla którego zmieniła zdanie?

- Ujmijmy to w ten sposób: jestem pewien, że Caitlin odegrała w tym ogromną rolę.

Był jednak również inny powód, o którym dowiedziałem się dopiero podczas weekendu, kiedy to poleciałem do Sausalito, aby po raz pierwszy od ośmiu miesięcy zobaczyć się z córką.

Wypożyczyłem na lotnisku samochód i pojechałem nim do domu Lucy w Sausalito. Zadzwoiłem do drzwi i w ułamku sekundy miałem już w ramionach Caitlin. Przytulałem ją przez długi, długi czas. Potem mała trąciła mnie łokciem.

- Przywiozłeś mi prezent? - spytała.

Roześmiałem się, rozbawiony zarówno jej fantastyczną bezczelnością, jak i ogromną odpornością. Minęło osiem cholernie długich i ciężkich miesięcy i oto znów byliśmy razem: ojciec i córka. Tyle że dla niej zupełnie nic się nie zmieniło.

- Prezent jest w samochodzie. Dam ci go później.

- W hotelu?

- Tak, w hotelu.

- W tym samym hotelu, w którym raz byliśmy, w tym, co sięgał do nieba?

- Nie, nie w tym hotelu, Caitlin.

- Czy twój przyjaciel cię już nie lubi?

Spojrzałem na nią zdumiony. Pamiętała wszystko, każdy szczegół każdego weekendu, który spędziliśmy razem.

- To bardzo długa historia, Caitlin.

- Opowiesz mi ją?

Zanim jednak zdołałem odpowiedzieć wymijająco na to niewinne pytanie, usłyszałem głos Lucy:

- Witaj, Davidzie.

Wstałem, nadal trzymając Caitlin za rękę.

- Hej.

Zapadła niewygodna cisza. Jakim sposobem po wszystkich tych miesiącach animozji, cholernych głupot legalnych i niepotrzebnej krzywdy mieliśmy wymieniać jakiegokolwiek uprzejmości? Zdecydowałem się jednak uczynić wysiłek.

- Dobrze wyglądasz - powiedziałem.

- Ty też.

Kolejna chwila niewygodnej ciszy.

Nagle z tyłu domu wynurzył się mężczyzna i stanął w drzwiach tuż za Lucy. Wysoki, tyczkowaty i miał czterdzieści parę lat. Był ubrany dość konserwatywnie w standardowy weekendowy uniform człowieka średniej klasy: zapinaną na guziki błękitną koszulę, beżowy sweter z szetlandzkiej wełny, spodnie khaki i tenisówki, jakie nosi się na łodziach. Objął Lucy ramieniem, a ja powstrzymałem się przed wzdrygnięciem.

- Davidzie, to jest mój przyjaciel, Peter Harrington.

- Miło cię wreszcie poznać, Davidzie - Peter wyciągnął do mnie rękę.

Uścisnąłem ją, myśląc, że przynajmniej nie powiedział: „Dużo o tobie słyszałem”.

- Mnie również - odparłem.

- Możemy już iść, tatusiu? - spytała Caitlin.

- Nie ma sprawy - zwróciłem się do Lucy. - Szósta wieczorem w niedzielę?

Kiwnęła głową. Wyszliśmy.

W drodze do San Francisco Caitlin powiedziała:

- Mama wyjdzie za mąż za Petera.

- Naprawdę? - spytałem. - A co ty o tym sądzisz?

- Chcę być druhną.

- Jestem pewien, że da się to załatwić. Co robi Peter?

- Prowadzi kościół.
 - Naprawdę? - spytałem, lekko zaniepokojony. - Jaki kościół?
 - Ładny.
 - Pamiętasz, jak się nazywa ten kościół?
 - Uni...Uni...
 - Może unitariański?
 - Tak. Unitariański. Śmieszna nazwa.
- Cóż, przynajmniej nie była to jakaś sekta.
- Peter jest bardzo miły - dodała Caitlin.
 - To dobrze.
 - Powiedział mamie, że powinna ci pozwolić mnie znowu widywać.
 - A skąd ty to wiesz?
 - Bo bawiłam się w sąsiednim pokoju, kiedy to powiedział. Czy mama zabraniała ci się ze mną widywać?
- Wpatrzyłem się w światła domów nad zatoką.
- Nie - odparłem.
 - To prawda?
- Nie musisz znać prawdy, Caitlin.
- Tak, kochanie. To całkowita prawda. Byłem daleko stąd i pracowałem.
 - Ale już nigdy więcej nie wyjedziesz na tak długo, co?
 - Nigdy.
- Wyciągnęła do mnie rączkę.
- Umowa stoi?
- Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.
- Od kiedy zaczęłaś pracować w Hollywood?
- Zignorowała mój komentarz i wyciągnęła rękę dalej.
- Umowa stoi, tato?
 - Stoi.
- Weekend był nieustannym pasmem radości i zabawy. Potem punktualnie o szóstej wieczorem w niedzielę zajechaliśmy przed dom Lucy. Kiedy drzwi się otworzyły, Caitlin uścisnęła matkę, a później wróciła do mnie i obdarzyła mocnym, wilgotnym całusem w policzek.

- Do zobaczenia za dwa tygodnie, tatusiu – rzuciła i wbiegła do środka, przyciskając do siebie rozmaite lalki Barbie i inne bezużyteczne plastikowe obiekty, które kupiłem jej podczas weekendu.

Nagle zostaliśmy na schodach sam na sam z Lucy. Spoglądaliśmy na siebie w milczeniu.

- Dobrze się bawiliście? - spytała Lucy.

- Doskonale.

- Cieszę się.

Przerwa.

- W takim razie... - zacząłem się wycofywać.

- Dobrze - odparła Lucy. - Do zobaczenia.

- Tak, za dwa tygodnie.

- W porządku.

Kiwnąłem na pożegnanie głową i odwróciłem się, aby odejść do samochodu.

- Davidzie? - jej głos sprawił, że znów na nią spojrzałem.

- Tak?

- Chciałam tylko powiedzieć... cieszę się, że wszystko się dobrze skończyło dla ciebie... w sferze zawodowej.

- Dzięki.

- To musiało być dla ciebie okropne.

- Było.

Cisza.

- Chciałam dorzucić coś jeszcze. Mój prawnik powiedział, że kiedy byłeś w najgorszym dołku, straciłeś wszystkie pieniądze...

- To prawda. Przez jakiś czas nie miałem grosza przy duszy.

- Mimo to co miesiąc płaciłeś alimenty.

- Musiałem to zrobić.

- Ale przecież byłeś bankrutem.

- Musiałem to zrobić.

Cisza.

- Bardzo mi zaimponowałeś.

- Dzięki - odpowiedziałem.

Znów zapadła cisza, więc w końcu pożegnałem się, wsiałem do samochodu, pojechałem na lotnisko i wróciłem do Los Angeles. Następnego dnia rano udałem się do pracy, podjąłem wiele „twórczych decyzji”, odebrałem sporo telefonów, zjadłem lunch z Bradem, po południu zaś przez trzy godziny wpatrywałem się w ekran komputera, usiłując nadać swoim postaciom nieco życia. Koniec końców o ósmej zamknąłem opustoszałe biuro. Po drodze do domu kupiłem sobie sushi na wynos, a potem zjadłem je, popijając piwem i oglądając dwa ostatnie kwadransy meczu Lakersów. Położyłem się do łóżka z powieścią Waltera Mosleya. Spałem bez przerwy siedem godzin, a kiedy wstałem następnego poranka, powtórzyłem cały proces od początku.

Gdzieś w połowie owej rutyny olśniło mnie: zostało mi zwrócone wszystko, czego chciałem. Mając tę wiedzę, uświadomiłem sobie, że jednak byłem sam.

Tak, odczuwałem przyjemność z pracy w zespole. Tak, co drugi weekend spędzałem z córką. Poza tym jednak...

Co?

Nie miałem rodziny, która czekała wieczorami na mój powrót. Inny mężczyzna odgrywał rolę Taty Na Co Dzień dla mojej córki. Chociaż moja kariera zawodowa została wskrzeszona, wiedziałem, że sukces może mnie zaprowadzić jedynie do następnego sukcesu, który z kolei prowadził człowieka do...

No właśnie, do czego? Gdzie? Jakie było moje ostateczne przeznaczenie? Była to największa niewiadoma życia. Przez całe lata człowiek usiłował gdzieś zajść. Kiedy jednak w końcu mu się udało, kiedy otrzymał wszystko, czego pragnął, nagle stawał oko w oko z dziwnym pytaniem: czy rzeczywiście dokąś zaszedł? Może to po prostu jeden z przystanków w drodze do bliżej niesprecyzowanego miejsca? Miejsca, które zniknęło z pola widzenia w momencie, gdy opuszczało cię szczęście.

Jak można dotrzeć do punktu, który nie istnieje?

Jeżeli udało mi się cokolwiek zrozumieć przez całe moje dotychczasowe życie to to, że wszyscy rozpaczliwie pragnęliśmy swego

rodzaju samopotwierdzenia. Ten rodzaj ślepej akceptacji mogliśmy jednak znaleźć wyłącznie w oczach ludzi wystarczająco głupich, aby nas pokochać... lub których my pokochaliśmy.

Jak Martha.

Przez pierwszy miesiąc dzwoniłem do niej codziennie, zostawiając wiadomości na poczcie głosowej. Usiłowałem też pisać, aż wreszcie zrozumiałem niemy przekaz braku odpowiedzi i zaprzestałem wszelkich kontaktów. Myślałem jednak o niej bezustannie. Wspomnienia te były niczym tępy ból, który nie chciał zniknąć.

Pewnego dnia, w piątek, jakieś dwa miesiące po naszym ostatnim spotkaniu, otrzymałem małą paczuszkę. Kiedy ją otworzyłem, znalazłem kwadratowy obiekt opakowany w papier ozdobny oraz kopertę. Otworzyłem ją i przeczytałem list:

*Najdroższy Davidzie,
wiem, że powinnam odpowiedzieć na Twoje telefony i e-maile, ale... jestem w Chicago z Philipem. Jestem tu z nim, ponieważ, po pierwsze, zrobił to, czego żądałam i - z tego, co czytałam w gazetach - Twoja kariera została odbudowana. Po drugie, wiesz zapewne, że zamierzam wyprodukować Twój film. Jestem tutaj jednak również dlatego, że Philip błagał mnie, abym od niego nie odchodziła. Jestem pewna, że to brzmi jak absurd: Philip Fleck, facet wart dwadzieścia miliardów, błagał mnie o coś. Niemniej to prawda. Prosił na kolanach, abym dała mu jeszcze jedną szansę. Powiedział, że nie może znieść myśli o straceniu mnie i dziecka. Wysunął też odwieczny argument: „Zmienię się”.*

Dlaczego to zrobił? Nie jestem pewna. Czy się zmienił? Cóż, przynajmniej znowu ze sobą rozmawiamy i dzielimy łóżko... a to już wielka poprawa. Poza tym wydaje się dość podekscytowany perspektywą zostania ojcem... chociaż oczywiście obecnie liczy się przede wszystkim realizacja filmu. W każdym razie w tej chwili nasze

małżeństwo jest w dość przyzwoitym miejscu. Nie mogę przewidzieć, jak długo to potrwa i czy Philip nie wróci do swoich dawnych samotniczych zachowań, ja zaś dotrę do punktu, z którego nie ma powrotu.

Wiem jednak jedno: zajęłeś miejsce w moich myślach i pozostaniesz tam na zawsze. To cudowne i smutne, ale tak to już jest. Z drugiej strony jestem niepoprawną romantyczką, która wyszła za mąż za niepoprawnego nie-romantyka.

Powiedzmy jednak, że uciekłabym z Tobą. Co by się stało? Niepoprawna romantyczka zakochana w jeszcze bardziej niepoprawnym romantyku? Nic z tego, zwłaszcza że niepoprawni romantycy zawsze uganiają się za tym, czego nie mają. Kiedy jednak to dostaną... ?

Może dlatego nie mogłam do ciebie zadzwonić ani odpisać na Twoje listy. Dlatego że rozpętałoby to niemożliwy dramat. Kiedy jednak ów dramat dobiegłby końca... wtedy co? Czy wpatrywalibyśmy się w siebie (tak jak przyglądałeś się czasem Sally), zastanawiając się, czy to wszystko ma sens? A może żylibyśmy długo i szczęśliwie? Na dwoje babka wróżyła. Ludzie zawsze chcą podjąć to ryzyko, ponieważ potrzebują kryzysu, dramatu, poczucia niebezpieczeństwa. Podobnie jak zawsze boją się kryzysu, dramatu i poczucia niebezpieczeństwa. Mówi się na to, że ludzie nigdy nie wiedzą sami, czego chcą.

Część mnie zawsze będzie Ciebie pragnęła. Podobnie jak część mnie zawsze będzie się Ciebie obawiała. Podjęłam jednak decyzję: zostaję z panem Fleckiem, w nadziei na szczęśliwe zakończenie, dlatego że istota, która gnieździ się w moim brzuchu, jest dość ważna, a ja nie chcę być sama, kiedy pojawi się na tym świecie. Ponieważ zaś kochałam i może nadal Kocham jego lub jej dziwnego ojca. Chciałabym, żeby to było Twoje dziecko, ale nie jest. Życie to kwestia odpowiedniego zgrania w czasie, a my, niestety, minęliśmy się i...

Cóż, chyba rozumiesz, co chcę powiedzieć w ten skomplikowany sposób.

Oto krótka rymowanka autorstwa naszej ulubionej poetki, traktująca o tym samym (choć w znacznie bardziej lapidarnym stylu niż mój):

*Oto Godzina Zwycięstwa
Minęła, trwa we wspomnieniach
Niczym w pamięci zamarzających śnieg
Najpierw Chłód -potem Stupor-na koniec pogodzenie*

*Mam nadzieję, że się pogodziłeś z losem, Davidzie.
Kiedy skończysz czytać ten list, zrób coś dla mnie. Nie
zamartwiaj się i nie rozpamiętuj. Nie wyobrażaj sobie,
co mogłoby być gdyby. Po prostu wróć do pracy.*

*Ukochania
Martha*

Nie wykonałem od razu jej ostatniego polecenia. Najpierw bowiem otworzyłem prezent i oto wpatrzyłem się w pierwsze wydanie *Wierszy Emily Dickinson* z 1891 roku, opublikowane przez wydawnictwo Roberts Brothers w Bostonie. Trzymałem książkę w obu dłoniach, podziwiając jej zwartą elegancję, jej czcigodny ciężar, aurę wieczności, chociaż wiedziałem, że kiedyś owo dzieło zniszczy je jak wszystko na tym świecie. Potem spojrzałem przed siebie i uchwyciłem swoje odbicie w pociemniałym ekranie laptopa: spoglądał na mnie mężczyzna w średnim wieku, który, w przeciwieństwie do książki, którą trzymał w dłoniach, za sto jedenaście lat będzie już tylko mglistym wspomnieniem.

Nagle przypomniałem sobie prośbę Caitlin, wypowiedzianą w zeszłym tygodniu. Kiedy układałem ją do snu w pokoju hotelowym, poprosiła mnie o opowiedzenie bajki na dobranoc. Konkretnie chciała usłyszeć historię o trzech świnkach, z pewną modyfikacją:

- Tato, możesz mi opowiedzieć historię o świnkach, ale tak, żeby nie było w niej Złego Wilka?

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę, nie wiedziałem bowiem, jak mam to zrobić.

- Zobaczmy... - zacząłem wreszcie. - Mamy dom z zapalek, dom z cegieł, a co później? Czy świnki mają założyć komitet osiedlowy? Przepraszam cię, kochanie, ale bez Złego Wilka ta historia nie ma sensu.

Dlaczego?

Bo wszystkie historie w życiu opowiadają o jakimś kryzysie. Twoim. Moim. Gościa, który siedzi naprzeciwko ciebie w pociągu, kiedy czytasz tę książkę.

Wszystko jest wyłącznie relacją, relacje zaś - opowiadanie historii - dotyczą podstawowej prawdy. Potrzebujemy kryzysu, niepokoju, tęsknoty, poczucia możliwości, strachu przed upadkiem, pragnienia osiągnięcia ideału i rozpacz nad naszym obecnym życiem. W jakiś sposób kryzys pozwala nam wierzyć, że jesteśmy ważni, że to, co się z nami dzieje, nie jest jedynie ulotną chwilą, że w jakiś sposób wykraczamy poza nieważność. Co więcej, pozwala nam zrozumieć, że zawsze będzie nad nami wisiał cień Złego Wilka. Wszędzie czai się niebezpieczeństwo - które sami prowokujemy.

Kto jednak ostatecznie jest twórcą naszego kryzysu? Kto jest owym Władcą *Marionetek*? Niektórzy uważają, że jest nim Bóg, inni, że społeczeństwo lub państwo. Można również oskarżać o swoje niepowodzenia i problemy konkretną osobę - męża, matkę, szefa. A może - tylko może - to my sami jesteśmy sprawcami własnego nieszczęścia?

Dlatego nadal nie potrafiłem zrozumieć wszystkiego, co się mi przytrafiło.

Tak, w mojej historii pojawił się zły człowiek - ktoś, kto mnie wrobił, odebrał mi wszystko, a potem zwrócił. Tak, znałem nazwisko owego człowieka, ale... i to jest ogromne „ale”... czy to możliwe, że byłem nim ja sam?

Spojrzałem jeszcze raz na ciemny ekran laptopa. Moja twarz wychylała się z atramentowej czerni niczym duch. Cóż za niezwykle portret. Uderzyło mnie zrozumienie, iż od chwili gdy człowiek zobaczył po raz pierwszy swoje odbicie, nie mógł się opędzić od zwykłych ponurych rozważań: kim jestem, jaka jest moja rola w tym spektaklu... i czy ma to jakiegokolwiek znaczenie?

Oczywiście ani wtedy, ani teraz nie znajdował na te pytania odpowiedzi. Może poza tą, którą właśnie powtarzałem sobie w myślach:

Zapomnij o zastanawianiu się bez końca nad takimi pytaniami. Zapomnij o daremności egzystencji. Nie wyobrażaj sobie, co mogłoby być. Po prostu żyj dalej, bo co innego możesz zrobić? Jest tylko jedno rozwiązanie: wróć do pracy.